ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 6 Sierpnia 1892 r.



JESZCZE SŁÓWKO

O GABRYELI (NARCYZIE ŻMICHOWSKIÉJ)

I ENTUZYASTKACH.

(WSPOMNIENIE).



W mglistych, niewyraźnych kształtach przesuwają się przed duchowym moim wzrokiem zamierzchłe sceny, dawno zmarli ludzie.

To, co posiadam, we mgle się zaciéra,
A to, co znikło, życia kształt przybiéra —

jak mówi poeta.—Gdzie się to wszystko podziało?...

I.

Dzięki stosunkowi mojemu z Hipolitem Skimborowiczem, któremu do redagowanego przezeń w Warszawie „Piśmiennictwa krajowego“, a późniéj do jego „Czasu“, dawałem niekiedy drobne swoje utwory, poznałem się około r. 1848-go z Narcyzą Żmichowską i kilku innemi uczestniczkami grona entuzyastek. Nie należałem wprawdzie do owych najpoufalszych, co to między latami 1842 do 1846 słuchali „przy kominkowym ogniu“ opowiadań Gabryeli, jéj przecudnéj „Poganki“; ale entuzyastki znałem prawie wszystkie, jedne więcéj,

drugie mniéj, a ponieważ w młodości uchodziłem za nieźle czytającego, czasem więc, gdy zjawiła się jaka nowość literacka, bywałem w kole ich lektorem.

Entuzyastki (o entuzyastach mówić tu nie zamierzam) są dla młodszego pokolenia dzisiejszego czémś jakby legendowém, bajeczném niemal. Postacie ich nieświadomi albo otaczają aureolą idealnéj doskonałości, albo téż, co gorsza, starają się je ośmiészyć, mieszając z niemi najniewłaściwiéj ówczesne lwice lub dzisiejsze emancypantki. I entuzyastki wprawdzie po swojemu dążyły do emancypacyi, ale do wyrazu tego zupełnie rożne od dzisiejszego przywiązywały znaczenie. Celem ich było nie zdobywanie sobie nowych stanowisk zawodowych, bo i potrzeba tego jeszcze wówczas czuć się nie dawała, nie wyzwalanie się z pod wszelkiéj zależności i opieki, ale jedynie swobodny rozwój stosunków już istniejących i skierowanie usiłowań ogółu kobiét ku celom poważnym, szlachetnym. Skromne w życiu, proste w ubraniu, serdeczne, nie pozujące na wielkość, na zasługę; poświęcone dla innych, surowe dla siebie, miłujące wszystko co piękne i wzniosłe — kochały one entuzyastycznie ideały wszelkie, zmierzające do udoskonalenia ludzkości. Oburzenie przeciw fałszom tak zwanego „dobrego tonu“ stawało się wprawdzie u niektórych między niemi powodem przesadnego wyróżniania się, jak na przykład przez krótkie przystrzyganie włosów i palenie tytoniu; ale były to tylko wyjątki. Żadna z nich nawet, oprócz Gabryeli, a potrosze Skimborowiczowéj i Gosselinówny, nie oddawała się literaturze, nie pisywała do druku. Gabryela mówi o tém: „Geniusz pięknych czynów stokroć wyższy od najwprawniejszego stylu, a natchnienia dobroci od natchnień poezyi nieśmiertelniejsze.“

Otóż dla tych kobiét, nie związanych z sobą w żaden cech, nie rządzących się żadną ustawą, Gabryela wymyśliła nazwę Entuzyastek, która też odtąd i w mowie potocznéj, i w piśmiennictwie przy nich pozostała.

Sama duchowa przewodniczka grona, w którém odbywała się wymiana myśli między niemi, a do którego przystęp najwybrańszym tylko był dozwolony, pisze o tém w „Słowie przedwstępném do dzieł dydaktycznych Hofmanowéj“:

„Nie było wtedy pono żadnéj wyższéj cnotą, rozumem, a nawet wyższéj duchem prawdziwéj pobożności kobiéty, coby w dalszych znajomych swoich pewnéj nieufności nie wzbudzała“... A jednak dodaje: „między kobiétami naszemi nie zawiązało się ani jawne stowarzyszenie, ani tajne wolnomularstwo; ale łączyła je taka wspólność upodobań i wstrętów, a nadewszystko taka wspólność wychowania i wa-

runków życiowych, iż mniéj więcéj wszystkie popełniałyśmy też same błędy, wpadały na też same pomysły i temi samemi niemal środkami ku tym samym dążyły celom“... „Spokojni ludzie nie mogli sobie wyobrazić, że się to bez jakiegoś sprzysiężenia odbywa.“

„Im (to jest entuzyastkom) zawdzięczają dzisiejsze kobiéty — mówi gdzieindziéj — pewne zdobycze towarzyskie: że mogą same chodzić po ulicach, koleją jeździć, w zebraniach głos zabiérać i rozmawiać o czém zechcą.“ — A jabym dodał: niewiasty dziś żyjące zawdzięczają im to przedewszystkiém, że mogą uczyć się i pracować nietylko w kółku rodzinném.

Godłem ich były piękne słowa Gabryeli, w wierszu „Do moich dziewczynek“:

Ze słowem Bożém — chléb dla każdego.
Z życiem na ziemi — miejsce śród tłumu,
Z pamięcią przodków — win odpuszczenie
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie.

O entuzyastkach pisali u nas: Hipolit Skimborowicz w artykule „Gabryela i Entuzyastki“ („Bluszcz“, 1880) i dr. Piotr Chmielowski w cennym zarysie p. t. „Entuzyastki“, drukowanym w dziele jego „Autorki polskie wieku XIX-go“, Warszawa, 1885. Obaj ci autorowie, z których pierwszy był uczestnikiem działalności Entuzyastek, drugi umiejętnym tylko jéj badaczem, czerpali charakterystyki swoje przeważnie ze wskazań, jakie dała sama Gabryela w „Obrazku wstępnym“ do „Poganki“. Wskazania te, czasem zbyt skąpe, postaram się, co do niektórych przynajmniéj szczegółów, rozszerzyć. Przedewszystkiém jednak sprostować muszę błąd, napotkany w artykule Skimborowicza, a powtórzony przez Chmielowskiego: pierwsza żona moja, Aniela z Rydzewskich, nie należała do grona Entuzyastek. Zbliżyła się ona do nich dopiéro przezemnie i przez Kryspinę z Siewielińskich Stelmowską. Znała je wprawdzie, bywaliśmy u niektórych i one u nas; szczególniéj na tak zwaném Miodogórzu (dom Grabowskich, róg Miodowéj i Senatorskiéj w Warszawie, gdzie wtedy na 3-ém piętrze mieszkała Narcyza Żmichowska) spotykaliśmy je dość często; lecz zetknięcia te ograniczały się na charakterze wyłącznie towarzyskim.

Entuzyastki mówiły sobie *ty*; ale Gabryela, mimo skromnego bardzo o swych zdolnościach wyobrażenia, taki wpływ mimowolny na całe otoczenie swoje wywierała, że stała się dla wszystkich przedmiotem czci niepodzielnéj. Narcyska (bo tak ją powszechnie nazywano) objaw ten, nietyle hołdu, ile miłości, przyjmowała z niezrównaną prostotą, jako rzecz naturalną. Grono zresztą Entuzyastek było dla

niéj tylko jakby rozszerzeniem kółka rodzinnego, i miała prawo, bez zarozumiałości, czuć się głową tego grona.

Żmichowska nie była piękną, przynajmniéj w tym czasie, kiedy ją poznałem; ale z całéj jéj postaci promieniał jakiś urok nieprzeparty, jakiś wdzięk podbijający. W późniejszym już nawet wieku oczy jéj tryskały rozumem i dobrocią, a w każdym ruchu ujawniała się niewysłowiona jakaś wytworność, szlachetność duszy i umysłu. Była to, słowem, pod każdym względem istota wyjątkowa: jasna, czysta, bez skazy najlżejszéj, co, zwłaszcza u kobiét, nie często idzie w parze z geniuszem.

Nie mam bynajmniéj zamiaru skreślenia tu życiorysu znakomitéj autorki „Poganki“, ani ocenienia jéj pism i wpływu, jakie one wywierały. Odsyłam pod tym względem czytelników do studyum d-ra Chmielowskiego w dziele „Autorki polskie wieku XIX-go“ i do cennych „Listów o pismach Gabryeli“, podznaczonych pseudonymem Stefan, a drukowanych w latach 1872-im i 1873-im w „Tygodniku ilustrowanym“, wreszcie do wstępu, poprzedzającego „Listy Gabryeli Żmichowskiéj“. W tém miejscu przytoczę tylko słowa jednéj z ulubionych uczennic Gabryeli, pani Wandy z Grabowskich Żeleńskiéj:

„Gabryela młodszym kobiétom wskazywała drogę nauki gruntownéj, jako jedyną do samodzielności prowadzącą, a świetną wymową, jasnym poglądem rozszerzała ich widnokrąg myślowy i gruntowała sąd, siłą porywającą głoszonych przekonań.

„Głębokie uczucie, szczytne pomysły, przeczyste marzenia, wieczna tęsknota za ideałem, pragnienie światła dla wszystkich braci, ukochanie młodzieży, poczucie obowiązku względem maluczkich, żądza zbawienia, żądza nieba i orli wzlot ku niemu, wdzięczna miłość dla téj ziemi, która ją zrodziła, przechowywanie wierne świętéj iskry Bożéj i ciągłe oglądanie się na prawdę wiekuistą, stosowanie jéj do wszelkich zasad społecznych i osobistych—oto spuścizna Gabryeli.“

Wracając do osobistych moich wspomnień, nadmieniam jeszcze, że Żmichowska na owém Miodogórzu, urządziła w r. 1862-im dla młodszych przyjaciółek i uczennic swoich szereg dwunastu odczytów pedagogicznych, gorąco zachęcając w nich kobiéty do nauki. Wyraźnie jednak przytém dodawała: Te tylko z was, które Bóg wyższemi obdarzył zdolnościami, które czują w sobie święty ogień zapału do wiedzy, które umieć pragną dla umienia, dla pożytku swego i innych, nie dla celów ubocznych — te tylko niech się kształcą w zawodach specyalnych. — Głos to otrzeźwiający, wobec wielu uroszczeń dzisiejszych.

Gabryela zmarła w nocy z 24-go na 25-ty grudnia 1876-go roku, zawcześnie dla kraju, zawcześnie dla tych, którzy ją kochali, bo mając lat niespełna 58. Była już jednak znużona życiem... pragnęła spoczynku. Dręczyła ją nietylko bolesna choroba, ale czuła się duchowo osamotnioną, chociaż otaczał ją tłum życzliwych, bo rówieśni jéj a najbliżsi prawie wszyscy legli w grobie. — Tylko po cmentarzach szukać ich muszę — mówi w jednym z ostatnich swych listów, niepisanych już własnoręcznie, lecz dyktowanych.

II.

Do pobieżnéj charakterystyki Gabryeli, skreślonéj kilku zaledwo rysami, z osobistych wspomnień moich, dołączam tu notatkę ostatniéj żyjącéj przyjaciółki, genialnéj poetki, łaskawie mi do użytku udzieloną. Uzupełni ona w znacznéj części fizyognomią moralną znakomitéj autorki „Poganki.“ Oto w streszczeniu słowa notatki:

W roku 1847-ym, w jesieni, poznałam Narcyzę w domu Radońskich, w ich wsi Sierniczu, położonéj na granicy królestwa z Poznańskiém, niedaleko Słupcy. Zapowiedziane jéj odwiedziny całą naszę gromadkę przejęły trochę trwożném oczekiwaniem; zapoznanie się jednak nasze było proste i łatwe. Wiedziałam niezawodnie zamało o Narcyzie, nie umiałam też jeszcze ocenić tak wyjątkowego umysłu; lecz była to postać, która mnie odrazu porwała, zarówno serdeczną swą prostotą, jak wdziękiem artystycznym, bijącym z każdego jéj ruchu i słowa.

Piérwsza rozmowa nasza była żywa. Pomijam treść, z bieżących okoliczności zaczerpniętą, a dotknę tu tylko kilku poufniejszych szczegółów. Opowiadała mi Narcyza o siostrach swoich, mianowicie o Kornelii (Glogerowéj), która dla niéj była prawie matką, o ślicznych swoich siostrzeniczkach; następnie o przyjaciółkach: Kazimierze Ziemięckiéj, Annie Skimborowiczowéj, Wincencie Zabłockiéj, Kryspinie Siewielińskiéj i innych. Słuchałam i zdawało mi się, że każdą z nich przed sobą widzę, że to są kobiéty już dawno znane, przeczuwane, że już je kocham. Późniejsze téż poznanie się moje z każdą z nich z osobna było raczéj odnowieniem tylko stosunku. A tak się złożyło, że najpiérwszą Kryspinę zobaczyłam w r. 1849-ym. Pokochałyśmy się odrazu, a choć okoliczności życiowe niezupełnie nas wiązały, choć nie było między nami wspólności pracy, nie było wspólnego zamieszkania i t. p., stosunek bliski dotrwał do końca życia.

Tak samo téż działo się i z innemi przyjaciółkami Narcyzy. By-

ła to rzeczywiście jakaś błogosławiona gromadka, zespolona z sobą entuzyazmem dla światła nauki, dla piękna w sztuce i życiu, związana wspólném ukochaniem i potrzebą służenia „poczciwéj sławie.“ Na to zaś potrzeba było przedewszystkiém czystego charakteru i gotowości poświęcenia celów egoistycznych. Oto łącznik, wiążący to kółko. Obraz jego, dany mi w opowiadaniu Narcyzy, wytrzymał próbę czasu.

W roku 1853-im, w porze zimowéj, dano mi znać, iż z Narcyzą widziéć się mogę. Natychmiast wybrałam się do niéj. Po piérwszych radosnych powitaniach, spostrzegłam wielką zmianę w jéj twarzy, w ruchach; czułam, że przez jéj duszę przeszły bóle z rodzaju tych, które epokę w życiu stanowią. I tak téż było: wyraziły się one w utworze: „List nie wiem czyj i nie wiem do kogo.“ W osobistym jednak stosunku naszym nic się nie zmieniło.

Narcyza była obdarzona naturą pod każdym względem wytworną, począwszy od najelementarniejszych podstaw, takich naprzykład, jak potrzeba czystości, porządku, ładu, jak ścisłość w rachunkach wszelkich, jak wreszcie wymaganie prawdziwości od siebie i od innych, a także wobec sądu o sobie, wobec ocenienia wartości swéj natury, swéj zdolności, czy téż wartości własnego życia, uczynków i prac własnych. W sądzie tym nie było ani cienia pychy, zarozumiałości, próżnostek; przeciwnie, cechowała go raczéj zbyteczna surowość, a nawet pewna gorycz. Z lekceważeniem mówiła o owocach pracy swojéj w różnych kierunkach, z lekceważeniem o swoich „nędznych czterech tomikach.“ — Trzeba tu dodać, że warunki jéj zewnętrzne nie sprzyjały wcale pracy równéj, systematycznéj tak, jak ją autorka pojmowała. Żyła ona jako ptak na drzewie, dziś tu, za chwilę indziéj, prawie bez stałego zamieszkania.

Jedną z cech bardzo charakterystycznych u Narcyzy była niezmierna wyrazistość, dosadność w zewnętrznem objawianiu doznawanych wrażeń i uczuć. Gdy się czém radowała, czém zachwycała, to aż jasność biła od niéj, aż każdemu około niéj było lepiéj, pogodniéj, radośniéj. Podobnież smutek jéj przygnębiająco działał na otoczenie, oburzenie zaś na krzywdę, na nikczemność, podłość, miało w sobie coś wstrząsającego. Odpowiednio téż do nastroju powyższego, rozmowa z nią toczyła się pogodnie, chmurnie lub nawet gniewnie, a zawsze dosadnie.

Spory o przekonania, o zasady z przeciwnikami, o tyle tylko spokojnie prowadziła, o ile stosunek był dalszym i obojętniejszym; stawały się zaś zacieklejszemi, w miarę jak przeciwnik bliższym i droższym był dla niéj.

Dowcip Narcyzy należał także do cennych darów jéj umysłu; widnym on jest w jéj pismach, w listach, najwytworniéj zaś, najwszechstronniéj objawiał się w świątecznych chwilach rodzinnego pożycia, albo w karteczkowéj korespondencyi z ulicy na ulicę. Dowcip ten, to kwiat w świetne barwy i blaski strojący każdy objaw życia. Znać w nim było twór polskiéj ziemi, ale wydelikacony wpływem dowcipu francuskiego, o subtelniejszych odcieniach myśli. Rozmowy czy gawędy przyjacielskie nadzwyczaj wiele powabu towarzyskiego zyskiwały, dzięki téj przymieszce dowcipu.

Narcyza dzieliła się z ufnością tém, co życie jéj przynosiło, i wywoływała ufność wzajemną. Znała téż doskonale zarówno usposobienie, uzdolnienie, jak upodobania swych przyjaciół. Dotkniętych nieszczęściem otaczała spółczuciem, pomocą. Nikt tak jak ona nie posiadał daru pielęgnowania i dogadzania chorym w cierpieniach, pocieszania zbolałych w smutku. Sama tego na sobie doznawałam, jako i inni doznawali. Tysiącami szczegółów dałoby się to poprzéć.

Podarki imieninowe były przez Narcyzę długo naprzód obmyślane, wyszukiwane, a zawsze z usiłowaniem dogodzenia upodobaniom obdarowanych, lub jakiéj najpilniejszéj potrzebie bieżącéj. Dla Kazimiery na przykład zawsze o jakiegoś białego kruka się wystarała, albo wreszcie o jakąś nowość w literaturze historycznéj. Bo Kaźmiera była ową „poetką bez talentu,“ kobiétą równie znakomitych zdolności umysłowych, jak wysokiego charakteru i podniosłego nastroju myśli, duszą wyróżniającą się wielką samodzielnością i oryginalnością.

Ujemne strony każdéj i każdego w bliskiém swém kole doskonale znała Narcyza. W piérwszych chwilach naszego stosunku powiedziała mi: Dotąd jeszcze nie widzę ujemnéj strony twego usposobienia, a jednak wtedy dopiéro będę pewną mego dla ciebie uczucia. Wiem to jedno, że ci brak tego cennego przymiotu, który Francuzi nazywają *spontanéité*.

Narcyza do każdéj nowéj pracy sumienne czyniła przygotowania: ściągała materyały, robiła notatki i t. p.; ale przedewszystkiém rzecz długo w myśli swéj przygotowywała. Wstawała rano, około 4-éj lub 5-éj, nawet w zimie, albowiem potrzebowała ciszy. Te ranne godziny poświęcała na pisanie. Po kilkogodzinném zajęciu, kiedy się ruch wokoło rozpoczynał, robiła przerwę, ubiérała się i piła herbatę, przeglądając gazety i obmyślając plan rozpoczętéj pracy.

W listach już wydanych i w tych co jeszcze nie są ogłoszone, jest duży i najwierniejszy materyał, tak do jéj życiorysu, jak i do treści pamiętnikowéj danéj epoki. Ale treść listów należałoby uzupeł-

niać rozczytywaniem się jednoczesnem w pismach. Strzelecki mieści w sobie wierne szczegóły biograficzne, odnoszące się do Tekli Żmichowskiéj, stryjenki i piérwszéj opiekunki Narcyzy. — W „Prządkach“ jest opis jednéj z wieczorynek, odbywanych u pani Tekli. — W „Czy to powieść,“ przy kreśleniu postaci pani kapitanowéj, Narcyza miała na myśli swoją matkę, znaną sobie tylko z przechowanéj przez starsze rodzeństwo tradycyi. Wielokrotnie przypatrywałam się dobremu, olejnemu portretowi matki Narcyzy, pani Wiktoryi z Kiedrzyńskich Janowéj Żmichowskiéj. Świetna piękność téj kobiéty odpowiadała dostojności jéj charakteru, bardzo niezwykłego. Z dziesięciorga jéj dzieci znałam dwóch synów i sześć sióstr, a wszystkich łączyły pewne cechy rodowe, mimo niezmiernéj rożnicy natury i duchowych właściwości. — W „Czy to powieść“ przepyszny obrazek rozwijającéj się Napolci jest niewątpliwie odbiciem wspomnień Narcyzy o własném usposobieniu w wieku dziecinnym, podobnie jak stosunek Napolci do ciotki Rózi maluje stosunek Narcyzy do stryjenki Tekli, zwanéj „mamą.“

We wstępie do pism dydaktycznych Hofmanowéj mieści się ważny materyał do danéj epoki, do życia Narcyzy i szczegóły o jéj przyjaciółkach. Te ostatnie są téż zawarte we wstępie do „Poganki.“

Artykuły o wychowaniu początkowém, wstęp do „Wykładu nauk,“ to bardzo niedokładne notaty z kursu ustnego dla kobiét o tém, jakby należało dopełniać własnéj nauki.

Listy do nauczycielek zawiérają bogaty materyał pedagogiczny, świadczący o nadzwyczajnéj zdolności Narcyzy do obserwacyi psychologicznéj, a zarazem o rzadszém jeszcze uzdolnieniu do wiązania tych obserwacyj w odnośne grupy. Szkoda téż nieodżałowana, że nie napisała właściwéj pedagogiki, do czego miała w myśli zupełnie niemal gotowy materyał.

Pojęcie obowiązków obywatelskich znajduje się określone we wszystkich jéj pismach, streszczone jednak najwymowniéj w liście do Elżanowskiego. — Rozpaczliwe przygnębienie po opuszczeniu Lublina, znalazło swój wyraz w pysznym utworze „List nie wiem czyj.“

Temu, ktoby zamierzał obszernie pisać o Narcyzie, listy jéj do brata Erazma wyjaśnią całą głąb' duszy, w chwilach stopniowego jéj dojrzewania. — Listy do przyjaciółek, po większéj części pisane, możnaby powiedzieć, na kolanie, malują jednak dobrze stosunek wzajemny. — Z listów do Mii ważnym jest list z błogosławieństwem przedślubném. — List wreszcie do Bianki, ostatnie to słowa Narcyzy, w wigilią śmierci podyktowane.

Gdy życie to całe rozważam, w téj przynajmniéj części, która mi była i jest dostępną, i o tyle, o ile je znam, to widzę, że dziwna łączność wiąże myśli, pojęcia i zasady Narcyzy, wyrażone w pismach jéj i listach — z uczynkami i wszystkiemi objawami jéj duchowéj istoty. Wszystko to wzajem dopełnia się, objaśnia, tłómaczy. Niby to szarpanina, niby jedno z drugiém niepodobne, a tymczasem rozwaga dłuższa, dłuższe zastanowienie coraz więcéj wykazuje jakąś niezwykłą harmonią, jakąś całość i jednolitość. Ktoby nam dał wyczerpujący życiorys téj kobiéty, daćby musiał zarazem jakąś wielce cenną część wewnętrznych dziejów epoki, z którą tak ściśle, tak nierozerwalnie łączyło się życie Narcyzy, życie téj, którą śmiało nazwać można najczystszą i naświetniejszą przedstawicielką naszych kobiét.

III.

W „Obrazku wstępnym“ do Poganki, Gabryela charakteryzuje część entuzyastek, pod imionami przybranemi, zamilczając zupełnie o innych; w „Słowie zaś przedwstępném do dzieł dydaktycznych Hofmanowéj“ wymienia je z imion i nazwisk prawdziwych, ale, jak już wspomniałem, poświęca niektórym po kilka zaledwo wyrazów. Brak ten pragnąłbym choć w części zapełnić, zwłaszcza, że z temi właśnie krótko zbytemi, albo pominiętemi, łączyła mnie bliższa zażyłość.

Więc najprzód powszechnie kochana, z powodu niezrównanéj swéj prostoty i uczynności, Emilia Gosselin, zwykle Goslinką nazywana. Córka cudzoziemca, ale Polka urodzeniem i sercem, całe swe życie poświęciła na usługi młodego pokolenia naszych dziewcząt, rozwijając w nich z troskliwością i taktem godnym najwyższego uwielbienia, skarby szlachetnych uczuć, a jednak umiejąc ustrzedz je od egzaltacyi i przesady. W rozmaitych okolicach kraju żyją dotąd obywatelki, wychowane w jéj domu, przyświécające późniéj sercem, rozsądkiem i prawdziwie chrześciańskiemi cnotami. I w tym kierunku pracowała do ostatniego niemal tchnienia, bo na tydzień ledwo przed śmiercią, która nastąpiła zawcześnie dnia 22-go lipca 1864 roku, w 49-ym roku jéj życia, otoczoną była gronem ukochanych i nawzajem ją kochających uczennic.

Skromny domek za Żelazną bramą, w którym od lat wielu z sędziwym ojcem mieszkała, był miejscem zetknięcia się ludzi najzacniejszych, choć różnych nieraz pojęciami, na których niezakłócona zawsze i jednostajna pogoda jéj umysłu, częstokroć wpływ jednoczący wywiérała; dla bliższych zaś jéj przyjaciół, domek ten stawał się jakby uświęconym przybytkiem najtkliwszych uczuć serca, najgorętszéj

wiary we wszystko, co piękne, wzniosłe i szlachetne. Rzeczywiście, całe życie ś. p. Emilii dla innych kobiet powinno być wzorem, jak można, zminąwszy się nawet z naturalném przeznaczeniem niewiasty zostania żoną i matką, zasłużyć sobie na miłość ogólną, na szacunek najwyższy, a zarazem pracować cicho, lecz pożytecznie, w zakresie domowym i publicznym.

Dość rozpowszechnioném w owym czasie było mniemanie, że Emilia pisała kazania, które następnie znany kaznodzieja-bernardyn, ks. Benvenuto Mańkowski, wygłaszał z ambony. Czy było tak rzeczywiście, powiedzieć trudno. Zapytywana przezemnie poufnie, zapewniała, że kreśli tylko plan ogólny, wykonanie zaś w zupełności zostawia kaznodziei. Wprawdzie dr. Piotr Chmielowski, jak przytacza w rozprawie swojéj p. t. „Entuzyastki“, widział trzynaście takich kazań, pisanych podobno ręką panny Gosselin; ale mogły to być właśnie owe notaty przygotowawcze.

W „Tygodniku ilustrowanym“ z prac ś. p. Emilii drukowałem: „Kilka słów o książce Micheleta p. t. *L'amour*“, „Odpowiedź“ na list, napisany z powodu tego artykułu i rozprawkę p. t. „Opinia“.

Niezmordowanie czynną na niwie filantropii była Walerya z Biłgorajskich Lewicka. Serdeczna opieka otaczała ją, jako młodą dziewczynę, w gwarnym dworku jéj rodziców, na dawném Podlasiu, gdzie wzrastała pod troskliwém okiem matki, jednéj z najszlachetniejszych niewiast, chowana razem ze starszą siostrą Sabiną i krewną Anną Lewicką.

Wpływ kółka rodzinnego wyrobił w niéj ową miłość ku wszystkiemu co zacne, ową gotowość do poświęceń, które późniéj stać się miały treścią pięknego jéj życia. Skromna i niewymagająca od młodości, Walerya tak głęboko przeniknęła się miłością, społeczeństwo całe ogarniającą, że do nikogo obojętnie zbliżać się nie mogła. W każdym bliźnim uszanować umiała człowieka, a różnice stanowisk towarzyskich dla niéj nie istniały.

Niezamężną jeszcze będąc, założyła we wsi Glinniku, majątku swych rodziców, szkółkę, którą sama przez lat sześć prowadziła, chwytając skwapliwie każdą sposobność, posłużyć mogącą do jéj rozwoju.

Straciwszy w r. 1859-ym matkę, Walerya w rok późniéj oddała rękę Celsowi Lewickiemu, księgarzowi i przeniosła się na stałe mieszkanie do Warszawy. Tu ją poznałem i widywałem nieraz krzątającą się wszędzie, gdzie szło o łagodzenie niedoli. Była, według słów Gabryeli „prawdziwą bez habitu siostrą miłosierdzia“.

Pokrewną jéj, nietylko rodem, ale i sercem, była Anna z Lewickich, pierwszego ślubu Domaszewska, drugiego Krajewska. Dwie te kobiéty, razem wychowane, uzupełniały się niejako wzajemnie. Jeżeli Lewicka koiła przeważnie niedolę materyalną, cierpienia ciała, Krajewską nazwać można lekarską ducha. Cicha, poważna, skąpa zwykle w słowach, umiała jednak często kilkoma wyrazami pocieszyć stroskanych, ukrzepić w wierze zwątpiałych, podeprzeć upadających. Wpływ ten na umysły zbolałe był raczéj sympatycznym, niż opartym na argumentacyi rozumowéj; w języku dzisiejszym ochrzczonoby to zapewne sugestyą myślową; wówczas poprzestawano na prostszéj, ale trafniejszéj niewątpliwie nazwie szczerego, serdecznego spółczucia. Zapominając zupełnie o sobie, żyła wyłącznie dla innych i szeroko rozpościerała zbawienną swą działalność.

W roku 1847-ym oddała rękę Edwardowi Domaszewskiemu, który jednak odumarł ją, po dziesięciu zaledwo miesiącach pożycia. Zbolała, lecz nie złamana, szła daléj po drodze obranéj, spełniając z niezrównaną słodyczą, bez rozgłosu, to, co w sumieniu własném za obowiązek swój uznawała.

Poślubiwszy w roku 1858-ym Henryka Krajewskiego, zajmującego dziś zaszczytne stanowisko w gronie adwokatów naszych, osiadła z mężem w Warszawie, aby prowadzić tu daléj dzieło opieki nad maluczkimi i wydziedziczonymi. Między innemi zajmowała się bardzo czynnie ochroną za rogatkami Wolskiemi. Zmarła dnia 18-go października 1885 roku, mając lat 66. Piękne było jéj życie, opromienione aureolą poświęcenia!

Ostatnią ze wzmiankowanych przez Gabryelę entuzyastek, była Kryspina z Siewielińskich Stelmowska, któréj najżyczliwszą, najserdeczniejszą szczyciłem się przyjaźnią. Żmichowska rzekła o niéj tylko: „zdrowéj rady i pomocnéj ręki“, lecz jakże wiele mówią te słowa, jak wybornie ś. p. Stelmowską charakteryzują! W istocie, kto zdrowéj potrzebował rady, ten nigdzie skuteczniéj znaleść jéj nie mógł, jak w téj zacnéj, obdarzonéj bystrym, praktycznym rozumem i tkliwém sercem kobiéty.

Siostry Siewielińskie, starsza Kryspina i młodsza Urszula, która obecnie z mężem swym, inżénierem Bolesławem Holcem, przebywa w Konstantynopolu, były jedynemi dziećmi swych rodziców. Straciwszy wcześnie matkę, obie panny mieszkały przy ojcu, który im, pod względem wyboru towarzystwa, zupełną zostawiał swobodę — rzecz niebezpieczna dla dziewcząt młodych jeszcze i niedoświadczonych. Szczęściem, zetknięcie się rychłe z kołem Entuzyastek, a nadto wrodzona przenikliwość umysłu Kryspiny i dar poznawania się na ludziach

sprawiły, że w krąg ich znajomości wchodziły tylko osoby nieposzlakowanéj, wypróbowanej zacności.

Kryspina Siewielińska nie odznaczała się ani urodą, ani wysokiém wykształceniem, ani talentem; ale w rysach jéj nieregularnych, nieco męskich, o czole zawsze prawie zmarszczoném, tkwił wyraz wielkiéj, ujmującéj dobroci. Dziwny też wpływ wywiérała na tych, co ją otaczali, szczególniéj na młodych mężczyzn, których umiała nieraz na właściwą zwrócić drogę, albo, co więcéj, pokierować nimi według ich zdolności. I piszący te słowa, wiele jéj pod tym względem zawdzięcza. Surowa w sądach o innych, najbardziéj jednak o sobie, uchodziła w oczach wielu za zbyt wymagającą, zbyt niepobłażliwą. Ale gdyś raz pozyskał szczerą jéj życzliwość, to pozostała ci już wierną aż do grobu przyjaciółką. Uosobienie prawości, wstręt swój do wszelkiego fałszu, do kłamstwa, posuwała tak daleko, iż razu pewnego bardzo dobrą skądinąd sługę oddaliła dlatego jedynie, że ją okłamała.

W r. 1855-ym Kryspina poślubiła Zygmunta Stelmowskiego, urzędnika Izby obrachunkowéj, a dom ich pozostał ogniskiem, w którém stykali się ludzie idei i poświęcenia. Doczekawszy się jedynego syna Józefata, który—szczęściem po zgonie już matki—zginął w Monachium w sposób tragiczny, dotychczas niewytłomaczony, zmarła 21 lipca 1869 roku.

Z młodszego pokolenia kobiét, które się z czasem do pierwotnego grona Entuzyastek przyłączyły lub poprostu były uczennicami Gabryeli, wymienię jeszcze kilka wybitniejszych: Julię Bąkowską, utalentowaną fortepianistkę, późniejszą doktorową Baranowską; nieżyjącą już Zofię Kaplińską, wreszcie Wandę z Grabowskich Żeleńską, żonę cenionego kompozytora. Dwie ostatnie próbowały także z powodzeniem sił swoich na polu literackiém.

IV.

W końcu niech mi wolno będzie powiedzieć jeszcze słów kilka o formie i przepięknym języku Gabryeli, wyrobionym na polszczyźnie Zygmuntowskiéj, lecz dokształtowanym późniéj na wzorach wielkiéj trójcy poetów naszych. Język to wspaniały, obrazowy, pełen niepospolitych zwrotów i świeżych porównań, obfitujący w śmiało i zręcznie tworzone wyrażenia, język w wysokim stopniu oryginalny, a jednak jakże swobodny, jak nie robiony! Myśli Gabryeli oblekają się w słowa tak prosto, tak naturalnie, że zdaje się jakby te słowa były z niemi zrośnięte, jakby nie mogły być inne. Bo też nienawidziła

wszelkie gonienie za efektem, wszelkie manierowanie stylu, wszelkie zaciemnianie myśli czczą frazeologią. „Nieraz z przerażeniem patrzyłam — pisze w r. 1843-im do brata Erazma — na te stosy foliałów, z ludzkich mózgów powyciskane, na ten olbrzymi odskok piśmienności od życia.“ A dalej żartuje sobie z modnéj wtedy u nas filozofii niemieckiéj: „Nieraz téż zdarzało mi się spotkać kilka takich zaczytanych, zarozumowanych głów,.... które spokojnie sobie w filozofii i metafizyce siedzą, rozprawiając o duchu co wié, ale nie wié że wié, lub o duchu co wié, i wié o tém, że wié“...

Cechy powyższe, w większym lub mniejszym stopniu, posiadają wszystkie utwory Żmichowskiéj, najbardziéj jednak wydatnieją one w jéj poezyach pomniejszych i w wielkim poemacie prozą, któremu autorka nadała tytuł „Poganka“. Najdawniejszy jéj wiersz: „Szczęście poety“, pierwszy, który pod pseudonymem Gabryeli drukowany był w „Pierwiosnku“ za rok 1841-szy, tak świetnym jaśniał talentem, że młodéj, nieznanéj wówczas poetce odrazu rozgłośne zrobił imię: dopytywano się o nią, pragniono z nią się zapoznać. Jednakże utwór ten, jak zwykle u początkujących, nie był jeszcze wolnym od naśladownictwa; przypomina on potrosze „Odę do młodości“, a szczególniéj „Farysa“, jak w tym naprzykład ustępie:

Lecę daleko, lecę wysoko,
Słońce się z orła śmiać chciało;
Orzeł mu spojrzał dumnie oko w oko,
Słońce się w obłok schowało.
Ja dalej lecę, gdzie burz siedlisko,
Silnemi szpony rwę czarne chmury;
Zdziwiony piorun, widząc mnie blisko,
Musiał ustąpić.....

Nie wiem, czy zwrócił kto już dawniéj uwagę na zadziwiający ten szczegół, że piérwszy właśnie utwór zrywającéj się do lotu poetki, jest jakby proroctwem co do dalszych kolei jéj życia. W części pierwszéj Żmichowska mówi: „Byłam szczęśliwa j a k k w i a t e k.“ Potém z kwiatka przedzierzga się w o r ł a, który bystrym wzrokiem całą ziemię ogarnia. Aż woła w końcu:

Więc poraz trzeci jestem szczęśliwa,
Jestem szczęśliwa j a k k a m i e ń.

I rzeczywiście, w chwili tworzenia tego wiersza była jeszcze kwiatkiem. Potém orlim już wzlotem przemierza wszechdziedzinę fantazyi. A po doznaniu wielu bolesnych ciosów i zawodów: „kwiatka rozkosze, orla poloty zakuła w łono kamienia“—to znaczy, że zo-

bojętniała na dolę własną, chociaż nie przestała zajmować się żywo losem wszystkich i wszystkiego, co ukochała.

Kamień nie czuje — ludzie powiedzą.
Och, nie wierz ludziom, dziewczyno!
Żyły kamienia iskrami płyną.
Choć ludzie o tém nie wiedzą.

Przedziwnym rysem skromności literackiéj, znamionującéj Narcyzę, była dziecinna prawie trwożliwość, z jaką przyjęła pochwałę, udzieloną „Szczęściu poety“ przez „Bibliotekę Warszawską.“ — „To wszystko dla zachęty tylko“ — pisze do brata i dodaje: „Muszę przynajmniéj czémś więcéj się przysłużyć.“

Wysoką zaletę poezyi Gabryeli stanowią: obrazowość, wyrazistość słowa i żywe poczucie rytmu, nieujętego wprawdzie w karby teoryi, ale płynącego swobodnie i naginającego się zawsze do natury uczuć, do prądu jakim one płyną. W wierszu naprzykład p. t. „Niepodobieństwo“, w którym dziewczyna rzuca różę do rzeki i mówi, że jeśli ta róża z wodą do niéj powróci, to powróci i jéj luby—jak śliczny jest ten czterowiersz:

Patrzy, patrzy, a na fali
Róża płynie coraz daléj.
Coraz daléj, coraz daléj.
Płynie róża jéj.

Czyż te poważne, miarowe trocheje nie przypominają jednostajnego kołysania się odpływającéj w dal fali?

Albo strofy adoniczne w wierszu p. t. „Zniechęcona“, przeplatane rymami męzkiemi, jak doskonale malują, samą już formą swoją, znużenie fizyczne i zniechęcenie moralne; jak owe w nich rymy męzkie są niby punktami wytycznemi, niby słupami, o które zmęczony drogą żywota wędrowiec opiéra się dla chwilowego spoczynku?

Jakże iść daléj, gdy siły brak?
Jam się przeszłością zmęczyła tak.
Że ku przyszłości, za skarby żadne,
Nie, już nie pójdę, bo w kał upadnę.

O, siostro moja, choć kilka słów
Cichéj modlitwy do Boga zmów,
A ja ci ręczę, że w téjże dobie
Bóg da pociechę lub wsparcie tobie.

A jednak Narcyza, jak sama mi mówiła, wersyfikacyi polskiéj nie zgłębiała nigdy teoretycznie; przychodziło jéj to, jak ptaszynie śpiéw, bo téż była poetką z łaski Bożéj.

Nakoniec, by szkicu tego nie przeciążać cytatami, przytoczę tylko jeszcze parę ustępów z prześlicznego wiersza „Do moich dziewczynek“, w którym dźwięczy już nuta tęsknoty za przeszłością:

Dziewczynki moje, o moje kwiatki!
Z kolébki dziecka, od piersi matki.
Jak rączo biegną po życia drodze.
Ach, po téj saméj, z któréj ja schodzę!

A daléj, gdy wychowanicom swoim tłómaczy, co to jest piękno:

Co najpiękniejsze?... To wy nie wiecie?
No, ja wam powiem, dziewczynki moje:
Piękne są perły, dyamenty, stroje,
Piękniejsza jednak woda w strumieniu
I lilia polna, w białém odzieniu.
A od lilii, od czystéj wody.
Piękniejsza świeżość waszéj urody:
A od piękności hożych dziewczynek
Jeszcze piękniejszą łza użalenia.
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszym... dobry uczynek.

. . . .

Dziewczynki moje, wy się śpieszycie,
Każda z was myśli, że dalsze życie
Oddać jéj musi, jak płatnik wierny,
Ze skarbów świata procent niezmierny.
A starzy na to kiwają głową,
Dla starców szczęście, to kłamstwa słowo.
Lecz ja wam powiem: jest szczęście przecie.
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne.
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,
Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:
Czy chléb powszedni na jutro gotów?
Czy w zdrojach uciech nie wyschła woda?
Czy do wieczora wytrwa pogoda?...
Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś, wieku radosny!

Nie wiadomo istotnie czy więcéj tu podziwiać piękność języka i formy, czy głębokość myśli.

Co do „Poganki“, owego niezrównanego arcydzieła Gabryeli, wyczerpująca jéj ocena wymagałaby obszernego studyum, o wiele przechodzącego rozmiary, artykułowi niniejszemu zakreślone. Nadmienię więc tylko, że jest ona potwierdzeniem starego przysłowia: „nic nowego pod słońcem“. Nie było jeszcze wtedy we Francyi Dau-

detów, Zolów, Bourgetów, nie było u nas autora „Bez dogmatu“ i jego naśladowców, a jednak „Poganka“, drukowana w r. 1846-ym, jest powieścią nawskroś psychologiczną. Charakterystykę Beniamina przeprowadza autorka z subtelną analizą przez wszystkie fazy życiowe, począwszy od dzieciństwa i pierwszéj młodości, aż do końcowéj katastrofy, która go miażdży. Tylko że to charakter nie wątły, dekadenta z końca wieku, ale namiętny, burzliwy. Pierś Beniamina skroiła Gabryela „nie podług miary krawca, lecz Fidyasza.“ A jakież tam cudne obrazowanie, jak barwne epizody, ognistém opowiedziane słowem!

Raz, porą zimową, starszy brat Karol posadził przed sobą małego Beniaminka na ulubionéj swéj Zitcie, klaczce karéj, rasy czysto tureckiéj, która „była jego czarną orlicą, jego dziką murzynką, jego zaklętym w konia płomieniem“ — zabrał ogromnego psa Molocha, przewiesił przez plecy dwururkę-augustówkę i daléj w pola, w lasy! W lesie spotykają wilka.

„Wilk stanął—opowiada Beniamin. — W téj chwili brat nacisnął mi palce (ułożone poprzednio na kurku fuzyi), strzał padł i śnieg zarumienił się czerwoną farbą. Ale prędzéj, niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem objąć, zwierz skaléczony rzucił się prosto do piersi Zitty..... Widzę doskonale nietylko Zittę, która się wspina pod przeważnemi łapami wilka, co choć targany przez Molocha, jéj napierśnika trzymał się jeszcze; nietylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było; nietylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony, odwrócił się do nieprzyjaciela gwałtownném karku przegięciem; — ale widzę krwawo-migotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści, widzę wszystkie zęby w rozwartéj paszczęce, i mógłbym je anatomowi wyrysować, bez uchybienia żadnego.“

Myśliwy z zawodu mógłby może opowiadaniu temu zarzucić nieprawdopodobieństwo, albo niedokładność jaką pod względem terminologii, ale w każdym razie opis jest tak przepyszny, że nastręcza malarzowi rodzajowemu wyborny temat do nader efektownego obrazu.

A teraz ustęp, dowodzący subtelności analizy psychologicznéj w „Pogance“. Beniamin mówi w pierwszéj części swego opowiadania:

„Czy się z was komu śniło kiedy, że go z wysokiéj bardzo i bardzo stroméj góry, naprzykład z takiéj, z jakiéj Chrystus widział

wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go, mówię, z takiéj góry w przepaść jakąś strącono?..... Widzimy najdokładniéj każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było; rozważamy każdy sposób, każde podobieństwo ratunku; przekonywamy się, że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli, gdyby jeden krok tylko, jedno poruszenie, jedna myśl — a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy: zaciężyliśmy nad głębią, trzeba spadać, spadać, spadać!“.....

Czyż nie po mistrzowsku oddany tu stan duszy człowieka, który widzi, że ginie bez ratunku, a jednak czuje, że jedno poruszenie, jedno źdźbło wątłe, jedno nic byłoby go może ocaliło?

I jeszcze ostatnia już cytata, od któréj przytoczenia powstrzymać się nie mogę, tak podniosłą jest myśl w niéj zawarta. Aspazya ugaszcza Beniamina w swoim zamku leśnym. Po pieśni hulaszczéj, zakończonéj wybuchem zmysłowości, następuje inna, spokojna i czysta, pisana wierszem białym, przeplatanym tylko gdzieniegdzie rymami:

„Miłość kobiéty — to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie;
Miłość kobiéty — to piérwsza pieszczota,
Co biédne dziecko na téj ziemi wita,
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowlę w głodne usta chwyta,
To pieśń twéj matki, którą ci klęcząca
Przy twéj kolébce na uśpienie nuci;
Miłość kobiéty — to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, którą Bóg ci daje
Na długą podróż przez nieznane kraje,
Po ślizkich ścieżkach złych i dobrych losów.

. . . .

Miłość kobiéty — to nagroda twoja
Przy trudnéj pracy męzkiego zawodu;
To przy rodzinném ognisku kapłanka
Błogich dni życia i uciech domowych;
To głos radości, co na progu wita
Wracającego z pośród obcych ludzi;
To białe ramię, które szyję twoję
Okrąży słodkiéj pieszczoty objęciem,

. . . .

To są te usta, coć powiedzą wtedy:
Kochaj, o kochaj! bo jesteś kochany.“

Chciałoby się bez końca wypisywać ustępy z „Poganki“, tyle tam jest piękności, dopraszających się pod pióro; ale brak miejsca na to nie pozwala. W każdym razie szczęśliwym będę, jeżeli ta drobna praca zachęci kogokolwiek z nieznających pism Gabryeli do ich przeczytania, a znających do przypomnienia ich sobie. Bo niestety, z żalem wyrazić tu muszę głębokie moje przekonanie, że nie jest ona dotąd tak cenioną, jak być powinna i jak będzie niezawodnie po upływie wieków.

Ludwik Jenike.

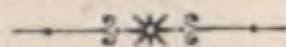




PRZY STUDNI

(NA BUNARU).

Powiastka **Ł. K. Lazarevića.**



Łazarz Lazarević, jeden z najwybitniejszych pisarzy całkiem nieznanéj u nas spółczesnéj literatury serbskiéj, urodził się w r. 1851 w Szabcu, niewielkiéj mieścinie królestwa Serbskiego. Po ukończeniu gimnazyum w Belgradzie, zapisał się na wydział prawny uniwersytetu. Atoli pociąg, który czuł ku naukom lekarskim, zmusił go do opuszczenia Serbii i udania się na uniwersytet do Berlina. Otrzymawszy stopień doktora medycyny, powrócił do kraju, osiadł w Belgradzie i wkrótce jako zdolny lekarz, zdobył sobie uznanie w szerokich kołach publiczności stołecznéj. W r. 1879 w czasopiśmie „Srpska Zora“ zjawiła się jego praca „Poraz piérwszy z ojcem do kościoła“ („*Prvi put s ocom na jutrenie*“). Opowiadanie to, w którém skreślił smutne dzieje gracza-karciarza, wywołało wielkie wrażenie. Z radością witała publiczność serbska młodego, obiecującego pisarza, a piérwszy ten utwór jego został niebawem przełożony na wszystkie niemal języki europejskie [1]). Po téj pomyślnéj próbie wystąpił Lazarević z powieścią większych rozmiarów „Szkolny obraz“ („*Szkolska ikona*“), w któréj przedstawił losy młodéj córki plebana wioskowego, na tle patryarchalnego bytu dawnego sioła w Serbii. Główne osoby działające powieści, jak stary pleban, jego żona, cór-

---

[1]) Polski przekład podałem w „Kraju“ w r. 1890. p. t. „Święcone kwiecie.“

ka ich Mara, udały się wybornie. Są to postaci tryskające życiem, a odmalowane z humorem i do tego językiem rzadkiéj piękności. Sława młodego powieściopisarza wciąż rosła. W latach 1881 i 1882 miesięcznik belgradzki „*Otadžbina*“ („Ojczyzna“) zamieścił cztery powiastki Lazarevića, mianowicie: „W sam czas, rozbójnicy“ („*U dobri czas, hajduci*“), „Wszystko to naród ceni“ („*Sve to će narod pozlatiti*“), „Przy studni“ („*Na bunaru*“) i „Werter.“ Tylko „Werter“ jest powieścią osnutą na tle stosunków sfery inteligentnéj; wszystkie inne malują życie ludu. Złożył w nich Lazarević dowody wielkiéj znajomości bytu, charakteru i obyczajów wieśniaka serbskiego. Z tego względu utwory Lazarevića mają wartość ścisłych studyów etnograficznych. Po sześcioletniém milczeniu, w r. 1888 napisał Lazarević obraz fantastyczny „Wiatr“ („*Vetar*“), ustępujący jednak znacznie pod względem artystycznego wykończenia pracom poprzednim. Ostatni jego utwór p. t. „On wszystko wié“ („*On sve zna*“) otrzymał w r. 1890 nagrodę 500 dynarów, wyznaczoną przez wydział literacki Akademii Umiejętności w Belgradzie (*Srpska kraljevska Akademja*) za najlepszą nowelę. Tegoż roku dnia 29 grudnia zgasł Lazarević w Belgradzie — zgasł, jak i przeważna większość wybitniejszych pisarzy serbskich — z suchot. Przez śmierć Lazarevića literatura serbska poniosła stratę niepowetowaną, albowiem żaden z młodszych pisarzy (jak Janko Velinović lub Sima Matavul) nie zdoła zastąpić przedwcześnie zmarłego autora „Obrazu szkolnego.“ Poniżéj zamieszczona powiastka, przełożona została na język niemiecki, francuski, czeski i rosyjski.

L. W.



I.

Z lekkiemi podmuchami wiatru, niby jakieś widma w bieli, podnoszą się z bruzd wielkie pasma mgły; pędzą w tę stronę, kędy wiatr powionie, a potém, przemienione w drobne, białawe kryształki, jak kolczyki wieszają ci się u brody i wąsów, a koniowi u grzywy. To szron. Nogi ci marzną, a oczy łzawią się. Już nawet *rakja* [1]) nie zdoła ogrzać ci serca, więc oglądasz się niecierpliwie, czy nie spostrzeżesz gdzie chaty i gospodarza, któryby chętnie powitał gościa.

[1]) Rakja = gorzałka.

Wiem *bogami* [1]), dokąd mam się udać. Pójdę do Macieja Dzienadyća. Oto dom jego, gdzie na śliwie uprzejmie wisi flaszka z „*prepeczenicą*“ [2]). Kto ten dom omija, niech łyknie — tego życzy Maciej. A gdy wstąpisz do jego domu, gotówby cię na ręku nosić... Nie zdołam wszystkiego opowiedziéć — trzeba to na własne oczy oglądać! Co to za dom! Prawdziwa stara *zadruga* [3]) — istny obóz wojenny. Przyjdź jeno w wieczór, a jeśli jesteś oczekiwany, to cię jedna synowa spotka już na drodze, ze światłem w ręku, druga stoi w ogródku, trzecia przed chlewem, czwarta psy odpędza, piąta jest w kuchni, szósta w izbie, dokąd cię prowadzą — istne weselisko! I wesoło u nich i skromnie, a wszyscy zadowoleni. Ale niech cię Bóg uchowa od zwady z kimkolwiek z ich domu, bo sześciu z nich służyło w wojsku, a jeden nawet i teraz jest prawdziwym żołnierzem pod chorągwią w Belgradzie. I *moby* [4]) téż nie potrzebują wcale. Po co im moba przy tylu rękach? Trzy pługi orzą u nich bez przerwy, a gdy handlarze poczną skupować świnie, tęgo pęcznieje trzos Macieja.

Tego ich Arsena znam z owych jeszcze czasów, kiedy nie był żonaty. Wydobędzie, bywało, piszczałkę z za pasa i wygrywa wciąż na niéj około domu Burmazoviców. A Burmaz ma córkę — cud, nie córkę! Powiadam, gdy mijasz ją, a ona spojrzy na ciebie temi głębokiemi oczyma, znika ci wszystko z przed oczu i ledwie utrzymasz się na koniu.

Ale Arsen jakoś przyzwyczaił się był do jéj oczu i już się ich nie lęka. Założył nogę na kół u płotu, łokciem oparł się o drugi, podparł głowę ręką i rozmawia z nią:

— Wstyd mi wspomniéć o tém babuni, a dziadowi za nic bym nie odważył się powiedziéć!

Anoka nie zawstydziła się jakby wypadało. Figlarnie spogląda z pod oka, przechyliła się nieco na stronę a ukrywając niezadowolenie, rzecze:

— No to i dobrze! Wyjdę za Filipa Maryczyća!

— Co? — krzyknął. — Myślisz, że cię ustąpię komu innemu! Gnaty bym połamał każdemu, ktoby ciebie choć palcem dotknąć się odważył.

---

[1]) Bogami = Jak Boga kocham.

[2]) Prepeczenica = rodzaj wódki.

[3]) Zadruga = Spółka domowa i rodowa (patrz pisaną pracę o zadrudze w „Wiśle“ przed B. Grabowskiego).

[4]) Moba = tłoka.

Anoka kapryśnie tupnęła nogą, wyprostowała się, podniosła głowę:

— Oho! Więc wolałbyś, abym doczekała siwych warkoczy? Widzicie go!

Ale Arsen już tego nie slucha. Objął ją za szyję, ujął za rękę i przez płot przyciąga ku sobie. Ona niby mu się opiéra, ale zarazem tuli się ku niemu i tajemniczy płomień ją ogarnia, gdy czuje jak męzkie ramię otacza jéj kibić.

Dobra byłaby z niéj dziewczyna, gdyby ją Burmazović nie był strasznie rozpieścił. Ale cóż miał począć? Podczas cholery pomarło mu tyle dzieci, że nad Anoką czuwał potém niby nad kropelką wody na dłoni. Niedobrze to jest pieścić dziecko i pobłażać mu, nawet wrazie gdyby też było jedyne.

Owego wieczora powrócił Arsen do domu dziwnie zamyślony. Wbrew zwyczajowi wpierw zajrzał do piwnicy i tęgo łyknął przez lewar z podwójnéj baryłki. A dotychczas nie pił jeszcze nigdy. Usiadł następnie na pniaku i pozostając w cieniu, patrzył na to co się działo na dziedzińcu. Przez otwarte drzwi od kuchni widać jak bucha ogień czerwonym płomieniem i liże kocioł i łańcuchy, na których ten wisi. Arsena też począł ogarniać jakiś ogień; zrobiło mu się gorąco, więc dziwił się, że go aż tu dosięga ten płomień z kuchni. Po dziedzińcu przesuwają się od czasu do czasu czarne cienie ludzi i psów. Ze stajni dolatuje odgłos stąpania koni, przed wozownią Nenad, który dopiéro co powrócił z miasta, wyprzęga woły. Czasem kokosz spadnie z morwy i łopocząc skrzydłami wciska się napowrót pomiędzy towarzyszki. Czasami śród ciszy wieczornéj rozmowa zadzwoni lub mysz pocznie skrobać pod pniakiem, na którym siedzi Arsen. Poczęło mu się kręcić w głowie. Poczuł, że mu serce bije przyśpieszonóm tętnem i zląkł się nieco. Naraz począł śmiać się głupim śmiechem bez żadnéj przyczyny. Potém zapłakał, sam nie wiedząc dla czego. Jednak przez śmiech i łzy widział niewyraźny obraz Anoki, która go tak chwytała za serce, że zdawało mu się, iż tu natychmiast powinien umrzéć. Oparł się na baryłce, z któréj pił i począł umiérać, ale wydawało mu sią to tak przyjemném, jak gdyby go tuliła do serca Anoka, lub unosił szalony koń myszaty Ostoića... Przytrafia się to zresztą każdemu, kto się po raz pierwszy upija.

Już był zasnął, gdy wtém weszła do piwnicy ze światłem w ręku Vilinka, szukając czegoś. Drgnęła, spostrzegłszy Arsena z lewarem na pniu przy baryłce. Przestraszona, zbliżyła się ku niemu i dotknęła się jego ramienia.

— Złotko moje! — zawołała.

Arsen otworzył krwią nalane oczy.

— A, toś ty pijany!—krzyknęła Vilinka.

Teraz dopiéro zrozumiał Arsen stan swój. Prawie z radością rzecze:

— Tak! pijany...

— A to dlaczego?

— Bo chcę zabić Filipa Maryczyća!

Machnął lewarem ponad głową, uderzył nim o ziemię, złamał go i począł śmiać się.

I Vilinka zaśmiała się.

— Cóż ci uczynił Filip?

— Chcę wziąć Anokę.

— No to i cóż z tego? Niech sobie zabiéra.

— Ale ja nie pozwolę!

Posunął się nieco naprzód i chciał się podnieść, ale jego plecom widocznie bardzo przyjemne było sąsiedztwo baryłki, więc uparcie powracały do dawnéj pozycyi.

— Więc ty chcesz się z nią ożenić?

— Ja, a dlaczegóżby nie?

Ale, powiedziawszy to, zmieszał się, odwrócił się twarzą ku baryłce i ze łzami w oczach mówił:

— No, przecież brat ożenił się. I ja téż chcę... Tak...

Chciał na potwierdzenie swych słów uderzyć po kolanie, ale pięść, nie pytając go o pozwolenie, uderzyła o pień. Za karę ukąsił ją zębami.

Vilinka śmiała się coraz serdeczniéj.

— Oj, biédny chłopcze! No, ale ożenisz się z nią, bądź o to spokojny. Powiem jutro stryjowi, stryj—babuni, a już babunia razem z dziadem pokierują całą sprawą, jak przystało. Chodź, odprowadzę cię do śpichlerza, aby cię, biédaku, dziadunio nie spostrzegł w takim stanie! Idź, prześpij się. Nie troszcz się o nic—wyprosimy dla ciebie dziewczynę... nawet i Anokę, jeśli już tak bardzo sobie tego życzysz!

— Życzę, bogami!

I Vilinka, korzystając z ciemności, zaprowadziła pijanego szwagra do śpichlerza. Okryła go kilimkiem i poszła do kuchni, aby opowiedzieć towarzyszkom o całém zajściu. Ale żadnéj z nich ta nowina nie ucieszyła. Śmiały się wprawdzie, ale śmiéch ten nie szedł im od serca.

— Nie do naszego ona domu stworzona—mówiły.

— Strojnisia!

— Z tém jeszcze pół biédy, ale rozpieszczona, że niech Bóg uchowa.

— Wszystkichby powaśniła.

II.

Maciéj Dzienadyć, człowiek to już całkiem stary. Na czole jego widać bliznę po ranie, co ją był otrzymał w okopach Hajduka-Velka. Nietylko jego krewni, ale i całe sioło zwało go dziadunieni. Żona jego zmarła jeszcze wówczas, kiedy byli na wygnaniu. Po starszym bracie została żona, która podziela z nim obecnie władzę w zadrudze. Radojka jéj na imię. Podczas obiadu siada po prawicy Macieja, i w całym domu nic się ważnego nie zajdzie, zanim ona nie wyjawi swego zdania, lub przynajmniéj zanim dziadunio z nią się nie naradzi. Rozumié ona doskonale swoje położenie i nie nadużywa go. Naprzykład dziadunio zapyta:

— Co myślisz, bratowo, o tym obstalunku Maryczyća?—Czy mamy go przyjąć?

— Jak chcesz, bracie, tyś mężczyzna.

Całuje dziadunia w rękę, a wszyscy zarówno mężczyźni, jak i kobiéty, całują ją, chociaż to nie jest u nas we zwyczaju. Po Macieju i Radojce jest jeszcze jeden członek rady domowéj, to najstarszy syn dziadunia—Blagoje, ojciec Arsena.

Oprócz tego trojga nikt w domu nie rozkazuje; wszyscy ich ślepo słuchają i z pokorą ulegają ich rozkazom. Gdy Maciéj pójdzie z podatkiem, Radojka jest w cerkwi, a Blagoje przy bydle, dom Dzienadyćów staje się podobnym do szkoły po odejściu nauczyciela. Wszyscy zgodnie weselą się i hałasują i każdy stara się, korzystając ze sposobności, nadokazywać i naśmiać się dowoli. Ale niech-no ktoś z téj trójcy pokaże się we wrotach, natychmiast zapanuje porządek i posłuszeństwo. Zresztą i oni pozwalali wspaniałomyślnie czasami poweselić się dzieciom, a dorosłym zapalić fajki.

Dziadunio był... był... jak mam to powiedziéć... Wiecie: stary człowiek, to prawie dziecko! Czasami zagniewa go byle drobnostka: wścieka się, wymyśla, przeklina — myślisz, że cię natychmiast obije. Czasami znowu łagodny, miękki jak bawełna, pieści wciąż dzieci, daje im po dziesiątce, albo rozpłacze się ni z tego, ni z owego. Naprzykład powié:

— Ot, zostałem sam jeden, jak suche drzewo na górze! — i w płacz!

Młodość głupota — starość słabość [1]).

Nazajutrz po owym wypadku z Arsenem zbliżył się Blagoje do Radojki; na twarzy jego malowało się zafrasowanie.

— Stryjenko! Ten nasz Arsen, przebacz mi, rozmiłował się na zabój w owéj sroce Burmazovića.

— Arsen?... Ten, któregośmy to niedaléj jak przeszłego lata zamomczyli [2])?

— Ten sam.

— Powiadasz, w téj Burmazovićowéj sroce?

— Tak.

— W Anoce?

— W niéj właśnie.

— Nie do naszego ona domu stworzona.

— I ja toż samo powiadam! Ale on, przebacz mi, głowę postradał. Mówiła mi Vilinka, że wczoraj sporo głupstw nabroił...

— Cóż takiego?

— Nie mów tylko, błagam cię, o tém dziaduniowi!...

— Uchowaj Boże!

Otóż Vilinka opowiada, że się upił, przeklinał i odgrażał się, że zabije Filipa Maryczyća, bo ten, wiész, kręci się tam.

— Ot, w czém sprawa!...

Radojka zamyśliła się. Potém rzekła:

— Opowiem to dziaduniowi: zobaczymy, co on o tém myśli.

— Tylko, błagam cię, nie napomykaj mu o tém!

— Bóg z tobą!

Gdy następnie Radojka opowiedziała o wszyskiém dziaduniowi, ten zamyślił się głęboko. W końcu zmarszczył brwi.

— Wiész, bratowo—rzekł—wszystko to jest prawdą, co mówisz o niéj. Ale, słyszałem od starych ludzi, że nie godzi się przeszkadzać dzieciom w takiéj sprawie. Mamy, chwała Bogu, dom nie mały. Co, czy jest nas wszystkich tak około ośmdziesięciu?

— Jest, bogami, nawet jeszcze więcéj.

— Kiedy jest, to dzięki Bogu. Przy innych dzieciach to i ona do ładu przywyknie.

— Daj Boże!

---

[1]) Przysłowie: mladost — ludost, starost — slabost.

[2]) Zamomczyć = uznać za pełnoletniego co do robót gospodarskich.

III.

W kilka dni potém mówiła Anoka jednéj ze swych przyjaciółek:

— Wiedziałam, że wszystko stanie się według mojéj woli. Nie znajdziesz, bo takiéj dziewuchy, jak ja, chociażbyś w dziewięciu wsiach szukał!

Potém wydobyła zzanadrza zwierciadełko w futeraliku i poczęła zakręcać sobie włosy.

Na nieszczęście, gdy weszła do domu Dzienadyća, nie przestała być takąż samą kapryśnicą, jaką była u ojca.

Wszystko wié lepiéj od innych, wszystko musi być tak, jak jéj się podoba, nie chce robić tego, co się jéj rozkaże:

Mówi:

— Nie robiłam tego u ojca! — albo:

— Brakowało jeszcze chyba tego, abym rozczyniała ciasto na całe wojsko sułtańskie! Dla mnie i dla Arsena dosyć i jednego bochenka chleba!

Kobiéty nie ośmielają się jéj nic powiedziéć. Którakolwiek może i poskarży się tam mężowi, ale Radojce lub dziaduniowi któżby odważył się coś napomknąć. Długo znosiły i ukrywały swą niedolę. Pracowały za nią i ulegały jéj woli. W jéj obejściu się było coś rozkazującego, tyrańskiego, tak, żeś musiał ją usłuchać. Może to jéj krasa była przyczyną, że tak panowała nad kobiétami. Jéj bratowe zwymyślały ją w swém kółku, broniły jednak przed starszymi lub obcymi. I Bóg wié, jak długo cierpiałyby bez szemrania, gdyby Anoka, nie przeżywszy jeszcze całkowitych sześciu miesięcy, nie poczęła szaléć coraz bardziéj. Wstyd nawet wspominać o pewnych jéj wybrykach. Naprzykład o tém, co powiedziała, gdy zawołano ją do sadzenia kapusty, albo gdy któraś z kobiét prosiła, aby jéj przypilnowała dziecka. Nareszcie poczęła żądać, aby ją lepiéj i inaczéj ubiérano. Biédaczysko Arsen przekłada jéj, że dziadunio z Radojką zakupują odzież dla wszystkich, że on nie śmié nawet napomknąć dziaduniowi o kupieniu dla niéj saméj nowego wyszywanego stanika; ale ona odpowiada, że nie za dziadunia wyszła zamąż i że uda się do ojca z prośbą o kupienie jéj, czego koniecznie potrzebuje, ponieważ mąż jéj jest odrapańcem, który nawet igły wziąć nie śmié, nie spytawszy o pozwolenie tego starowiny.

Wszystko to martwiło Arsena okropnie.

Gdyby tylko nie patrzyła nań temi swemi oczyma, dałby on so-

bie z nią radę. Czasami założył już rękę za pas, zaciśnie cybuch w zębach i chwyci za kij, ale gdy ona spojrzy na niego, podniósłszy głowę, Arsen staje się tak potulnym, jak gdyby stał przed samym władyką [1]). W ten sposób szalała Anoka coraz gorzéj i gorzéj, a wszystko starała się czynić na przekór.

Wpuściła naprzykład psy do kuchni, a te powyżerały z garnków mięso. Nie zatknęła czopa w beczce. Spaliła chléb tak, że cały piec chleba przyszło oddać świniom. W dni powszednie ubiérała się odświętnie. Nigdy nie zwróci najmniejszéj uwagi na to, co się dzieje z dziećmi; z jéj to przyczyny wpadł dzieciak Jovanki do kadzi z wapnem. Nie przepuści nikomu, ponadawała wszystkim szydercze przezwiska. Radojkę nazwała „ożogiem“, a dziadunia „suchotami“. Codzień czegoś nabroi, a na wszelkie uwagi odpowiada groźbą powrotu do ojca.

Sprzykrzyło się to kobiétom okropnie i oto, gdy pewnego razu Anoka z kolei powinna była przyrządzać obiad, a zamiast tego poszła sobie na rynek, zgromadziły się wszystkie na tajną radę.

— Nie wiem—mówiła jedna—czém obraziłyśmy Boga, że musimy to wszystko znosić?

— Ani ja!

— Ależ dla Boga, wszak to jest grzech i nieszczęście zarazem!

— Bóg chyba jeden może nam dopomódz w tém utrapieniu.

— Nie, tak dłużéj trwać to nie może!

— Ot, poskarżymy się przed Radojką, a ona powié dziaduniowi.

— No to poskarż się ty, Seleno...

— Dlaczegóż ja?

— Wszak tobie powiedziała, żeś ukradła jéj chustę?

— A, czyż tobie nie mówiła, że twój mąż jest dzikim popem?

— Mówiła przecież i Maryannie, że wzięto ją z żebraczéj chaty!...

— I Vilince, że porodziła bękarta.

Zapewne i tym razem kobiéty nie odważyłyby się poskarżyć, gdyby Radojka oddawna nie widziała i nie słyszała tego wszystkiego i gdyby sam Arsen nazajutrz, gdy Anoka porąbała w kawałki swój nowiuteńki stanik, nie poszedł ze skargą do dziadunia.

Arsen był człowiekiem spokojnym; od dzieciństwa przyzwy-

---

[1]) Władyka = biskup.

czaił się do posłuszeństwa. Nawet drew nie umié sprzedać, dopóki mu nie powié się: ile ma za nie żądać i za ile ma je oddać.

Gdy Arsen wszedł, dziadunio siedział sam jeden w swéj izbie. Ponieważ nic już innego robićby nie potrafił, więc łuszczył groch.

Arsen zdjął czapkę i zbliżył się, chcąc pocałować go w rękę.

Dziadunio nasępił się. Nie podnosi głowy, nie podaje mu ręki, tylko oschle mruknął:

— Witam!

— Dziaduniu, proszę cię... ja... właśnie...

Dziadunio zmierzył go ponurym wzrokiem.

— Ja — ciągnął daléj Arsen — właśnie... proszę cię, nie gniéwaj się...

Dziad podniósł całkiem głowę, gniewnie odepchnął od siebie koszyczek z grochem i wycedził przez bezzębe usta:

— Wiem o wszystkiém! Co z ciebie za człowiek?! Nie mogłeś dać rady z tą... z tą...

Zamilkł na chwilę.

— Z tą... jedną... Czy chcesz mi cały dom rozpędzić?

Arsen zgłupiał i skamieniał, gdy posłyszał, że dziadunio wié o wszystkiém. Zmienionym głosem rzekł:

— Proszę cię, dziaduniu, nie wiem, co mam począć! Przebacz mi!

Chciał go pocałować w rękę, ale dziadunio ją szybko usunął.

— Idź precz—rzekł—nie kalaj mi ręki! Czyś mężczyzna?!

Arsen odwrócił twarz ku ścianie i zakrył oczy rękawem.

— Czyń — rzekł — ze mną i z nią, co chcesz. Mnie zabij, a ją wypędź, tylko mnie nie odpychaj od siebie, dla Boga żywego!

Broda dziadunia zadrgała nieco.

Chciał ukryć wzruszenie. Wstał poważnie, podniósł głowę w górę i przechylił ją nieco na bok.

— Widzisz, synku, sam przecie ją sobie wybrałeś! Czym ci mówił: ożeń się lub nie?

— Nie, nie mówiłeś, uchowaj Boże! Sam jestem winien we wszystkiém!

Dziadowi znów zadrżała broda, wciąż jeszcze jednak usiłował utrzymać powagę.

— Teraz ja muszę naprawiać, coś ty popsuł.

— Ty przy pomocy boskiéj...

— No, a jeśli nie wiem jak?

Gdyby tu była Radojka, spostrzegłaby jak około ukrytych

pomiędzy zmarszczkami dziada zjawił się dziecięco-przebiegły uśmiéch.

— Jak Bóg cię natchnie!—rzecze Arsen.

— Ale... ty... ją... tego... czy ci już całkiem obrzydła?

Arsen zmieszał się. Chciał milczeniem zbyć to pytanie, ale dziadunio nie spuszcza z niego wzroku.

— Urwis z niéj...

— Wiem, wiem! Ale pytam: czy ci już całkiem obrzydła?

Arsen znowu milczy. Chciał uniknąć odpowiedzi, ale dziadunio uparcie patrzy mu w oczy i milczy.

— Może — rzecze Arsen — Burmaz ją zbytecznie pieścił, wiész, była przecie jedynaczką.

Dziadowi zabrakło cierpliwości.

— Czy słyszysz ty, o co cię pytam?! Pytam cię: powiédz mi, czy kochasz Anokę? To mi powiédz!

Arsen spuścił głowę, ukrył twarz w dłoniach, począł wzruszać ramionami, nareszcie rzekł, jąkając się:

— Nie... wiem.

— Powinieneś wiedziéć, bo według tego będę ją sądził. Pamiętaj, abyś późniéj nie żałował i nie gadał tego i owego.

— Nie, nie będę!

— Dobrze więc. Idź teraz sobie. Muszę się namyśléć.

Kto znał dziadunia, ten odrazu-by zrozumiał, że już doskonale wiedział, co ma począć i że był całkiem zadowolony ze swego planu.

IV.

Tego wieczora, gdy siadano do wieczerzy, wszyscy zajęli miejsca według starszeństwa wieku, jak zazwyczaj. Oprócz Radojki, z kobiét nie było żadnéj. Jadły osobno. Tylko po dwie, lub po trzy, z kolei usługiwały mężczyznom. Otóż przyszła koléj na Anokę.

Gdy dwie inne wnoszą i wynoszą potrawy i podają napój, ona oparła się plecami o drzwi i pociéra sobie nos.

Dziadunio nie patrzy na nią. Wszyscy milczą. Tylko serce Radojki bije mocno. Anoka nie domyśla się niczego.

Po wieczerzy ludzie poczęli się żegnać i czekają tylko na dziadzia, aby wstać.

Dziadunio odsunął leżący przed nim kawałek chleba, łyżkę i widelec, a nóż włożył do pochwy. Oparł się na łokciach, spogląda po wszystkich, nareszcie zatrzymał wzrok na Anoce.

Coś w niéj drgnęło, spuściła ręce. Wyprostowała się i chciała wyjść z izby.

— Czekajno, córko — krzyknął dziad niezwykle dźwięcznym głosem.

Wszyscy zadrżeli.

Tym samym głosem ciągnął dziad daléj:

— Tyś, córko... z tobą, słyszę... zdaje się, że ci tu źle w moim domu i z moimi ludźmi?

Kto widział, by kobiéta coś odpowiadała? I Anoka milczy, ale ręką ścisnęła pierś swą, że aż paznogcie wpiły się w ciało.

Dziadunio znowu tym samym głosem i ze spokojną twarzą ciągnie daléj:

— Nie zniosę tego, dopóki żyję! Nie pozwolę, aby dom mój stał się dla któregokolwiek z mych dzieci więzieniem. Słyszę, że cię te kobiéty (brodą wskazał na kuchnię) prześladują i krzywdzą. Ale ja tu jestem gospodarzem!

Anoka spostrzega coś złośliwego na pomarszczoném obliczu dziada i obok pogardy po raz pierwszy czuje pewien strach.

— Szukają z tobą zaczepki. Wszystkieby chciały, abyś za nie troszczyła się o wszystko i pracowała. Jak gdybyś z chaty żebraczéj przyszła.

Stawał się zwolna tak łaskawym i łagodnym, że Anoce włosy poczynały jeżyć się na głowie.

-- Ale nie zniosę tego. Jestem stary i słaby i ciężko mi dawać radę z takimi ludźmi. I nie chcę już tego.

Twarz jego nabrała srogiego wyrazu, a usta poczęły drgać. Począł strasznie i głucho krzyczéć:

— Wszystkim wam (słuchaj i ty, Radojko, i ty, Blagoje, i wszyscy inni)—wszystkim wam i waszym żonom rozkazuję, abyście we wszystkiém słuchali téj oto—ręką wskazał na drżącą, jak trzcina, Anokę — i chcę, aby mi nic w domu nie robiła. Niech nie bruka rąk pańskich. Niech nawet nigdy wina nie natoczy! I niech Bóg zabije tego, ktoby jéj w czémkolwiek nie usłuchał, lub najmniejszą drobnostką ją skrzywdził.

Zerwał się z siedzenia. Biédny starzec! Poważny, a jednak śmieszny i nędzny. Wychodząc z izby, drżał jak galareta.

Wszyscy przeżegnali się. Powstawano od stołu. Wszyscy omijali Anokę milcząc i ostrożnie, lękając się jéj dotknąć.

Straszny szatan opętał Anokę. Jak szalona wpadła do kuchni pomiędzy kobiéty.

— Czy słyszałyście, wy?—krzyknie.

Kobiéty miałyby niesłyszéć!

— Chcę teraz, aby mi posłano pod lipą. Chcę miéć pierzynę dziadunia, poduszkę Radojki a kołdrę Blagoja; chcę, abyś ty, Petryo, któréj brat siedzi w więzieniu, wzięła kij i pospędzała kokoszki z lipy i przez całą noc stała nademną. A kto nie usłucha: „niech go Bóg zabije.“ No czyście słyszały?

Boże mój! Wszak to człowiek może stać się czasem gorszym od zwierzęcia!

Nikt nie wyrzekł ani słówka. Wszystkie czuły pewien strach i wszystkim dźwięczały w uszach wyrazy dziadunia „niech go Bóg zabije!“

Arsen pobiegł na gumno, wpakował głowę pomiędzy snopy i zamrużył oczy. Ale próżno chciał zasnąć.

Sen nie kołdra, nie naciągniesz go, kiedy chcesz, na głowę.

Anoce posłano pod lipą. Tak, ale nie tak to łatwo zasnąć, jak myślała. Czego nigdy nie było, oto poczuła się osamotnioną. Niby bez dachu nad głową, lub na szalonym koniu bez uzdy, albo na łódce, którą wiatr kołysze a sterownika niemasz.

Własne jéj serce miotało się jak szalone, a nie było nikogo, ktoby je ukoił. Zdawało się jéj, że świat przewrócił się, a ona stoi na głowie. Jednak psi charakter nie chce ustąpić.

— Czego drzémiesz próżniaczko — krzyknie do Petryi — kiedy ja rozkazuję. Czy chcesz, aby cię Bóg zabił?

V.

Miesiąc zachodził. Wszystko pomarło, aby jednak ożyć ponownie, ale serce Anoki ogarnia coraz bardziéj jakaś martwota.

Dłużéj w takim stanie nie może już pozostać; lecz cóż ma począć?

Powrócić do ojca — ale cóż mu powié? „Dziadunio kazał wszystkim ulegać mym rozkazom.“ Nie, tylko nie do ojca. A noc ma się już ku końcowi, nareszcie przeminie; błyśnie dzień i słońce pocznie ogrzéwać, a ona nieszczęśliwa gdzie ma się ukryć? Czy szaléć daléj? — ale już i tego zanadto. Pogodzić się — lecz jak? Chyba poniżając się? Och!

Myśli krzyżują się jak nici na pstrym kilimku, kołują, plączą się; znużenie zwycięża namiętności, miłość, nienawiść, głód i pragnienie. Niby góry ogromne zwaliły się na jéj powieki, a jednak nie mogła zmrużyć oczu; tak się jéj zrobiło ciężko, nieznośnie i nudno, że gdyby tylko mogła, cały świat przewróciłaby, lub położyłaby głowę pod

młyński kamień, aby tylko zasnąć, chociażby na wieki. Ale sen nie słucha rozkazów dziadunia, ani lęka się jego przekleństwa.

Anoka podnosi się. Spostrzega ciemną postać Petryi nad sobą.

Nagle poruszyło się coś jéj w piersiach. Całkiem niespodzianie, lecz bardzo mocno zadrgała jakaś struna chrześciańska w jéj sercu.

— Petryo — zawołała — idź spocznij!

Petrya nic nie mówi. Rzuca kij i odchodzi.

— Petryo!

Petrya drgnęła i stanęła jak wkopana.

Lecz cóż to o Boże? Cóż to za myśli? Gdzie ją one niosą?..

— Petryo, siostro, przebacz mi!

Serce kobiéce odezwało się, zadrżało i zmiękło.

— Anoko, duszyczko, niech ci Bóg przebaczy!

— Petryo, siostro...

Chwyciła ją za rękę, posadziła obok siebie, objęła ją i obie zapłakały.

Chlipią jak niemowlęta!

Milczenie. Nic zgoła nie słychać; tylko te dwie objąwszy się łkają i całują się.

Anoka całuje byle gdzie, Petrya ją po szyi i czole.

— Petryo, serce moje, muszę umrzéć! Ty mię siostro umyjesz! Rzuć na mnie bławatków i włóż mi do trumny jabłko napoczęte [1]). Nikt mię prócz ciebie nie kocha.

— Nie mów tego, głupia moja; jak to nikt ciebie nie kocha? Wszyscy cię kochają.

— Nie, nie, wiem ja!

— Jakżeż możesz wiedziéć pieszczotko moja, jeśliś dotąd z nami nawet nie rozmawiała? Wolałabym raczéj umrzéć, aniżeli pozwolić, aby cię ktoś skrzywdził, choć słówkiem.

Znowu płaczą i ściskają się,

— A dziadunio?

— Dziadunio, duszyczko, jest stary i dobry. Ot pójdź sama do niego, a przekonasz się.

— Dobrze, pójdę!.. Bądź zdrowa, serce moje... jeśli umrę...

Petrya zamknęła jéj usta ręką.

Anoka odsunęła rękę i otoczyła nią swą szyję.

---

[1]) Zwyczaj ludowy przy grzebaniu.

— Jeślibym umarła, nie pamiętaj tego zła, com ci uczyniła. A teraz, proszę cię, odejdź.

— Dokądże pójdziesz? — pyta Petrya.

— Puść mię! Tak mi błogo! Puść mię na Boga, zaklinam cię na dziecię twoje, puść mię. Nie wiész, co się ze mną dzieje!

Petrya wychyliła się z za śpichlerza i patrzy, kędy idzie Anoka. Ale noc jeszcze panuje, więc nie może dojrzéć, jak Anoka przyszła pod drzwi izdebki dziadunia i usiadła na progu.

Ale i dziadunio nie zmrużył powiek owéj nocy.

Zapiały koguty, pierwsi gońce nowego dnia i życia. Nigdy jeszcze ich pianie nie wydało się tak pięknėm Anoce.

Dziadunio podniósł się. Odrzucił kołdrę, przeżegnał się, podwinął nogi pod siebie i pozostał w ciemnościach, siedząc na łóżku, zatopiony w myślach.

Koguty zapiały powtórnie.

Dziadunio wstał i poszedł ku studni.

Na progu spostrzegł niby przez mgłę, ludzką postać.

— Kto tu jest? — zapytał.

— To ja, dziaduniu, Anoka! Chcę umrzéć! Przebacz mi, jeśli możesz!

Dziadunio drgnął i zachwiał się.

— Wielkim jest przed Bogiem grzech twój, dziecię! Czy widzisz te moje włosy? I owca nie ma bielszych!

Anoka chwyciła połę guni, którą okryty był dziadunio i pocałowała ją.

— Bardzom zgrzeszyła, zamąciłam ci dom cały. Przebacz mi w imię Boże!

Nic łatwiejszego, jak wywołać łzy u starca.

Zapłakał. Oburącz ujął ją za głowę i pocałował.

— Chodź tutaj! — rzecze.

Weszła z nim do izby.

— Siadaj tu!

Usiadła na ławeczce, dziadunio zaś usadowił się na łóżku.

— Masz, łuszcz ten groch!

Łuszczy groch.

Dziadunio z zadowoleniem patrzył jak ona łuskała.

Oboje milczą, tylko serca ich biją. Poczyna świtać.

— Chodź teraz tędy!

Idzie za nim do stajni i kładzie siana wszystkim koniom, jak on jéj pokazywał. I nie lęka się niczego, nawet owego gniadosza Blagojowego, który wierzga i kąsa.

— Chodź teraz tu!

Zaprowadził ją do chlewa. Rozbiła dziewięć dyń i rzuciła je świniom.

Wszyscy domowi poprzebudzali się, powstawali i lękliwie, z wytrzeszczonemi oczyma, śledzą za dziaduniem i Anoką, ale starają się czynić to tak, aby ich nie spostrzeżono.

Arsen tak się zaniepokoił i zmieszał, że wdrapał się na orzech, ukrył się pomiędzy liśćmi i spogląda na cud niewidziany.

Dziadunio odmłodniał. Idzie prawie podskakując.

— Chodź ku studni! — mówi.

Przyszli ku studni.

— Wydobywaj! — każe.

Anoka wydobyła wiadro.

— Léj!

Anoka zaczerpnęła czerpakiem i wyplusnęła dziaduniowi całe wiadro na twarz i głowę.

— Otrzyj mię!

Anoka rozplotła warkocz i poczęła nim ocierać dziadunia.

Łatwo otrzéć wodę, ale starzec słabe ma oczy, więc łzy toczą się bez przerwy.

Dziadunio spostrzegł na dziedzińcu kilku z domowych.

— Chodźcie tu! — zawołał. — Czemu nie myjecie się? Widzicie: Anoka czeka, aby podawać wodę.

Jakaś dziecinna powaga panowała na jego twarzy.

— Wszyscy, wszyscy! Wszystkim będzie podawała, biedaczka.

Ze strachem zbliżają się mężczyźni i kobiety ku studni i niby panowie, po umyciu się, powiadają Anoce: „dzięki.“

Rozjaśniło się w oczach Arsena. Przyszedł i on do studni, rozstawił nogi, nachylił się i podstawił ręce.

— Dawaj-no! — rzecze.

Poczęła lać.

Arsen czuje się w dziewiątém niebie.

— Ależ, jak ty lejesz? Wszystko na guziki od koszuli.

Nie będzie ona, nie będzie! Lewą ręką podnosi mu rękawy, a prawą leje z czerpaka.

Petrya z twarzą mokrą od łez, biega od jednéj bratowéj do drugiéj, coś szepce, macha rękami i bije się w piersi.

Dziadunio poszedł chwiejnym krokiem do swéj izdebki. Otwiéra skrzynię i wydobywa korale ze starych talarów. Chowa korale i mały ręczniczek zanadrę i idzie znowu ku studni.

Wszyscy już się byli umyli, a wszystkim podawała wodę Anoka.

Wszystko to miało wygląd jakiegoś tajemniczego obrzędu religijnego i wszystkim dźwięczało w uszach coś niby „Głos Pański na wodach.“ I gdyby gdzieś wystrzelono z moździerza, wszyscy poczęliby się żegnać.

Z cichą powagą spoglądał dziadunio na wszystkich. Biedny, biedny starzec!

— A jéj nikt wody nie poda? — zapytał.

Wszyscy rzucili się ku wiadru.

— Tak, teraz, kiedym przypomniał. Teraz sam wolę podać.

— Masz, umyj się dziecię!

Nie wiadomo, co więcéj drżało, czy jego ręce, czy serce Anoki.

Otarł ją swym ręcznikiem. Zawiesił jéj korale na szyi.

— Wszystko ona sierota! — rzecze. — Ale ja wam powiadam, com wam téż wczoraj mówił:

— Ktoby ją skrzywdził, niech tego Bóg zabije!

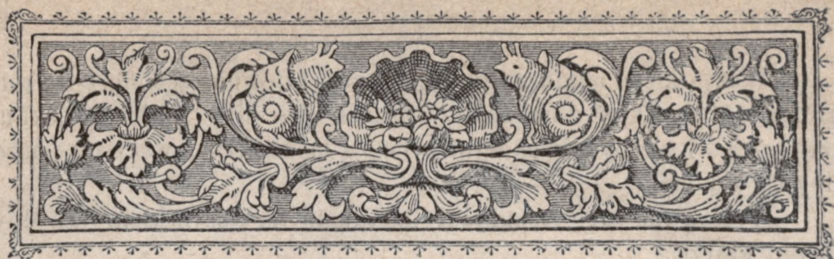
* * *

Ludzie! Wszak prawda, że czasami i niebo niby uśmiecha się i cieszy. Człowiek patrzy w górę, podnosi ręce, a słońce przelewa mu na pierś swe promienie i dusza jak niewidzialny dym kadzidła wznosi się ku niebios stropom. Tak, Bogami, zdarza się to...

Z oryginału serbskiego przełożył

Leon Wasilewski.





PSYCHOLOGIA APERCEPCYI

I POSZUKIWANIA DOŚWIADCZALNE

NAD UWAGĄ.

Mamy przed sobą nowe studyum psychologiczne; autor, pan Jerzy Dwelshauwers, doktór filozofii uniwersytetu brukselskiego, poświęcił mu kilka lat pracy w laboratoryum lipskiém pod przewodnictwem Wundta, mistrza tegoczesnéj psychologii naukowéj. Rezultaty jego doświadczeń zostały ogłoszone w „*Philosophische Studien*“, piśmie redagowaném przez Wundta, który z największą przychylnością wyraził się o uzdolnieniu młodego swego ucznia, zachęcając go do dalszych studyów na tém polu. Praca pana Dwelshauwers'a zasługuje pod każdym względem na uwagę osób zajmujących się psychologią; mamy też zamiar zapoznać czytelnika z temi ciekawemi doświadczeniami.

We wstępie autor, zacząwszy od Kanta, daje nam krótki rys rozwoju psycho-fizyologii. Kant wątpił, aby psychologia stała się kiedykolwiek nauką ścisłą; w jego przekonaniu, tylko te nauki ścisłemi nazwane być mogą, które, jak matematyka, opiérają się na twierdzeniach syntetycznych *à priori*; nie spodziéwał się zapewne, że jeden z jego uczni, Herbart, zastosuje metody matematyczne do psychologii. Główna jednak zasługa Herbarta nie leży w tych wyliczeniach nieraz hazardownych, na których buduje podstawy swéj „mechaniki umysłu“, lecz w wykazaniu, przez obalenie starych doktryn o władzach duszy, możebności stworzenia psychologii naukowéj.

Od czasów Herbarta, który nie miał jeszcze dokładnego pojęcia o doświadczeniu, zastosowaném do zjawisk psychicznych, wiele zmian

zaszło w nauce: psychologia fizyologiczna, tak długo zagłuszana despotyzmem filozoficznym Hegla, występuje od ostatnich lat trzydziestu z fazy empiryzmu.

Był to z pewnością najsmutniejszy okres nauki, gdy metafizyka, na prawdy naukowe głucha, swą bezwzględnością jednostronna, pragnęła tłómaczyć zjawiska psychiczne za pomocą doktryn, opartych tylko na rozumowaniu — nauki przyrodnicze, po za nią i przeciw niéj, rozwijały się jednak, dążąc do poznania pozytywnego, opartego na doświadczeniu. Jeśliby matematycy od początku nauki, poświęcili swe siły na rozstrzygnięcie zagadnień, dotyczących istoty liczby lub ilości, nie mielibyśmy ani geometryi, ani algebry; psychologia nie powstała w tak szczęśliwych warunkach: na wstępie miała już tysiące pytań o celu i istocie duszy i jéj władz.

Herbart pierwszy powstał przeciw tym teoryom abstrakcyjnych władz duszy, dowodząc, że świadomość nie jest władzą samorodną, ale sumą naszych wyobrażeń obecnych. Wówczas zarysowały się niewyraźnie nowe pojęcia, lecz dopiéro z rozwojem fizyki i fizyologii rozpoczyna się nowa epoka dla psychologii; idąc za przykładem fizyki i chemii, otrząsnęła się ona z więzów starych dogmatów i zwróciła się do doświadczenia. Prace Webera o dotyku i ogólnéj czuciowości dały hasło do całego szeregu poszukiwań; Fechner, twórca psychofizyki, przyczynił się téż niemało do tego ruchu. Od roku 1860-go poszukiwania nie ustały ani na chwilę, metody udoskonalono, hypotezy niektóre odrzucono, inne zaś sprawdzono. W tym samym czasie Wundt pisał *„Beiträge zur Theorie des Sinneswarnehmungen“*, wydawał swe odczyty o psychologii człowieka i zwierząt, wreszcie zostawszy profesorem uniwersytetu lipskiego, założył laboratoryum psychologii doświadczalnéj i stanął u steru pisma, w którym mistrz umieszcza swe poglądy, a uczniowie rezultaty prac własnych. Helmholtz, Van Kries, Exner, Auerbach, Volkman, Ebbinghaus, Delboeuf; we Francyi Ribot, Beaunis, Richet, Binet, Féré; — w Anglii, choć tu za dużo miejsca poświęcają jeszcze psychologii opisowéj, Bain i jeden z nowszych zwolenników psychologii doświadczalnéj, Cattell, — pracują wszyscy niezmordowanie nad utworzeniem psychologii naukowéj.

Ruch ten jest związany bezwątpienia z tym ogólnym ruchem, który daje się widzieć w końcu naszego stulecia we wszystkich naukach; tu leży charakter naszéj epoki, oddanéj obserwacyi i doświadczeniu.

Jaki cel zakłada sobie psychologia, jako nauka? jakie miejsce przyznamy jéj w pośród nauk ścisłych? jakie są jéj metody?—nim od-

powiemy na te pytania, które p. Dwelshauwers pragnie rozwiązać, należy się nam porozumiéć, co autor nazywa psychologią ogólną, fizyologiczną, doświadczalną i psycho-fizyką.

Psychologia jest ogólną nauką o procesach psychicznych i podstawą umiejętności, odnoszących się do umysłu; w skład jéj wchodzi psychologia zwierzęca studyująca ewolucyę zjawisk świadomości w całym szeregu istot żyjących, psychologia narodów, psychologia jednostki, wreszcie psychofizyka, gałąź psychologii ogólnéj, badająca życie duchowe w stosunku do pewnych procesów fizycznych organizmu. Fizyologia i psychologia badają obie człowieka—obie dopełniają się wzajemnie, postępy psychologii wpływają na postęp fizyologii i odwrotnie poznanie organów i ich funkcyi pozwala psychologii rozumiéć i tłómaczyć najróżniejsze zjawiska. Jednakże fizyologia systemu nerwowego i mózgu jest jeszcze tak bardzo mało znana, że ten brak wiadomości fizyologicznych bywa nieraz przeszkodą w sformułowaniu praw psychologicznych. Psychologią nazywamy dziś psychofizyologię, jednakże pomimo całéj zależności psychologii od fizyologii: pierwsza nie wejdzie nigdy w skład téj drugiéj; nigdy nie będziemy mogli umiejscowić żadnéj myśli naszéj, ani kojarzenia żadnego, gdyż zjawiska te wypływają ze współpracownictwa licznych pierwiastków złożonych, a przypisywanie tych zjawisk pewnym grupom komórek, byłoby sprzeczne z danemi saméj fizyologii. Psychologia doświadczalna będzie miała zawsze swe własne pole w studyowaniu zjawisk.

Nietylko jednak na fizyologii buduje psychologia swe podstawy, stosujemy ją do wszystkich nauk studyujących człowieka. Dziwny na pozór wyda się nam stosunek psychologii do filologii, na który pan Dwelshauwers zwraca uwagę. Filologia, badając sposoby wyrażania myśli u różnych ludów w odmiennych epokach historyi, odda psychologii wielkie przysługi, gdyż mechanizm języka dostarczy cennych danych, dotyczących ewolucyi myśli. Już Condillac zrozumiał to, przyznając gramatyce miejsce tak ważne między naukami filozoficznemi.

Wreszcie z punktu widzenia metody naukowéj, psychologią doświadczalną nazwiemy tę część psychologii, która wyszła z fazy empirycznéj i o p i s o w é j, i wzniosła się do szeregu nauk, które pragną t ł ó m a c z y ć zjawiska za pomocą doświadczenia.

Każde doświadczenie opiéra się na obserwacyi; jaką ma być ta obserwacya? ważna kwestya metody. Jedni, idąc za A. Comtem, zupełnie odrzucają obserwacyę wewnętrzną, przyznając racyę bytu tylko zewnętrznéj,—drudzy starają się pogodzić obie metody, nadając obserwacyi wewnętrznéj możliwie naukową ścisłość i ograniczając jéj

znaczenie. Do tych ostatnich należy pan Dwelshauwers. Dawniejsza psychologia opiérała się tylko na wewnętrznéj, bezwzględnéj obserwacyi; bardzo to rzecz prosta i łatwa spojrzéć „wgłąb swéj duszy“,—ale nauka pragnie czegoś więcéj nad to, gdyż chodzi jéj o poznanie czynników myśli i jéj źródła.

Nie należy się zresztą dziwić, że metoda, która dostarczyła tylu nużących hypotez, uniemożliwiła postęp nauki, bo ta wewnętrzna obserwacya nie jest naukową. Gdy mamy obserwować, oczekujemy na pewne zjawisko, które powstaje w ściśle oznaczonych warunkach i na które zwracamy całą naszą uwagę; w studyowaniu czuć naprzykład, obserwujemy pewne zjawisko zmieniające obiektywne warunki jego powstania za pomocą miar ścisłych, dostarczonych nam przez fizykę, uczuwamy zmiany w naszéj wewnętrznéj percepcyi, odpowiadające zewnętrznym zmianom zjawiska, a gdy oznaczymy stosunek zmian wewnętrznych do zewnętrznych, wówczas zrobiliśmy obserwacyą. Czyż obserwacya wewnętrzna sama jedna mogłaby uchwycić charakter stanów świadomości naszéj tak licznych, złożonych i tak ciągle zmieniających się? Możemy zapewne miéć niejakie wyobrażenie czasem dokładne, częściéj niedokładne o stanach naszéj świadomości, lecz dane te staną się naukowemi tylko wtedy, gdy będziemy mogli je wymierzyć.

„Im więcéj staramy się obserwować siebie samych — mówi Wundt— tém prędzéj przychodzimy do przekonania, że nie obserwujemy wcale. Psycholog zasklepiony w badaniu własnéj świadomości, dojdzie do tego jednego faktu, że jego chęć obserwowania jest płonna. Nie ma nic niezwykłego w przedstawieniu sobie człowieka, obserwującego jakiś przedmiot zewnętrzny, lecz obraz człowieka zatopionego w obserwacyi samego siebie jest nad wyraz śmieszny. Tu przedmiot obserwacyi jest samym obserwatorem, gdy warunkiem obserwacyi jest niezależność przedmiotu od podmiotu.“ Należy zatém zupełnie odrzucić obserwacyą wewnętrzną bezwzględną, gdy nie jest sprawdzona; jeśli zaś zastosujemy do niéj metody miernicze, stanie się wówczas bardzo ważnym czynnikiem w poznaniu naszych stanów świadomości i nabierze charakteru naukowego.

Psychologia doświadczalna rozkłada zjawiska świadomości na ich pierwiastki, bada ich własności ilościowe i jakościowe, oraz stosunki ich współistnienia i następowości: jest tém dla zjawisk psychicznych, czém fizyka dla przyrodniczych. Nie może ona zmieniać bezpośrednio zjawisk świadomości, ale może czynić to pośrednio, zmieniając i mierząc warunki ich powstania. Na tém porównaniu zmian

subiektywnych z obiektywnemi opiéra się metodologia psychologiczna, stworzona przez Wundta.

Znamy trzy główne działy metod: metody psychofizyczne, metody analiz percepcyi odczuwalnych i metody psychometryczne.

Metody psychofizyczne. Psychofizyka studyuje stosunek zewnętrznéj podniety do czucia, które wywołuje. Należy nam zatém poznać granice, w których podmioty zewnętrzne działają na nasze zmysły, oraz związek, jaki zachodzi między zmianami tych podniet zewnętrznych a zmianami naszéj wewnętrznéj percepcyi.

Podrażnienie zewnętrzne, doznane przez nerwy czucia rozgałęzione na powierzchni ciał, za pomocą dróg nerwowych dochodzi do mózgu, gdzie staje się świadomém. Wówczas zatém czujemy, gdy podnieta jest dość silna, aby mogła wywołać czucie; niektóre podrażnienia nerwowe są tak słabe, że nie mogą być odczute, te znajdują się poniżéj „progu świadomości“, inne są za silne, przechodzą najwyższą granicę świadomości i pozostają nam również nieznane. Świadomość nasza jest ściśle ograniczona: najsłabsze podrażnienie, które przejść może próg świadomości daje „czucie *minimum*“, najsilniejsze daje „czucie *maximum*“; czucia dźwiękowe naprzykład ograniczone są od 16—1,700 drgań na sekundę (dla osób niezmiernie muzykalnych), czucia świetlne, węchowe, smakowe, dotykowe są również tylko wówczas doznawane, gdy przedstawiają pewne natężenie.

Weźmy przykład w celu jasnego zdania sobie sprawy z metody: pan A rzuca na tafelkę drewnianą z jednakim we wszystkich częściach rezonansem, dwie jednakowe kulki z kości słoniowéj r i r'; pan B siedzi w oznaczonéj odległości i wyraża swe czucia dźwiękowe panu A. Ten rzuca na drewnianą tafelkę obie kulki z téj saméj wysokości 500 mm. [1]) w odstępach jednéj sekundy. Pan B zapisuje stosunek czucia dźwiękowego, doznanego spadkiem pierwszéj i drugiéj kulki; niech będzie $r = r'$. Następnie pan A rzuca kulkę r z téj saméj wysokości 500 mm., drugą zaś rzuca z wysokości 505 mm. W trzeciém doświadczeniu kulka r rzucona jest znów z téj saméj wysokości, kulka r' z wysokości 510 mm. i t. p.; wysokość spadku kulki r pozostaje więc niezmienną w całym szeregu doświadczeń, gdy wysokość spadku kulki r' ciągle regularnie wzrasta. Za każdém doświadczeniem pan B zanotowuje swe czucia dźwiękowe i dochodzi nareszcie do rozpoznania, że $r' > r$, a gdy różnica spadku obu kulek zwiększy się jeszcze, wówczas ze świadomością przekonywa się, że $r' > r$. Im mniejsza jest różnica spadku, tém większa jest czułość pana B; jed-

---

[1]) mm. oznacza milimetr.

ném słowem, czułość jest w odwrotnym stosunku do różnic. Za pomocą drugorzędnéj metody, nad którą niepodobna nam się rozszerzać, można dokładnie oznaczyć chwilę, w któréj dla danéj różnicy wysokości pan B rozpozna różnicę dźwiękową.

Po zrobieniu bardzo wielu doświadczeń i to w najróżniejszych warunkach [1]), można będzie wziąć średnią doświadczeń i średnią zmian, i dojść tym sposobem do rezultatów ścisłych. Fechner dał nam trzy metody psychofizyczne, z których najdokładniejszą jest metoda „wzrastających natężeń“, jaką widzieliśmy zastosowaną w powyższém doświadczeniu.

M e t o d y a n a l i z p e r c e p c y i o d e r w a l n y c h zajmują się całkowitą analizą czynników, z których składa się percepcya i dają nam nam prawa składu tych czynników. Rozłożywszy percepcyą na jéj pierwiastki, to jest czucia proste, możemy za pomocą metody syntetycznéj połączyć je znów i otrzymać złożony proces percepcyi, Helmholtz naprzykład przez dźwięki harmoniczne doszedł syntezy tonów.

M e t o d y p s y c h o m e t r y c z n e. Badania psychometryczne mogą być dwojakie: jakościowe, gdy szukamy stosunku jednych wyrażeń do drugich, ich kojarzenia, powstawania i t. p., — lub ilościowe, gdy chodzi nam o zmierzenie czasu trwania procesów psychicznych i porządku, w jakim następują po sobie percepcye. Za jéj pomocą oznaczamy umówionym ruchem koniec aktu psychicznego, biorącego początek w zewnętrznéj podniecie. Metodą psychometryczną, którą posługiwał się pan Dwelshauwers w swych poszukiwaniach nad uwagą, jest „metoda reakcyi“.

Przypuśćmy, że pan A uderza młoteczkiem o tafelkę żelazną, pan B w chwili usłyszenia dźwięku daje umówiony znak ręką. Odpowiednie narzędzia ściśle zanotowują chwilę, gdy młoteczek uderza o żelazo, i chwilę, w któréj pan B podnosi rękę; jedném słowem, czas potrzebny panu B do doznania czucia i wykonania ruchu oblicza się za pomocą stosownych narzędzi; czas ten, dawniéj nazwany „czasem psychologicznym“, nazywamy dziś „czasem prostéj reakcyi“.

Jeśli przepatrywać będziemy tablice wyliczeń średnich wartości czasu reakcyi, przekonamy się, że istnieją dość znaczne różnice w wyliczeniach: dla Van Kries'a, Auerbacha, Cattell'a, czas reakcyi czucia dźwiękowego jest 120, 122 i 126 tysiącznych sekundy — Wundt obliczył je na 167 tys. sek., a Douders dochodzi do 180 tys. sek. Różnica

---

[1]) Doświadczać należy na różnych jednostkach, z uwzględnieniem najrozmaitszych metod i w zastosowaniu do wszystkich czuć.

ta, którą długi czas przypisywano czułości osobnika i którą dlatego nazwano „współczynnikiem osobistym“, wypływa z dwojakiego rodzaju reakcyi: czuciowéj i mięśniowéj, jak nam to wykazał Lange.

Lange zaledwie trzy lata temu zauważył, że osoba, na któréj doświadczamy, może uwagę swą skupić, albo na czucie, którego ma doznać, albo na ruch, który obowiązana jest wykonać. W pierwszym wypadku ruch spóźnia się, gdyż czucie nietylko wkracza do pola świadomości, ale dochodzi do jéj punktu środkowego; reakcyę tę nazywamy czuciową. W drugim wypadku, gdy uwagę skupiamy na ruch, ten przybiera charakter prostego odruchu i zjawia się prędzéj. Czas reakcyi czuciowéj trwa zazwyczaj 200—280 tys. sek., — czas reakcyi, którą nazywamy mięśniową, trwa zaledwie 100 — 130 tys. sekund.

Teoryę Langego, ogólnie dziś przyjętą przez naukę, oprzéć możemy na rozbiorze fizyologicznego procesu reakcyi; proces reakcyi czuciowéj składa się z pięciu faz: 1) podrażnienie nerwowe, wywołane zewnętrzną podnietą, przysłane jest do mózgu, 2) wchodzi do pola świadomości: percepcya; 3) skupia się w środkowym punkcie świadomości: apercepcya; 4) impuls woli; 5) przebieg impulsu ruchowego do mięśni: reakcya. W procesie reakcyi mięśniowéj, która trwa krócéj, podrażnienie przechodzi z ośrodków percepcyi do ośrodków ruchu, bez faz pośrednich apercepcyi i woli, to téż reakcyę tę możemy nazwać bardzo właściwie odruchem mózgowym.

Uwaga zatém jest bardzo ważnym czynnikiem psychologicznym, jest-to siła wewnętrzna, subiektywna, którą czujemy w sobie wpośród ciągłych zmian naszych stanów świadomości. Czujemy ją dlatego, że skierowana jest nie do całéj naszéj świadomości, lecz do pewnych jéj stanów po kolei. Wyobrażenie, na które ześrodkowujemy całą naszą uwagę, znajduje się w punkcie środkowym świadomości i nazywa się a p e r c e p c y ą, to, które wchodzi tylko do pola świadomości, stanowi p e r c e p c y ą.

Uwaga jest niejako zewnętrzną stroną apercepcyi; wszelkie poszukiwania, odnoszące się do jednéj, odnoszą się téż i do drugiéj. Bez apercepcyi nie bylibyśmy w stanie dojść do żadnéj wiadomości — jeślibyśmy człowiekowi odjęli wszystkie jego wyobrażenia, uczucia i myśli, pozostanie zawsze ten czynnik wewnętrzny, bez którego nie mielibyśmy ani wyobraźni, ani uczuć, ani myśli żadnych. Czém jest ta siła wewnętrzna, nie wiemy; nauka pozytywna nie wkracza w dziedzinę absolutu, możemy tylko śmiało powiedziéć, że siła ta istnieje, gdyż czujemy ją w sobie i potwierdza ją doświadczenie.

Pan Dwelshauwers potrafił w swych poszukiwaniach doświadczalnych nad mechanizmem uwagi, nie tylko poznać zewnętrzną stronę zjawisk psychicznych, ale sięgnąć nawet do percepcyi; znając jakość wrażenia i czas prostéj reakcyi, można znaleść stosunek cyfrowy wrażenia do czasu. Doświadczenie wykazało, że prędkość z jaką zdajemy sobie sprawę z wrażenia, zależy od przystosowania uwagi w chwili doświadczenia. Czy reakcya jest dłuższą lub krótszą, gdy uwaga jest skupiona? pytanie, które na pozór wydaje się prostém, jest w rzeczywistości bardzo złożoném, gyż wywołuje inne pytanie: czy uwaga jest procesem przerywanym czy ciągłym?

Zanim przejdziemy do doświadczeń, zapoznać się musimy z narzędziami używanemi przez naszego autora. Nieodzownym jest chronoskop mierzący 0,001 sekundy, gdyż jako jednostkę czasu psychologowie uznali 0,001 za najodpowiedniejszą. Dla wymierzenia czasów jeszcze krótszych używany bywa chronograf Wundta, dający największy błąd ± 0,03 tysiącznéj sekundy; posługują się nim w sprawdzaniu dokładności innych instrumentów i doświadczeniach wymagających największéj ścisłości. Narzędziem służącem do wywoływania wrażeń dźwiękowych jest młotek elektromagnetyczny, który spadając na tafelkę żelazną, wydaje dźwięk umiarkowanéj mocy lecz wyraźny; w tych doświadczeniach używają zwykle sygnału w celu zwrócenia uwagi osoby na któréj się doświadcza; sygnał ten jest dzwiękiem głuchym i krótkim. Odpowiednie narzędzie obrotowe służy do regulowania czasu między sygnałem i uderzeniem młotka (*intervalle*); wreszcie, osoba, na któréj się doświadcza, trzyma w ręku tak zwany *interruptor*, narzędzie podobne do klucza Morse'a używanego przy telegrafowaniu; w chwili usłyszenia dźwięku odsuwa pośpiesznie dłoń od narzędzia, prąd zostaje zerwany a igła chronoskopu pokazuje chwilę jego zerwania. Dwelshauwers z odpowiedniemi narzędziami: chronoskopem, młotkiem elektromagnetycznym, narzędziem obrotowém i chronometrem, służącym do wyliczenia jednakowéj ilości sekund między jedném doświadczeniem a drugiém, (*entre-temps*) znajdował się zazwyczaj w jednym pokoju, gdy osoba, na któréj doświadczał trzymająca interruptor w ręku, przebywała w pokoju sąsiednim. Przy udoskonalonych narzędziach, całém zadaniem badacza naszego było spoglądanie przed doświadczaniem i po niém na igły chronoskopu, zapisywanie i odejmowanie tych liczb, pilnowanie aby przerwa między doświadczeniami była niezmienna; — zadaniem osoby, na któréj doświadczał, było odsuwanie ręki od interruptora w chwili uczucia wrażenia.

W doświadczeniach swych Dwelshauwers studyował proces

uwagi za pomocą reakcyi na wrażenia dźwiękowe; w tym celu wzbudza w osobie, na której doświadcza możność skupienia uwagi na pewną ilość czasu i zanotowuje stosunek jaki zachodzi między czasem trwania uwagi i czasem reakcyi; celem jego pracy zatém jest poszukiwanie wpływu czasu natężenia uwagi na prędkość ruchu następującego po niéj.

Doświadczenia były podzielone na serye, złożone z dziesięciu doświadczeń oddzielnych; zazwyczaj robił z rzędu pięć seryi doświadczeń z krótkiemi przerwami (5—8 minut) między każdą. Mamy trzy rodzaje doświadczeń, każdy rodzaj zastosowany do reakcyi czuciowéj i mięśniowéj:

1-o) reakcya poprzedzona sygnałami; tu czas między sygnałem a uderzeniem młotka, czyli interwal, jest niezmienny w czasie jednéj seryi doświadczeń, zmienia się jednak w oddzielnych seryach (pięć seryi: 1 ½ sek. 3 sek. 6 sek. 3 sek. 1 ½ sek.—lub téż 6, 3, 1 ½, 3, 6 sek. albo 6, 6, 3, 3, 1 ½ sek.).

2-o) reakcya bez sygnału, ale z uwagą; tu czas między jedném doświadczeniem a drugiém, czyli *entre-temps*, jest niezmienny w jednéj seryi doświadczeń, zmienia się jednak w oddzielnych seryach (30 — 45 — 60 sek.).

3-o) reakcya bez sygnału, w stanie nieuwagi. — Dwelshauwers, jak to już powiedzieliśmy, stara się za pomocą metod obiektywnych poznać naturę czynnika subiektywnego. Oto na czém polega nowa jego metoda „stosunków subiektywnych“ — i po każdéj reakcyi, osoba, na któréj doświadczał, zapisuje stan swéj uwagi podczas doświadczenia, do czego łatwo się przyzwyczaja. Rezultaty stanów wewnętrznych należy wówczas porównać z rezultatem liczb wskazanych przez chronoskop, który daje nam miarę trwania procesu psychicznego. Liczby te nie są stałe dla téj saméj osoby poddanéj tym samym doświadczeniom, wahają się koło danéj liczby, a różnice mogą dosięgnąć 0,1 sekundy; Dwelshauwers, zastosowuje tu swą metodę stosunków subiektywnych, tłómacząc to zjawisko przez odmienny stan percepcyi wewnętrznéj osób, na których doświadczał; wiele z nich notowało po każdém doświadczeniu prosty znak umówiony, który wyrażał stan uwagi podczas doświadczenia, lub zapisywało przyczyny, które w ich mniemaniu nie pozwalały im skupić uwagi: ogólne osłabienie, złe trawienie, nieprawidłowe krążenie krwi, wpływają ujemnie na szybkość reakcyi. Feré dowodzi, że dobry humor przyśpiesza procesy psychiczne, wreszcie Dwelshauwers przekonał się o złym wpływie przykrych snów na pierwsze godziny dnia. Wszystkie te przeszkody w e w n ę t r z n e nie pozwalają skupić uwagi, z e w n ę t r z n e przeszko-

dy są przypadkowe, np. jakieś obce wrażenie dźwiękowe przeszkodzi apercepcyi danego wrażenia dźwiękowego; reakcya opóźni się zawsze w tym wypadku, co jasno sprawdza to prawo apercepcyi że dwa wrażenia nie mogą jednocześnie dojść do punktu środkowego świadomości. Wreście obcy dźwięk wywołać może kojarzenie wyobrażeń i być przez to powodem roztargnienia.

Podajemy tu dla jasnego zrozumienia doświadczeń chociaż jednę tablicę wyliczeń (str. 75), których tyle jest w dziełku pana Dwelshauwersa:

Rodzaj reakcyi	Interwalle i entre-temps (między-czas)	Średnia liczba doświadczeń nad czterema osobami	Trwanie procesu, wypadkowa z czterech średnich arytmetycznych.
Reakcya mięś. z sygnałem	Interwalle 1½ sek.	400	129,78
	„ 3 „	453	133,22
	„ 6 „	349	144,8
Reckcya mięś. bez sygnału	Entre-temps 45 sek.	101	183,45
	„ 30 „	158	184
	„ 60 „	60	196,97
Reakcya czuciowa z sygnałem	Interwalle 1½ sek,	215	257,02
	„ 3 „	282	279,66
	„ 6 „	221	299,86
Reakcya czuciowa bez sygnału	Entre-temps 60 sek.	74	301,97
	„ 45 „	112	304,03
	„ 30 „	141	308,6
Reakcya w stanie nieuwagi	Entre-temps niezmienny	115	323,87
	„ 30 sekund zmieniający się od 25 sek. do 2 minut.	122	382,2

Zauważyć możemy, że długość interwallu, czyli czasu między sygnałem a uderzeniem młotka, wpływa na mniéj lub więcéj szybką reakcyę; im czas ten krótszy, tém prędsza reakcya; zresztą osoby poddane doświadczeniu wyraziły swe uczucia osobiste pod tym względem: długie oczekiwanie nuży je bardzo (6 sekund szczególnie). Uwaga potrzebuje pewnego czasu, żeby się skupić, należałoby wyszukać ten czas niezbędny, który zapewne krótszym jest jeszcze od 1½ sekundy.

W doświadczeniach bez sygnału, czas między jedném doświadczeniem a drugiém jest niezmienny; w téj to chwili oczekiwania na dźwięk, osoba przystosowuje się niejako do przerwy ciągle téj saméj między jednym dźwiękiem a drugim; uwaga jednak nie może się zześrodkować z równém natężeniem gdy nieuprzedzona była sygnałem, i tém tłómaczymy dłuższy zazwyczaj czas reakcyi bez sygnału — bez sygnału w stanie nieuwagi, czas reakcyi jest najdłuższy, co jasném jest na tablicy.

Możemy jeszcze w następujący sposób dopełnić wyliczenia:

	Reakcya mięśniowa	Reakcya czuciowa.
Bez sygnału	188 tysiącznych sek.	305 tys. sek.
Z sygnałem	136 „ „	279 „ „
Różnica	52 tys. sek.	26 tys. sek.

Widzimy również, że te same liczby sprawdzają nam doświadczalnie teoryą Langego o dłuższym zawsze procesie reakcyi czuciowéj. Różnica jest bardzo nawet znaczna, gdyż może dojść do 60 tys. sek., między najpowolniejszą reakcyą mięśniową a najprędszą czuciową. Tu, Dwelshauwers zastosowuje swą metodę stosunków subiektywnych, do tablic wyliczeń chronoskopijnych dołącza tablice wewnętrznych uczuć osób poddanych doświadczeniom; przez + 1 wyrażają one stan skupienia uwagi doskonały, przez + 2 stan w którym uwaga skupia się między sygnałem a dźwiękiem młotka i trwa aż do odczucia dźwięku, + 3 oznacza uwagę wahającą się, zaś — brak uwagi.

Podajemy parę rezultatów doświadczeń; liczba doświadczeń wyrażoną jest w odsetkach.

Reakcya czuciowa z sygnałem, na 100 doświadczeń wypada:

Rubryka.	Interwalle 1 ½ sek.	Interwalle 3 sek.	Interwalle 6 sekund.
+ 1	26	12	30
+ 2	57	35	40
+ 3	12	45	30
—	5	8	

Brak uwagi trafia się rzadko, uwaga + 2 jest najpospolitszą.

Reakcya mięśniowa z sygnałem, na 100 doświadczeń wypada:

Rubryka.	Interwalle 1 ½ sek.	Interwalle 3 sek.	Interwale 6 sekund.
+ 1	45	38	46
+ 2	16	23	14
+ 3	30	26	35
—	9	13	5

Niektóre osoby zaznaczały po każdém doświadczeniu czy proces reakcyi wydał im się normalnym, długim lub krótkim. Sąd osobisty zależy tu od bardzo wielu czynników złożonych i zmieniających się co chwila. W téj saméj seryi doświadczeń, gdy warunki pozostają niezmienne, uczucie wewnętrzne zmienia się jednak np.:

Trzy reakcye następujące po sobie:		160	162	166 tys. sek.
Sąd o nich.		długa	długa	normalna.
Cztery reakcye następujące po sobie	149	327	331	307 tys. sek.
Sąd o nich.	normalna	krótka	długa	długa.

Trzy reakcye następujące po sobie:	303	196	169 tys. sek.
Sąd o nich.	normalna	długa	krótka.

W innych razach czucia osobiste były zgodne z rzeczywistością; fakty te dowodzą jednak, że percepcya wewnętrzna nie dostarcza nam danych nieomylnych. Psychologiczne prawo kontrastu gra ważną rolę: jeśli pewna reakcya wydała się nam za długą, następna wyda się za krótką i odwrotnie — wreszcie po krótkiéj reakcyi jest dążność przeciągniącia reakcyi następnéj, gdy po długiéj reakcyi przyśpieszamy zwykle następującą po niéj. Rezultaty, które otrzymał p. Dwelshauwers za pomocą metody stosunków subiektywnych, nie pozwalają mu jeszcze, jak sam on oświadcza, sformułować wyników naukowych, trzebaby na to poszukiwań liczniejszych i dokładniejszych, autor podaje tylko skromną próbę.

Uwaga jest mniéj lub więcéj silném natężeniem naszéj siły apercepcyjnéj i dlatego jest jednoczesną prawie z apercepcyą. Ten jéj charakter natężenia uzewnętrznia się jawnie przez kurcze mieśniowe, spostrzegane koło czoła, ust i oczu; od czasu znanego dzieła Darwina o wyrazie uczuć, stworzono całą literaturę niemal o téj kwestyi. Prócz kurczów mięśniowych spostrzedz można i inne objawy towarzyszące skupieniu uwagi, jak podwyższenie temperatury, obfitość wydzielin skórnych, szybsze krążenie krwi i t. p. Najgłówniejszym jednak objawem pozostanie kurcz mięśni. Jednostka pozbawiona możności przystosowania się w tym względzie nie byłaby zdolną do skupienia uwagi, i śmiało powiedzieć można, że każde studyum psychologiczne powinno rozpoczynać się od fizyologii mięśni.

Jaki jest mechanizm fizyologiczny uwagi? Przy całéj niedokładności danych fizyologicznych, pytanie to trudne jest do rozwiązania. Wundt pierwszy dał podstawy fizyologiczne apercepcyi, opierając się na pięciu głównych prawach czynności mózgowych:

1) zasada kojarzenia czynników; każdy czynnik jest skojarzony z innemi czynnikami, i zdolny do działania tylko w tém skojarzeniu. Procesy psychiczne są złożone z licznych czynników, związanych wspólnie i zależnych od czynności ośrodków mózgowych;

2) zasada działania obojętnego; nie ma czynnika nerwowego, któryby odbywał tylko oddzielne, właściwe mu funkcye, gdyż jego działanie zależy od działania innych czynników;

3) zasada działania zastępczego; — zależne od siebie czynniki, mogą się wyręczać wzajemnie w działaniu;

4) zasada działania umiejscowionego; — każde określone działanie może być umiejscowione w ośrodkach mózgowych, których czynniki zdolne są do odpowiedniego skojarzenia;

5) zasada wprawy; — każdy czynnik tém łatwiéj działa, im częściéj w ruch był wprawiony zewnętrznemi podnietami.

Trzecia zasada jest ściśle złączona z drugą, trzecia ogranicza czwartą. Dwelshauwers jest zupełnie przeciwny staréj teoryi, według któréj kora mózgowa ukształtowana jest na podobieństwo zewnętrznych naszych zmysłów i jest niejako ich zwierciadłem; gdyby teorya ta była prawdziwa, musielibyśmy przypuścić, że części kory mózgowéj, odpowiadające zmysłom, posiadają odrębną budowę, — różnice, zauważone w budowie kory mózgowéj, są jednak bardzo nieznaczne i polegają tylko na odrębnym sposobie połączenia różnych części mózgu między sobą i z organami zewnętrznemi. Kora mózgowa jest organem środkowym, łączącym czynności organów oddzielnych, gdyż wszystkie podniety nerwowe, przyprowadzone do ośrodków umiejscowienia, zdążają następnie do niéj: jéj więc zawdzięczamy jedność działania. Stąd widzimy, o ile jest względną teorya umiejscowiania; fizyologia tegoczesna odrzuca hypotezę działania samodzielnego różnych części systemu nerwowego, dawniéj sądzono nawet, że nerw każdy jest albo tylko czuciowym, albo tylko ruchowym.

Ferrier wprawdzie w pierwszych swych pracach bronił za bezwzględnie systemu umiejscowiania, dziś jednak odrzucił dawne swe zapatrywania i przeszedł do obozu, który ma takich przedstawicieli jak Goltz, Hitzig, Luciani, Christiani i t. p. Jak śmiesznemi wydają się nam psychologowie, którzy w danéem miejscu kory mózgowéj umieszczali pamięć, wyobraźnią, zmysł samozachowawczy i t. p., — możemy doskonale przedstawić sobie zbiór komórek, działających wyłącznie pod wpływem podniety słuchowéj lub wzrokowéj, ale czyż podobna zrozumiéć, aby oddzielna ilość komórek mózgowych służyła do pamięci, inna zaś do wyobraźni. Nielogicznie jest przypisywać działania złożone czynnikom prostym. Czyż nie śmiesznym wyda się nam psycholog-mechanik, umiejscowiający uczucia i myśli, w stosunku jednéj myśli na komórkę! Nieprawdopodobieństwo takiéj hypotezy rzuca się w oczy, gdyż wiadomości fizyologiczne i psychologiczne, skłaniają nas do przypuszczenia, że myśl i uczucie są procesami bardzo złożonemi, których tylko pierwiastki możemy umiejscawiać (ośrodek ruchowy dźwięków artykulowanych Broca).

Analiza półkul mózgowych pozwala nam przypuścić, że organem apercepcyi są zwoje czołowe przednie; działanie tego organu na ośrodki podwładne mu może być określone wpływem woli na odtworzenie

wyobrażeń: aktem woli możemy wywołać pewien obraz, który jednak będzie zawsze znacznie słabszy od rzeczywistego, — tylko w halucynacyi apercepcya wywołać może obrazy tak silne, jak rzeczywiste. Możność wzmocnienia obrazu siłą woli, lubześrodkowaniem uwagi, jest faktem doświadczalnym, który nam wykazuje całą wspólność uwagi, woli i apercepcyi: są one odmianami tegoż samego procesu psychologicznego. Luys w dziele „Mózg i jego czynności“ kilka słów zaledwie poświęca uwadze — w jego przekonaniu przemiana procesu fizyologicznego na psychiczny stanowi uwagę; uwaga jest wyrazem energii i żywotności sił mózgowych, jest syntezą operacyi czynnych mózgu. Luys nie daje nam teoryi mechanizmu uwagi, nie tłómaczy téj przemiany sił nieświadomych na świadome.

Dawid Ferrier podaje pozytywniejszą teoryą. Zwraca uwagę na ten fakt doniosłego znaczenia, że podczas głębokiéj ideacyi, zaprzestajemy wszelkich ruchów zewnętrznych, aby tém lepiéjześrodkować uwagę; ważną tu rolę grają „ośrodki wstrzymujące“, które nie pozwalają energii wewnętrznéj osłabiać się zewnętrznemi ruchami, nie odnoszącemi się do procesu uwagi. Ośrodki te są czynnikami niezbędnemi przy uwadze i stanowią podstawę organiczną wszelkich władz umysłowych wyższych. Zwoje czołowe są ośrodkami wstrzymującemi — według Ferrier'a — odjęcie ich sprowadza zwyrodnienie umysłowe, gdyż uwaga znika. U idyotów zdolność uważania i skupiania myśli jest prawie żadną z powodu nieprawidłowego rozwoju zwojów czołowych; u zwierząt zwoje te są zwykle słabo rozwinięte, u ludzi zaś dosięgają największego rozwoju, szczególnie u jednostek zdolnych. Ferrier wreszcie umiejscawia uwagę w okolicy przedniéj pasa ruchowego: drażniąc te miejsca u psa i małpy, otrzymał ruchy oczu, głowy i uszu, charakteryzujące uwagę pod względem mimicznym.

Zobaczmy wreszcie, jak Wundt traktuje teoryę fizyologiczną uwagi:

Pierwszy impuls, dany przez podrażnienie nerwów zewnętrznych lub organów wewnętrznych, wywołuje pewne czucie świadome; jednocześnie toż samo podrażnienie przesłane jest do ośrodków apercepcyi—tu rozdwaja się: jedno podrażnienie kieruje się do ośrodków czuciowych i wzmacnia czucie pierwotne, które przechodzi wtedy do punktu środkowego świadomości, drugie przeprowadzone zostaje do ośrodków ruchu i wywołuje kurcz mięśniowy.

Z tego procesu wnioskować możemy o istnieniu pewnéj siły subiektywnéj, która podnosi natężenie pierwotnego czucia, zamieniając je na apercepcyą; taż sama siła pomaga nam we wzmocnieniu

obrazów wywołanych przez wyobraźnią. Siła ta nie ma nic w sobie tajemniczego, nazywamy ją wolą, gdy rezultatem jéj jest działanie zewnętrzne. Inerwacya mięśniowa gra tu bardzo ważną rolę, lecz równéj doniosłości jest czynnik czuciowy, ściśle zresztą z nią związany. Gdy pragniemy wywołać pewien obraz, odpowiednie ruchy mięśniowe towarzyszą zawsze pamięci, nie jesteśmy w możności myślenia bez nadania myśli pewnéj zewnętrznéj formy, pociągającéj za sobą niezbędne kurcze mięśni. Nie należy jednak sądzić, by inerwacya mięśniowa była przyczyną wywołania obrazu, przeciwnie, poprzedza ją zawsze podrażnienie w odpowiednich ośrodkach czuciowych.

Ważnym czynnikiem uwagi jest uczucie przyjemności lub przykrości, które jéj towarzyszy; uwaga samorodna (apercepcya bierna) idzie zawsze za tém, co jéj sprawia przyjemność; uwaga przymuszona, wypływająca z aktu woli (apercepcya czynna) łączy się czasem z uczuciem przykrości, które przez przystosowanie może przejść w obojętność lub zadowolenie. Uwaga zatém wypływa ze stanów uczuć, te w gruncie rzeczy są pewnemi dążnościami, a więc ruchami świadomemi lub nie. Już od źródła powstania, uwaga zależy od warunków ruchowych, pierwszym warunkiem jéj istnienia jest zacieśnienie pola świadomości, gdyż apercepcya jest wyraźniejsza, im zakres jéj szczuplejszy.

Uwaga, jak to wyżéj widzieliśmy, zabiéra po kolei wyobrażenia znajdujące się w polu świadomości, które wówczas wkraczają do jéj punktu środkowego. Ale że punkt środkowy świadomości nie może pomieścić więcéj, jak jedno wyobrażenie lub zbiór wyobrażeń, stanowiących pewną całość, więc między ześrodkowaniem dwóch następujących po sobie wrażeń, przychodzi chwila, w któréj jedno znika, gdy drugie nie jest jeszcze dostatecznie wyraźném. Brak ten ciągłości uwagi wykazuje nam dostatecznie, że jest ona procesem regularnie przerywanym, czyli rytmicznym. Doświadczenie uczy nas, że obie chwile naprężenia i rozprężenia trwają jednakową ilość czasu; najodpowiedniejszym warunkiem apercepcyi, według Wundta, jest natężenie trwające od 2—4 sekund, Dwelshauwers, sądząc ze swoich doświadczeń, przekłada *intervalle* 1 $\frac{1}{2}$—3 sekund.

Nasza jedność psychiczna, którą dawniéj przypisywano duszy, opiéra się na téj ciągłéj działalności apercepcyjnéj, któréj materyałów dostarcza ciągłe kojarzenie wyobrażeń. Kojarzenia ważną rolę odegrywają w naszém życiu duchowém, będąc podstawą apercepcyi; angielscy psychologowie jednak, ze Spencerem i Bain'em na czele, przypisali kojarzeniu za wielkie znaczenie, chcąc niém tłomaczyć wszyst-

kie zjawiska psychiczne; napróżno też starali się przy pomocy jednego tylko asocyacyonizmu, wytłómaczyć naszą jedność subiektywną. Psychologia traci na dokładności przy téj metodzie; zjawiska psychiczne są daleko bardziéj złożone, niż to zazwyczaj sądzą zwolennicy automatycznego mechanizmu działalności duchowéj. Doktryny, głoszące bezwzględny determinizm, uważające, że człowiek jest automatem duchowym, należą już dziś nie do najnowszych doktryn.

Z coraz większą siłą wybija się nowa szkoła, któréj Kant nieśmiertelny dał podwaliny, a którą Wundt stworzył, głosząca, że duch ludzki nietylko biernie, ale i czynnie działać może, a dowolna ta działalność ducha stanowi apercepcyą, wolę, uwagę—wyrazy jednoznaczne. Do téj szkoły należy Dwelshauwers, oddający z całym zapałem młodego adepta pierwszeństwo psychologii niemieckiéj doświadczalnéj nad angielską opisową. Nie należy jednak sądzić, aby nowa szkoła uznawała wolność woli, przeciwnie, odrzuca tę nienaukową hypotezę, a uwydatnia możność człowieka kierowania swojém postępowaniem; nadając mu pewne dążenia c h c i a n e z góry, obmyślone, jesteśmy w mocy pracowania nad naszym charakterem, możemy stworzyć sobie ideał, zwalczać w pewnych granicach nasze uczucia i myśli, zdążać do wszystkiego, co piękne, sprawiedliwe i wielkie.

Przyszliśmy do granicy, przy któréj psychologia zlewa się z etyką i socyologią—dlatego też Ribot słusznie powiedział, że studyowanie uwagi jednostki (jéj woli) w społeczeństwie jest kwestyą społeczną najwyższéj doniosłości.

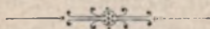
A. Z. J.





RODOWÓD I DĄŻENIA SYMBOLIZMU.

(CHARLES MORICE).



La littérature de tout à l'heure. Paryż 1889. Perrin et Com., str. 384.

Najwybitniejszym tłómaczem symbolizmu w spółczesnéj literaturze francuskiéj jest Karol Morice. Sam młody jeszcze, o rysach twarzy pociągłych i wzroku badawczym, dosiadający z powodzeniem poetyckiego pegaza, Morice wypowiedział najpełniéj aspiracye młodéj szkoły w grubéj książce, pod dziwnym dość tytułem: Literatura jutra.

Morice jest teoretycznym przedstawicielem, krytykiem nowego kierunku, lubo w „Ostrzeżeniu“ do czytelnika przeczy, jakoby pisał manifest jakiejś szkoły i przedstawiał jakąkolwiek bądź grupę. Jakby ulegając krytycznemu impresyonizmowi Lemaitre'a lub zapatrywaniom swego zmarłego przedwcześnie przyjaciela Hennequin'a, utrzymuje, iż wypowiada tylko własne poglądy, „szkoły“ bowiem literackie należą do przeszłości i „nikt nie ujrzy już trzech pisarzy, zgodnych we względzie zasad...“ Nie mniéj jednak zdaje mu się, iż wyraża dość dokładnie „dążenia spółczesnéj młodzieży,“ tłómaczy wpływy, którym ona ulega i wypowiada jéj życzenia lub przeczucia na przyszłość, wyjaśniając, na jakich przesłankach logicznych opierają się nadzieje co do przyszłego kierunku literatury, sztuki i jéj zadań. Istotnie, w książce Morice'a, napisanéj z niepospolitą erudycyą i syntetycznym lubo kapryśnym wiedzy polotem, odzwierciadlają się i odnajdują wszystkie te prądy, idee i „przeczucia,“ jakie nurtują w najmłodszém pokoleniu pisarzy francuskich. Postaramy się je wydobyć z dzieła ułożonego nie

dość systematycznie, wyjaśniając i wyłuskując nieraz z paradoksalnéj łupiny, w jaką lubi zamykać swe myśli krytyk-symbolista. Pomijając przejściowe kołowania czyscowe po manowcach pesymizmu, mistycyzmu, dekadentyzmu, symbolizm, jak to zaznaczyłem już na innem miejscu [1]) i co, na innem również miejscu, świadomie wypowiedział Morice, jest reakcyą przeciwko naturalizmowi i zwrotem syntetyczno-idealistycznym o szerokim polocie. Wiele jest jeszcze kaprysów, mglistości, rzeczy niedopowiedzianych lub „reakcyjnych“ w tym zwrocie, nie ulega jednak zaprzeczeniu, że symbolizm rozwinął już skrzydła i kieruje się ku idealniejszéj przyszłości.

I.

„Istota, któraby posiadała całkowitą znajomość teraźniejszości, pisał Sainte-Beuve, nie miałaby zbyt wielkiego trudu w odgadnięciu przyszłości.“ Wychodząc z téj zasady, przebiega Morice nie tylko teraźniejszość, lecz i przeszłość dla odnalezienia genezy symbolizmu.

Potrąca nawet o związek ewolucyi politycznych z ewolucyami duchowemi. Sztuka zmienia swe formy i swe ideały wraz z przeobrażeniami społecznemi. Nie ma jednak mowy o prostéj zależności sztuki od warunków ekonomiczno-społecznych. Oddziaływanie wzajemne jest natury bardziéj złożonéj. Oto np. wielkie wstrząśnienia polityczno-społeczne, uniemożliwiając jednoczesny rozkwit artyzmu, zapładniają jednak przyszłość najbliższą, niszczą przytém formy przeżyte. Rewolucya zadaje ostateczny cios klasycyzmowi. Rewolucya również i cesarstwo poprzedzają romantyzm.

Dla zrozumienia wzajemnego stosunku sztuki i ruchów politycznych należy pamiętać, że taż sama myśl ludzka tworzy rewolucye i dzieła artystyczne; dlatego téż *inter arma silent musae*, myśl bowiem nie może być zajęta dwiema rzeczami na raz. Tém łacniéj jednak przechodzi od polityki do literatury i na odwrót. Jest to przypływ i odpływ ludzkiego morza. I nic naturalniejszego: „właściwą dziedziną umysłu ludzkiego jest myśl czysta, spokojna i głęboka jak morze, kiedy zaś uzewnętrznia się ona aż w wydarzeniach historycznych, zdaje się wtedy występować z swego odwiecznego łożyska, jak morze w chwili przypływu. Godzina jednak odpływu nadchodzi nieodwołalnie, umysł i morze wracają do swych głębin pierwotnych i wtedy to nastaje boska chwila bujnego rozkwitu i rodzajnego pokoju, kiedy morze i umysł toczą potężne swe fale od brzegu do brzegu i odbijają czy-

---

[1]) Art. Symbolizm. „Głos,“ 28 marca 1891.

sty lazur nieba w swych głębokościach.“ Rybacy, których przypływ odpędził od brzegu, wierzą chętnie, iż odpływ jest następstwem przypływu. Niech i tak będzie, mówi Morice, są to jednak konsekwencye, które mają dalszy nieco związek. Przypływ i odpływ mają jedną wspólną przyczynę a jest nią rozprężność wielkich fal; jest to wchodzenie napowrót w siebie istot, które rozprostowały na chwilę swe mięśnie, wyciągając ramiona ku nieskończoności. Jest to prawo powszechne, do którego wszystko się sprowadza... Wydarza się jednak, że morze, wracając do swego łoża, wraca inaczéj zabarwione, toczyło bowiem swe fale po ziemi zroszonéj krwią, umajonéj zielenią lub błotem zaległéj. Zabarwienie to jednak lub zamącenie nie trwa długo.

Związek więc między przemianami artystycznemi i społecznemi objaśnia się ich wspólném źródłem. To jednak zapładnianie sztuki w następstwie zaburzeń zewnętrznych nie jest, twierdzi Morice, warunkiem nieodzownym dla rozwoju myśli estetycznéj, która, w każdym razie, nie ulega fatalnie i ślepo temu wpływowi, lecz odbywa od okresu do okresu, własną swą drogę ku szczytom, która nie jest w prostéj zależności od ryzykownych zmian społecznego pochodu i postępu. Wpływ wypadków zewnętrznych nie może nam wytłómaczyć téj, niezawsze nawet uświadamiającéj się konsekwencyi wewnętrznéj, która sprawia, iż kolejne fazy historyi estetycznéj nie następują jedne po drugich bez związku, lecz idą nieodwołalnie śladem praw swego wewnętrznego rozwoju. Dodać możemy, iż zmiany społeczne mają także własne swe prawo rozwoju i własną konsekwencyą wewnętrzną; drogi umysłowo-artystycznego i społeczno-politycznego rozwoju idą równolegle, jako zależne od wspólnego bodźca, drogi te atoli mogą się rozchodzić i nie zawsze pozostawać w związku bliskim.

Jeżeli pojawienie się romantyzmu uczynimy zależném od ruchów polityczno-społecznych [1]), to trudno odnaleźć podobne warunki dla następnych faz w rozwoju literatury i sztuki: dla naturalizmu i symbolizmu. Naturalizm zjawił się i panował dość długo w czasie zupełnego spokoju zewnętrznego. Można by twierdzić, że powstał on w warunkach stworzonych przez reakcyą, jaka nastąpiła po roku 1848, natomiast widzieliśmy, że zaprowadzenie respubliki i rok 1870—71 nie wywarły nań żadnego wpływu. Nowy zwrot zaczyna się przy niezmienionych zupełnie warunkach zewnętrznych i jest tylko wewnętrzną,

---

[1]) Czytelnik zechce wziąć na uwagę, że w całém têm studyum mówić będziemy wraz z Morice'm o literaturze francuskiéj wyłącznie (*przyp. aut.*).

logiczną reakcyą przeciwko przeżytemu naturalizmowi i tym ideom, na których on się opierał.

Z tych uwag wyprowadza Morice następujące wnioski: 1) związek między ewolucyami politycznemi i artystycznemi ma wspólne źródło w rozwoju myśli ludzkiéj; 2) wpływy zewnętrzne zakłócają tylko właściwy rozwój duchowy i 3) idee estetyczne rozwijają się najpełniéj niezależnie od wpływów zewnętrznych, dzięki własnemu swemu życiu wewnętrznemu.

Wychodząc z tych założeń, krytyk dostrzega w rozwoju artystycznéj myśli nowożytnéj trzy główne fazy: peryod przewagi r o z u m u (klasycyzm), peryod przewagi u c z u c i a (romantyzm) i peryod przewagi c z u c i a, zmysłowości (naturalizm). Najnowszym okresem będzie s y n t e t y c z n e przedstawienie całego człowieka w idealnych zarysach symbolu. Fazy te są snującym się wciąż, w różnych warunkach polityczno-społecznych, wątkiem wewnętrznego rozwoju artystycznego.

Naczelną cechą pierwszych trzech faz jest duch analizy, rozbioru, wyróżniający i wydzielający kolejno różne strony natury ludzkiéj, póki nie zbiegną się w jednéj, pełnéj syntezie. Cały ten rozwój analityczny był jednak nieodzowny dla wydobycia i wyrobienia wszystkich uzdolnień ludzkich, dla zróżniczkowania człowieka, nim stanie się on zdolnym do zcałkowania zupełnego.

Duch nowoczesny, mówi Morice, ma dwie cechy znamienne. Będąc ochrzczonym jest on w istocie swéj spirytualistycznym i z wierzeń swych chrześciańskich zatrzymał przeważającą tendencyę analityczną, tak, że można było utrzymywać, nie bez słuszności (Alfred de Vigny), iż powieść analityczna ma swój początek w spowiedzi. Duch ten nie może téż dojść do syntezy, nie zerwawszy z swém wychowaniem pierwiastkowém i wtedy dopiéro stanie się, jak twierdzi Taine, jednocześnie „pogańskim i chrześciańskim." Do spekulatywnych i intuicyjnych właściwości swego azyatyckiego spadku musi on dodać naukowe i dedukcyjne uzdolnienia swego greckiego dziedzictwa. Przeobrażenie to nie jest atoli wolne od niebezpieczeństw, największe zaś leży w tém, ażeby nie zatrzéć a nawet nie skazić charakteru spirytualistycznego i mistycznego, który najwybitniéj dotąd odróżnia człowieka nowożytnego od starożytnego, pokazując go nam w promieniach nauki ewangelicznéj.

Nim jednak dotkniemy tego syntetycznego zadania, które rozwój wewnętrzny podsuwa chwili obecnéj, przebyć musimy cały labirynt usiłowań analitycznych. Ograniczając się wyłącznie literaturą francuską, mówi Morice, rozpoczniemy od końca wieku XVI, który,

wskrzesiwszy poganizm, zdawał się chcieć stłumić prawdziwe natchnienie nowożytne, będące w swéj treści chrześciańskiém, został jednak ostatecznie zwyciężony przez wskrzeszony z kolei chrystyanizm.

Cechą charakterystyczną wieku XVII jest przewaga myśli, chęć poznania wszystkiego, przedewszystkiém jednak trzech „realności idealnych:“ Boga, Świata i Duszy ludzkiéj. Te trzy kategorye pojmowane są w sposób spekulatywny i metafizyczny, jako idee ogólne.

Nicią przewodnią w tych poszukiwaniach jest wciąż logika Arystotelesa, przykrojona przez scholastyków i Tomasza z Akwinu, i idee-typy Platona. Descartes (Kartezyusz), najwybitniejszy przedstawiciel filozofii tego wieku, ma o człowieku pojęcie zupełnie oderwane, idealne, ogólne, w którém umysł panuje niepodzielnie. Jest to najwidoczniejsze w jego Traktacie o namiętnościach. Bossuet ma podobne wyobrażenie o istocie ludzkiéj. Racine patrzy na człowieka również abstrakcyjnie. Ma on już pojęcie o namiętnościach rzeczywistych, namiętności te jednak a raczéj jedna z nich pochłaniają u niego całego człowieka, który zawsze pozostaje fikcyą jakiejś duszy. Wiek ten pragnie zawsze poznawać abstrakcye duchowe, ograniczone nawet pewnym punktem widzenia. U Bossueta dusza ludzka kieruje się zawsze ku Bogu, u Dekarta jest „czystą tablicą,“ która odbija świat i pojęcia oderwane, u Racine'a dusza trawiona jest ogniem wielkich namiętności. Aczkolwiek wspólny ów punkt widzenia jest ograniczonym, to jednakowoż w granicach tych umysł ludzki po raz pierwszy w czasach chrześciańskich ćwiczy się, probuje swojéj mocy, swoich młodych skrzydeł.

Wybitni przedstawiciele klasycznego okresu myślą czysto, szczerze i podniośle. Noszą jednak zawsze „liberyę chrześciańską,“ obracają się w kole „metafizyki chrześciańskiéj;“ że zaś trudno było ówczesnym wyjść z tych granic i probować lotu bez żadnego oparcia i przewodnika, dowodem choćby niefortunne próby w tym kierunku Dekarta. Bądź co bądź, w epoce owéj zaczynał się duch nowożytny. Katolicyzm i doktryna ewangeliczna opiérały się już na rozumie, starały się godzić z pogańską filozofią klasyczną. Zdawało się jakoby umysł nowoczesny, nim wypłynął na bezbrzeżny ocean hipotez nowoczesnych, probował swych sił podpiérany przez dogmaty religijne.

Dusza ludzka, jak powiedzieliśmy, zajmuje wyłącznie pisarzy wieku XVII. Nie wiedzą oni nic jeszcze o temperamencie, który zajmować będzie wyłącznie naturalistów, lecz poznać się starają charakter człowieka, wyrażający się zawsze w jakiejś dominującéj wła-

ściwości. Walka namiętności duchowych i zmysłowych nie jest jeszcze dla nich dostępna, idzie zawsze tylko o „charaktery“, będące w gruncie rzeczy uosobionemi namiętnościami. Potrójna jedność arystoteliczna ówczesnego teatru tłómaczy się jednością saméj koncepcyi artystycznéj... Troska o tę unifikacyjną prostotę występuje i u moralistów ówczesnych. La Rochefoucauld pisze Maksymy, La Bruyère kreśli Charaktery, La Fontaine wreszcie popularyzuje w swych opowiadaniach i bajkach proste reguły zdrowego rozsądku.

Idealny polot pisarzy XVII wieku i wiara w rozum filozofów ówczesnych („Myślę więc jestem“) jest wielką zasługą téj pamiętnéj epoki. Zobaczmy jednak, jaki rezultat wydała ta abstrakcyjna jednostronność, jaki z niéj wyciągnęła wniosek ludzkość ówczesna?

Corneille pokazuje nam samych bohaterów, chodzących na wysokich szczudłach, przez co stają się niedostępnymi dla zwykłych śmiertelników a nadto przygniatają nas swą wielkością, pokazując jak jesteśmy mali. Racine wyprowadza znowu na scenę cały szereg dusz wielkich i nieszczęśliwych, nurtowanych i rozrywanych przez wielkie również namiętności, broczących krwią, skarżących się boleśnie, dla których sama szlachetność jest nadmiarem nieszczęścia. Patrząc na te cienie melancholijne, wielkie i rozdarte, mimowoli mówimy sobie: jak jesteśmy słabi! Molière jest bardziéj jeszcze bezlitośnym, mówi nam bowiem, że nasza małość jest śmieszna a słabość haniebna. Corneille i Racine napełniają nas rozpaczą, Molière budzi wstręt do nas samych. Inną drogą zmierzając do celu La Rochefoucauld pokaże nam, że na dnie duszy ludzkiéj, nawet mimo łudzących pozorów, leży zawsze zła, egoistyczna miłość własna. La Bruyère zasmuca również ciągłą swą komedyą naszych maniactw i ustawicznych upadków. La Fontaine wyciągnie z tego oportunistyczną moralność zdrowego rozsądku, każącą nam pilnować przedewszystkiém własnego interesu, trzymać na wodzy namiętności i nawet szlachetne porywy, ustępować przed silnymi a raczéj walczyć z nimi podejściem i podstępem; każe nam także drwić z każdéj wielkości, dowodząc, iż drobiazg wszelki jest bezpieczniejszy i mniéj narażony na wichry i pioruny. Jeżeli więc wiek XVII był dobrą gimnastyką dla umysłu, to bezpośredni jego życiowy rezultat był w wysokim stopniu smutny, zniechęcający i demoralizujący. Mówiono wprawdzie, że jeżeli człowiek sam przez się jest małym i słabym, to Bóg jest silnym i przez Niego człowiek wiele może... Ludzkość jednak ówczesna odwracała się już od Boga Ewangelii, który wymaga od niéj cnót bohaterów Corneille'a. Przyjmowała raczéj oportunistyczną etykę La Fontaine'a. W ten sposób rozpoczął się mniéj smutny wiek XVIII.

Jeden głos tylko protestuje przeciwko temu haniebnemu upadkowi — Pascal, największy człowiek i umysł XVII wieku, należący właściwie całą swą treścią wewnętrzną do naszego stulecia. Przenikliwy umysł Pascala widział dokąd zaprowadzi ludzkość ten konwencyonalny spirytualizm. Widział on zmysłowość podnoszącą się groźnie, obok rozumu, zniechęconego długiém swém panowaniem, jako reakcyą długo pomiatanéj zwierzęcości. Czuł on nowe, rodzące się w mgłach przyszłości pytania i starał się znaleźć na nie odpowiedź w Ewangelii, w chrześciaństwie. Dzieło jego nie zostało dokończoném, praca zaś nad niém wielkiego myśliciela jest rozdzierającym dramatem, z którego Szatan sam lub Voltaire tylko śmiać by się byli zdolni. Pascal rozumiał już wymagania nauki ścisłéj, pragnął zaś przytém zachować dotychczasowe zdobycze ludzkości, podnoszące godność ludzką i wskazujące człowiekowi szczytniejsze zadania do spełnienia. Duch jednak zwątpienia nie pozwalał mu znaleźć zadawalniającéj i ostatecznéj odpowiedzi. Trawiony gorączką i podkopany niszczącą chorobą, Pascal chwytał się rozpaczliwie za poły prawdy odwiecznéj, która mu się z rąk wymykała, pościł więc i umartwiał się; jak tonący brzytwy, tak on czepiał się nawet przesądu, zabobonu, talizmanów... doczekał się zaś tylko śmierci. Usiłowania te atoli, czyniące Pascala spółczesnym Balzaca i Edgara Poe, były protestem przeciwko szydzonym wielkościom wieku XVII i późniejszemu upodleniu. Pascal syntetycznym swym duchem i niezaspokojonemi pragnieniami należy do doby obecnéj, do przyszłości.

Wiek XVIII był dla Francyi długim snem, w którym społeczeństwo pogrążyło się w uciechach zmysłowych, bez szacunku dla przeszłości, bez troski o jutro. Lecz i w tym letargu kiełkowały już zarodki przyszłego życia. W owym czasie urodził się Kant, niemieccy zaś myśliciele zabierali się do wypowiedzenia idei, które miały wiek nasz zapłodnić. Voltaire, który żył tylko negacyą, pierwszy jednak zapoznał Francyą z Newtonem, a nawet przywiózł również z Anglii Szekspira, lubo filozof fernejski, jak i późniejsi romantycy, nie był w stanie całkowicie go pojąć, jak pojmował go Goethe. Romantycy dostrzegli w Szekspirze tylko wiele ruchu oraz formę swobodniejszą od klasycznéj, przeciwko któréj powstawali. I Wiktor Hugo nie wiele więcéj widział w mistrzu angielskim.

W wieku XVIII pojawił się również Jan Jakób Rousseau, poprzednik romantyków w rzeczach uczucia. Rousseau przypomniał nowożytnemu społeczeństwu chrześciańską iście skłonność do łez, Rousseau jednak płakać nie umié, jak Voltaire śmiać się — pierwszy jest płaksą, drugi drwi tylko. Bądź co bądź, pod wpływem czułych

romansów filozofa genewskiego („Nowa Heloiza“) świat przybrał minę poważną a potém i na dobre się rozbeczał.

W tych warunkach narodził się romantyzm. Uosabia go doskonale Teofil Gautier, drzémiący na tragedyach Racine'a, odegrywanych przez Rachelę. Umysł wieku zmęczony był wielkim wysiłkiem myślenia. Romantyzm starał się tylko odczuwać i poruszać się. Okres romantyczny umieścić można między latami 1810—1850, nie wszystko jednak w tym okresie czasu należy do romantyzmu. Z jednej strony wlokły jeszcze mizerną egzystencyą stare formy, z drugiéj rodziły się nowe. Balzac i Stendhal prześcignęli swój czas.

Ażeby oznaczyć dokładnie, co właściwie było romantyzmem, trzeba się przyjrzéć temu co podówczas uważaném było za nowe, za wyraz swego czasu. Szukając téj nowości, która entuzyazmowała generacyę 1820 roku, zobaczymy, że nie był to grunt namiętności, lecz tylko ich forma zewnętrzna, ruch, spryt.

Romantyk nie umié milczéć i skupić się; nie myśli, lecz czuje i mówi, a nawet krzyczy. Romantyk nie zamyka nigdy oczu, żeby się w siebie zagłębić, lecz otwiéra je szeroko, z całą naiwnością, jak dziecko, które się budzi dopiéro. Patrzy i dziwi się, zachwyca pozorami rzeczy, ich barwą i to mu wystarcza... Jest-to wielkie dziecko. Oto młodzieńcy o włosach rozrzuconych, pałającym wzroku, bladzi, zgorączkowani, do których świat się uśmiécha, oni jednak wolą samotność i ponure rozmyślania na ruinach przy świetle księżyca, lub ślą wyzywające spojrzenia piorunom. I nigdy spocząć nie mogą ci wieczni wygnańcy, korsarze, bandyci, zbuntowani... Cóż jednak za przyczyna téj rozpaczy? Żadna. Potrzeba jakiegoś wstrząśnienia wrażeń — komedya i poza. Jest-to potomstwo ojców XVIII-go w., którym wytłómaczono, że są małymi i słabymi, i którzy byli takimi, póki się nie zbuntowali i nie zburzyli wszystkiego. Potém przerazili się własnego dzieła i stracili pierwotną zawziętość, synom już jednak pozostawili tylko pozę i groźne spojrzenia bez powodu i celu. Ci młodzi buntownicy zwracali się przecie deklamacyjnie do Boga, szukali wzorów w wiekach średnich i pragnęli być korsarzami. Zresztą, podtrzymywali kult rozpaczy, równie bezcelowéj i nieumotywowanéj, która służyła im do popisów teatralnych. Sam wielki Byron nie jest wolny od tego zalotnego kultywowania własnych smutków, często urojonych lub wyhodowanych gwoli efektu. Na dnie tych rozpaczy leżą zwykle tylko deklamacye Rousseau. Tyle sławiony przez romantyków Walter Scott ma tylko fabułę z gruba ciosaną, pełną awantur, oraz opisy, treści zresztą żadnéj, tém mniéj charakterów. Pejzaż, dekoracya, strome skały, ruiny, fantastyczne kostyumy,

wschód, arlekinada wieków średnich — oto cały romantyzm, przynajmniéj we Francyi. Chateaubriand i Goethe należą do romantyzmu, lecz tylko częścią swych utworów. René i Werther to romantyzm, nie należą tu jednak ani *Génie du Christianisme*, ani *Martyrs*, ani „Faust“. Shelley, chociaż współczesny Byronowi, należy do doby obecnéj, romantyzm go nie znał. Wiktor Hugo jest zbiornikiem wszelkich formuł i natchnień, wogóle jednak twórczość jego jest nieosobowa i wydęta jak pęcherz. Musset i Lamartine reprezentują romantyzm w tém, co miał najlepszego. *Confession* to szczera spowiedź pisarza, sięgającego głębiéj niż cały romantyzm.

Mimo wszystkie jednak swoje błędy i braki, romantyzm był krokiem naprzód. Odkrył on świat wewnętrzny, którego przedtém nie dostrzegano, troszczył się o piękno pozorów, dekoracyi, wprowadził ruch do sztuki i dojrzał uczucie tam, gdzie dotąd szukano tylko rozumu. Zrobił przytém wiele dla formy i języka. Wzbogacił rytmy i rymy; wynalazł także prozę plastyczną.

W jaki sposób człowiek nowoczesny z dziecka stał się odrazu starcem? trzeba bowiem być starym, żeby notować tylko wrażenia, obserwować, analizować, wynajdywać przyczyny i skutki. Starcem owym stał się człowiek spółczesny przez reakcyą, zbyt wielkim bowiem był dzieciakiem. Po wielkiéj orgii hałasu i barw romantyzm poczuł wstyd pewien i potrzebę wzięcia się do czegoś na seryo, do poznania gruntu rzeczy, gdy dotychczas zadawalniał się tylko pozorami. Z tych refleksyi zrodził się n a t u r a l i z m. Ten grunt zdawał on się odnajdywać w fizycznych podstawach życia, zasiadł więc w laboratoryach i salach dysekcyjnych. Co za nagła zmiana! Było to wytrzeźwienie po nocy pijackiéj i burzliwéj, nie wolne od gorzkiego „*Katzenjammeru*“. Zarzucono dalekie podróże i rozległe widoki, nie wyruszając z domu i zajmując się z zamiłowaniem drobnemi zjawiskami, zaobserwowanemi, zbadanemi, znanemi. Jeżeli romantycy byli szaleńcami i dalekowidzami, to naturalista jest rozsądnym i krótkowzrocznym. Naturalizm przytém jest szkołą czysto francuską. Francya jest dla niego, z saméj już zasady, jedyném polem obserwacyi. Co dalekie i niezrozumiałe, nie obchodzi go wcale. Romantycy czytali Szekspira i Goethego, naturaliści zagłębiają się w Balzacu i Claude-Bernardzie. Znakomity ten fizyolog wpłynął może najwięcéj na pojawienie się naturalizmu. Wywołał go wogóle nowoczesny ruch naukowy. Starano się wyjaśnić tajemnice życia przy pomocy praw rządzących zjawiskami fizycznemi. Naturalizm, będąc reakcyą przeciwko nadużyciom wyobraźni, zamknie się własnowolnie w ciasnych, lecz pewnych niby granicach. Ideał, piękno, wola zostaną zapom-

niane. Naturalizm okrawa, zmniejsza naturę i człowieka, o Bogu nie wspomina wcale, wyraz zaś „mistyczny“ uważa za obelgę. Naturaliści powołują się na Balzaca i Flauberta, robią jednak w nich wybór bardziéj arbitralny, niż romantycy w Szekspirze i Goethem. W Balzacu pomijają *Serafitę, Louis Lambert*, z Flauberta zaś biorą tylko *Madame Bovary*, pozostawiając na stronie *Salambo* i *Tentation*. Naturalizm jest zjawiskiem zbyt bliskiém i znaném, ażebyśmy się nim dłużéj zajmowali. Morice powiada, że jest-to jakby dług sumienia ducha nowożytnego, przeciążającego się studyami filozoficznemi, nim przystąpi do „wielkiéj syntezy“. Zasługą naturalistów jest dostrzeżenie przeoczanych dotąd pobudek fizycznych, błędem zaś przypisywanie im zbyt wielkiego znaczenia. Poniżyli przez to człowieka.

II.

Rozpatrywaliśmy dotychczas pobieżnie kierunki analityczne, obecnie zaś przyjrzymy się syntetycznym początkowaniom, torującym drogę prostéj, symbolicznéj syntezie.

Kiedy po upływie długiego klasycznego okresu—mówi Morice—następowały krótsze peryody, romantyczny i naturalistyczny, kilku poetów, zresztą mniéj lub więcéj wmięszanych do jednego z tych prądów, odkrywało lub raczéj przeczuwało dopiéro pełniejszy ideał estetyczny, bardziéj oddalony, wyzwolony z powijaków analitycznych, szerszy, a jednocześnie i lotniejszy, zmierzający ku bezwzględności. Żaden z tych, o których przyjdzie mi teraz mówić z pełną szacunku radością,—pisze daléj Morice — nie budzi w nas tego zachwytu, o jakim marzymy. W żadnym z nich nie objawia się ten geniusz, o którym mówi Edgard Poe, że „wynika z umysłowéj mocy, równomiernie ustosunkowanéj, tak iż żadne z uzdolnień nie ma nieprawéj przewagi.“ Taki doskonały geniusz nigdy się nie zjawi, tymczasem zaś każdy z pisarzów, o których chcemy mówić, ma błyski świetlane, których nie spotykamy gdzieindziéj; dzieła ich otwiérają nowe, bezgraniczne widoki. „I nic nie zjawi się nowego, coby nie było im winne wdzięczność powolną.“

Na czele tych literackich Janów Chrzcicielów literatury jutrzejszéj stoją Chateaubriand i Goethe. „W nich poczucia mistyczne i naukowe skupiają się i przychodzą do świadomości. Poczucia te są krańcowemi biegunami umysłu ludzkiego, połączone jednak zmysłowością estetyczną, świadczą one o potężném i spółczesném dążeniu tego umysłu do zlania potoków, mistycznego i naukowego, w jedną wielką rzekę Piękna, połączonego z Prawdą“ (177).

Nauka niedawno chciała wykreślić słowo Tajemnica, jedném zresztą pociągnięciem pióra wymazała i inne wyrazy: Piękno, Prawda, Pogoda, Ludzkość. Ilustrował tu naturalizm, pokazując nam grubianów, nie mających istotnie nic tajemniczego, którym jednak brakło zarówno tajemniczości, jak i prawdy. „Dziś sztuka wydziera znowu nauce nietylko to, co ta ostatnia jéj zagarnęła i przywłaszczyła sobie, lecz coś nawet z właściwéj dziedziny umiejętności.“ Reakcya przeciwko „impertynenckim i doprowadzającym do rozpaczy negacyom literatury naukowéj“, przejawiła się początkowo we wznowieniu studyów psychologicznych, które lubo nie zawsze opiérają się na fizyologii, to przecież nie zrywają z nauką ścisłą. Reakcyę tę dostrzedz można również w niespodzianéj restauracyi poetyckiéj katolicyzmu w utworach Barbey d'Aurevilly, Villiers de l'Isle-Adam'a i Pawła Verlaine'a, aczkolwiek katolicyzm ten, wrogo widziany przez urzędowych jego przedstawicieli, ma raczéj charakter powrotu ku źródłom żywym przeszłości. Być może, iż idąc ku nim, wzmiankowani poeci spotkali po drodze katolicyzm w chwili jego rozkwitu i prawdy, pociągnęły więc ich te zmarłe piękności i wskrzesili je.

Przypomniano sobie również wielu zapomnianych już zdało się pisarzy: Stendhal, Vigny, Sénancour, Gérard de Nerval i ich utwory: *Le Rouge et le Noir*, *Les Destinés*, *Obermann*, *Le Rêve et la vie* stały się znowuż biblią pokolenia, wczytującego się w nie około r. 1880-go. Stendhal — wielka i namiętna inteligencya, pełen przedziwnéj intuicyi; Alfred de Vigny — czarny Rafael, samotnik, dusza wzniosła i czuła, zraniona, w którego utworach doszukać się można o wiele głębszych, niż w „Manfredzie”, protestów przeciwko niesprawiedliwości Boga i warunków życia naszego; Sénancour, trawiony gorączką nadziei, umysł niestały i zrozpaczony, pełen rozdźwięków między marzeniami rozumu a potrzebami serca, poeta, mający równie, jak Shelley, poczucie poezyi panteistycznéj, i wreszcie Nerval, pełen intuicyi wewnętrznéj, rozumiejący metafizykę i wewnętrzne znaczenie legend. Hugo ma także przeczucia przyszłości, oświecając *„le crépuscule des choses futures“*, mrok rzeczy przyszłych, podobnie jak Michelet, który historyę pojmuje, jako „uprzyszłościowienie przeszłości“ (*futurition du passé*).

Zbliżamy się jednak do dwóch wielkich poprzedników symbolizmu, których imiona: Balzac i Wagner. Balzac, przyjmując określenie pani Necker, że „powieść winna być lepszym światem“, dodaje: „lecz byłaby ona niczém w tém szczytném kłamstwie, gdyby nie była prawdziwą w szczegółach“, i gdyby nie odtwarzała realnych, konwencyonalnych i społecznych warunków egzystencyi. Balzac ożywia to

wszystko syntetyczną zasadą „jedności kompozycyi“, będącą naczelném prawem twórczości artystycznéj i podstawą sztuki nowoczesnéj. Balzac zdaje sobie doskonale z tego sprawę, że poeta nie powinien ulegać kaprysom natchnienia i że „geniusz jest właśnie wolą istoty natchnionéj“; że „geniusz ten kierowany wolą, ta zaś kierowana rozumem, winien znaleść zupełny swój wyraz w danym i całkowitym momencie twórczym“ (191) [1]). Jedność twórczości Balzaca jest atoli jeszcze sztuczną, opartą bowiem na osobistościach, nie zaś na ideach. Brakiem Balzaca jest to, że nie zadawalniał się tém „pięknem idealném“, o którém wspomina, że pozostawił rozdzielonemi prawdę i sztukę, absorbując się zbytnio szczegółami. Gdyby Balzac przejął się bardziéj czystą fikcyą idealną, sięgnąłby aż do szczytów religii sztuki. W *Seraficie* zbliżył się on do téj ziemi obiecanéj, nie wszedł do niéj jednak, jak i legendowy Mojżesz. Sam on to przeczuwał poniekąd, mówiąc w przedmowie do téj powieści, dedykowanéj Ewelinie Hańskiéj, że czytać ją powinny tylko umysły „wolne od drobiazgów światowych wskutek samotności, ci bowiem tylko zdolni jéj dać właściwą miarę melodyjną...“ Prosi następnie, ażeby przyjęto ten jego utwór wybrany, „jako balustradę rzeźbioną przez artystę pełnego wiary, i na któréj mogliby się opiérać pielgrzymi, rozmyślając nad końcem (celem) człowieka i przypatrując się arkadom pięknego kościoła.“ Jest w tém przeczucie „absolutu estetycznego“, — jak powiada Morice,—Balzac jednak chętniéj zwracał się do roli socyologa i historyka obyczajów, lubo stara się zawsze podchwycić „utajony sens wydarzeń“ i przekonać się, o ile społeczeństwa uchylają się, lub zbliżają do odwiecznych praw prawdy i piękna.

Ryszard Wagner, który cieszy się wielką popularnością między symbolistami francuskimi [2]), dokonał — mówi Morice — dwu rzeczy: unii wszystkich form artystycznych i syntezy spostrzeżeń i doświadczeń w fikcyi. W teatrze Wagnera: muzyka, sztuka sceniczna, poezya wspierają akcyę. Krytyk wyraża jednak trzy żale, iż dzieło niemieckiego mistrza nie jest jeszcze doskonałością, któréj osiągnięcie zresztą w całéj pełni pozostanie zawsze tylko marzeniem. Otóż, po pierwsze: „unia“ nie jest „syntezą“. Żaden pierwiastek w niéj nie

---

[1]) Idea ta nie jest wyłączną własnością ani Balzaca, ani Alfreda de Vigny. Wiktor Hugo zna ją. Lamartine stara się ją urzeczywistnić w „Jocelyn'ie“. Balzac jednak ideę tę rozwinął najdaléj. (Przyp. Morice'a).

[2]) Patrz między innemi artykuł Emila Hennequin'a w „Revue Wagnérienne“, Paris, nov. 1885 p. t. „L'esthétique de Wagner et la doctrine Spencérienne.

góruje i w tém zdaje się leżéć błąd. Poezya, jako najbliższa myśli, winna zajmować w zjednoczeniu takiém miejsce naczelne, kierujące, uzupełniając się pozostałemi sztukami. Muzyka winna stwarzać atmosferę dla słowa i dopełniać to, co się wypowiedziéć nie da. Na nieszczęście dla sztuki, Wagner jest więcéj muzykiem niż poetą, stosunek więc jest odwrócony. Następnie, Wagner dokonywa, jak powiedzieliśmy, syntezy, obserwacyi i eksperymentów w fikcyi,—fikcya tu jest historyczna i legendowa, byłoby zaś do życzenia, ażeby przejawiała się po za obrębem miejsca i czasu, jako rozkwit marzenia w jego własnéj dziedzinie... Prócz tego, Wagner, podobnie jak Balzac, choć nie zapomniał o potężnym wdzięku motywów głęboko religijnych, nie dokonał jednak zasadniczéj unii religii ze sztuką, w formie pierwotnego zjednoczenia piękna i prawdy. Wagner pojmował samo zadanie, nie umiał jednak należycie go rozwiązać. Ogranicza on sztukę w jéj dążeniach ku prawdzie, do „ułatwienia pojęcia boskiéj prawdy, zawartéj w religii, a to przez idealne przedstawienie jéj alegoryi.“. O jakiéj religii mówi mistrz—zapytuje Morice—w czasach, kiedy krytyka porwała w kawałki stare myty religijne, które dawniéj czczono? Krytyka spółczesna nie pozwala nam wierzyć w rzeczy nie do uwierzenia, a jednak umysł nowoczesny spragniony jest równie, jak i umysł dawny, pięknych tajemnic...

Edgar Poe i Baudelaire, znowuż dwaj przodownicy „Świętéj uczty“. „Objawienia“ ich nie tyle rozległe, za to ostrzéj zarysowane. Poe, niezrównana „świadomość poetycka“, wyjątkowy, świadomy siebie zupełnie geniusz twórczy. Inteligencya jednocześnie ścisła i transcendentalna [1]). W nim wszystko się spirytualizuje i składa w syntezę, lubo opiéra się na wrażeniach nadzwyczaj silnych i realnych. Zadziwiający przytém dar widzenia, prawie przewidywania, zmysł wyjątkowości i osobliwości, a przytém poczucie liryki w saméj nauce ścisłéj. Słyszymy nieraz pytania,—mówi Morice — w jaki sposób nauka pogodzi się ze sztuką? Otóż sztuka dotykać się będzie naukowego gruntu, ażeby tém wyżéj i śmieléj wznieść się na skrzydłach intuicyi, jak tego Poe dał przykład w *Eureka*, poemacie o szerokim wykładzie religijnym, naukowym i lirycznym, jakiego pozazdrościć może „Faust“. Melancholia jest główną cechą artyzmu amerykańskiego nowelisty, Poe nie miał bowiem jeszcze przed sobą rozległéj i radosnéj perspektywy, która będzie może udziałem przyszłości. Baudelaire, przejęty również smutkiem do głębi „nakreślił

---

[1]) Patrz wyborne studyum Hennequin'a o Edgarze Poe w „Ecrivains francisés“. Paris, 1889.

sztuce, jako książę ciemności, promień czarnego światła.“ Umiał on z niezwykłą siłą wtedy, kiedy poezya poprzestawała na opisach zewnętrznych, „odtworzyć stany chorobliwe, nader trudne do pochwycenia i nadzwyczaj mętne umysłów wyczerpanych i dusz smutnych“, jak mówi jeden z jego naśladowców spółczesnych, J. K. Huysmans (autor *Au rebours*, *La Bas*). Otwierał on drogi tajemne do bezdennych, dusznych przepaści. Baudelaire sam jest zmysłowcem (*un sensuel*), skazanym na mistycyzm, obcy wszelkim naukowym wyjaśnieniom, tonący w falach występku, na który patrzy surowemi oczami łacińskiego księdza. Wiersz francuski wiele zawdzięcza twórcy „Kwiatów złego“ (*Fleurs du Mal*).

Flaubert, Saint-Beuve, Leconte de Lisle i szkoła parnaska przyczynili się również do sprowadzenia „wielkiéj rewolucyi literackiéj“. Flaubert doprowadził do doskonałości język, prozę francuską. Sainte-Beuve jest cały w odcieniach. Od niego datuje się „suggestya literacka“, podsuwająca obrazy i uczucia bez dokładnego ich opisania. Wiersze jego są często ciekawą prozą rymowaną. To, co dla prozy zrobili ci dwaj pisarze, dla poezyi zrobili Leconte de l'Isle, Teodor de Banville i Parnasczycy. Niefortunni naśladowcy Lamartine'a i Musseta rozluźnili i upośledzili formę poetycką. Leconte de l'Isle położył tamę temu rozlewowi, odziawszy swą podniosłą, smutną i jakby obojętną poezyę w formę skończenie piękną, surową, wyrzeźbioną. Najlepsi młodzi poeci poszli w jego ślady, zamykając chłodne obrazy, lub refleksye w formę bez zarzutu. Parnas był reakcyą przeciwko wykoślawieniu formy, a następnie i myśli romantycznéj. Było może wiele przesady w formule „sztuki dla sztuki“, artyzm jednak wygrał na niéj bardzo wiele. Parnasczycy zresztą, dbający tylko o „wrażenie“, sprowadzili formułę powyższą do daleko ciaśniejszéj: „forma dla formy“. Bądź co bądź jednak, doktryna ich była dla danéj chwili nieodzowną. Przekuli oni i zahartowali wiersz francuski, uczyniwszy go zdolnym do dalszego wydoskonalenia, oraz do posługiwania się nim w szerszych celach artystycznych.

Ciekawe widowisko — mówi Morice. — Kiedy formuła naturalistyczna rozwija się w powieści, Flaubert, Saint-Beuve, Leconte de l'Isle, Teodor de Banville, Catulle Mendès, Leon Cladel, Leon Dierx, Franciszek Coppée, José Maria de Heredia, Armand Silvestre, a nawet i przedstawiciele nowéj formuły, symbolizmu, Paweł Verlaine, Villiers de l'Isle Adam, Stefan Mallarmé, pracują użytecznie i niezmordowanie nad wyprostowaniem i oszlifowaniem narzędzia sztuki, prozy i wiersza. Prócz jednak tego wspólnego dzieła, każdy z artystów spełnia właściwe sobie zadanie. Niewątpliwie jednak, pierwia-

stek artystyczny przeważa tu nad poetyckim. Flaubert i Leconte de l'Isle są przytém ostatnimi poetami „historycznymi“, następnie bowiem troska o zgodność z rzeczywistością i drobiazgowość stają się „tyranią“, wzbraniającą dalszych wycieczek. Pozostają oni wierni fikcyi (zmyśleniu), nie dają jéj atoli żadnego nowego akcentu. *La Tentation de St. Antoine* i *Salambô*, *Les Poëmes Antiques* i *Les Poëmes Barbares* są utworami podobnemi do *Martyrs* i *Notre Dame de Paris* z większą tylko wiernością w drobiazgach. Krzyczą oni mniéj głośno, niż ich poprzednicy, skarga ich jednak jest wyrazistsza i szczersza. Nie lamentują z powodu zawodów miłosnych, lecz dlatego, że widzą wokoło siebie same ciemności, że „wstyd im myśléć i hańba być człowiekiem.“ Skarga ich przytém nietylko jest głębszą od przestarzałych żalów romantycznych, lecz jest więcéj miarową, estetyczną, piękną, tą pięknością, która zadawalnia już połowę pragnień... Sztuka—mówi daléj Morice—zrobiła w ten sposób znaczny krok ku swéj misyi boskiéj. „Skoro piękno jedyną swą obecnością koi nasze cierpienia, lub daje przynajmniéj siłę znoszenia życiowego jarzma, czyż nie jest ono już prawie religią?“ Myśl u tych dwóch pisarzy zstępuje ku swym egipskim i wedyjskim początkom, ażeby tam znaleść jakiś metafizyczny posiłek dla piękna. Obiektywizm tych artystów jest wymaganiem chwili, sztuka bowiem w swéj najistotniejszéj treści jest subiektywną.

Zmarły niedawno Teodor de Banville, był jednym z mistrzów szkoły parnaskiéj i wywarł wpływ nie mały na najmłodszą poetycką generacyę we Francyi. Obcy prawie troskom i zabiegom dnia, Banville śpiéwał sobie wciąż, jak ptak na gałęzi, radując się wiosną i słońcem. Jest pewna dziecinna naiwność w poezyach tego mistrza Parnasu, lubo Morice zapewnia, iż miał on poczucie rzeczy ukrytych i „odczuł wielki dreszcz młodéj generacyi, która chce wiedziéć tam, gdzie przodkowie wątpili; czuł on również, że sztuka oprze się na metafizyce i że starać się będzie wydrzéć tajemnicę odwiecznéj Izydzie...“ Banville, według tegoż autora, nie zaszedł tak daleko, ażeby miał powiedziéć, iż piękno i prawda to jedno, użyteczność jednak poezyi widział w towarzyszącém jéj pięknie. Autor *Odes Funambulesques* nietylko cyzelował starannie kunsztowne swe wiersze, lecz nadto napisał bardzo ceniony traktat o poetyce p. t. *Petit Traité de la Poësie française*, w którym powiedział między innemi, że poezya jest z istoty swojéj liryczną, że rym jest syntezą wiersza, że dramat winien być odą dyalogowaną, określił stosunek fikcyi do rzeczywistości, etc.

Catulle Mendès jest również zasłużonym parnasczykiem. Więcéj artysta, niż poeta w swych wierszowanych utworach, zrobił je-

dnak wiele dla formy artystycznéj. Jest także historykiem Parnasu w niedawno wydaném dziełku p. t. *La Legende du Parnasse contemporain.* Morice powiada, że i on także odczuwa przyszłe zadania sztuki, że przebywa między przeszłością i przyszłością, zajmuje się jednak specyalnie robotą drugorzędną, doskonaleniem formy...

Leon Dierx posiada inteligentną intuicyę natury, przesiąkniętą melancholią i sztuką w stopniu wysokim. Jest nawskroś poetą. Franciszek Coppée, także z Parnasu, jest również poetą, młoda generacya nie znajdzie jednak w nim wskazówek co do przyszłości. Hérédia, wielki mistrz sonetów. Armand Silvestre, jako poeta, pełen liryzmu. Autor kilku przepięknych strof w *Paysages Métaphysiques.* W prozie satyr i *un rabelaisien.* Leon Cladel, uczeń Baudelaire'a, utalentowany jednak tylko malarz obrazów wiejskich.

Między istotnymi „inicyatorami“ wymienia Morice Edmunda de Goncourt i Barbey d'Aurevilly. Główną zasługą Goncourta, mówi nasz krytyk, nie jest ani „bibelotyzm“, ani japońszczyzna, ani studya szpitalno-naturalistyczne, lecz „modernizm“, poczucie ruchu, życia, zmian i wreszcie „fizyognomii“, którą G. nazywa duszą i powabem nowoczesnego piękna.“ Idąc w tym kierunku, Goncourt umiał nieraz pochwycić „syntezę duszy ludzkiéj“, dostrzegając przytém w niéj wszystkie odcienia i przelotne wrażenia. Język twórcy *La Faustin* jest w wysokim stopniu osobistym. Wadą tego mistrza, według Morice'a, jest „zupełny brak ciekawości dla boskich tajemnic“, brak wszelkiego „zmysłu religijnego“. Goncourt jest człowiekiem XVIII-go wieku, który tak umiłował. Barbey d'Aurevilly, przeciwnie, jest stałym rycerzem wiar dawnych. Jest-to umysł nowoczesny, który jednak pozostał wiernym ewangelii, a nawet gotów jest stawiać zapory nowoczesnéj, swobodnéj myśli naukowéj, która żadnych przegród nie uznaje. Umysł nowoczesny rozbija i niszczy, powiada Morice, wszystkie tamy, ażeby tém bliżéj dotrzéć do źródła prawdy. Ta wielka bezbożność i świętokradztwo jest najczystszym pietyzmem. Nawet wandalizm wielkiéj rewolucyi można w gruncie nazwać porywem duszy ludzkiéj ku Bogu... D'Aurevilly jest bardzo surowym dla téj „miłości bezwiednéj“. Jest jednak artystą.

Hr. Villiers de l'Isle-Adam jest już jednym z bezpośrednich zwiastunów symbolizmu. Bretończyk, przejęty zarówno mistycyzmem jak i nauką spółczesną, nie odrzucającą tajemnic, poeta ten w prozie jest pełnym ducha religijnego. Pochodzi raczéj od klasyków i romantyków, lubo i naturalizm dotknął go za pośrednictwem Balzaca i Flauberta.—Joris-Karl-Hüysmans, Flamand z pochodzenia, nabrał naprzód w naturalizmie nienawiści dla idei, wybawiony jednak

został z téj przepaści przez modernizm, co doprowadziło go do poczucia sztuki całkowitéj (*l'Art integral*), lubo trzymany jest jeszcze w więzach pesymizmu i czarnego mistycyzmu. — Pani Judyta Gautier (córka Teofila) jest pełna czci dla piękna w swych historycznych lub fantastycznych powieściach.

Paweł Verlaine, to już patryarcha i mistrz symbolizmu. Zbiegły się w nim niejako wpływy Chateaubrianda i Goethego, lubo dwa te prądy czasem się rozchodzą. *Fêtes Galantes* są pełne mistycyzmu, *Sagesse* zawiera sporą dozę sensualizmu. Połączenie tych pozornie wyłączających się natchnień stanowi modernizm poezyi Verlaine'a. Ścierają się w nim sprzeczne i wyłączające się nawzajem dążenia ku czystości anielskiéj i zmysłowości szatańskiéj. Kontrasty rysują się niekiedy nadzwyczaj silnie i sprawiają, iż autor „Poetów Wyklętych“ (*Les Poëtes Maudits*) przechodzi od zmysłowych rozkoszy do ekstazy religijnéj i tak głębokich i przeczystych pragnień, a raczéj pragnień oczyszczenia, że to zrobiło go jednym z najszczerszych i najgorętszych poetów katolickich wszystkich czasów. Verlaine jest jednym z wielkich poetyckich geniuszów i nader rzadką indywidualnością. Dziś starzec prawie i nędzarz, jest on jednak żywém wcieleniem najnowszego zwrotu w poezyi francuskiéj. Morice charakteryzuje go w sposób następujący: „Sprzeczne wysiłki jego życia ku czystości i rozkoszy łączą się w jednym wysiłku myśli, kiedy wybija godzina nadania im formy artystycznéj, z taką siłą niezwykłą, że stawia go to oddzielnie od innych spółczesnych („modernistów“). Sprawia to niewątpliwie jego naiwna energia życiowa. Dla Verlaine'a czysta fikcya nie istnieje. Ponieważ człowiek w nim jest „egzasperacyą“ człowieka spółczesnego, mógł więc Verlaine, nie uciekając się do innych dokumentów, jak własny swój los, stworzyć dzieło osobiste, bliskie jednak nam wszystkim i które, skoro bohatér zniknie ze sceny życiowéj, obiektywizować się będzie coraz bardziéj i stanie się celem najgłębszego westchnienia duszy spółczesnéj. Trzeba było jednak całéj siły i prostoty Verlaine'a, ażeby cel ten bezwiednie osiągnąć. Mając własne jedynie namiętności za materyał sztuki, gdyby był nieco sztucznym i mniéj szczerym, nie stworzyłby tak jednolitego pomnika. Zbawił go prosty instynkt życiowy, który nietylko podbił inteligencyą, lecz który cudem jakimś zasymilował ją, spirytualizując się w ten sposób i materyalizując z drugiéj strony sam umysł, „realizując“ w ten sposób ideał“... Verlaine dokonał jednak jeszcze czegoś więcéj i dokonał tym razem z pełną świadomością swego zadania i śmiałym polotem. W swych *Romances sans Paroles* rozbił on zbyt ciasną już formę artystyczną, w którą parnasczycy zamknęli wiersz poetycki.

Zasada téj „wielkiéj rewolucyi“ była już w zarodku u Sainte-Beuve'a, nie miał on na to jednak dość śmiałości i mocy. Poezya Verlaine'a samorzutnie niejako rozwija skrzydła do bystrego lotu, w myśl téj uwagi Taine'a, że „forma zdaje się unicestwiać i znikać, co wydaje mi się nader znamiennym rysem poezyi nowoczesnéj.“ Nie jest-to jednak bynajmniéj rozluźnienie i zaniechanie wielkiéj formy, lecz przeciwnie—wydoskonalenie jéj, uczynienie z niéj elastycznego i potężnego narzędzia. Inowacye, wprowadzone przez Verlaine'a do wierszowania, zyskały już dziś aprobatę nawet oględnych estetyków. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia następującéj reguły poetyckiéj Verlaine'a:

De la musique encore et toujours!
Que ton vers soit la chose envolée
Qu'on sent qui fuit d'une âme en-allée
Vers d'autres cieux et d'autres amours.

Que ton vers soit la bonne aventure
Eparse au vent crispé du matin,
Qui va fleurant la menthe et le thym,
Et tout le reste est littérature.

Verlaine zakreślił także wyraźną granicę między poezyą a prozą, dając formie poetyckiéj charakter syntetyczny, muzykalny, malarski, suggestyjny i pozostawiając prozie, którą także mistrz włada wybornie, analizę, wyjąwszy kiedy występuje ona w charakterze symbolicznym, lub odtwarza wrażenia bezpośrednie... W swych „*Poëte Maudits*“ wymienia Verlaine Artura Rimbaud, posiadającego wszystkie tajniki wiersza, poetę i nieporównanego poetyckiego prozaika (w poezyi: *Le Bateau Ivre*, *Les premières Communions;* w prozie: *Les Illuminations*, *Une Saison en Enfer*).

Drugim, obok Verlaine'a, mistrzem symbolizmu jest Stefan Mallarmé. Sam ogłosił dotąd mało poezyi (*l'Après Midi d'un Faune*), wprowadził jednak wiele również inowacyi w formie poetyckiéj i świadomie nakreślił nowe drogi dla sztuki poetyckiéj. Myśli rozwijane o symbolizmie, jak o ogólném zadaniu i religijném znaczeniu sztuki, o prawach poezyi i wiersza, o teatrze jako najwyższéj syntezie sztuk, o prozie i poezyi wspierających się nawzajem w usiłowaniach artystycznych i t. d., są to myśli Mallarmé'go. Jest on mentorem młodego pokolenia poetów francuskich, którzy zbiérają się w mieszkaniu mistrza, przynoszą mu próbki swych natchnień i wspólnie radzą nad wielką przyszłością poezyi...

III.

Nim przejdziemy do scharakteryzowania młodéj drużyny symbolistów, zatrzymać się musimy przez chwilę na objawach przejściowych. Kiedy burza jest już w powietrzu, pisklęta zaś jeszcze się nie wykluły, wieśniacy powiadają, że chybią one przez pół przynajmniéj i będą bezpłodne. Było właśnie przedburze—powiada Morice—kiedy wzrastali: Richepin i Loti. Mimo wielu dobrych chęci, płody ich nazwać trzeba poronionemi. Loti wreszcie ma najodpowiedniejszego towarzysza w Daudet'cie. Jeden uraczyć was może kwintesencyą paryzyanizmu, drugi, skoro was to zmęczy i zdenerwuje, wywieść na szerokie morze, ułożyć na miękkiém posłaniu z trawy morskiéj i opowiedzieć zajmujące historye o czułéj Rarahu lub słodkiéj Chryzantemie... Morice zbyt jest surowym dla tych dwu pisarzy. Zarówno *Jack*, jak i *Tartarin* Daudeta mają swój powab i wartość, a opowiadania Loti'ego mają swój czar egzotyczny, nie ulega jednak wątpliwości, że nie szukać u obu autorów myśli głębokich, zapowiadających przyszłość lub nacechowanych mistycyzmem, religijnemi zadaniami sztuki i t. p. Biédni, urodzili się przed burzą, w czém cała ich wina. Nawet rozczochrany Richepin nie może znaleść sobie miejsca. Naśladuje on Villon'a (średniowieczny poeta francuski, *genre canaille*), Beaudelaire'a, Hugona, Banville'a, z pewném nawet radykalném zacięciem. Nie idzie jednak! Naśladuje więc jeszcze: Lukrecyusza, Leconte de l'Isle'a, Coppée'go, Verlaine'a. *Ça ne va pas toujurs!* Jest oberwańcem (*chansons de gueux*), ateuszem (*Blasphèmes*), a wreszcie mistykiem. Jest także nieskazitelnym naturalistą w swych powieściach. Fatalne przedburze! Podobnie postępuje Bergerat (Caliban), Montégut, a wreszcie Maurycy Rollinat, „najbardziéj interesująca ofiara tych czasów przejściowych". Poeta zapowiedział się jako szczery i intuicyjny malarz natury wiejskiéj: „bezbrzeżnych równin, gdzie oko doznaje halucynacyi nieskończoności, starych chat pochylonych, zamieszkałych przez ludzi przybitych i przygnębionych, niepokojących banalności małéj zagrody chłopskiéj, małego i okrutnego często światka, grzebiącego się w błocie wraz z żabami i ropuchami." Śród tych pól i ludzi prostych Rollinat był poetą. Sława przygnała go do Paryża i Paryż go zabił. Poeta pełen prostoty, chciał się tu zrobić skomplikowanym, ponieważ zaś to sprzeciwiało się jego naturze—zginął. Stąd *les Névroses*. Widząc, że sława równie szybko opuszcza go, jak przyszła, poeta wrócił do swoich pól, wrócił jednak psychologiem i ślepym. Gaz paryski spalił mu oczy o spojrzeniu

przenikliwém i naiwném. Krytyk nie wymienia wszystkich „bladych widm“, półokresów przejściowych między romantyzmem a parnasem, równie jak między parnasem a dekadentyzmem... Opuszczamy zresztą tych nawet, których wymienia. Tu mieści się grupa mało znanych poetów, zbliżonych do parnasczyków, którzy opiewali różne zakątki prowincyi francuskiéj. Morice jest bardzo surowy dla téj rozproszonéj i zamiłowanéj w swych ziemiach dziatwy Apollina. Zarzuca im, nawet przedstawicielom literatury prowansalskiéj, brak silnego indywidualnego akcentu i szerokiego polotu, hołdowanie natomiast regułom akademickim i konwencyonalizmom lokalnym. Bouchor zasługuje na szerszą wzmiankę. Przyjaciel Richepin'a debiutował w rodzaju grubo i drastycznie podkreślanym, miał téż chwilowo powodzenie, które go jednak szybko opuściło, lubo poeta wciąż pracował i... zbliżał się do rodzaju idealno-mistycznego, który początkowo przedrwiwał. Zabija go nadmiar myślenia na wzór Sully-Prudhome'a, który według Morice'a nie jest poetą, lecz tylko rymującym prozaikiem, filozofem i dydaktą. Niemałą zasługą Bouchor'a jest, że zrozumiał potrzebę zwrócenia się po natchnienie do dawnych poetów, magów, metafizyków i starych wierzeń, wiary mu jednak zabrakło, stąd wyczerpanie i bezpłodność. Paweł Bourget, także typ przejściowy. Zaczął dobrze, biorąc za punkt wyjścia Balzaca, Baudelaire'a i Stendhala, zainaugurował reakcyę przeciwko naturalizmowi, postawiwszy na miejsce czucia uczucie i robiąc powieść psychologiczną“, tchu mu jednak i siły zabrakło. Zabłąkał się w drobiazgowych kompromisach, podszytych zniechęceniem. Zamiast iść daléj siłą pierwszego pędu, uwikłał się w drobne „dokumenta“, fatałaszki i błahostki, tém różne od naturalistycznych, że eleganckie, mdłe i pachnące piżmem toaletowém. Bourget jest utalentowanym krytykiem w duchu Sainte-Beuve'a i Taine'a, lubo i tu lepiéj zaczął, niż kontynuje... Ocena to znowu nader surowa. Morice przyznaje pewne zalety początkowym próbom poetyckim Bourget'a i powiada, że wiersze Juliusza Lemaitre'a (takie „debiutanckie“) lepsze są od Sully-Prudhomme'a. Krytyka jednak Lemaitre'a jest bez zasad, lubo oparta na dużéj inteligencyi, co zresztą tém łatwiéj otwiéra drogę do „dylentatyzmu“. Około Bourget'a postawić można grupę powieściopisarzy idealno-realnych, często utalentowanych, jak de Bonnières, Pouvillon, Lavadan, Case i t. d. Z téjże grupy Mirbeau, podobnie jak Bloy, Drumont wznowili pamflet, zdawało się już zapomniany. Co za las nieprzebyty ta literatura francuska! lubo w lesie tym są duże polany tylko krzakami zarosłe; przez krzaki jednak przedzierać się jeszcze trudniéj...

Krytyk prowadzi nas jednak i do wielkiego dębu, strasznie rozłożystego, któremu miano Ernest Renan. W spółczesnéj literaturze (nie mówię o nauce) francuskiéj zajmuje on bardzo wiele miejsca jako najwybitniejszy przedstawiciel „dyletantyzmu“. Kto nie jest nim zarażony i kto w tém może sprostać wielkiemu mistrzowi! Epigonowie, jak zwykle, strasznie ów dyletantyzm zabagnili. Oczywiście jest on nienawistny symbolistom, którzy zmierzają do jednolitéj syntezy i stałych przekonań, nawet do wiary szczeréj, głębokiéj i niepodrabianéj, do wiary w naukę, sztukę i religię, stopionéj w jedno „wierzę“!

Posłuchajmy jak Morice charakteryzuje dyletantyzm: „Kraina, mówi, do któréj się zbliżam, jest najdziwniejszą w świecie. Widać ją już zdaleka, owianą w mgły mdłe i blade; nie trzeba nawet zbytnio się przybliżać, ażeby się dowiedziéć, iż leży ona w strefie gorącéj: jednakowoż słońce jéj nie grzeje. Z oddali zdawałoby się, iż jest to państwo odpoczynku i obojętności, skoro atoli bliżéj się przyjrzymy, widzimy ognisko straszliwéj działalności: tylko celu téj działalności pochwycić nie możemy. Ludzie jacyś biegają tam i sam, śpiesząc się i zabiegając z uśmiechem na ustach, który noszą jak maskę. Idą w pole, nie przynoszą jednak stamtąd ni owoców ni kwiatów. O wszystko się ocierają, nie dotykają przecież niczego. Modlą się téż kolejno, to w świątyni Jowisza Ammońskiego, to w kościele Jezusa Chrystusa. Nie mając wiary, pogrążają się w studyach, które wiara jedynie uprawnia i zapładnia. Czasami wziąć ich można za ascetów lub ojców kościola, w teologii bowiem biegli są jak Orygenes lub św. Tomasz: za chwilę jednak, „tłómaczyć“ wam będą ekstazę hypnotyzmem, a cuda halucynacyą... Mieszkańcy téj krainy są powszechnie lubiani; z ziem bardzo oddalonych—z dziedzin czystéj myśli, nauki, poezyi i czynu — przychodzą do nich królowie i wodzowie dla przyjemności widzenia i słuchania tych nieznajomych, którzy nie piszą wprawdzie dzieł grubych, lecz umieją wydobywać z nich nader sprytnie co jest najlepszego. A jednakowoż, mimo wiecznego spokoju ich uśmiechniętych twarzy, ludzie ci nie są szczęśliwi. Być może i ich trawi tajemna chęć tworzenia, w sercach ich jednak spotkało się i nagromadziło tyle afirmacyi i zaprzeczeń, wyłączających się nawzajem, że pozostają wciąż w położeniu burydanowego osła! Chcieliby może nawet wejść w życie, być jako drudzy: daremnie, powstrzymuje ich dyletantyzm. Są to bowiem dyletanci“.

„Dyletantyzm zaś, mówiąc ich językiem, to anestezya zdolności twórczych wskutek hypertrofii uzdolnień do pojmowania. W religii, filozofii jest to śmierć i nicość; w sztuce — wielkie niebezpieczeństwo,

przestroga. Nie mając wiary, dyletant jest bezpłodnym, uśmiech zaś wyniosły tego człowieka, którego spojrzenie, giest, mowa, zdradzają nadzwyczajną inteligencyę, powstrzymuje w innych zdolności twórcze. Nie mając jednak uprzedzeń, dyletant jest sprawiedliwym. Tam, gdzie człowiek estetycznego czynu, porwany namiętnością, przez naturalne upodobania swego geniuszu, potępia lub chwali zbyt pośpiesznie, człowiek ów bierze pod uwagę różne okoliczności i powstrzymuję się od konkluzyi. Dyletantyzm jest dla geniusza rodzajem śmierci przyjemnéj. Jest to przepaść, w którą narażają się wpaść napół dobrowolnie ci wszyscy, którzy czują, iż środki ich nie zupełnie odpowiadają wizyi, którą należy przyoblec w szaty realne. Aczkolwiek dyletant zdaje się kosztować wszystkich przyjemności, cierpi jednak więcéj niż ktokolwiek, nie mogąc się zdecydować na wybór. Choroba jego jest elegancką formą nudy. Dyletantyzm, kończy krytyk, jest czynnikiem rozkładowym społeczeństw zbyt dojrzałych, nie należy go jednak brać za jedno ze zmysłem krytycznym, pierwiastkiem twórczym. Mamy jednakowoż za dni naszych i tę miłą odmianę krytycyzmu, która się nazywa „krytyką dyletancką“ i którą z takiém powodzeniem uprawia p. Lemaitre“...

Monarchą państwa dyletantów jest Ernest Renan. Nie narysujemy jednak, w ślad za Moricem, sylwetki autora „Historyi Izraela“ i „Początków chrześciaństwa“, Renan bowiem w swym „dyletanckim“ bagażu ma i bardzo grube dzieła, których brak istotnym dyletantom. Do tego obozu zalicza krytyk, między innymi, Anatola France'a, utalentowanego krytyka, który jest wierzącym w swych dziełach wyobraźni a sceptykiem w krytyce. Morice przyznaje jednak, że dyletantyzm ma pewne cnoty: nie jest zarozumiały. Lubi przeszłość, nie przeszkadza teraźniejszości i nie wywiéra na przyszłość nacisku. Czasami, powiada, czuje się potrzebę uciec do jego pomocy, ażeby być sprawiedliwym zupełnie i przyznać, że Formosa Vacquerie ma pewne zasługi względem spółczesnego teatru, że pani Ackermann miała chwile genialne, nie mając talentu, że Oktaw Feuillet mógł napisać dobrą powieść, podobnie jak Droz, Hektor Malot, Fabre i że Theuriet ma ładne poczucie natury... Czas jednak wrócić do wątku symbolistycznego.

Myśl Taine'a, pisze Morice, towarzyszyła mi często w tym przeglądzie. Taine, który śledził bystrém okiem rozwój literatury, nim się zupełnie pogrążył w historyę, przewidział dość wcześnie, gdzie logicznie zaprowadzić muszą literaturę te pierwsze przebłyski, które już dostrzegał. Widział już tedy, że umysł ludzki kieruje się znowu ku metafizycznemu mistycyzmowi, w kierunku „abstrakcyi, marzenia

i symbolu", że staje się coraz zdolniejszym do oderwanych konstrukcyi, a zatém do lotnego bardziéj pojęcia piękna. „Czyż nie ma, pisał mianowicie wielki krytyk francuski, wspólności w naturze wszystkich jestestw żyjących tego świata? Niewątpliwie, każda rzecz ma swą duszę; jest także dusza wszechświata; jakiémkolwiek byłoby stworzenie, martwe czy myślące, określone czy niepochwytne, zawsze po nad jego formą zmysłową lśni jakaś istota tajemnicza i coś boskiego, co dostrzegamy błyskawicznie, nie mogąc jednak nigdy tego dosięgnąć ni przeniknąć. Oto przeczucia i aspiracye, które podnoszą całą poezyę nowoczesną, bądź to ku medytacyom chrześciańskim, jak u Campbell'a i Wordsworth'a, bądź ku wizyom pogańskim, jak u Keats'a i Shelley'a. Słyszą oni bicie wielkiego serca natury, chcą dojść aż do niego, probują wszystkich dróg, duchowych lub umysłowych, dróg Judei lub Grecyi, uświęconych dogmatów lub doktryn wyklętych... W tym wspaniałym i bezsensownym wysiłku, najwięksi wyczerpują się i umierają. Poezya, którą wloką za sobą na tę Golgotę, drze się po załomach i skałach". Morice odrzuca jednak ostrzeżenie i groźbę, zawartą w zdaniach ostatnich, podyktowaną przez sceptycyzm i woła wciąż *Hosanna!* jak wołać nie przestaną idealiści wszystkich ras i stuleci, aż do skończenia wieków. Z drugiéj strony, inny uczony krytyk, erudyt i stróż tradycyi, Brunetière, sądzi surowo nowatorskie usiłowania i opiéra się „zbawczemu i nieprzepartemu potokowi, który unosi nasz wiek ku szczytnéj apoteozie „Sztuki całkowitéj (*l'Art Intégral*)". Czyż jednak, pyta Morice, tak ukochani przez krytyka, pisarze XVII wieku nie byli nowatorami swego czasu? Inny jeszcze „pisarz rasowy, tradycyjny z zasad i spółczesny z upodobań", Melchior de Vogüé zwraca niecierpliwy wzrok ku nowym widnokręgom. Wreszcie, utalentowany powieściopisarz i krytyk malarski, Jan Dolent pisze (w *Amoureux d'Art*): „Co mnie najsilniéj pociąga, to mianowicie kiedy artysta prowadzi mnie daléj niż się sam zatrzymał, lub zdawał się zatrzymywać... Ideałem moim: prawda w magiczném oświetleniu marzenia".

Stanęliśmy tedy na progu najświeższych usiłowań ku zamknięciu sztuki w formy syntetyczno-symboliczne. Nim próg ten przestąpimy streścimy jeszcze w kilku słowach, idąc za Morice'm, genezę tego kierunku.

Widzieliśmy więc na początku naszego stulecia dwa geniusze, jak dwa bieguny nauki i mistycyzmu, Goethe i Chateaubriand. Potém dwa wielkie ogniska, Balzac i Wagner, określających bliżéj formę artystyczną, dając jéj jako główny pierwiastek fikcyę, kładąc podstawy jedności kompozycyi, realizmu ekspozycyi i prowadząc do

unii wszystkich form artystycznych, syntezy spostrzeżeń i doświadczeń w fikcyi, oraz połączenia zmysłowości z mistycyzmem. Poe i Baudelaire, utrwalają prawdę, że geniusz winien być świadomym i skoncentrowanym i że liryzm daje się łączyć z nauką. Wzbraniają oni pozostawiać cokolwiek przypadkowi w dziełach sztuki, pięknu dają wyraz melancholii, każą mu opierać się na logice i fantazyi, starają się odtworzyć rzeczy prawie nieodtwarzalne, wprowadzają do sztuki psychologię, patologię. Prawdziwa poezya, według nich, jest idealną; wprowadzają przytém pojęcie wyjątkowości, wzbogacają wiersz i język. Flaubert doskonali prozę pojęć ogólnych, Sainte-Beuve nadaje językowi piętno wybitnie osobiste. Leconte de l'Isle urabia język pojęć ogólnych w poezyi i zwraca się, podobnie jak Flaubert do źródeł przysypanych już piaskiem historyi. Piękno jest dla nich obu pierwiastkiem kojącym, zarodek religii estetycznéj. Teodor de Banville wprowadza do poezyi promień światła i radości, cyzeluje przytém formę poetycką. Goncourt i d'Aurevilly językiem nader osobistym charakteryzują społeczną fizyognomię... Literatura jutra staje się syntetyczną i dąży do poddania (*suggerér*) „całego człowieka przez całą sztukę", coby się dało zamknąć w formule: *l'Homme intégral par l'Art intégral*. Synteza ta, mówi Morice, jest napół urzeczywistniona w usiłowaniach powyżéj wymienionych. Jest zaś nawet zupełną, skoro do tych usiłowań dodamy dzieła Pawła Verlaine'a, Villiers de l'Isle-Adama i Stefana Mallarmé.

Przyjrzyjmy się teraz najmłodszemu pokoleniu, wyrabiającemu się na dziełach mistrzów. Rojno tu bardzo.

Morice powstaje przeciw samym mianom ogólnym już utartym: dekadenci, symboliści! Co do dekadentyzmu (upadku) powiada, to widzę go tylko w modném powieściopisarstwie, nie znam zaś literatury, którąby nie była symboliczną. Jest więc przeciwny „etykietom". „Dekadentom", mówi następnie, zarzucano wprowadzenie do literatury mnóstwa wyrazów nowych lub odgrzebanych, była to jednak reakcya przeciwko dekadentyzmowi języka. Krytyk zaznacza następnie wielkie rozproszenie tych młodych sił, tak, że trudno pochwycić ich rysy ogólne. Nie zaprzecza potrzebyześrodkowania się i zbliżenia niekiedy, twierdzi jednak, że zbierać się najłatwiéj dla analizy — synteza dzieli, a raczéj separuje. Zasada „wszystko w jedném" (*tout en un*) sprawia, że jednostki są sobie nawzajem niepotrzebne... „Trzeba, mówi, samotności, ażeby pozwolić życiuześrodkować się w jednéj inteligencyi i zakwitnąć". Są wprawdzie „grupy" i „przeglądy" (*revues*) i one oparte są jednak lub na jednéj ściśle zasadzie lub na jednéj woli kierującéj. Pisma eklektyczne upadają.

La Jeune France po latach dziesięciu nie łatwéj egzystencyi upadła, chcąc wszystkich zadowolnić. *La Revue Contemporaine* krócéj istniała, zostawiła jednak więcéj śladów po sobie. Redakcya nie była dość jednolitą. Wchodzili do niéj: Emil Hennequin, Edward Rod, Gabriel Sarrazin (utalentowany krytyk i historyk literatury angielskiéj) i wielu innych, o których niżéj. Należał do niéj i Karol Morice. Współpracowali téż i mistrze. Okazało się jednak, że „system parlamentarny w literaturze jest niemożebny"; r z e c z p o s p o l i t a l i t e r a c k a była zawsze tylko zbiorem większych lub mniejszych księstw". *La Vogue* była listkiem ulotnym do wypróżniania szuflad, *Le Scapin* pisemkiem grupy bardzo młodéj, lecz szczeréj. *La Revue Wagnérienne* miała na celu ściślejsze określenie doktryny estetycznéj Wagnera. Istniała dość długo. Pracowali w niéj Edwad Dujardin i Teodor de Wyzewa. Jednocześnie, w wychodzącém dotąd jeszcze pisemku *La Cravache* Julian Christophe uprawiał kult Balzaca i starał się go bliżéj określić i wyjaśnić. Nieposlednie znaczenie miała *Revue Indépendante*, redagowana pierwotnie przez Feliksa Fenéon'a. Tenże sam przegląd w drugiéj seryi był magazynem literackim, redagowanym przez Dujardina i Fenéona a zapisywanym głównie przez Wyzewę. Potém główne miejsce zajął Gustaw Kahn. Pismo wydawał następnie Savine, księgarz, pod redakcyą de Nyon'a. I. H. Rosny dzierżył berło krytyczne. *Le Décadent* odznaczył się przesadą i dużemi pretensyami. *Le Symboliste* pod redakcyą Moréas'a i Pawła Adama (autora *l'Art Symbolique*), miał żywot efemeryczny. W samym początku młodego ruchu koncentrował się on w dwu pisemkach łacińskiego kwartału: *La Nouvelle Rive Gauche* i *Lutèce*.

Przyszłość wyda wyrok ostateczny o ruchu literackim, którego wiek nie wiele przekracza po za lat dziesiątek. Że jednak liczy on już wielu pracowników i wydał prac nie mało, dowodzi lista następująca: Laurent Thailhade „mistyczny poganin i spirytualistyczny zmysłowiec", wyprowadzający się od Banville'a, Silvestre'a i Baudelaire'a. Wiele barw i liryzmu. Poezye: *Sur Champs d'or* i inne.—Edmund Harancourt, materyalistyczny mistyk bez religii, ostatniemi czasy zwracający się do idealnego klasycyzmu. Duży artyzm i talent, lecz brak nieco wiary twórczéj. Powieść *Amis*, poezye *L'âme une*, misteryum *La Passion*. — Jan Moréas, wysunięty ostatniemi czasy na czoło symbolizmu. Grek z pochodzenia, raczéj romantyk niż klasyk; nieposledni muzyk i kolorysta w poezyi; zwrócił się do poetów francuskich XIII i XIV wieku, stąd wyniósł wiele nowych wyrazów. Zrobił po Verlaine'ie najwięcéj dla udoskonalenia formy poetyckiéj. Zbiorki poetyckie: *Syrtes, Cantilènes, Iconostases*. — Juliusz Laforgue,

dusza zraniona, pełna ironii nie kolącéj, lecz delikatnéj, wielkie zrozumienie natury, sentymentalny sceptyk, artysta nieposledniego polotu, ulegający wpływom niemieckim i angielskim. Poezye: *Moralités légendaires*, *Pan et la Syrinx*, *Complaintes*, *Imitation de Notre-Dame*, *la Lune*.—Gustaw Kahn, niepospolita inteligencya, umysł nowatorski i talent poetycki. Zbiorki: *Les Palais Nomades*, *Nuit sur Lande*.—Ludwik Dumur, szwajcarskiego i włoskiego pochodzenia. Wiersze: *Lassitudes*, powieść psychologiczna *Albert*. — René Ghil, belg, uczeń Mallarmé'go. Poezye: *Légendes d'âme et de sang*; rodzaj poetyki: *Traité du Verbe*. — Karol Vignier i Mateusz Morhardt, obaj szwajcarzy, zaprzągnięci następnie do dziennikarstwa. Zbiorki poetyckie: *Centon* i *Hénor*.—Ernest Jaubert, autor *Poëmes Stellaires*.—Ludwik Le Cardonnel, porzucił poezyę dla sutanny. Wiersze: *Le Rêve de la Reine*.—Edward Dubus, naturalista, przemieniony następnie w idealistę. Poezye: *Soir de Tête*.—Jan Court, zmysł tajemniczości, mistyczne pragnienie absolutu, alegorye. Poezye: *Les Trêves*, *Le Soir tragique*.—Fernand Mazade, autor poetyckiego *Hamlet'a*.—Henryk de Regnier, liryk i mistyk, *Prélude*.—Alber Ihouney, mistyk a nawet mag i okultysta. Autor pięknego mistycznego poematu *Reine*. Podobną drogę obrali: Stanisław de Guaita poeta, autor *Rosa Mystica* i powieściopisarz Józefin Pelladan, autor *le Vice Suprême*. Nie możemy mówić o wszystkich, na dowód jednak jak rozrósł się najświeższy ruch poetycki we Francyi, oto jeszcze imiona poetów tego kierunku: Vielé Griffin, Paul Adam, Luart Merril, Darzens, Mikhaël, La Tailhède, de la Villehervé, Jan Lorrain, George Lorin, Guigou, Bozaire, Clerget, Michelet, Wiktor Margueritte, Ludwik Marsolleau, Ajalbert, Bunand, Leclercq, Randon, Tellier, Vallette, Aurier, Roux, Quillard, Roinard, Barthélemi, Vidal, Brinn'gaubast...

Z powieściopisarzy należy do tego kierunku Edward Rod, początkowo naturalista, potém pesymista i mistyk, ostatnio zajęty sprawami etycznemi: *La Course à la Mort*, *Le Sens de la Vie*, utwory niepospolite. Rod jest również autorem wielu prac z zakresu krytyki literackiéj i profesorem literatury w uniwersytecie genewskim. Józef Caraguel syntetyk, wolny jednak od mistycyzmu, maluje z talentem tłum i sceny zbiorowe, artysta nie pośledni. Powieść *Le Boul' Mich'*, ze studenckiego życia dzielnicy łacińskiéj i *Les Barthozouls* z życia wiejskiego południowéj Francyi. J. H. Rosny, pisarz z kierunkiem mistycznym, naukowym i socyalistycznym, ostry przeciwnik naturalizmu, zwolennik aliansu zmysłu religijnego z naukowym. Język ciężki nieco i zawikłany. Powieści: *Les Corneilles*, *Marc Fane*, *Le Termite*. Francis Poictevin, pejzażysta: *Derniers Songes*. Adryan Re-

macle, syntetyk: *l'Absente.* Edward Dujardin, badacz sytuacyi wyjątkowych, *les Hantises.* Maurycy Barrès, talent wybitny i oryginalny, syntetyczny i mistyczny, twórca „egotyzmu“. Autor trylogii: *Sous l'oeil des Barbares*, *l'Homme libre* i *Jardin de Bérénice.* Tendencya egotyczna wypływa lub jest jedném ze strumieni ogólniejszego dążenia do wyosobnienia się gwoli podniesienia znaczenia jednostki, indywidualności, osobowego *ja.* Kierunek raczéj przejściowy, niż syntetyczny. Barrès jest także posłem bulanżystowskim w izbie francuskiéj. Jan Jullien, zwrot ku źródłom, autor *Trouble-Coeur.* Henryk d'Argis dokumentysta i symbolista, autor *Sodome'y.* Paweł Margueritte, autor wybitnéj powieści *Tous Quatre* i innych...

Obóz syntetyczno-symboliczny ma téż i swoich krytyków. Do nich należał przedewszystkiem przedwcześnie zmarły Emil Hennequin. Z innych zasługują na wymienienie: Bunand, Emil Michelet, Teodor de Wyzewa, Jerzy Doncieux (znawca literatury średniowiecznéj), Geofroy, Feliks Fenéon i wreszcie Karol Morice.

IV.

Przechodzimy teraz wprost do estetyki symbolizmu. Uwagi swe w tym kierunku Morice nazywa „komentarzami przyszłego dzieła“... Za dewizę bierze zdanie Taine'a o zwrocie literatury spółczesnéj „*dans l'abstraction, le rêve et le symbole*“.

„Oczekując, mówi krytyk, zupełnego przechylenia się nauki w stronę mistycyzmu, intuicya marzenia uprzedza ją w tém, święcąc jednocześnie inny przyszły alians, zmysłu religijnego z naukowym, w uroczystości estetycznéj, w któréj jaśnicje szczerze ludzkie pragnienie złączenia wszystkich mocy ludzkich i powrócenia do pierwotnéj strofy.“

Ten powrót, to cała treść sztuki. Geniusz, podobnie jak miłość i śmierć, zasadza się na wydobyciu pierwiastku wieczności i jedności z pośród objawów podrzędnych i kryjących treść istotną pozorów. Jedność, to znak twierdzący i boski — mnogość znak zaprzeczenia i rozkładu. Wielkie epoki artystyczne mówią: sztuka, mierne powiadają: sztuki. Wielkie epoki bywają w początku i końcu społeczeństw. W zaraniu wieków poeta jednym rzutem oka i jedną myślą obejmuje świat, wyrażając go jednym rysem. Późniéj dopiéro pociągają go szczegóły, drobiazgi. Poeta, początkowo wódz tłumów i kapłan ich także, zstępuje z tronu, porzuca stopnie ołtarza, staje się artystą... I ten jednak się różniczkuje, stary symbol liry wychodzi z użycia i artysta staje się sztukmistrzem (rzemieślnikiem — *artisan*) literatury,

muzyki, dłuta i pędzla... Jest to okres podziałów i mierności. Z biegiem jednak czasu, analiza nuży i sama się wyczerpuje. Wtedy artysta w zamierzchłéj mgle wieków minionych dostrzega ledwie widzialną i boską prawie postać poety. Ze spojrzenia tego rodzi się nowa wielka epoka i „ostatnia“, która przywrócić ma sztuce jéj jedność pierwotną“...

„Realne warunki istnienia, ciągnie daléj Morice, dzielą atoli tę idealną jedność na dwie grupy: „grupę artymetyczną“ poezyi i muzyki i „grupę geometryczną“ malarstwa, architektury i rzeźby. Zlanie obu grup w jedność doskonałą, dźwięk i światło tonące w wielkiém morzu drgań cząsteczkowych, to synteza Bogu jedynie dostępna, nadludzka! Dwie grupy jednakowoż są dwoma skutkami jednego idealnego światła i mają podwójną jedność: początku i końca, jedność w myśli poety. „Okresy téj koncentracyi artystycznéj, czytamy daléj, spotykają się opatrznościowo z okresami upadku ewangelii, poeta więc odzyskuje wówczas swą rolę kapłańską pierwszych dni; to co mówią muzyk i malarz w tych godzinach syntezy jest dnem pragnień i wierzeń całéj ludzkości“. Mamy więc syntezę w myśli, w idei, w wyrazie—sztukę metafizyczną i religię estetyczną...

W téj jednak ogólnéj syntezie, żadna ze sztuk poszczególnych nie traci swéj autonomii, krytyk nasz zaś zajmuje się specyalnie „sztuką pisarską“, o niéj więc bliżéj.

Z wywodów powyższych widzieliśmy, że wielka analiza trzech wieków ostatnich wskazuje naszéj dobie logiczny obowiązek syntezy. Zbadawszy człowieka kolejno w jego duszy (klasycyzm), uczuciach (romantyzm) i zmysłach (naturalizm), pozostaje nam zobrazować całkowitego człowieka przy pomocy wszystkich sztuk. Do dobrodziejstw sztuk geometrycznych dodamy środki właściwe, którémi rozporządza poezya i inne sztuki arytmetyczne i które odtworzą nam kolejne, falujące i zmienne obrazy oblicza ludzkiego; prawo rytmu po prawie proporcyi. Analiza, ażeby odtworzyć swój jedyny przedmiot, musiała unieruchomić, utrwalić a następnie dopiéro „wyrazić“, oddać. Synteza przeciwnie, ażeby pochwycić swój przedmiot potrójny, musi go ująć w jego drganiach żywych, w jego jedności złożonéj, w ruchu. Może więc tylko „poddawać“ go (*suggerer*) przy pomocy odcieni i znaków... Synteza nie może być zlokalizowaną w żadnéj z części składowych natury ludzkiéj, lecz posługiwać się musi zmienną fikcyą symboliczną, wyzwoloną nawet z więzów geografii i historyi... Analiza była smutna, była bowiem wygnaniem wszystko ożywiającego ducha. podziałem dziedzictwa, ponieważ prowadzi ona za sobą zapomnienie o prawdzie odwiecznéj i zmusza sztukę do posługiwania się prawdami

cząstkowemi i czynowemi... Synteza wraca umysłowi jego ojczyznę, nawołuje sztukę ku prawdzie i pięknu. Synteza sztuki, to „radosne marzenia o pięknéj prawdzie“.

Przystępując jednak do stworzenia dzieła syntetycznego musimy dokonać przedewszystkiém „syntezy w myśli metafizycznéj“. Sztuka rodzić się winna w głębokich tajnikach naszéj duszy, kiedy radośnie wyzwala się ona z wszystkich krępujących ją więzów, jaśniéj pojmuje świat i siebie samą. Wyzwolenie to świadczy o bezładzie otaczającego świata, w którym panuje niewola, chociaż przyrodzoném jego prawem winna być swoboda. Jeżeli zaś człowiek związany jest w świecie licznemi więzami, które nakłada na niego konwenans lub społeczeństwo lub w które go plączą własne jego namiętności, tedy wyzwolenie się duchowe wprawia jednostkę twórczą w stan „wyjątkowy“ względem jego otoczenia. Wrócić do wyższego porządku wewnętrznego można tylko przez samotność. Tę właśnie samotność wytworzyć trzeba w duszy, „ażeby słuchać Boga“. I w istocie, z tych trzech cnót dopiéro: swobody, porządku i samotności, wyradza się poczucie nieograniczonéj mocy, którą sięgamy nieskończoności. Duch nabiéra wtedy dopiéro przekonania o swéj wieczności, o tém, że nie ma śmierci ani narodzin i że „rzeczywistém życiem jest być jednym z świadomych centrów drgań nieskończonych“. W tych téż tylko warunkach rysuje się w nas wyraźnie „dziewiczy pierwowzór ludzkości“, który rzadko zstępował na ziemię.

I daléj w tymże duchu ascetyczno-pustelniczym, jakby przemawiał do nas jeden z anachoretów Tebaidy... Silna wiara moralna, ciągnie Morice, bije ku nam z téj idealnéj rzeczywistości, oglądanéj w atmosferze absolutu i przekonanie niezłomne, że jedynym obowiązkiem ludzkim jest wywyższać się jak najbardziéj, aż do tego ideału. Poczujemy wówczas, iż to wielkie oblicze wié wszystko, że jest ono dla ludzi ogniskiem, w które spływają i stąd się podnoszą fale Boskości... że jest ono ludzkiém pięknem boskiéj prawdy, że jest ono tém ludzkiém ogniskiem wibracyi nieskończonéj, że mesyasze i religie wzięli stąd swą wielkość, objawianą stopniowo, według stopnia duchowych pragnień i fizycznych prywacyi i że stąd wyniesie również sztuka swą religię piękna. „Sztuka dla poety, oddanego tym kontemplacyom, przedstawi się jako spojrzenie i słowo, jako giest naturalny téj idealnéj ludzkości“... Idealnéj, lecz dalekiéj dla każdéj duszy, trzymanéj w więzach czasu. Bije już jednak godzina wyzwolenia i téj świadomości, że człowiek nie niewolnikiem, lecz mistrzem winien być przyrody i jéj powiernikiem. Na tym punkcie nauka zawrzéć może z metafizyką alians nader płodny: nauka sprawdzać będzie prawdy zaciem-

nione mgłą czasów, zawsze jednak żyjące w staréj mowie magów, astrologów, alchemistów i kabalistów przed Jezusem i późniéj. Poeta usłyszawszy, iż uderzył znowu dzwon tych objawień, wstanie, by odpowiedzieć na wezwanie i ujrzy prawdy, do których zrozumienia przygotowała go własna intuicya i świadectwa starych mędrców, potwierdzone przez naukę spółczesną... Wtedy jednak stanie przed nim szkopuł najtrudniejszy do przezwyciężenia, społeczeństwo, zbiorowisko wszystkich pokus, więzów, małostek i poziomych instynktów... Nie trzeba jednak naiwnie pozwolić się przez nie „zepsuć“, jak to twierdził Rousseau, lecz szukać przed niém schronienia w tajnikach duszy własnéj. Ni bunt, ni litość, ni kułak grożący, ni dłoń w dół wyciągnięta nie jest, powiada krytyk, zadaniem poety, palec jego winien być wzniesiony w górę, jako wskazówka dla tych co mogą patrzéć... Nigdy też religia piękna nie będzie religią wszystkich. I ludzkość składała się zawsze tylko z niewielkiéj liczby wybranych wśród wielkiéj masy niewolników...

Skoro tedy dusza poety przygotowana już należycie, przychodzi koléj na „fikcyę artystyczną, syntezę w idei“. Fikcya ta miała zawsze na celu cześć dla nieznanego i złudzenie innego świata, co wyrażało się w obraniu tematów historycznych lub przeniesieniu akcyi w dalekie, mało znane strony. Analiza mogła się obchodzić bez zmyślenia (fikcyi) już dlatego, że jest ona w gruncie nierealną. Opierając się na fikcyjném przypuszczeniu, wydzielającém części składowe ludzkiéj całości, jest ona sama dla siebie dostateczném źródłem zmyślenia. Naturalizm też trzymał się ściśle najbliższego otoczenia. Klasycy i romantycy emigrowali często daleko, dziś jednak koléj żelazna, skracająca przestrzenie i badania historyczne, „pożerające czas“, utrudniły bardzo te wycieczki w światy zmyślone. Wielki Flaubert zużył w *Salambô* wiele erudycyi dla pozbawienia tego historycznego tematu oddalenia w czasie. Nie z przeszłości więc i nie w oddaleniu przestrzenném, lecz po za światem szukać winien poeta tła dla swych artystycznych zmyśleń — po za światem, to znaczy w nadziemskiéj sferze ideału, jednakowoż ani po za ludzkością, ani po za naturą. Dusza, kwiat, ciało, są pierwiastkami wieczności. Chwila obecna winna nawet (nie mówimy „musi“) być punktem wyjścia dla poety. Zmyślenie rodzić się powinno na ziemi i wznosić ku górze. Szczegóły realne, fakta historyczne niech tworzą materyał dla idealnéj przędzy i wyściełają tło pajęczéj tkaniny wyobraźni.

Po syntezie w idei „synteza w wyrażeniu zewnętrzném, suggestya“. Poeta odziéwać winien myśl swą, swe alegorye i zmyślenia w szatę bogatą i tkaną misternie, nie powinien jednak zapominać

o tém, że najsilniejsze wrażenie osiąga się zapomocą prostoty w formie i barwach. W każdym razie język poetycki winien być rzeźbiony kunsztownie. Jak fikcya tak i jéj forma nie przychodzą bez pracy, bez zawodowego uzdolnienia i talent sam lub samorodne natchnienie go nie zastąpi. Tam wreszcie, gdzie język i plastyka będą niedostateczne do wyrażenia poetyckiéj zawartości, uciec się należy do suggestyi, poddawać tylko czytelnikowi obrazy i myśli, ażeby sobie resztę „w swéj duszy dośpiéwał“.

Wiersz jest naturalną formą egzaltacyi, podniecenia, podobne jednak stany psychiczne mają swą granicę, po za którą przechodzić niepowinny. Lamartine, który najczęściéj nadużywał liryzmu, czuł, jak nieznośném jego rozciąganie nad miarę. Wypowiedział téż zdanie, że wiersz zniknie zupełnie i że proza wystarczy dla celów artystycznych. Nie zniknie bynajmniéj, pozostawi tylko więcéj miejsca prozie. I proza zresztą wyrabia się, doskonali i zbliża do wiersza. Kiedy romantycy wyzwalali wiersz z pęt klasycznych, Aloizy Bertrand pisał pierwsze „poematy prozą“. Sainte-Beuve zbliżył wiersz do prozy. Baudelaire odtworzył silny wiersz liryczny, pisał jednak „i poematy prozą“. Parnasczycy ograniczyli znów swobodę wierszowania, robiąc wiersz nader kunsztownym, Paweł Verlaine wrócił ponownie wierszowi wolności romantyczne i dodał nowe. W swych wierszowanych opowiadaniach (*Jadis et Naugère*) Verlaine miesza liryzm z prozą rymowaną... Dla czego wreszcie, pyta Morice, rymować prozę. Czyż nie lepiéj, gdy treść tego wymaga „zstępować z hymnu do prostéj powieści“ i pisać kolejno prozą i wierszem. Trzeba przytém zawsze pamiętać, że poemat jest tylko frazesem, wiersz zaś wyrazem“.

Wypada nam jednak bliżéj określić w téj symbolistycznéj estetyce, co właściwie nazywa się symbolem? Na inném miejscu Morice określa go w sposób następujący: „Symbol, mówi, jest zrównaniem pierwiastków realnych przedmiotu, które nam są poddawane z zewnątrz, z obrazem następnym, w którym ujawnia się skutek całkowity, jeden i jednoczesny, spajający wszystkie rozproszone pierwiastki. Byłyby to więc, stopione w jedno, wrażenia i wyobrażenia, które otrzymujemy od przedmiotu i o przedmiocie. Stąd, ciągnie autor daléj, konieczność wielkich uproszczeń i umyślnego zwrotu ku źródłom, ku tym epokom, w których rzeczy przedstawiają się w całéj prostocie ugrupowań i barw. Ton bowiem i szczegół są zwodnicze, dodaje krytyk, kolor zaś i kontury są jedynie prawdziwe. Idąc tą drogą, sztuka dąży do pochwycenia znamiennego rysu, czystéj linii, kiedy model oddala się i niknie, aż do téj cudownéj chwili, w któréj

rzeczywistość staje się marzeniem, historya zaś legendą“... Symbol wogóle jest znakiem ogólnym, nazwą rodzajową, treścią rzeczy, słowem. Język jest kopalnią symbolów.

A teraz garść aforyzmów symbolistycznéj estytyki.

Pamiętaj, poeto, mówi Morice, że prawa twe i obowiązki sprowadzają się do jednego -- zadowolnić ciebie samego! Nie zadowolnić bynajmniéj w tém znaczeniu, żebyś utwór swój uznał za doskonałość i niczego już więcéj nie pożądał. Nie! Ideał pozostanie na zawsze niedoścignionym, idzie jednak oto, żebyś tworzył w radości i w tworzeniu tém czuł rozkosz... I pamiętaj również, że szlachetność umysłowa obowiązuje i że radość twa winna być intelektualną.

Bądź też dobywaczem i cyzelatorem własnego złota. Nim zaczniesz zmyślać i pisać, nim poczniesz ćwiczyć swoją wyobraźnię i zmysł estetyczny, sięgnij wprzód do umysłu, myśl nim zaczniesz śpiewać i niech piękno będzie wspaniałym płaszczem prawdy. Strzeż się jednak myśl twoją wypowiadać całkowicie. Niech ona faluje aż do chwili, w któréj się nagle roztoczy. I wtedy jednak unikaj zupełnéj ścisłości. „Nie kończyć“! to najwyższe prawo sztuki.

Jeżeli ci będą zarzucać niejasność, to powiédz, że słowa są szatą myśli i że każda szata okrywa. Im myśl jest większa, tém bardziéj należy ją okrywać, niech jednak zasłona przysłania dlatego tylko, ażeby widziéć lepiéj i pewniéj. I daléj jeszcze, gdy obrazy twe wydadzą się zamglonemi niecierpliwemu czytelnikowi, odpowiédz mu, że jest on twoim gościem a prosta grzeczność nakazuje cierpliwie wnikać w intencye gospodarza i zwiedzać z nim labirynt swego mieszkania, który zechce pokazać. Nareszcie, drzwi moje mogą się otworzyć a książka zamknąć.

Prawo oryginalności i nowości jest jednym z niezaprzeczonych praw poety. Prócz tego winien on wszelką myśl obcą z głowy wypędzić, gdy rozpamiętywa swój utwór. Jest to także obowiązkiem uprzejmego czytelnika.

Nie należy nigdy mordować się nad swém dziełem, nie ma bowiem nic droższego nad świeżość pierwszego wrażenia i polot myśli pochwyconéj odrazu. Lepiéj wyrazić myśl taką, jaką dał nam pierwszy jéj przebłysk, niż wykoślawiać ją koniecznie, trudząc się nad nią. Kiedy się myśl mocno przyciska, rozsypuje się w proch nieodzownie. Ażeby jednak „pracować“ jaknajmniéj przy tworzeniu, trzeba pracować usilnie przed tym aktem twórczym; robić studya analityczne, zapomniéć je jednak, skoro przystępujemy do ostatecznéj syntezy.

Dzieło sztuki jest tranzakcyą między temperamentem artysty

i naturą, dlatego też winno mieć ono dwie strony, jedną naturalną i ezoteryczną, drugą ludzką i egzoteryczną. Nie idzie jednak o tę ludzkość sentymentalną, która wzorem Dickensa lub Dostojewskiego, przekłada kroplę wody spadłą z oczu dziecka, nad wszelkie dzieło genialne. Chodzi nam o ludzkość wyższą, choćby ona była nawet wywyższającą się, mniéj czułą, lecz za to mocną i jaśniejszą, niż ów somnambulizm życiowy.

Niepodobna nic powiedzieć nowego w nowym języku. Starzejąc się, języki nietylko nabierają fosforescencyi materyi rozkładającéj się, lecz nadto stają się lepszemi przewodnikami idei. Dlatego też świéżo ukute neologizmy nie wzbogacają lecz ubożą język. Wiadomo, że język artystyczny składa się z ograniczonéj liczby słów doborowych, niezależnie przytém od znaczenia wyrazów, kryją się w nich i w ich połączeniach frazesy muzykalne, posiadające wielką siłę suggestyjną, tak, że forma artystyczna staje się sama symbolem symbolu... Wyrazy, język mieszczą w sobie niezgłębione bogactwa, które trzeba umiéć odczuć, odnaleść i wydobyć. Dobry pisarz posiada języki klasyczne, zna autorów średniowiecznych i posiłkuje się żywém źródłem gwar ludowych.

Skoro kwiaty tradycyi narodowych powiędły, dobrze jest grzebać w kosmopolitycznym herbarzu legend, ażeby w nich zaczerpnąć wątek do pracy twórczéj.

Nauki tajemnicze są kamieniem węgielnym sztuki. Każdy prawdziwy poeta jest „wtajemniczonym“ (*initié*) instynktownie. Wczytywanie się w stare księgi czarnoksięskie budzi w nim tajemnice, które krył dotąd w sobie.

Zgorzknienie fizyczne i psychologiczne, do jakiego nas doprowadziło życie spółczesne, jest wielkiém niebezpieczeństwem dla sztuki. Prawdziwa sztuka wymaga pogody duchowéj. Jest to prawdą elementarną, którą jednak należy przypominać, że wzruszenie życiowe i wzruszenie estetyczne, nie są jednoznaczne, lubo przeznaczeniem ich jest spłynąć w jedno. Życie jest materyałem, w którém tkwi możliwość estetyczna. Sztuka wydobywa je stamtąd i układa w formy, które uderzać winny naprzód i przedewszystkiém swém pięknem i potém dopiéro budzić uczucia i myśli, związane z tematem utworu. Dotyczy to zarówno wszystkich szat, w jakie ubieramy dzieła sztuki, a więc języka, plastyki, barw...

Sztuka uwiecznia dreszcz życia samego, jest to jednak życie skoncentrowane i przepuszczone przez pryzmat twórczego umysłu. Artysta strzedz się powinien jak ognia wszelkiego kopiowania, foto-

grafii. Istotna prawda życiowa jest celem sztuki, nie ta jednak prawda bliska, namacalna.

Pogoda sztuki nie jest wesołością. Jeżeliby czego zabraniać należało poecie, to raczéj śmiéchu niż łez. Radość jest skrzydlata, nie powinna jednak wzbijać sie tak wysoko, żeby aż tracić z oczu ziemię.

Kobiéta w sztuce! Jest ona jéj przedmiotem i celem. Dodaje ona polotu, może jednak i złamać skrzydła. Kobiéta jest samicą, któréj kształty przypominają anioła. Jest to czara, z któréj pić można nektar boski i truciznę.

Jeżeli w jakiémkolwiek muzeum znajdziesz poeto obraz lub poemat, który cię zadowolni zupełnie — strzaskaj twą lutnię, nie jesteś już bowiem artystą. Artystą jest ten, dla którego każde wielkie dzieło jest drzwiami otwartemi w kierunku nieskończoności, nigdy jednak słupem granicznym.

V.

Aczkolwiek symboliści starają się wyosobniać ze swego otoczenia, aczkolwiek propagują skupienie wewnętrzne, egzaltacyę sił duchowych i moralnych a wreszcie samotność zupełną, to jednak z pod wpływu dzisiejszych warunków społecznych całkowicie wyłamać się nie mogą. Symbolizm mógłby może w pełni się rozwinąć śród zorganizowanych ostatecznie i harmonijnych stosunków społecznych, kiedyby nic nie zakłócało duchowego, moralnego i artystycznego doskonalenia, przeciwnie, wszystko ku niemu zdążało. Czy zdoła on wyłonić z siebie potężną siłę organizacyjną w warunkach dzisiejszych, bliska przyszłość okaże.

W obecnéj swéj fazie symbolizm jest raczéj pewnego rodzaju anachoretyzmem, patrzącym z wysoka i niechętnie na burze i zabiegi życiowe. Gorzko na nie narzeka Morice. Nieustająca groźba wojny, powszechny militaryzm i peryodyczny obowiązek 28-iu dni ćwiczeń wojskowych, między dwiema strofami, uliczne agitacye, przeraźliwe skrzypienie maszyny rządowéj, dzienniki, wybory, zmiany ministeryów, oto powiada akompaniament naszéj twórczości poetyckiéj. I po zatém jednak nigdzie cichego kąta przed hałaśliwą reklamą handlową, matactwami giełdy, współubieganiem przemysłowém, warczeniem maszyn, świstem lokomotyw i wściekłą, wytężoną walką o byt. I nie pociesza poety przyszłość bliższa ni dalsza; ani marzenie udoskonalonych maszyn, kiedy człowiek, zastąpiony przez nie w pracy, pędzić

będzie życie kontemplacyjne i łatwe; ani zapowiadane nadejście powszechnéj równości, z któréj wykluczone mają być z góry wszelkie „głowy rodzące się w koronach“ geniuszu lub talentu, wszelkie dusze wyjątkowe, niespokojne, śmiało pnące się ku górze...

A wpływy moralne? Dziś przygłusza je wszystkie żądza „powodzenia“, „rozgłosu“; nie mówię, pisze Morice, pragnienie „sławy“, samo bowiem jéj pojęcie zdaje się zanikać w świecie nas otaczającym. „Sukces“ prowadzi tylko do „rozgłosu“, ten zaś prowadzi do pieniędzy i używania, jeżeli przyjdzie dość wcześnie. I poziom tego powodzenia wciąż się obniża. Może gorszemi jednak od tych wpływów zewnętrznych, przeciwko którym poeta może się opancerzyć, dzisiejsze wpływy intelektualne i uczuciowe: religijne, filozoficzne, naukowe i artystyczne.

„Od czasu, gdy religia opuściła świątynie, biega po ulicach, mówi krytyk. Na Montmartre jest katolicka piwiarnia, gdzie między kuflami odgrywają się misterya. Są chwile, kiedy bulwar jest mistycznym, inne w których jest pesymistycznym. Ale to mu zresztą nie przeszkadza weselić się o innéj porze. Młodzież, co go wypełnia, jest kolejno lub jednocześnie mistyczną, pesymistyczną i wesołą. Niektórzy pochwytali tylko strzępki różnych doktryn i głośne nazwiska Spencerów, Millów, Comte'ów, Schopenhauerów, Darwinów; inni wniknęli głębiéj w różne doktryny — wszyscy jednak ulegają dziś potężnemu wpływowi dwóch czynników: mistycyzmu i filozofii.

A nauka? Dawniéj była na usługach sztuki, kiedy jednak wiek XVIII przemieszał wszystko i te dwa bieguny się zetknęły. Dziś stosunek wzajemny się zmienił. Sztuka straciła dawną swą dumę i chętnie ucieka się do pomocy nauki, która tak się spoufaliła, że zaléwa coraz bardziéj sztukę i literaturę, a krytyka literacka pogardzoną jest dla krytyki naukowéj dzieł sztuki. Niektórzy sądzą, że nauka zdoła wygnać zupełnie ze sztuki instynkt, natchnienie, stawiając na to miejsce uczone, czy wyuczone kombinacye [1]). Nie wierzę w to zupełnie, mówi krytyk, i uważam za niebezpieczniejsze od wszelkich hazardów twórczości napół bezwiednéj, owo podporządkowanie sztuki pod obce jéj prawidła. Jest coś poniżającego w tém mierzeniu tajemniczego dzieła geniuszu cyrklem i linijką. Sztuka wyrabia się

---

[1]) Patrz interesujące w tym przedmiocie artykuły Karola Henry: „Cercle chromatique et Sensation de couleur“ w „Revue Independante“ (1888) i tegoż „Une Estetique scientifique“ w „Revue Contemporaine“ (1885), oraz ciekawy ich rozbiór przez Morice'a w „La littérature de tout à l'heure, str. 275—7.

(przyp. aut.)

w takiém skombinowaném laboratoryum indywidualności artystycznéj i ma tak niepochwytne i tajemnicze chwile tworzenia, że podstąpić ku nim nie możemy z aparatem narzędzi naukowych, chyba że chcemy odstraszyć i wypędzić wszelką siłę twórczą. A wtedy pozostanie tylko martwy szkielet. Badania naukowo-artystyczne są nader pożyteczne, lecz tylko jako środek pomocniczy.

Jako takie nie są one może do odrzucenia wobec rozległych zadań, jakie stawia sobie sztuka obecna. Widzimy np. w sztukach plastycznych wyraźną nader tendencyę ku „syntezie wszystkich w każdéj po szczególe". Wspominaliśmy już, powiada krytyk, o Wagnerze i o jego usiłowaniach posługiwania się „w dramacie muzykalnym", wszystkiemi formami artystycznemi. Cała jednak spółczesna muzyka francuska (Cezar Franck, Ernest Réyer, Saint-Saëns, a w części i Massenet) idzie w kierunku wskazanym przez mistrza niemieckiego. Muzyka dawno już zresztą przeczuwała swój alians z poezyą. Berlioz starał się jéj nadać niektóre właściwości malarstwa. Brunetière wypowiedział niedawno pogląd, że kolejno: architektura, malarstwo i muzyka przeważały nad literaturą. Klasycy mianowicie przekładali nad inne sztuki szlachetne linie architektoniczne, romantycy i naturaliści najwięcéj mieli pociągu do malarstwa — rzeczą nawet godną uwagi, że ruch naturalistyczny zainaugurowany został przez dwóch malarzy, Courbeta i Maneta—obecnie zaś dekadenci i symboliści okazują najwięcéj sympatyi dla muzyki. Morice nie zupełnie podziela ten pogląd. Symbolizm, jako syntetyczna korona w rozwoju sztuk, nie może mieć upodobań tak wyłącznych, nie zaprzecza jednak wielkiemu zamiłowaniu najmłodszych poetów w muzyce. Nie w każdéj! tylko w muzyce lirycznéj, czystéj i lotnéj. Symboliści chłodno traktują Meyerbeera, Rossiniego, Gounoda, natomiast ulubieńcami ich są: Bach, Beethoven, Mendelsohn, Schubert, Schumann, Berlioz i Wagner. W malarstwie symbolizm darzy wielkiemi swemi sympatyami w pierwszym rzędzie Puvis de Chevannes'a, następnie zaś Gustawa Moreau, Odilona Redon'a. Besnard'a, Carriere'a, Cazin'a, Rapin'a, Monticelli i „pierwotnych", z czasów przed Rafaelem". Muzyka jednak przedewszystkiém. *De la musique encore et toujours!* — woła Verlaine, Morice zaś powiada, że „muzyka jest jednocześnie dalszą i bliższą niż malarstwo, niejako u źródła samego i końca wrażeń i uczuć. Linia i barwa dają się utrwalić i urągają wieczności; dźwięk zaledwo wydany, już się rozpływa, żyje śmiercią; jest to wielki symbol!..." Kiedy jednak, muzyka i poezya zdają się ścigać, mieszają się i toną we wzajemnym uścisku, malarstwo stara się stworzyć nowe środki muzykalne i poetyczne, harmonię i marzenie. Monet każe

„śpiewać“ swym barwom, Raffaeli wczytuje się w wyrazy twarzy, Moreau robi z obrazów poematy, a Puvis de Chavannes, równy w ideale „pierwotnym“ mistrzom, wyższy swém mistycznem pojęciem religii sztuki. Architektura i rzeźba ulegają dziś także syntetycznéj tendencyi połączenia wszystkich w każdéj. Rzeźbiarz Rodin jest nadzwyczajnym, namiętnym symfonistą. Albert Trachsel w swych oryginalnych albumach architektonicznych nakreślił budownictwu nowe drogi, zgodne z dominującą tendencyą epoki. W teatrze jednak wyrazi się najzupełniéj ta dążność syntetyczna, on będzie główną świątynią religii estetycznéj, skoro spełnią się we wnioskach ostatecznych przesłanki, postawione przez Wagnera. Poeta powołany jest przedewszystkiém do torowania tych dróg odradzającéj syntezy... warunki jednak dla rozkwitu poezyi są dziś opłakane. Sama myśl „sprzedawania“ płodów swéj muzy na targowisku jest wstrętną poecie, stosować się, a raczéj „zniżać“ do poziomu gustów pospolitych, jest wręcz przeciwne zadaniu poezyi, która ku sobie podnosić winna i wskazywać ku górze...

Krytyk robi różnicę między dawną rzeszą, tłumem (*la Foule*) a dzisiejszém zbiegowiskiem, ciżbą demokratyczną (*la cohue*). Rzesze oddają i poddają radośnie swe siły potężne pod kierownictwo mężów wybranych i one to, służąc wielkim ideom, które uwielbiały bez rozbioru, dokonały wielkich ruchów historycznych. Tłum nareszcie daje to, czego sam nie posiada, sławę. On jeszcze, szczery i prosty jak dziecko, uległy szczytnym fikcyom, odczuwa święty dreszcz natchnienia wielkich poetów, słucha ich, ufa im i tworzy legendy... Co innego zbiegowisko, zbiór pyszałkowatych i hałaśliwych indywiduów, nie mających duszy zbiorowéj. Ciżba ta przejęta jest natomiast usposobieniem krytycznem, rozbiorczém, nie zdolna niczego kochać, niczego uwielbiać, a przez to niczego stworzyć. Czuje ona niepohamowaną nienawiść dla wszelkich objawów wyjątkowych, dla wszystkiego, co wystrzela ponad tłum, dla wszelkich szczytów. Krytyczny duch wieku nauczył ją drwić i kpić ze wszystkiego, powierzchowna wiedza spopularyzowana podkopała w niéj wszelką wiarę, wysuszyła źródło płodnych uniesień, a tania prasa rozniosła na swych lotnych skrzydłach wszystkie pierwiastki rozkładu. O piekielny wynalazek ten druk! — woła rozgoryczony poeta. Wiek nasz tyle się nazachwycał swém szerzeniem czy rozlewaniem światła, coby raczéj należało nazwać jego „rozproszeniem“. Fatalny błąd! Światło nie daje się rozrzedzać, rozproszone zaś staje się mrokiem, którego mgły gęsto pokrywają naszą napół oświeconą społeczność. W pomroku tym kryje się tylko zepsucie i występek, na niebie zaś tych krain zamglonych nie świeci żadna

gwiazda prawdziwego światła, z tych gwiazd, które wodziły mędrców do kolébki prawd wielkich.

I czy taka krytykująca i drwiąca publika zdolna jest być kierowaną i prowadzoną?—zapytuje krytyk. Nie! ona może tylko sejmikować i robić wojny kokosze... Psuje też wszystko, czego się tylko dotyka, między innemi język, który „stworzył“ dawny tłum bezwiednie. Oddech tego zbiegowiska zabija; atmosferą, które ono koło siebie wytwarza, poeta oddychać nie może... Wielkie idee i cele, piękno i ofiarność są obce tłumowi, rozproszonemu na drobne i zarozumiałe atomy. I ile jeszcze życia temu „upadłemu“ społeczeństwu? — zapytuje krytyk. Wszystko, co żyje, musi mieć w sobie pierwiastki syntetyczne, twórcze, organiczne, wiek więc krytyczny musi być wiekiem przejściowym, jeżeli ludzkość nie dobiegła jeszcze do kresu przeznaczenia swego.

Tymczasem zatraciła ona niewinność umysłu, pogodę, bezinteresowność i dar podziwiania czegoś, gapiostwo bowiem nie jest admiracyą. Kiedyś tłum umiał słuchać, patrzéć i czytać, ten tłum „nieoświecony“, wolny był bowiem od przesądów publiki spółczesnéj. Sztuka była właśnie dla dawnych rzesz czémś nieznaném, co one czciły, szanując jednocześnie jéj przedstawicieli. Publika dzisiejsza tyka magów i w nos im się śmieje. Czyż przestali oni już być depozytorami jéj tajemnic? Oburzony poeta oskarża o wszystko „popularyzacyą wiedzy“, która podkopała stare zasady, nie dała jednak natomiast nowych, lecz tylko jakąś trzęsionkę pół prawd i pół świateł. Popularyzacyjne tendencye, dające tylko okruchy wiedzy, bez żadnych całości, krytyk nazywa nieroztropnemi, choćby w podstawie ich leżało wiele dobrych chęci. Głęboka starożytność rozumiała dobrze, że wiedzy nie daje się w okruchach, lecz że trzeba ją zdobyć w mozole, przygotowując się długo, fizycznemi umartwieniami, moralném skupieniem i umysłowym wysiłkiem, ażeby być „wtajemniczonym“. Droga stała dla każdego otworem, nie mógł jednak pierwszy lepszy podnosić zasłony z posągu Izydy. Dla tych, co nie byli zdolni do wielkiego wysiłku zdobycia wiedzy całkowitéj, integralnéj, e z o t e r y c z n é j, istniał e g z o t e r y z m, zbiór zrozumiałych i łatwo dostępnych symbolów, upostaciowań materyalnych, które miały tę zaletę, że dawały coś całego, organicznego, potrzebnego dla życia, które nie może się opiérać na negacyi, lecz mieć jakiéś trwałe i żywe zasady. Swedenborg miał racyę, mówiąc o dzisiejszém społeczeństwie, że światło duchowe z mózgu przeniosło się do ust i tam stało się jedynie kakofonią nieartykułowanych dźwięków. Tłum, ten skarbiec sił instynktowych, ulegał także

błędom, dawał się zwodzić i prowadzić na manowce, podążał jednak przynajmniéj za tém, co błyszczało, gdy przed nami nic nie świeci i nie błyszczy... Duch jednak mógł ożywiać to ciało. Tłum dawny nie był bynajmniéj ciemnym, uważał się jednak za takiego, co czyniło go zdolnym do przyjęcia nowych idei, do kierownictwa. „Wiedział on wszystko mocą téj właśnie niewiadomości.“ Tłum ten pisze historyę i umié natchnąć myślicieli. Tłum i jeden człowiek, wszyscy i jeden oto, mówi krytyk, autentyczna i jedyna formuła wszystkich wielkich dzieł ludzkich. Tłum + Piotr Pustelnik; tłum + św. Ludwik to wojny krzyżowe. Tłum + Ludwik XI-ty to Francya; tłum + truwerzy, tłum + Villon to język francuski. Szary tłum bezwiedny w wielkiéj swéj potędze twórczéj stworzył wyrazy, język, gramatykę, składnię, rzecz, któréj żaden uczony lingwista zrodzić nie jest w stanie. Niektórzy tylko natchnieni pisarze, poeci, mają coś z twórczych zdolności tłumu i mogą tworzyć słowa. Publika dzisiejsza straciła dar tworzenia wyrazów, nie ma bowiem zdolności podziwu, intuicyi i wrażliwości naiwnéj. Nie zna ona również mytów, ni legend, które były taką siłą wielką dawnych tłumów dziejowych...

Masy nie mają dziś swego rzetelnego wyrazu. Większość głosów jest tylko mechanicznym agregatem, nie zaś wyrazem istotnego ducha ludów. Wyrazem mas może być tylko twórcza jednomyślność, nie znosząca nawet *liberum veto*. Wszelkie kombinacye mniejszości i większości są wytworem sztucznym, kompromisem, pozorem i fałszem, mydlącym oczy swą szatą demokratyczną. I sama liczba nie jest wyrazem narodu, jego ducha, praw i aspiracyi. Staje się już wstrętném to ustawiczne mierzenie saméj treści zbiorowego ducha, jego siły i praw jedynie liczbą i przestrzenią, łokciem i miarką! Duch ten lepiéj i potężniéj wyrażać się może w jednostce, w małéj grupie, w rzeszach zdolnych do wielkich dreszczów, niż w mnogich martwych i nieożywionych masach, będących-li gliną i iłem przedstworzennym.

Mówiliśmy, ciągnie daléj Morice, że poeta w społeczeństwie dzisiejszém jest odosobnionym, obcym, okoliczność, która doprowadziła jednak do tryumfu formuły ezoterycznéj. Odtrącony lub odosabniający się poeta zagłębił się w sobie i w prawdach, które bądź co bądź górować zawsze będą nad światem. Artyści tworzą nie na usługi tłuszczy i zamówienia plutokratów, lecz dla wypełnienia swych przeznaczeń, ulegając prawu ogólnemu rozprężności; dlatego wreszcie, żeby zasłużyć na życie wieczne w sercach i umysłach wybranych. Będąc zresztą emanacyą Boga, iskrami pryskającemi z ogniska wieczystego światła wracają do swego źródła. Nic nie ginie, według zasady odwieczném, poeci więc tworzą, ażeby w marzeniach swych dać wyraz

nieskończonym metamorfozom wszechświatowéj materyi-ducha. Następnie, spełniają oni misyę nauczania, jako ci, którym dano dar słowa, oskrzydlonego słowa.

Mówią nam, żebyśmy się nie wyosobniali, żebyśmy pisali „dla wszystkich.“ Gdzież są jednak „ci wszyscy“ i gdzie ich literatura? Pisać „dla publiczności,“ ależ nie ma jednéj publiki, są natomiast niezliczone kupy i kupki, są różne, obce sobie i wrogie publiki i każda z tych grup, warstw czy uwarstwowień ma swoją literaturę, swego pisarza, swe pisma i wydawnictwa. Żyjemy przecie w czasie rozproszenia i rozkawałkowania wszystkiego, któż nam więc zabroni mieć swoją publikę, swoją garść rozumiejących nas i odczuwających. Nie jesteśmy wyjątkiem w tym szczególnym świecie pomieszania języków przy budowie jakiejś nowożytnéj wieży Babel. Nie odtrącamy zresztą nikogo od siebie i staramy się trzymać nasz sztandar wysoko, ponad zmienne fale chwili i upodobań nie mających jutra. Niech, komu wola, staje pod naszą chorągiew. A ciemność i niejasność języka i stylu? Piszemy dla wtajemniczonych, lecz każdy może nim zostać, kto nie pożałuje ku temu usiłowań!.. Poeci są cierpliwi, bo mają coś z owéj boskiéj cierpliwości bez początku i końca.

Trwać oni winni i czuwać, bo oto zda się mieć pod koniec nowożytnemu światu. Religie, odwieczne kamienie węgielne wszelkich fikcyi, próchnieją, chwieją się w swych starych posadach, niebawem rozsypią się zupełnie w proch i gruzy i zapanuje nad światem mrok, zapowiadający noc czarniejszą niż ta, którąśmy widzieli u schyłku wieków średnich. Tymczasem chorobą tego wieku jest to, że wié za wiele i za mało. Dla uniknięcia tego rozprzęgającego eklektyzmu, poeci zwracają się ku źródłom, ku początkom wielkich i prostych mytów i legend, tkwi w nich bowiem jedność, synteza, nad którą z takim mozołem pracuje nauka społeczna, bez wielkiego jednak dotąd powodzenia. I co za zamieszanie znowu w zakresie tych nauk, które zbliska dotyczą człowieka. Nigdy nie pracowano tyle nad środkami, nigdy nie wydobyto tyle materyałów, o celach jednak nikt nie myśli; zdają się być one z nauki wygnane. *Cui bono* więc te kupy surowego materyału, z którego nikt nie chce, czy nie umié korzystać! I powieść najnowsza nosi cechę tego rozluźnienia: dokumenty i opisy... wniosków żadnych. Podobnie i teatr naturalistyczny, ćwiczący się w okazywaniu skrawków życia w jaskrawém oświetleniu. Wszędzie tylko kupy cegieł — nigdzie budowniczego. I ten świat nazywa nas „dekadentami“ za to, że chcemy nawiązać stare, porwane tradycye, ażeby jakiś przecie węzeł zadzierzgnąć.

Szydzą także z nas dzieci wieku względności, że porywamy się

na bezwzględność, dążymy do absolutu... Jest on niewątpliwie, mówi Morice, niedościgniony i realny tylko w naszych pragnieniach. Czyż jednak nie w chimerach i niemożliwościach mieści się najszlachetniejszy dorobek ludzkości? Zadowolnienie czémś skończonem jest niewątpliwie oznaką niemocy. Pragnienie nie ma granic, kiedy zaś zdołamy wytężyć wolę naszą w kierunku wieczności, bezmiaru i nieskończoności, śmierć straci władzę nad nami. I czyż te metafizyczne rojenia nie są podkładem całéj naszéj pewności realnéj, całéj nawet nauki pozytywnéj... Złudzenia te są tak naturalne, że dziecko aż do fatalnego zepsucia przez wychowanie i społeczeństwo nie ma żadnego pojęcia o względności. Podobnie ludy pierwotne żyją tylko absolutem. Religie, legendy, tradycye, filozofie są tylko jego emanacyami. I one téż są źródłem sztuki, opierającéj się również na pierwiastku stałym i bezwzględnym.

Tyle już rozprawiano o pięknie, szukając dla niego jakiejś trwałéj opory lub zaprzeczając możliwości czegoś podobnego. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór tego pytania zaznaczymy tylko, że aczkolwiek posiadanie całkowite i zupełne absolutu jest rzeczą niemożebną, to jednak są pewne, możliwe do osiągnięcia szczeble téj bezwzględności, jest w pięknie jakiś stały pierwiastek, który nieznacznym tylko odchyleniom ulega.

Ścisły również związek zachodzi między pięknem a prawdą. Piękno jest pierwiastkowo tylko symboliczną i alegoryczną osłoną prawdy. Dlaczegóżby nie miało zachować tego charakteru i nadal? Nie tylko historycznie, lecz i ze swéj istoty sztuka, mówi Morice, jest religijną. Rodzi się w cieniu objawień, świadczy o ich żywotności i opuszcza je, kiedy ulata z nich wiara, kiedy zamiérają. Wtedy sama zapuszcza się w mroczne światy religijnéj metafizyki i świéci tam znowu, zapowiadając przyjście nowego objawienia, świéci często jaśniéj jeszcze, niż wtedy, gdy była związana z doczesnemi błędami, które podkopywały odwieczne prawdy zgrzybiałego objawienia.

Stosunek ten nazywa krytyk prawem ewolucyi artystycznéj, znajdującém swe potwierdzenie w historyi. Wszędzie religia wywołuje sztukę. Judea jéj tylko zawdzięcza swą poezyę i swe legendy. Zabytki architektoniczne Egiptu są grobami, jego literatura kapłańską. To samo znajdziemy w Asyryi, Persyi, Indyach i w Chinach. Grecki politeizm i sztuka grecka pozostawały w bardzo ścisłym związku. Iliada i Odysea są księgami świętemi. U swego schyłku wiara Greków świeci jeszcze przygasającém światłem u filozofów i poetów aleksandryjskich. Sztuka wieków średnich jest chrześciańską od fresków pierwszych mistrzów aż do wież katedr gotyckich, od

Dantego do Palestriny. Odrodzenie podkopuje ten związek a nawet grozi jego zerwaniem. Chrześciaństwo psuje się wówczas, staje się anemicznêm, zamiéra prawie i trzeba dopiéro krwawego wstrząśnienia Reformacyi, ażeby przywrócić mu pewną żywotność. I życie to będzie już wciąż walką, obroną. Czasy piękna chrześciańskiego były nie długie. Malarstwo włoskie XV stulecia i katedry gotyckie to jego najpiękniejsze zabytki. W wieku XVII we Francyi zarówno katolicyzm jak protestantyzm żyją już tylko siłą pierwszego rozpędu, współubieganie i nienawiść wzajemna podtrzymuje je. Katolicyzm szczególnie chroni się starannie przed wszelkiém nowatorstwem, które zdaje się być dziedziną protestancką. Katolicyzm zasklepia się w poszanowaniu tradycyi, „zyskując na tém fanatycznêm zrzeczeniu się wszelkiéj młodości, jakby drugą młodość nadziemską, jakby odzyskanie energii, jakby prawo przyszłości.“ Okazując w tém wielką elastyczność, opiéra się on na dwu potęgach, które chrześciaństwo zawsze zwalczało: królewskość i Odrodzenie. Temu kompromisowi zawdzięcza wiek XVII we Francyi swój blask, zresztą nie trwały. Poezya przeładowana mitologią klasyczną, służy wówczas kościołowi. Ramy te jednak, tak sztucznie sklejone, wystarczyły nie na długo. Sztuce było za ciasno w tym katolicyzmie, zamienionym w fortecę i okopanym wałami św. Trójcy; pragnęła ona wiary łagodniejszéj, pełniejszéj, wyższéj i szerszéj. Po tych mozolnych wysiłkach nastąpił „wiek Woltera“, pełen śmiechu i drwin, czczy i pusty, nim dojrzały w nim pierwiastki przewrotu. Sztuka, która w początkach Odrodzenia czepiała się mitologii greckiéj i teraz to jeszcze mechanicznie powtarza, nie ma się właściwie o co zaczepić! Sztuka nie ma oddechu ni polotu. Dopiéro Rousseau przywróci czysto chrześciański kult łez; teroryzm przypomni bohaterstwo i pogardę życia. Umysły spoważnieją i wtedy pojawi się szkoła teozoficzna de Maistre'a i Bonalda wraz z Chateaubriandem. Nastąpi zwrot ku religii, chrześciaństwu, ruch ten jednak, aczkolwiek szczerość jego jest niezaprzeczoną, nie zatrze śladów całego wieku negacyi. Świat przesiąkł był sceptycyzmem. Ten powrót do chrześciaństwa jest jakby umyślny, przez rozum i wysiłek woli, nie przez wiarę, podobny do konkordatu zawartego przez Napoleona z kościołem. Sztuka galwanizuje religię, miasto być jéj naturalnym wykwitem. „Żywi są rządzeni przez umarłych,“ jak powiedział Comte. Cały romantyzm wierzy tylko przez fantazyę i dla dekoracyi. Przyjmuje się religię, jako coś dalekiego od prawdy. W głębi ludzie ci nie wierzą. Nawet Lamartine przy całym swym religijnym liryzmie czuje pustkę wewnętrzną. Nawet u Bonalda, pomimo wysiłków i dobrych chęci, idea religijna jest martwą. I de Maistre raczéj pali niż grze-

je, uciekając się aż do tragicznéj surowości judaistycznéj, by tylko nie być pochłoniętym przez sceptycznego wciąż ducha wieku. Świat de Maistre'a, oparty na toporze kata, nie jest światem Chrystusa. U Chateaubrianda, mimo rzeczywistego mistycyzmu, spotykamy tylko dyletantyzm religijny. Jest to religijność literacka. Nawet gdy mówi o „Duchu Chrześciaństwa,“ słowa słychać lecz nie uczucie i przekonanie.

Nawiązany w ten sposób związek z religią, podobnie jak i w wieku XVII urywa się prędko. Czyż ma się znowu zacząć wiek XVIII, wiek drwin i pustego śmiechu? Nie. Spotykamy tu naprzód ludzi nauki, są to jednak prawdziwi uczeni, szlachetni myśliciele, którzy mówią o rzeczach z świętym dreszczem prawdy i którzy miłują jedność, syntezę, znak boskości. Umieją oni dużo, nie są jednak zarozumiali, są poważni i szczerzy w swych poszukiwaniach. Lubo więc dalecy jesteśmy od głębszéj i jednolitéj syntezy, szanujemy imiona takie jak: Carlyle, Spencer, Darwin, August Comte, Klaudyusz Bernard, Berthelot.

Geniusze ci jednak nie otaczają ołtarza a sztuka uciekła od Ewangelii.

Cóż więc, zapytuje Morice? i odpowiada ze drżeniem, powtarzając co już raz wyrzekł: „Sztuka przez swój ścisły związek z objawieniem jest znakiem ich życia a świadczy o ich śmierci porzucając je. Wtedy sama zapuszcza się w tajemnicze kręgi i zapowiadając nowe objawienie, świeci tam jaśniéj niż wtedy, kiedy przykutą była do błędów doczesnych, które podkopują wieczne prawdy spróchniałych objawień.“

Nie mogę, mówi krytyk, prorokować o przyszłości. Jesteśmy w epoce przejściowéj. To jednak jest dobrą oznaką, że nauka czysta wzięła górę nad nauką historyczną, która tak wszechwładnie zapanowała w początku tego stulecia. Piękną jest bardzo ta ciekawość przeszłości, zainaugurowana przez Thierry'ego i Micheleta, zbytnia jednak troska o przeszłość świadczy o niemożebności udźwignięcia teraźniejszości i przygotowania przyszłości. „Zmysł historyczny“ jest oznaką starości ras, świadectwem upadku. Budzi się on wraz ze zmysłem krytycznym“ w epokach schyłkowych. Mijają wtedy generacye, nie baczące na cel swéj drogi, z brodą na ramieniu, zapatrzone w przeszłość... Jest to tylko w jednym wypadku usprawiedliwione, gdy w téj przeszłości zdają się wstawać zorze przyszłego odrodzenia... I wtedy jednak ostrzega się przed lunatyzmem i potknięciem o pierwszy lepszy kamień przydrożny. I nasza epoka nadużywa historyczności i ewolucyonizmu, unoszą się jednak po nad nią czyste widnokręgi

wiedzy, zamglone dziś mistycyzmem, przez mgły którego staramy się dojrzéć przyszłą syntezę. Literatura pragnie połączyć piękno z prawdą, by skąpać się w tém źródle żywota i nowe siły pozyskać. Na związek ten złożyć się ma Wiara, Nauka i Sztuka. Unia ta, którą wiek XVIII uznał za niemożebną, którą wiek XVII oparł na serwilizmie sztuki, którą romantyzm robił sztuczną, my pragniemy widzieć istotną, wielką, wspaniałą, prowadzącą do sztuki całkowitéj (*integral*).

Nie możemy dziś gasić pragnienia u źródeł chrześciaństwa, wyschły one, aczkolwiek chrześciaństwo kryje może w sobie zarodki żywiołów, które świat zadziwią. Może w pomroce przyszłości niedalekiéj drzemie jaki nowy Ewangelista? Niepospolity pisarz katolicki Ernest Hello zdaje się dostrzegać na progu wieku XX jakąś zorzę, o któréj świadczy dziś nader silne i nie zaspokojone pragnienie nowej prawdy...

Nie znajdujemy jéj jednak w kościele, skoncentrowanym w zakrystyi, na straży dóbr doczesnych. Cóż zrobił katolicyzm, nie mówiąc już o protestantyzmie, tym plagiacie religii świeckiéj, ze staréj unii świętości z geniuszem? Gdzie jest dziś św. Anzelm, gdzie Tomasz z Akwinu? Dlaczego najwięksi doktorowie katoliccy wieku XVII nie są świętymi? Dlaczego dzisiejsi pisarze katoliccy tak mało mają geniuszu? To co geniusz ludzki porzucił, żyć nie może. Czyżby chrześciaństwo pogrzebane było w Summie św. Tomasza? Nie znajdując odpowiedzi w kościele na pytanie domagające się rozwiązania, pytamy daléj, zwracając się do starych wiar zamierzchłych, do kultów przysypanych prochem historyi, do nauki spółczesnéj w jéj najgłębszych i najśmielszych zaciekaniach, do nauk wreszcie tajemniczych, do magii, czarnoksięstwa, kabały, teozofii indyjskiéj, — wszędzie tam, gdzie znaleść możemy szukaną z upragnieniem odpowiedź!

W takiéj chwili sztuka straciła swą beztroską wesołość i czoło jéj poorały bruzdy, w oczach tli się jednak utajony ogień, gotów wybuchnąć płomieniem. Chwila jest uroczysta. Jesteśmy w końcu lub na początku świata.

Edward Przewóski.





O PRZYCZYNIE

WYRÓŻNICZKOWANIA SIĘ I ROZWINIĘCIA

osobno państwa roślinnego, a osobno zwierzęcego.

Problemat naukowy: co było przyczyną wyróżniczkowania się i rozwinięcia osobno państwa roślinnego, a osobno zwierzęcego, zwykle omijali dawniéj biologowie, uważając tę kwestyę za nader jeszcze trudną obecnie do rozwiązania. Tacy biologowie, jak Darwin, Haeckel, Huxley, lub filozof taki, jak Spencer, nie objaśnili nam tego zagadnienia. Przystępując obecnie do próby jego rozwiązania, zaznaczam, że wychodzę z założenia wraz Lamarckiem [1]), Pouchet'em [2]), Nägeli'm [3]), Haeckelem [4]), Cienkowskim [5]),

[1]) „Philosophie zoologique.“ Nouvelle ed. Paris, 1873. Lamarck pisze tam: „La nature, à l'aide de la chaleur, de la lumière, de l'electricité et de l'humidité, forme des *générations spontanées* ou directes, à l'extremité de chaque règne des corps vivants, ou se trouvent les plus simples de ces corps“ (t. II, p. 75). Pierwsze wydanie tego dzieła wyszło jeszcze w r. 1809, a poglądy w niém wypowiedziane bardzo znacznie wyprzedziły postęp nauki.

[2]) „Nouvelles expériences sur la génération spontanée et la resistance vitale.“ Paris, 1864.

[3]) „Entstehung und Begriff der naturhistorischen Art.“ München, 1865. — W broszurze téj Nägeli stara się wykazać i poprzéć swoje twierdzenie, że autogenia czyli samorodztwo (*generatio spontanea*) nietylko że miało miejsce dawniéj, ale że i obecnie się odbywa. (Patrz dopiski na końcu téj rozprawy (mowy) umieszczone). Ja jestem tego zdania, co i Nägeli, a dowody ścisłe, że autogenia i obecnie się odbywa, ogłoszę później.

[4]) „Natürliche Schöpfungsgeschichte“, 4 Aufl. Berlin, 1873.

[5]) Mikroorganizmy. „Wszechświat“. Warsz., 1884.

Strassburgerem, Clausem [1]) i wielu innymi biologami, że samorodztwo (*autogenia*) istnieć musiało, gdyż to jest postulatem (wymagalnikiem), nie powiem już przyrodniczym, lecz czysto logicznym, gdyż innego tłómaczenia w nauce nietylko że nie ma, ale nawet znaleść się nie może. Można wprawdzie przypisywać zjawienie się, lub powstanie pierwszych organizmów na ziemi interwencyi siły nadprzyrodzonéj, lecz w takim razie zstępujemy z gruntu naukowego na mistyczne pole hypotetycznych i arcywątpliwych spekulacyi metafizycznych, które z nauką nie mają nic wspólnego.

Przez samorodztwo rozumiemy powstawanie najniższych mikroorganizmów (drobnoustrojów) z materyi nieorganicznéj. Drobne molekuły materyi nieorganicznéj pod wpływem ciepła, światła, wilgoci, powietrza atmosferycznego i pewnych stanów napięć elektrycznych, a być może, że jeszcze pod wpływem większéj liczby czynników, zmieniają się w najdrobniejsze molekuły organiczne żywe (uorganizowane). Taki najmniejszy molekuł żywy, najmniejszą całką życia obdarzony, musi atoli posiadać jakąś wielkość, w każdym jednak razie taki molekuł uorganizowany nie może być mniejszy od molekułu materyi nieorganicznéj, — a że z fizyki (według badań Cauchy'ego) jest nam wiadomo, że pojedyńcze molekuły mają średnicę nie mniejszą od $\frac{1}{20,000,000}$ mm. (czyli około $\frac{1}{500,000,000}$ cala) [2]), przeto i pojedyńczy molekuł żyjący (żywy), nawet jeślibyśmy przypuścili, że powstał z jednego tylko molekułu materyi nieorganicznéj, nie może być mniejszy od $\frac{1}{20,000,000}$ mm. Taki atoli mikroorganizm, chociażbyśmy wzięli średnicę 2 razy większą, to jest $\frac{1}{10,000,000}$ mm. nie da się dostrzedz przez żadne obecnie używane, nawet najlepiéj udoskonalone mikroskopy. Jak wiadomo, najmniejszemi organizmami są żyjątka, należące do Protistów, to jest żyjątek nie wyróżniczkowanych jeszcze ani w kierunku roślinnym, ani zwierzęcym. Z pomiędzy tych do najmniejszych należą rózne gatunki bakteryi: i tak np. długość *Bacterium termo* Ehrbg. wynosi 1,2 μ; *Bacillus subtilis* Cohn. 6 μ (1 μ = 0·001 mm.), u *Streptococcus pyogenes*

---

[1]) „Lehrbuch der Zoologie". 3 Aufl. Marburg und Leipzig, 1885. Claus pisze: „Die Existenz der *generatio aequivoca* . . . . erscheint sogar als nothwendiges Postulat, um das erste Auftreten der Organismen zu erklären" (str. 2).

[2]) Por. Fizykę Daniella w tłóm. Boguskiego. Warsz. 1887, str. 277.

(Ogston et Rosenbach) komórki liczą od 0,1 do 0,7 μ; *Micrococcus Gonorrheae* (*M. gonococcus*) ma tylko 0,5 do 0,8 μ. Do najmniejszych organizmów też należą ciałka i miazmaty powietrzne (bakterye i bacille powietrzne), których wielkość jest mniéj więcéj od 0,1 do 0,8 μ [1]). A że $0{\cdot}1\ \mu = 0{\cdot}0001^{\text{mm.}} = \frac{1}{10,000}^{\text{mm.}}$, przeto różnica między $\frac{1}{10,000}^{\text{mm.}}$ a $\frac{1}{20,000,000}^{\text{mm.}}$, czyli w ułamku dziesiętnym między $0{\cdot}0001$ a $0{\cdot}00000005^{\text{mm.}}$, przedstawia nam największą różnicę wielkości między mikroorganizmami, do obecnego czasu poznanemi i dającemi się pod mikroskopem spostrzedz, a mikroorganizmami drogą samorodztwa powstałemi, których atoli pierwsze generacye z powodu swoich znikomych wymiarów ciała pod żadnym mikroskopem dostrzedz się nie dają. W myśl też t. zw. teoryi descendencyjnéj, obecnie znane mikroorganizmy są potomkami mikroorganizmów, drogą autogenii powstałych. Tak więc obecnie znane mikroorganizmy są już na pewnym szczeblu rozwinięcia, a wymoczki (*Infusoria*), jak to okazał w swoim czasie Ehrenberg, mają już znacznie złożoną budowę ciała, tak że nawet najmniejsze wówczas znane *Monady*, mające według pomiarów tego badacza tylko $\frac{1}{2,000}$ linii w średnicy, posiadają już złożoną budowę żołądka, a w rzęsach—organa ruchu [2]).

Rzecz naturalna, że takie złożone już mikroorganizmy nie mogą być uważane za powstałe drogą samorodztwa. Drogą tą mogą najprawdopodobniéj powstawać tylko takie mikroorganizmy, których wielkość—średnica—równa się, lub mało co jest większa od średnicy jednego molekułu nieorganicznego, a zatém bardzo mało większa od średnicy $0{\cdot}00000005^{\text{mm.}}$. Takie atoli mikroorganizmy nie są dostrzegalne pod mikroskopem. Z powodu przeto ograniczonego zakresu działania naszych zmysłów i przyrządów, któremi się zmysły posiłkują, wiedza nasza empiryczno-indukcyjna obracać się może tylko

---

[1]) Beauregard H. et Galippe V. Guide prat. pour les travaux de micrographie. 2-me ed., Paris, 1888, str. 767 i 768.

[2]) Ehrenberg C. G.: „Organisation der Infusorien". in „Isis", 1830, p. 168—169. — Tenże: „Ueber die Entwickelung und Lebensdauer der Infusionsthiere, nebst ferneren Beiträgen zu einer Vergleichung ihrer organischen Systeme." (Mit 4 Taf.) in „Abhandl. d. Berlin. Akad.", 1831, Phys. Kl., p. 1—88. — Tenże: „Entwickelung und Lebensdauer der Infusionsthiere", in „Isis", 1834, p. 85—106. — Tenże: „Zusätze zur Erkenntniss grosser organischer Ausbildung in den kleinsten thierischen Organismen." (Mit 1 Taf.) in „Abhandl. d. Akad.", 1835. Phys. Kl., p. 151 — 180.

na pewnym ograniczonym obszarze. Atoli ten materyał, zdobyty drogą empiryczno-indukcyjną, na pewnym chociażby dość ograniczonym obszarze wiedzy, przedstawia znaczną wartość i upoważnia nas do wystawienia na drodze dedukcyjnéj pewnych założeń, przesłanek i wniosków, które daléj do oznaczonéj granicy doprowadzić się dadzą. Rozważanie sposobem dedukcyjnym pokazuje nam wnet, gdzie są niedokładności, gdzie są luki w badaniu empiryczno-dedukcyjném. Znów przeto następują badania indukcyjne (obserwacyjne i eksperymentalne), a te znowu dają nam do ręki świeży materyał, zwykle ściślejszy od poprzedniego. Z tego materyału, to co zmysły czyli indukcya dała, rozum, czyli dedukcya, wysnuwa nowe prawdy w postaci pewników, praw i teoryi. (Bliżéj nad tém zastanowimy się przy końcu niniejszego artykułu). I tą drogą nauka daléj się posuwa.

Każda gałąź nauki dąży do tego, by z czysto indukcyjnéj przechodziła jéj część jedna po drugiéj, do wiedzy dedukcyjnéj. Indukcya i dedukcya — które to metody są już tak oklepane i prawie przez każdego myślącego badacza poruszane, że dały sposobność i powód Huxley'owi do ironicznego się wyrażenia o tém w wykładach jego: O tłómaczeniu zjawisk w organicznéj naturze, — są tylko ogólnym i pierwotnym zarysem badań. Tam gdzie zachodzi nam potrzeba wielkiéj ścisłości, tam wymagamy dróg i metod zwanych analizą i syntezą. Te dwie metody nie dadzą się przeprowadzić bez rozumowania matematycznego, które jedno jest ścisłém, logicznem i pewném. Droga logicznego rozumowania prowadzi tylko przez matematykę. Z dwóch ludzi — z których jeden drugiego podejrzéwa o zboczenie „władz umysłowych,“ tego umysł jest bardziéj „normalny“ czyli fizyologiczny, który bystrzéj rozumować potrafi w drodze matematycznéj, — tego zaś umysł jest bardziéj patologiczny, który słabiéj rozumuje i wnioskuje sposobem matematycznym. Natura jakby dla uratowania sprawdzianu względem stanu umysłowego ludzi, zostawiła nam jeszcze drogę, na któréj poznajemy trafność naszych rozumowań—im więcéj bowiem porządek i związek naszych pojęć subiektywnych czyli psychologicznych jest zgodny z porządkiem i związkiem pojęć obiektywnych czyli matematycznych — tém pojęcia nasze są logiczniejsze, — a z drugiéj im więcéj porządek i związek naszych pojęć zgadza się czyli odpowiada porządkowi i związkowi zjawisk rzeczy, tém bardziéj pojęcia nasze o przebiegu danych zjawisk są prawdziwe. A zatém z dwu ludzi, zastanawiających się nad jedném zjawiskiem, tego umysł jest bardziéj normalny, który potrafił dane zjawisko czyli fenomen wyjaśnić, przyczynę i przebieg jego podać; — tego zaś umysł będzie bystrzejszy, który po jednakowém z drugim do danéj rzeczy przygotowaniu —

w krótszym czasie (prędzéj) wyjaśnienie danego zjawiska podać potrafi, a które z czasem okaże się coraz bardziéj (w peryodyczny sposób się uzupełniając) do prawdy się zbliżającém, — czyli, co na jedno wyjdzie, jeśli poda szereg czynników na dane zjawisko wpływających i czynniki te ugrupuje w szeregu według natężenia czyli stopnia ich wpływu, kładąc na pierwszém miejscu czynnik najsilniéj na dane zjawisko wpływający a następne czynniki ułoży według ich coraz zmniejszających się wpływów. Ściśléj się wyraziwszy, trzeba by dane zjawisko zostało przedstawione w formie matematycznych funkcyi czyli zmiennych zależnych.

Zachodzi pytanie, gdzie, to znaczy na których miejscach samorodztwo mikroorganizmów odbywało się i odbywa? Prawdopodobnie odbywa się ono na wybrzeżach wód, a więc na wybrzeżach mórz w gorącym klimacie i na wybrzeżach bagien. Twierdzenie to można poprzéć tym faktem, że w miejscach takich zwykle grasują choroby zwane epidemiami (np. żółta febra, cholera, etc.), które w takich miejscach endemicznie występują. To występowanie takich chorób w owych miejscach da się chyba wytłómaczyć powstawaniem i nagromadzeniem się w wielkiéj ilości mikroorganizmów, które są potomkami (descendentami) organizmów drogą samorodztwa powstałych. Otóż te mikroorganizmy, jakkolwiek powstają na wybrzeżach, ostatecznie atoli muszą żyć i daléj się rozwijać albo na lądzie stałym albo w wodzie.

Otóż teraz stawiamy na drodze dedukcyjnéj pytanie: co się stanie i jaki będzie przebieg rozwoju tych mikroorganizmów (drogą autogenii powstałych), które żyją i rozwijają się na lądzie suchym; a co się stanie z temi, które żyją i rozwijają się w wodzie?

Te mikroorganizmy, które rozwijają się na lądzie (suchym), będąc pierwotnie niczém inném jak tylko najdrobniejszą komórką (molekułem żywym), nie mają z początku, rzecz naturalna, żadnych organów do poruszania lub przenoszenia się z miejsca na miejsce i muszą się rozwijać w tém lub na tém środowisku, w którém się znalazły. Zatém najmniejsza taka cząstka protoplazmy musi zostawać i wzrastać na jednćm miejscu. To umiejscowienie staje się przyczyną, że taka cząstka protoplazmy lub komórka ciągnąc pożywienie z otoczenia a przedewszystkiém z ziemi, do niéj powoli się przytwierdza. To przytwierdzenie, rzecz naturalna, odbywa się na jednym końcu lub z jednéj strony, a z czasem coraz bardziéj się utwierdzając, daje nam prymitywny obraz przyszłego korzenia u późniejszych i lepiéj zróżniczkowanych i udoskonalonych (zcałkowanych) roślin wyższych. Tak więc np. u pleśni już widzimy gołém okiem jeden koniec dolny, przytwierdzony do ziemi, — gdy drugi, wolny, sterczy ku górze i w tymże

kierunku rośnie. Dlaczego roślina głównie rośnie w kierunku do góry, nie zaś w bok lub na wszystkie strony jak zwierzę? Niektórzy jak np. prof. Rostafiński powiadają [1]), że przyczyną tego, że roślina rośnie do góry jest ciążenie powszechne. Takie wyjaśnienie co do kierunku wzrostu korzenia jest dobre, lecz dla tłómaczenia kierunku łodygi (pędu) jest nie do pojęcia. Gdyby kierunek wzrostu zależał od ciążenia czyli przyciągania ziemskiego, wówczas właśnie roślina ulegając temu wpływowi powinna rosnąć w kierunku przyciągania to jest tylko do dołu czyli w głąb ziemi — nie zaś wznosić się i rosnąć do góry. Otóż przyczynę tego fenomenu już od dawna wykazał Dr. Gustaw Jäger [2]), który powiada: „Protoplazma (względnie komórka) rośnie ciągle w kierunku najmniejszego oporu.“ — Czy w istocie wzrost do góry przedstawia dla rośliny najmniejszy opór? Chcąc na to odpowiedzieć, trzeba sprawę tę bliżéj rozebrać.

Mamy komórkę żywą. Znajduje się ona na ziemi. Po pewnym czasie chcąc wydostać pokarm dla siebie z ziemi, jeden koniec komórki przytwierdza się (przyrasta) do ziemi, drugi jest wolny. Jeden więc koniec, to jest ta część, która późniéj rozwinie się w korzeń, rośnie w dół, to jest w kierunku przyciągania ziemskiego, drugi atoli koniec lub druga, to jest górna część, nie może rosnąć w tymże kierunku, gdyż właśnie w tym kierunku znajduje się reszta ciała komórki lub rośliny (część przyszłego korzenia), przeto właśnie w tym kierunku, rzecz widoczna, rosnąć nie może. Pozostaje przeto wzrost boczny lub górny. Roślina rosnąc w bok natychmiast by uległa wpływowi przyciągania ku ziemi, wskutek czego miałaby bardzo znaczną siłę do pokonania. Rosnąc atoli ku górze podpiéra się pozostałą stroną swego ciała (spodem) na reszcie rośliny, siła ciążenia ziemskiego z tego powodu prawie żadnego nie ma wpływu i wolny koniec przebijając tylko powietrze, o wiele mniejszy napotyka opór niż przebijając ziemię. Z tego powodu, gdy jeden koniec komórki (lub wogóle rośliny) rośnie w dół, drugi koniec nie mogąc rosnąć w bok, gdyż tam dostałby się w pole działania ciążenia ziemskiego, musi rosnąć do góry, w tym bowiem kierunku doznaje najmniejszego oporu.

Skoro zaś jakikolwiek nie wyróżnicowany jeszcze organizm żyjący przyczepi się jednym końcem do ziemi, a drugim wystercza w górę, a nawet zaczyna w tymże kierunku rosnąć, wówczas mamy jedną z cech, która dany organizm do roślin doskonałych (to jest wyraźnych) zbliża, mianowicie u m i e j s c o w i e n i e czyli brak zdolności przeno-

[1]) Ob. J. Rostafińskiego Botanikę dla klas wyższych.

[2]) Lehrbuch der allgem. Zoologie. Leipzig, 1878. str. 182.

szenia się z miejsca na miejsce. Już ta jedna własność nabyta: umiejscowienie się czyli stałe usadowienie się organizmu ma bardzo doniosłe dla niego znaczenie. Żyjąca komórka, po licznych pokoleniach drogą ewolucyi stawszy się organizmem wielokomórkowym, przystosowuje się coraz bardziéj do otoczenia. Taki to organizm wegetując na ziemi i czerpiąc z niéj pokarm, coraz bardziéj przytwierdza się do niéj i coraz więcéj wskutek tego przybiera cech roślinę doskonałą (wyższą) znamionujących. Tak więc te czynniki, jak umiejscowienie się czyli stałe usadowienie się, konieczność ciągnięcia pokarmu z ziemi, wzrost i rozwijanie się na ziemi (na lądzie) stają się przyczyną, że dany organizm po pewnym czasie, to jest po upływie wielu pokoleń przeobraża się w twór o wyraźnych cechach roślinnych czyli w roślinę.

Nie wszystkie atoli mikroorganizmy powstałe na wybrzeżu wód dostały się na ląd suchy. Na wybrzeżach, jak wiemy, woda może albo ustąpić albo przybrać; jeśli woda ustąpiła, może na wybrzeżu późniéj bujne życie najniższych roślin wystąpić, jeśli woda przybrała, w takim razie najniższe mikroorganizmy drogą samorodztwa powstałe są przeznaczone do życia w wodzie i do życia tego się przystosowują. A mogą tutaj o wiele skomplikowańsze zajść warunki niżli na lądzie. Jeśli mikroorganizm świeżo powstały dostanie się zaraz do wody, jest w niéj wolno zawieszony, wodą to jest jéj prądami lub falami ciągle poruszany — nigdzie punktu uczepienia znaleść nie mogący — to z tego organizmu po licznych pokoleniach czyli generacyach, rozwinie się drogą ewolucyi organizm o wyraźnych cechach dynamicznych czyli że rozwinie się w zwierzę. Lecz cóż będzie z takim organizmem, który na lądzie się rozwinął, do niéj się przytwierdził i kilkanaście, kilkadziesiąt lub kilkaset i więcéj pokoleń na suchym lądzie przebył, a potem woda go zaleje? Wówczas, jeśli ilość pokoleń była wystarczającą do przemienienia i rozwinięcia się organizmu w wybitną roślinę, woda zalewając taką roślinę nie może już zmienić nabytéj struktury anatomicznéj rośliny i funkcyi fizyologicznych odpowiednio do tego zmodyfikowanych, tylko taka roślina z lądowéj przemienia się na wodną.

A co będzie z takiemi, drogą samorodztwa powstałemi mikroorganizmami, które od początku swéj filogenetycznéj egzystencyi zmuszone są prowadzić życie wprawdzie w wodzie — ale późniéj zostały np. uwięzione w namule, zatem do dna w wodzie przytwierdzone zostały. Wówczas wytworzą się po pewnéj liczbie pokoleń w rozwoju filogenetycznym gatunki o typie takim jak np. zwierzokrzewy (*zoophyta*).

Wspomnieliśmy powyżéj, że protoplazma nowo (drogą autogenii)

powstała, jeśli znajdzie się w wodzie zawieszoną, to wówczas musi się rozwinąć w jakiś twór ruchliwy o cechach zdążających do sumy cech, dających później w wyniku organizm zwierzęcy. Skąd to pochodzi? Pochodzi to stąd, że właśnie ruch protoplazmy w wodzie, najprzód bierny, a późniéj coraz więcéj stający się czynnym, wywołuje cały szereg następstw w budowie, składzie i urządzeniu protoplazmy. Komórka organizmu żyjącego, bez względu czy ten organizm jest jednokomórkowy, czy wielokomórkowy, już jest zbiorem molekułów, układem morfo-dynamicznym. To też jeśli na taki układ działają, uderzając o nie, fale wody, poruszając i przenosząc go bezustannie,— to oczywista, że to uderzanie nie może zostać bez skutku. Prawo akcyi i reakcyi, tak jak i w innych zjawiskach przyrody, ma tutaj całkowite swoje zastosowanie. Uderzanie fal wody sprawia na mocy ciśnienia i pchnięcia (*Druck und Stoss* fizyologów niemieckich) przemieszczenie wzajemne molekułów komórkowych. Odbywa się to ciągle. Takie ciągle odbywające się pchnięcia na molekuły komórki i częstokroć przemieszczanie ich wzajemne, wywołują zjawisko zwane w fizyologii odczuwaniem. A więc ruch molekułów komórki (lub w ogóle ciała) najprzód będąc biernym, a późniéj stając się czynnym, wywołuje nowy objaw dla organizmu: odczuwanie [1]. Protoplazma wielu niższych organizmów jak np. śluzowców (*Myxomyceta*) wygląda jakby rozlana substancya podobna do śluzu, stąd téż pochodzi ich nazwa. Taka protoplazma przelewać lub przesuwać się może w różnych kierunkach: jeśli jest na ziemi (na lądzie), może się przyczepiać do liści, gałązek, cząstek ziemi; jeśli atoli taka protoplazma znajdzie się w wodzie, prądem lub falami poruszana, to nie ma się do czego ani przyczepić ani utwierdzić. Własność atoli czyli zdolność przemieszczania się protoplazmy w różnych kierunkach pozostaje; to téż, jeśli protoplazma na lądzie wypuszczając „wypustki,“ przytwierdza się niemi do podłoża, to w wodzie dla protoplazmy owe wypustki (nibynóżki, *pseudopodia*) nabierają już innego znaczenia. Takie nibynóżki już też są częściowo jako pierwotny przyrząd czynnnego ruchu,— i takie pseudopodia widzimy np. u Amoeb.

Czynny ruch już jest jednym z przymiotów zwierząt dotyczących. Téj też okoliczności, że woda (jéj poruszanie, fale, prądy) staje się przyczyną ruchu protoplazmy, a później na mocy całego szeregu zjawisk w ślad za têm występujących, wywołuje się przemiany morfodynamiczne danego organizmu, — zawdzięcza się kierunek rozwoju

[1]) Ścisłe mechaniczne objaśnienie tego problematu, w razie obszerniejszego zbadania niniejszego przedmiotu, zostawiam na późniéj.

danego mikroorganizmu; jeśli bowiem jego najpierwsze generacye (pokolenia) żyją i rozwijają się w wodzie, to dany mikroorganizm zmienia się z czasem w organizm o wyraźnych cechach zwierzęcych. Powyżéj rozważone szczegóły upoważniają nas do wystawienia twierdzenia tymczasowo w formie hypotezy.

Przyczyną główną, że rozwój świata organicznego poszedł w dwu kierunkach, było najprawdopodobniéj środowisko, w którém lub na którém najniższe organizmy, drogą samorodztwa powstałe, żyły i rozwijały się. Rozwój najpierwszych pokoleń mikroorganizmów na lądzie lub w wodzie zadecydował o ich dalszym kierunku co do przebiegu nabywania cech morfologicznych i fizyologicznych: — mikroorganizmy bowiem, których pierwsze pokolenia żyły najprzód na ziemi, rozwinęły się w rośliny; mikroorganizmy zaś, których pierwsze pokolenia żyły nasamprzód w wodzie, rozwinęły się w zwierzęta.

Że właśnie te przyczyny, a nie inne, spowodowały taki kierunek w rozwoju świata organicznego, mamy na to dowód w rozpatrzeniu typów lub grup świata roślinnego i zwierzęcego. Największa część gatunków z najniższych grup roślin, żyje albo na lądzie albo są pasożytami np. *Oomycetes*, *Ustilagineae*, *Uredineae*, *Basidiomycetes*, *Ascomycetes*; przeciwnie zaś wszystkie gatunki najniższych zwierząt żyją w wodzie np. *Rhizopoda* i *Infusoria* z Protozoów, daléj *Coelenterata* i *Echinodermata* — a sądzę, że już sam ten jeden fakt, iż zoologowie nie znają z najniższych zwierząt żadnych, któreby do lądowych zaliczyć można, lecz wszystkie jako wodne lub pasożytne, powinien wystarczać, by tę hypotezę uczynić w wysokim stopniu prawdopodobną. Że wyższe zwierzęta i człowiek nie należą do organizmów wodnych (żyjących w wodzie), pochodzi to stąd, że wyższe zwierzęta lądowe rozwinęły się z niższych wodnych, podobnie jak teraz wiele gatunków z Amphibiów np. żaby, salamandry, ropuchy i t. p. przedstawiają nam powolny i stopniowy przebieg transformizmu i ewolucyi z życia wodnego na lądowe. Tak tedy lądowe życie wyższych zwierząt uważa się jako wtórne czyli następcze, po wodném jako pierwotném.

* * *

Na myśl tłómaczenia w ten sposób tego zagadnienia w przyrodzie, wpadłem jeszcze przy końcu r. 1889. Późniéj zapatrywanie się to na tę sprawę komunikowałem ustnie wielu osobom. Dopiéro atoli teraz zdecydowałem się na ogłoszenie, zwłaszcza, że dostała mi się

do rąk rozprawa d-ra Arnold'a Lang'a, prof. zoologii filogenetycznéj w Jenie [1]), w któréj rozbiór i wykład niektórych szczegółów nietylko że się nie sprzeciwiają memu poglądowi, lecz owszem go popiérają.

I tak Lang (str. 9) pisze: „Jestem zapewne ze wszystkimi zoologami w zgodności, jeśli za pewne (o ile w takich pytaniach w ogóle o pewności mówić można) przyjmuję, że wszystkie stale usadowione zwierzęta w ostatniéj linii od wolnożyjących pochodzą.“

Daléj (str. 12) czytamy: „Przejrzyjmy zastęp stale usadowionych zwierząt, a zaraz spostrzeżemy, że żadne z nich nie należy do zwierząt lądowych. Nie znamy na lądzie, w powietrzu ani jednego stale usadowionego zwierzęcia, któreby do pasożytów nie należało. W czém może mieć swoję przyczynę brak stale usadowionego sposobu życia na lądzie? Na to pytanie nie potrafię w zadawalniający sposób odpowiedzieć.“

Na str. 13 Lang pisze: „Powyżéj dostatecznie pewnie wyłożyliśmy, że wszystkie stale usadowione zwierzęta pochodzą od wolnożyjących.“

Na str. 14 mamy taki ustęp: „Jest-to np. nie tak trudno oznaczyć, w jaki sposób u stale usadowionych muszel nastąpiło przejście z wolnego do stale usadowionego sposobu życia. Że wolny sposób życia tutaj pierwotnym jest, przyznają zapewne wszyscy zoologowie. Anatomia porównawcza okazała, że czynny organ ruchu, noga, charakterystyczną jest nietylko dla muszel, lecz wogóle dla wszystkich mięczaków. Już to czyni prawdopodobném, że wszystkie muszle pierwotnie były wolnożyjącemi. Ontogenia okazuje daléj, że wszystkie stale usadowione muszle w swojéj młodości były wolne, a biologia obznajamia nas z blisko spokrewnionemi formami, u których wszystkie przejścia od wolnego do stale usadowionego sposobu życia spostrzegać można.“

Wreszcie na str. 15 czytamy: „Że także u ślimaków wolny sposób życia w przeciwieństwie do stale usadowionego był pierwotnym, okazuje się tu o wiele jaśniejszém, niż u muszli.“

Z powyżéj przytoczonych zdań widzimy, że Lang życie wolne (a więc nie usadowione, czyli przytwierdzone) uznaje za pierwotne dla zwierząt.

* * *

Ma się rozumiéć, że innym badaczom zostawiam do zdziałania, by moją hypotezę albo poparli, albo obalili. Badań eksperymental-

[1]) „Ueber den Einfluss der festsitzenden Lebensweise auf die Thiere und ueber den Ursprung der ungeschlechtlichen Fortpflanzung durch Theilung und Knospung“. Jena, 1888.

nych nie czyniłem, gdyż wobec takiego przedmiotu przy wyżéj przedstawioném założeniu nie możnaby ich przeprowadzić, a następnie do eksperymentów nie należy zawsze (w każdym wypadku), a osobliwie tam, gdzie się nie przeprowadza ściśle matematycznych (rachunkowych) badań, zbyt wielkiéj przywiązywać wagi, eksperyment bowiem bardzo często, gdy go nie umiemy objaśnić, nie ma naukowéj wartości; a powtóre: eksperyment często okazuje to, co my sobie życzymy udowodnić, — dość wskazać na eksperymenta czynione przez Pasteur'a i Pouchet'a, gdy w głośnym swym sporze o samorodztwo, każdy z nich „otrzymywał“ (miał otrzymywać) wręcz przeciwne rezultaty; albo na eksperymenta na żabach czynione przez fizyologów Pflüger'a i Goltz'a w ich sporze nad psychiczném znaczeniem centrów rdzenia kręgowego; albo na spór powstały w swoim czasie w sprawie t. zw. samosterownictwa serca między Hyrtl'em i Brücke'm, gdzie podczas zaapelowania spierających się do autopsyi, każdy z nich twierdził, że autopsya poparła jego pogląd.

Najwyższą instancyą w nauce jest rozum i to dopiéro wtedy, gdy drogą dedukcyjną potrafi wykazać, że przy danéм założeniu, to jest przy danych warunkach (czynnikach) i danym ich przebiegu, tylko taki, a nie inny, przebieg zjawisk nastąpić koniecznie musi, wszelki zaś inny przebieg wypadków jest wykluczony. Nim atoli pewna gałąź lub zagadnienie specyalne z nauki do téj wyżyny się wzniesie, musi przedtém przebiedz różne stopnie swego wypróbowania. Najprzód domniemanie osobiste staje się hypotezą, czyli mniemaniem większéj liczby osób,—hypoteza już jest ważnym etapem w zbadaniu danego zagadnienia w nauce, ona bowiem czyni pierwszy krok w poszukiwaniu prawdy, hypoteza bowiem obalona wskazuje, że tak nie jest, a to już jest znacznym krokiem do postępu: na początku bowiem danego zagadnienia nie wiemy ani jak jest, ani téż nie wiemy jak nie jest. Jeśli atoli hypoteza nie zostanie obalona, musi zostać z czasem koniecznie albo zasadą, albo teoryą, to jest wykazaniem zależności jednego fenomenu od drugiego, lub drugich fenomenów, albo wyrażając się językiem poniekąd matematycznym: teorya nam wykazuje, jak jedna zmienna zależna zmienia się w stosunku zależnym od drugiéj, lub drugich zmiennych niezależnych. Jeśli hypoteza obalona wskazuje nam jak nie jest, to hypoteza udowodniona, a więc zasada, lub co ważniejsza teorya, wskazuje nam pozytywnie jak jest, bez względu atoli na mniejszy lub większy stopień dokładności. Gdy atoli teorya dosięgnie tego stopnia dokładności, że może być ujęta w formułę matematyczną oznaczoną, wówczas nazywa się prawem, — gdy zaś widoczność, czyli oczywistość, danego prawa w naszym procesie myślowym

dosięgnie takiego stopnia, że nietylko negacya, ale nawet w danych warunkach możliwość wszelkiego innego wypadku zostaje wykluczoną, natenczas prawo staje się pewnikiem czyli aksyomatem, — jako najwyższa zdobycz umysłu ludzkiego; a zdobywanie coraz większéj liczby pewników jest oznaką biegu postępowego w rozwoju ducha ludzkiego.

Chcąc dojść do pewników, trzeba zacząć od pewników, — metafizyka, nie umiejąc wyjść od pewników, wychodzi zawsze od mniemań czysto osobistych i dochodzi do mniemań osobistych — które nawet do nazwy hypotezy dopuszczone być nie mogą; matematyka, jeśli wychodzi od pewników, do pewników dochodzi. Mając jako założenie hypotezę, do hypotezy się dojdzie, mając jako założenie teoryę, najdaléj do teoryi się dojdzie. Im daléj chcemy dosięgnąć w swych dociekaniach i badaniach, tém głębiéj fundamenty nauki ugruntować musimy. W nauce atoli zawsze teorya powinna wyprzedzać praktykę—w przeciwnym bowiem razie z nauki przyrodniczéj robi się kuglarstwo i coś na wzór „czarnéj magii.“ A zresztą teorya jest niczém inném, jak tylko wykazaniem związku i zależności pewnych zjawisk i rozwinięciem reguł danéj wiedzy. Jest ona więc podstawą praktyki. Każdy wielki wynalazca, nim co odkrył i światu ogłosił, na długie lata nieraz przedtém z teoryą nosił się, jako ze swojemi myślami, a którą dokładnie przeanalizował i rozwinął. Inaczéj bowiem, bez teoryi jako naszéj przewodniczki, będziemy stać wobec nowych zjawisk, nowych eksperymentów, jak „dziki człowiek wobec lokomotywy“, albo jak wiedeński uczony wobec stolików wirujących i doświadczeń indyjskiego fakira Solimana. Świat téż takich ludzi, którzy się biorą do spekulacyi praktycznych, a nie zbadali przedtém teoryi dotyczących fenomenów, nazwiskiem „uczonych“ nie obdarzy.

Michał B. Wierzbowski.





TRYLOGIA ANTYCZNA

W LITERATURZE CZESKIEJ.

Trylogia z tematu staro-greckiego, na poły mitycznego w literaturze nowoczesnéj, i to nie u Niemców, którzy karmieni klasycyzmem niemal od kolébki, są w świecie starożytnym niby u siebie w domu, u których piśmiennictwo, rozbujałe nie pomiernie, rozlewa się na wsze strony, ogarniając wszystkie kraje i wszystkie wieki, ale u Czechów, gdzie odrodzone, dopiéro od wieku piśmiennictwo narodowe płynęło dotąd ciasném korytem!...

Czesi w najnowszych czasach przyzwyczaili nas do najrozmaitszych niespodzianek. Naród, grzebany już przez Niemców, którzy gotując mu takąż samą dolę, jaką przed wiekami Słowianom nadelbiańskim, niecierpliwie czekali, rychłoli ostatni ludzie, mówiący po czesku, zejdą do mogiły; naród, ogłoszony przed światem za upadły ostatecznie, za tępy i ograniczony z natury, nagle w przeciągu lat trzydziestu używania trochę lepszego bytu wzmaga się do tego stopnia, iż w zeszłorocznéj wystawie swéj okazuje światu zdumiewające dowody nietylko swéj żywotności, ale i wszechstronnego rozwoju na drodze przemysłu, rolnictwa, sztuki.

Tenże sam naród, u którego przed laty pięćdziesięciu ukazanie się książeczki średniéj wartości, stanowiło wiele znaczący fakt literacki, dziś w literaturze swéj najrozmaitsze uprawia kierunki, dąży do wszechstronnego rozwoju nauki i poezyi, znajdując poparcie w zdumiewającym przyroście czytelnictwa, w publiczności, która kupowanie książek czeskich poczytuje nie za łaskawe mecenasostwo, ale za święty obowiązek względem saméj siebie. Nic dziwnego, że literatura owa potężnieje, szuka nowych dróg, tworzy nowe dzieła w nowych kierunkach i wogóle dąży do tego, aby wyrażając godnie tendencye

umysłowości narodowéj, zaspakajać należycie potrzeby czytającéj skwapliwie publiczności. Produkcya piśmiennicza, połączona z niesłychanym ruchem wydawniczym, wprawia w zdumienie każdego, kto rozważy, że to się dzieje w narodzie, nie dochodzącym nawet do pięciomilionowéj cyfry, narodzie, który w dodatku nie cieszy się zbyt szczęśliwém położeniem politycznem.

Zwłaszcza zdumiewającym jest rozwój nowszéj poezyi czeskiéj. Nie tak zbyt dawno, gdy u nas były czasy wielkich wieszczów, w Czechach sączyła się płytkim ruczajem, wysychającym co czas jakiś, skromna liryka, nieśmiele opiewająca hasła narodowe, ojczyznę czeską, lud i ogólnikowe wspomnienia przeszłości. Dziś poezya czeska wezbrała nad wszelkie oczekiwanie, poeci wypuszczają w świat wielkie poematy epiczne, całe szeregi zbiorów lirycznych i dramata, czerpane z dziejów narodowych, lub zabiegające w przeszłość antyczną i średniowieczną. I poezya znajduje chętnych czytelników, kupujących dzieła poetyckie w wytwornych wydaniach i to właśnie w tychże samych czasach, gdy u nas przed dłuższym poematem, przed zbiorkiem wierszowanych utworów, cofają się ze świętą zgrozą wydawcy i czytelnicy.

I poezya ta nie zadawalnia się dawniejszą wyłącznością tematów narodowych, a co najwyżéj słowiańskich, śmiało chwyta przedmioty z wszelkich pól, z wszelkich dziedzin, sobie dostępnych i w téj uniwersalności kierunków czerpie nowe siły do zdumiewającego swego rozwoju. W beletrystyce czeskiéj natrafiamy ciągle niespodzianki, na pozór nielicujące z duchem realistycznym i trzeźwym, aż nadto trzeźwego końca wieku, ale zniewalające nas do głębszego zastanawiania się nad niemi, nieraz do schylenia czoła przed niepowszednio zrozumianemi ideami ludzkości. I tak naprzykład, gdy dziś demokracya, domagając się nietylko szerokich praw dla stanu czwartego, ale jeszcze „podporządkowania“ wszelkich spraw interesom ludowym, jednocześnie pracuje w beletrystyce nad zohydzeniem tego ludu, nad odarciem go nietylko ze szlachetniejszych, ale nawet ze wszelkich ludzkich przymiotów, Czesi w powieści ludowéj, malują ów lud prawdziwie, nie zabiegając bynajmniéj do bagnisk i ścieków najzdrożniejszych zboczeń człowieczych, najfatalniejszego zwyrodnienia natury ludzkiéj. Doprowadzili oni przez to lud czeski do poczucia się we własnéj godności, a społeczeństwo do tego, że w ludzie uznało najpewniejszą podstawę swego bytu i rękojmię przyszłości. Zwłaszcza w nieporównanych swych powieściach z życia wiejskiego Karolina Świetla umiała odkryć pod słomianemi strzechami chat górskich takie skarby uczucia i ducha, takie objawy niepospolitych charakterów, że czytając je, dopiéro rozumiemy w całéj pełni, iż z pod strzech owych

mogli wyjść mężowie, którzy odrodzili piśmiennictwo i narodowość czeską.

Pogrzebane przez dzisiejszą jednostronność realistyczną kierunki żyją w Czechach i zniewalają nas do przyznania, że mogą jeszcze godzić się z ideami wieku i zająć trzeźwe nawet umysły, jeśli tylko te nie dały oplątać się ciasnemu sekciarstwu realistycznemu lub naturalistycznemu. Mistyka i fantastyczność w rodzaju Edgara Poe kwitła pod piórem Jakuba Arbesa i publiczność z niecierpliwą ciekawością odczytywała jego głęboko wzruszające, w gruncie rzeczy pod pozorną maską fantastyczności nader prawdziwe dzieje rozmaitych „kandydatów egzystencyi“.

Zdawałoby się, że romantyzm, co niegdyś dał literaturze powszechnéj tak świetną epokę poezyi, a potém został przez epigonów doprowadzony do absurdu, leży bez powstania, przywalony ciężkim kamieniem mogilnym. Tymczasem romantyzm żyje w Czechach i ma znakomitego przedstawiciela, wielce przez znawców prawdziwéj poezyi cenionego i czczonego. Juliusz Zeyer, pokrewny duchem naszemu Juliuszowi, jest dziś na świecie snadź ostatnim romantykiem. Umysł lotny, sięgający najwnioślejszych wyżyn myśli i uczuć ludzkich, omijający ze wspaniałą pogardą wszelką poziomość i pospolitość, zabiega po tematy do najdalszych krańców geograficznych i dziejowych. Jego nowela egipska „Król Menhera“ stokroć lepiéj daje nam odczuć ziemię Faraonów, aniżeli pisarze z taką pełnią erudycyi, a z taką odrobiną talentu, przytém tyle rozsławione po świecie romanse Ebersa. Co za przepyszny, rozległy, wspaniały obraz wieków średnich znajdujemy w „Aminie i Amilu!“ W powiastkach japońskich i chińskich Zeyer każe nam podziwiać poetyczność tych ludów, na które przywykliśmy patrzéć jako na kopalnie karykatur do zdobienia parawanów i pudełek od herbaty.

Uniwersalność nowszéj poezyi czeskiéj najlepiéj odbija się w niesłychanie płodnéj działalności Vrchlickiego, który szalonemi skokami ugania się za tematami poetycznemi po niwach wszech ludów i wieków. Pod względem nadzwyczajnéj zdolności podejmowania wszelkiego tematu ze strony poetycznéj, a do tego zdumiewająco oryginalnéj, a także pod względem rozrzutnego bogactwa pomysłów i szybkości, oraz obfitości produkcyi, Vrchlicky nie ma dziś podobnego sobie poety, nietylko w Czechach i Słowiańszczyznie, ale wogóle na świecie. Jest to poeta całéj ludzkości, którą wielbi we wszech jéj objawach wielkich, pięknych i wspaniałych.

Że przejęcie się duchem starożytnego świata odbiło się niejednokrotnie w twórczości Vrchlickiego, to nas dziwić wcale nie powinno. Jak dawni mistrze, czczeni przez romantyków, pojmowali klasyczność

lepiéj od tak zwanych klasyków, przysięgających na kodeks *Artis poëticae* Horacyusza, tak też i Vrchlicky głęboko i szczerze odczuwa Grecyę „matkę sztuki i żywota“. Wogóle prawdziwi romantycy wielbili i rozumieli ojczyznę Homera i Platona, Szyller wzdychał do tych czasów, gdy bogowie rządzili światem, a Goethe „Faustowi“ (w części II) każe odnajdować ideał swój wśród cieniów helleńskich, przy żyjącej w nieśmiertelnéj krasie „Helenie“. U Vrchlickiego w lirykach i epice często powracają motywy starogreckie, ujęte i przedstawione z zachwycającą barwnością szczerego romantyka. Znajdujemy je niemal w każdym z tak licznych zbiorków jego poezyi. W jednym z pierwszych „Duch i świat“ [1]) Vrchlicky znakomicie odmalował pogrążenie się duchem w wir mitów starogreckich, w prądy i otchłanie świata antycznego, mianowicie w wierszu p. t. „Hezyod“.

W delikatném, a zarazem głębokiém odczuwaniu starożytności u Vrchlickiego poznać niemal zawsze człowieka nowéj epoki, który nie roni łez sztucznych nad zniknięciem świata bogów, jak Szyller w swych „Bogach Grecyi“, ale ujmuje go jako wspaniałe stadyum w rozwoju ludzkości, pełne niewysłowionéj krasy i harmonii. On wié dobrze, że poezya wyrosła już z owéj uroczéj wiosny i uśmiechniętego dziecięctwa swego, mówi bowiem:

Wiem, że nie jesteś już to płoche dziécię,
Które się śmiało o ludzkości świcie,
Które Bóg włożył do kolébki świata
I Homer słodko pieścił w ranne lata,
Aż w pocałunku ust Anakreona
Niewieście czucie drgnęło w głębi łona.
Gdzie są twe róże, cymbał, czara wina
I Pan, twój ojciec, gracye, twa drużyna?
Dziś tyś niewiasta we łzach, nieszczęśliwa,
Większy niż Nioby ból pierś twą rozrywa,
Tyś anioł, spadły z niebios wysokości,
I radość bogów, a skarga ludzkości! [2])

Różnicę między złudzeniami starożytnych, ich uroczą symboliką, a dzisiejszém ogłooceniem prawdy z połyskliwéj łupiny wybornie odmalował w ślicznym wierszu „Pytya“:

Z ciemnéj jamy dym się wznosi,
Na trójnogu, wieszczko, siądź
Cud ta chwila światu głosi,
Oko twoje łzą się rosi,
W snów dziedzinie myślą błądź!

---

[1]) „Duch a svět“ 1878. Przekład polski Miriama (Zenona Przesmyckiego). Wiersze tutaj przytoczone są przekładu autora artykułu.

[2]) Ze zbioru „Pouti k Eldoradu“ 1882.

Ziemi głębie wstrząsa burza,
A w powietrzu blaski zórz.
Wawrzyn wonią cię odurza,
Bóg w twém łonie zadrgnął już!
. . . .
Przeszły wieki, na świątynię
W Delfach spadły pleśń i pył,
Człowiek miejsca cudów minie,
Prawdy szuka sam w łupinie,
Gdzie się tajny sens jéj skrył.
Co w symbolów wprzód odzieży
Było, dzisiaj czynem już,
Człowiek głębie niebios mierzy,
Bada tajnie serca burz [1]).

Czasami Vrchlicky z wysoko poetyckim, a zarazem filozoficznym nastrojem posługuje się symbolem starożytnym dla wyrażenia myśli całkiem nowoczesnego charakteru i znaczenia. Wyborny tego przykład mamy w wierszu „Latarnia Dyogenesa“, gdzie w osobie starożytnego cynika, poeta znakomicie napiętnował wzniosłém potępieniem pesymizm i złośliwą analizę pokoleń nowoczesnych.

Do łoża mego wieczorną godziną
Przychodzi starzec zgarbiony, z łysiną,
A w ręku jego latarnia się chwieje.
Podając mi ją, szyderczo się śmieje.
— Ty szukasz prawdy... nuże, bierz latarnię.
Zobaczysz przy niéj, jako więdnie marnie,
Co żyło... ujrzysz jądro wszystkich rzeczy,
Złość w sercu, chociaż uśmiech w twarzy przeczy,
Lód w duszy, chociaż zapał bije z czoła.
Świat dla cię będzie jako skał pierś goła,
Z każdéj kolebki wyjrzy brzeg mogiły,
Szum lasu, rzeki bieg, śpiew ptaków miły
W jedną pieśń złego brzmić ci będą stale,
Lecz poznasz prawdę. W ognistym zapale
Chciwość obaczysz, marność w pracy ducha.
Nuże, bierz, co ci daje dłoń ma sucha.

Ja milczę — anioł, który u wrót siada
Raju méj duszy, za mnie odpowiada.

— Idź, stary głupcze! Latarnia twa kłamie,
Ognik twéj prawdy, wierz mi, źle się łamie
Przez szkło, co sadzą wieki okopciły.
Chociażbym w błędzie żył, mnie ten błąd miły.
Gdybym przez miłość prawdy z ręki twojéj

---

[1]) W zbiorku „Duch a svet“.

Wziął blask, z którego prawda się wyroi,
Przy świetle najpierw przyjrzałbym się tobie.

Wnet starzec znika i cisza jak w grobie [1]).

Z motywów antycznych Vrchlicky wysnuł i większe rapsody jak np. „Śmierć Eschyla“, „Mit o winie“ i ogromne mnóstwo drobniejszych wierszy, oddanych z tą nieporównaną misternością formy, pod względem któréj nie ma sobie równego w całéj literaturze czeskiéj. Ilekroć dotknie się tematu starożytnego, tylekroć utworzy coś pełnego dziwnéj harmonii formy, czarującéj klasycznością zewnętrzną, z treścią, w któréj ujęciu znać nietylko wielbiciela staréj Grecyi, ale i myśliciela z XIX wieku. Dziś przy schyłku tego wieku, urocza Hellas znalazła we Vrchlickim oczy, które umieją bacznie czytać w jéj ułamkowych pamiątkach, i usta, które potrafią godnie wypowiedzieć to, co wyczytały. Vrchlicky miał najzupełniejsze prawo powiedzieć do ojczyzny piękna klasycznego to, co mówi w wierszu p. t. „Sarkofag“.

O Grecyo, matko sztuki i żywota,
Duch twój promiennie w mrok méj duszy miota.
Słońce, co niegdyś na Hymettu szatach
Złociło perły, zwieszone po kwiatach,
I w grona lało promieniste żary,
Dziś złoci czarę pieśni méj... [1]).

Nic dziwnego, że poeta nie przestaje czary owéj odwracać ku blaskom słońca, co świeciło na urocze stoki Hymettu. W ostatnich czasach, gdy wbrew oczekiwaniu swoich przyjaciół i wielbicieli, wkroczył do dziedziny dramatu, temata antyczne pociągały go więcéj nawet, aniżeli epizody dziejów ojczystych.

Jednym z pierwszych dramatów była „Śmierć Odysseusza“, osnuta na cyklicznych dziejach bohatera, który według nich miał znaleść kres żywota z ręki Telegona, syna swego z Cyrcei, którego matka wyprawiła do Itaki, aby odszukał ojca swego, a którego sędziwy król wzdraga się uznać przez wzgląd na Penelopę i Telemacha.

Potém pojawiła się jednoaktówka „W beczce Dyogenesa“, utwór, mający w Pradze wielkie powodzenie, wystawiony i u nas, i tak źle, jako wiemy, przez krytykę oceniony i zrozumiany. Nasi groźni Arystarchowie nie wzięli tego pod uwagę, że autor pisał nie wspaniały dramat, lecz komedyę, coś w rodzaju starożytnego *drama-satyricon*, gdzie największych bogaterów sprowadzano z piedestału ich koturnowego dostojeństwa. Dziwiono się, że Aleksandra Wiel-

[1]) Ze zbiorku p. t. „Sfinx“.
[2]) Ze zbioru „Duch a svět“.

kiego przedstawił bez tryumfalnéj grozy zwycięzcy, zapominając, że postawił go w położeniu wielce naturalném, ludzkiém, w awanturze miłosnéj, na jakich najwspanialszym bohatérom nieraz nie zbywa, że w awanturce takiéj, najdumniejszy władca składa swoją pychę i godność, a wielki wojownik i polityk poczyna sobie zazwyczaj niezręczniéj od trochę śmielszego żaka.

Świat erotyki starożytnéj Vrchlicky poruszył raz jeszcze w pełnéj sprytu i humoru komedyi „Pomsta Katulla“. Za nią poszedł pełen majestatycznéj i dramatycznéj grozy „Julian Apostata“, o którym poeta marzył bodaj czy nie cały lat dziesiątek. Znakomicie udała mu się komedya „Uszy Midasa“ [1]). Vrchlicky tutaj w sposób niesłychanie oryginalny, a nadzwyczaj zręczny dał podkładkę realną fantastycznemu symbolowi, opartemu na mycie, który płynął ze źródła czci sił przyrody.

Dramaty Vrchlickiego, których dotąd napisał ośmnaście, nie wszystkie cieszyły się jednakowém powodzeniem na scenie. Umysł jego, tworzący szybko, a raczéj wydający utwory poetyckie z jakimś wulkanicznym pędem, nie liczy się bynajmniéj z drobiazgowemi fortelikami efektu scenicznego, które zwyczajnego, nie zastanawiającego się głębiéj, widza teatralnego przekupują nieraz do tego stopnia, że zadawalnia się śmiechem lub zdawkowém wzruszeniem i nie pyta o to, co mu chwilę wesołości lub rozrzewnienia przyniosło, czy szczery komizm, płynący z prawdy żywota lub istotna groza położenia, albo majestatyczne zapasy namiętności, czy téż grube naciągania, cyniczne koncepty, lub bezceremonialna gra na nerwach. Stąd wystawienie dramaciku „Do Życia“, jednego z pierwszych utworów Vrchlickiego w tym rodzaju, okazującego przytém małą jeszcze wprawę, było złą przysługą zwłaszcza u nas, gdzie w publiczności i krytyce panuje bałwochwalcze, a w każdym razie wielce bezkrytyczne uwielbienie dla tak zwanéj „roboty“ scenicznéj, iż wobec niéj zamykamy dobrowolnie oczy na brak szczeréj poezyi, podniosłości moralnéj, a nawet skłaniamy czoła przed paraksodalnością pomysłów, banalnością treści i wyuzdaniem w szczegółach. Stąd dożyliśmy do tego zjawiska, że u nas rzeczy „robione“ mają pierwszeństwo przed tworzonemi przez talent i dojrzałość umysłową. Co więcéj, nie wstydzimy się popisywać tém wszystkiém, ciesząc się naiwnie, że tak daleko posunęliśmy nasz gust, teatr i piśmiennictwo dramatyczne.

---

[1]) „Juliana Apostatę“ przełożyła na język polski Marya Konopnicka (przekład w „Życiu“). „Uszy Midasa“ Miriam.

Z dramatów Vrchlickiego najwięcéj powodzenia miała trylogia „Hippodamia“. Już przed ukazaniem się na pierwszéj scenie czeskiéj budziła ona niesłychane oczekiwanie, rozeszła się bowiem wieść, że znakomity poeta wystąpi z melodramatem całkiem nowego charakteru, mianowicie z takim, któremu muzyka towarzyszyć będzie, nie jak dotąd bywało, w pojedyńczych scenach i ustępach, ale przez cały ciąg bez przerwy od pierwszéj do ostatniéj chwili. Niedowiarkowie *à priori* wzruszali ramionami, poczytując to za czyste szaleństwo, co zresztą nie powinno dziwić wcale, gdyż wiele nawet genialnych pomysłów wydawało się początkowo nonsensem i śmieszną utopią.

Vrchlicky pod względem wykonania swéj myśli znalazł sobie godnego pomocnika w osobie znakomitego kompozytora Zdeńka Fibicha, który, zdaniem znawców, dokonał w muzyce dzieła zaiste zdumiewającego. Jak wszelako te dwie rzeczy, dramat i akompaniament orkiestralny, przypadły do siebie na scenie, powiedzieć nie umiemy, gdyż nie mieliśmy sposobności widzenia saméj sztuki w wykonaniu scenicznném, jednakże pisma czeskie zapewniały, iż wykonanie przeszło wszelkie oczekiwania i że efekt całości sprawił na widzach nadzwyczajne wrażenie. O muzyce do pierwszéj części trylogii pisze referent „Hlasu Naroda“, sam niepowszedni znawca sztuki: „Niezwykłość zjawiska, niezaprzeczona nowość dzieła sztuki, w którém na równych prawach łączy się słowo poetyckie z odpowiedniém wyrażeniem muzyczném, nie były dla szerszéj publiczności teatralnéj przeszkodą, ale miłą niespodzianką, że ta poetycko-muzykalna mieszanina przemawia do umysłu jasno, wyraziście, że porywa wzmocnionem wyrażeniem i wogóle bynajmniéj nie utrudnia zrozumienia słowa aktora przy nader delikatnym, a wszędzie rozumnym akompaniamencie orkiestry. Mądra ekonomia w przeprowadzeniu owego akompaniamentu zachowuje słowo poetyckie, brzmi ono w pierwotnéj postaci, a analogiczne formy muzyczne wyrastają wszędzie ze słowa, jako na zagonie bogate, różnokolorowe kwiaty, tak że wszystko tworzy całość organiczną, zgodną, spoistą.“ Pochwalny sąd o tym sojuszu muzyki i poezyi krytyk zachował i wtedy, gdy pisał o wykonaniu obu następnych części trylogii.

Przejdziemy teraz do saméj treści trylogii. Przedmiot do niéj wzięto z podań starogreckich, należących do cyklu Argolijskiego, cyklu Pelopidów, w którym poetycka bohaterskość czasów heroicznych łączy się z szorstką, ale zarazem tragiczną dzikością owéj odległéj doby. Nie dziw, że z tematów owego cyklu snuli tragedye wielcy tragicy Hellady, że z nich powstała wspaniała trylogia Eschyla („Agamemnon“, „Choefory“ i „Eumenidy“), Sofoklesowa „Elektra“,

oraz „Orestes“, „Ifigenia w Aulidzie“, „Ifigenia w Tauryce“ i „Elektra“ Eurypidesa. I baśń o Hippodamii posłużyła za temat do tragedyi Sofoklesowi i Eurypidesowi, ale z nich pozostały tylko nic nie znaczące ułamki. Pole dla nowożytnego poety całkiem wolnem pozostało.

Pindar w jednéj wzniosłéj odzie zachował nam podanie o Pelopsie i Hippodamii [1]). Tantal, ojciec bohatéra, aby wypróbować bogów, poczęstował ich pieczenią z własnego syna, Pelopsa. Bogowie złożyli pocięte sztuki i wrócili chłopięciu życie. Odtąd chował się na Olimpie i był ulubieńcem Pozejdona, ale potém wyprawiono go znowu na ziemię. W Pisach w Elidzie panował naonczas dziki Oinomaos, ojciec przecudnie urodziwéj Hippodamii, sam syn Aresa. Oinomaosowi wyrocznia przepowiedziała, że zginie z ręki swego zięcia, więc wszystkich zalotników Hippodamii wyzywał na wyścigi, w których zawsze wygrywał, a pokonanych przebijał włócznią i czaszkami ich zdobił świątynię swego ojca. Pelops nie uląkł się losu nieszczęśliwych i wystąpił śmiało do walki. Bogowie stanęli po stronie zuchwałego młodziana. Pozejdon dał mu wóz z parą ognistych rumaków, Afrodyta natchnęła serce Hippodamii miłością dla niego, a tajona miłość dla królewny ze strony Myrtilla, syna Hermesa i woźnicy królewskiego, dobrze posłużyła w téj sprawie, gdyż rozkochany woźnica dał się wciągnąć do spisku i zepsuł coś w wozie królewskim. Król Oinomaos stracił zwycięstwo i żywot, zwycięski Pelops zyskał rękę Hippodamii.

Baśń owa, obrabiana nietylko w poezyi, ale i w rzeźbie, była przedmiotem różnych przeróbek i dodatków, a kompilator mitologiczny Hyginus dał podaniu nawet tło skandaliczne. Ze związku Pelopsa i Hippodamii porodziło się plemię zuchwałe, dzikie, bezbożne i okrutne, w Atreuszu i Thyestesie drogą atawizmu odezwała się bezbożność i dzikość ich dziadów Tantala i Oinomaosa, a dzieje ich, wstrząsające starożytnych swoją okropnością (jest tam wściekła nieprzyjaźń braci, poczęstowanie Tyestesa przez Atreusza pieczenią z syna pierwszego, zemsta wzajemna obu gałęzi jednego rodu i t. p.); dzieje owe dawały bogaty materyał do obrobienia już samym starożytnym. Vrchlicky więc mógł zanurzyć śmiałą dłoń w odmęt tematów, gdzie więcéj niż twórczości, potrzeba było miary poetyckiéj do niezgubienia się w chaosie, co nieraz bywa o wiele trudniejszém nad samodzielne tworzenie.

Pierwsza część trylogii nosi tytuł *Námluvy Pelopovy* (Zaloty

---

[1]) L. Preller, „Griechische Mythologie“, 3-cie wyd., 1875, II, 384.

Pelopsa) i składa się z czterech aktów. W akcie I-ym widzimy Pelopsa ze sługą swoim Jolosem przed bramami zamku królewskiego w Pisach. Młody królewicz opuścił ojca Tantala i Axiochę, niekochaną małżonkę, i tuła się po świecie. Znużony drogą, pragnie wejść do zamku, gdyż zatęsknił za ciepłém ogniskiem i cichemi rozkoszami domowemi. Jolos poznaje Pisy, co Pelopsowi przypomina barbarzyńcę króla Oinomaosa, syna Aresa i ślicznéj Steropy, z którym ojca jego Tantala łączy związek gościnności. Puka do bramy, ale strażnik nie wpuszcza obcych, bo w téj chwili odbywają się na zamku wyścigi konne. Rzeczywiście po za murami brzmią krzyki: Zwycięstwo! Niech żyje Oinomaos! Sława Hippodamii! Po chwili otwiérają się bramy, lud tłumnie wychodzi z zamku, a na murze ukazują się trzéj niewolnicy i zatykają trzy pale z zakrwawionemi głowami ludzkiemi. Herold ogłasza tłumom, że odbyły się wyścigi o rękę Hippodamii, w których trzéj książęta porażkę swą życiem przypłacili. Przy dźwięku trąb i okrzykach lud rozchodzi się, Pelops i Jolos pozostają na scenie, poglądając na skrwawione głowy, czerwieniące się jeszcze bardziéj w odblasku zachodzącego słońca. Jolos nakłania pana swego, aby uchodzić z tego niegościnnego miejsca, ale Pelopsa okropny widok bynajmniéj nie trwoży, co więcéj, oświadcza zamiar ubiegania się o rękę Hippodamii.

Postanawia więc wejść do miasta; w tém spostrzega, jak w blasku zorzy wieczornéj ukazuje się na murach Hippodamia i całuje sine usta pierwszéj głowy, wyrzekając na los nieszczęśliwego. „Chciałbym być—mówi Pelops—tą głową, wbitą na pal, bo

Ta dziewa dobrze wié, co to jest miłość
I kochać umié — jeżeli martwemu
Tkliwości tyle, żaru tyle święci,
To cóż dopiéro żyjącemu!

Nadaremnie Jolos usiłuje powstrzymać Pelopsa, młody królewicz wchodzi do miasta, wołając:

Za losem swoim idę, kto me kroki
Powstrzymać pragnie, los powstrzymać musi.

W akcie drugim Myrtil oprowadza Pelopsa po zamku, pokazując mu bogate zasoby władcy. Gość chwali je z uniesieniem, ale Myrtil domyśla się w słowach jego jakiegoś ukrytego zamiaru. Chytry woźnica chce wybadać tajną myśl niemniéj chytrego gościa, który oświadcza mu w końcu, że teraz pojmuje, dlaczego król robi tyle trudności zalotnikom, bo nie chce rozstać się ze skarbami, gromadzonemi przez żywot cały. W rozmowie z Oinomaosem, do któréj Vrchlicky

wplótł zręcznie to, co w głównych zarysach znajduje się w ułamku zaginionéj tragedyi Eurypidesa, mianowicie ustęp o dzieciach i o szczęściu lub nieszczęściu, które rodzicom przynoszą, król Pisański oświadcza, że wedle przepowiedni delfickiéj — zięć ciężkie mu nieszczęście przyniesie, tak iż żywot zięcia będzie jego śmiercią.

Z tego powodu naodwrót wyłożył sobie wyrok nieśmiertelnych i myśli sobie, że

Śmierć zięcia mego będzie życiem mojém,
A szczęściem mojém — niezamężna córa.

A więc „żywot za żywot“, ten, co pragnie córki, a zarazem śmierci ojca, niech swój własny żywot stawi w zakład. Pelops obiecuje mu, że, otrzymawszy córkę, bynajmniéj nie będzie pożądał bogactw jego, a tém bardziéj śmierci, ale spokojnie uda się z nią do Argosu, gdzie ma własne królestwo. Oinomaos nie wierzy, by słowa boga delfickiego nie zawierały w sobie prawdy, więc Pelopsowi pozostaje jedno z dwojga, albo opuścić miasto, albo przyjąć warunek wyścigów. Młodzian zgadza się na te ostatnie, pragnie jednakże wprzódy rozmówić się z Hippodamią. Urodziwa córa królewska uczuwa litość nad młodzianem i szorstkiemi słowy usiłuje odwieść go od zamiaru.

Pelops prosi ją tylko o jedną łaskę, aby, gdy głowa jego będzie sterczéć na murach, przyszła do niéj w ciszy nocnéj z tkliwemi słowy, aby „umarłemu rzekła, jak był miłowany.“ W brak czucia w jéj piersi nie wierzy młodzian. Hippodamia daje mu radę, aby nie oglądał się na nią, skoro będzie na bojowisku, bo „widok jéj zabija.“ Po jéj odejściu Pelops oświadcza Oinomaosowi, że stanowczo jutro puści się z nim na wyścigi.

W akcie trzecim mają się rozpocząć wyścigi. Hippodamia ostrożnemi słowy daje poznać Myrtilowi, iż pragnie, aby Pelops wyszedł z walki zwycięsko. Myrtil w skrytości miłuje dziewę, więc przyrzeka jéj, także w dwuznacznych, niejasnych słowach, że może spotka Oinomaosa na wyścigach, jak to zwykle bywa, nieszczęście jakie. Pelops występuje z wniosłą rezygnacyą, modli się tylko do Pozejdona, aby dał „skrzydła wiatru jego rumakom“.

Przed rozpoczęciem zapasów Pelops bierze Pozejdona za świadka, że wstępuje w bój „bez podstępu i zdrady“. Oinomaos świadczy się Kybelą. Pelops powiada także, że radby słyszéć z ust króla, że ten, co zostanie zwyciężonym, bez żalu do zwycięzcy „złote światło niebios opuści“. Wszyscy odchodzą do areny, a scena zapełnia się tłumem starców pisańskich, którzy, rozdzieleni na dwie części, śpiéwają chóry

według zwyczaju w starożytnym teatrze, do czego Vrchlicky użył nawet dwóch wierszy z fragmentu Sofoklesowego:

O gdybym ja był orłem górnolotnym
Nad szarą morza słonego powierzchnią.

Jeden ze starców, przyglądający się wyścigom, daje znać, że król spadł z wozu i rozhukane konie ciągną go po ziemi, zaplątanego w rzemienie, a tymczasem obcy człowiek odnosi zwycięstwo, Myrtil bowiem, jak się późniéj okazuje, spełniając życzenie Hippodamii, obluźnił osie u wozu królewskiego i panu swemu zgubę zgotował.

Na scenę wnoszą potłuczonego na śmierć Oinomaosa i kładą go na skórze zwierzęcia. Hippodamia klęka przy nim, mówiąc:

O dniu żałosny!
Oinomaos. Córko, ja umieram.
Przegrałem wszystko, dziecię, tron i żywot...
Zostało jedno, że mam siły dosyć,
Ażeby przekląć wszystko—hańbo, wstydzie!
(do Pelopsa) Jedynie zdradą mogłeś wziąć zwycięstwo,
Psie nędzny, zdradą, w twarz bryzgnąłbym tobie
Wszystką krwią moją.
Hippodamia. Wstrzymaj się, mój ojcze!
Pelops (*występując naprzód*).
Niech mię z czystego nieba krzywym gromem
Porazi ojciec świata, dłoń ma czysta
I pierś ma czysta, niech sędziowie rzekną,
Czy była zdrada lub podstęp w zapasach.
Lud. Niech oni rzekną.
I-szy sędzia. Świadkiem moim Zeus,
Że wszystko było, jako należało.
2-gi sędzia. Tu się nieszczęście stało, złą przygodą
U wozu koła wypadły z swych osi,
A rozhukanych koni nie zdołała
Twa ręka, królu, wstrzymać w bystrym pędzie.
Tak się to stało.
Pelops. No, słyszycie wszyscy!
Oinomaos. Nie, nie, nie wierzę, nigdy nie uwierzę!
Jesteście wszyscy zdrajcy, nikczemnicy,
O już mi na mózg w głowie mgła zachodzi,
To śmierć—lecz siły dość mam... Ha, przeklinam
Was wszystkich, zwłaszcza ciebie, cudzoziemcze!

I król Oinomaos umiéra, a Pelops zabiera z sobą do Argosu Hippodamię.

Akt czwarty odgrywa się w górach ponad brzegiem morskim. W burzliwy wieczór znajdują się tutaj Pelops z wiernym swoim Jolosem, oraz Hippodamia i podążający za nimi ciągle Myrtil, który

w dzień tryumfu bohatéra wolność był otrzymał. Źle się im wiodło w drodze, rozbójnicy napadli i wybili drużynę. Pelopsa gniéwa ciągła obecność Myrtila, zapytuje więc Hippodamii, co znaczy, że młodzian ten ciągle idzie za nimi w ślady, oświadczając, że jest mu wstrętnym. Hippodamia powiada mu, że raczéj powinienby być mu wdzięcznym, gdyż jedynie jego tylko pomoc dała mu zwycięstwo. Pelops, który dotąd był pewny, że własnéj swéj dzielności zawdzięcza pokonanie króla, z przerażeniem dowiaduje się o prawdzie; w umyśle jego powstaje podejrzenie, iż nie darmo Myrtil wyświadczył mu tak wielką przysługę, domyśla się, że pobudziła go do tego dawna miłość dla córki królewskiéj. W rozmowie z Myrtilem żąda od niego, aby przestał iść za nimi w ślady, a gdy ten zuchwale odmawia, ofiaruje mu za wyświadczoną przysługę skarby, potém połowę królestwa. Powiédz raczéj, i żony połowę, odpowiada mu bezwstydnie Myrtil. Pelops oburzony rzuca się nań i wtrąca go w głąb morza. Z rozpaczą spostrzega, że stacza się „od winy do winy, a bez winy.“

Druga część trylogii nosi tytuł *Smir Tantalóv* (Przejednanie Tantala). Rzecz dzieje się w Argos. W akcie pierwszym o świcie wychodzi z pałacu królewskiego stary Tantal, gnębiony wyrzutami sumienia. Z tęsknotą wygląda powrotu syna. Zaledwie odszedł, na scenę wchodzą Pelops i Jolos. Królewicz z uniesieniem wita „błyszczące słońce ojczyzny“, ale ze drżeniem myśli o tém, co rodzic powié na powrót jego z drugą małżonką, Hippodamią, gdy pierwsza, Axiocha, czeka nań w ojcowskim pałacu. Nadchodzi starzec, syn obejmuje mu kolana. Ojciec z rozrzewnieniem wita syna, potém zapytuje go, czy był w Delfach i czy słyszał wyrocznię boga. Pelops oznajmia, że wyrocznia powiedziała, iż „grzéch tylko zmyje grzéch“. Opowiada mu zdarzenie w Pisach i prosi o radę,—Tantal radzi mu odtrącić Axiochę i pojąć Hippodamię. Odchodzą obydwaj do pałacu. Hippodamia oczekuje na scenie i przemyśliwa, jak pozyskać sobie cześć i władzę w nowym domu. Przychodzi Axiocha, Hippodamia traktuje ją jak niewolnicę i szydzi z niéj, gdy ta oznajmia, że jest małżonką Pelopsa. Królewicz nadchodzi, Axiocha chce rzucić się w jego ramiona, ale ten ją odtrąca i przedstawia Tantalowi córę Oinomaosa, jako żonę. Starzec błogosławi oboje, a lud wita ich głośnemi okrzykami.

W akcie drugim, odgrywającym się na podwórcu pałacu królewskiego, widzimy Hippodamię niezadowoloną z postępowania męża, którego zbyt zajmują narady z sędziwym ojcem, a ona energiczna córa barbarzyńskiego króla, pożąda gorącéj, wyłącznéj miłości męża, dla którego poświęciła ojca i wielbiciela. Czyni wyrzuty mężowi,

ten zaś, pieszcząc młodą małżonkę, wspomina jéj, że między niemi obojgiem stoją cienie Oinomaosa i Myrtila i że nie wprzód używać będą spokojnie miłości zobopólnéj, aż oba te cienie ułagodzone i przejednane zostaną. Wchodzą dworzanie i lud; stary Tantal zasiada na tronie i oznajmia, że niegdyś ciężkiego dopuścił się był grzechu, za który srodze dręczy go sumienie. Za zbrodnicze naruszenie prawa gościnności nie przestają go ścigać Erinnye. Dla zagładzenia więc grzechu postawił ołtarz na cześć „strasznych bogiń“ i ogłasza pod nim prawo azylu.

Pelops, wezwany przez Pisan, aby szedł bronić ich kraju, szarpanego po zgonie Oinomaosa, żegna się z żoną i opiece Jolosa pozostawia Tantala wraz z Hippodamią. W cieniach wieczornych wkrada się Axiocha i bijąc w tarczę, wzywa opieki. Ona pierwsza chce skorzystać z prawa azylu. Nadaremnie Jolos nakłania ją, aby odeszła, Axiocha poraz wtóry w tarczę uderza. Na ten odgłos zjawia się Hippodamia i poznawszy rywalkę, nakazuje niewolnikom wyrzucić ją za drzwi. Stary Tantal wychodzi powitać pierwszego gościa, szukającego opieki, ale Hippodamia jest nieubłaganą i Axiocha odchodzi, miotając przekleństwo na dom wiarołomny. Tantal uznaje w tém zawikłaniu nową karę bogów i w rozpaczy widzi Erinnye, wychodzące z kątów, ażeby go dręczyć.

Akt trzeci rozpoczyna się monologiem, w którym Hippodamia wypowiada żal swój, że u stopni ołtarza jednym zamachem ręki nie wyzwoliła się od rywalki. Dopóki żyje Axiocha, Pelops jeszcze do niéj nie należy. Sługa Thoas, któremu poleciła szukać śladu Axiochy, daje znać, iż Pelops powrócił zwycięzcą i udał się prosto do Tantala, nadto oznajmia, że słyszał o jakiéjś kobiécie, podobnéj do Axiochy, tułającéj się z małém dziecięciem, które porodziła była w chacie starca, zajmującego się wieszczeniem przyszłości. Hippodamia nakazuje mu przywieść Axiochę wraz z dzieckiem, którego więcéj jeszcze obawia się, niż matki. W dyalogu z Tantalem Pelops uznaje, że całe zdarzenie z Axiochą było karą bogów, gdyż nie powinien był wypędzać z domu pierwszéj, kochającéj go małżonki. W rozmowie z żoną poznaje cały dziki, dumny i namiętny charakter Hippodamii; jéj wyrzuty wykopują przepaść pomiędzy małżonkami, a podejrzenie o jéj dawniejszém stosunku z Myrtilem budzi wściekłość w jego duszy tém więcéj, że Hippodamia dwuznaczném słowem wątpliwość potwierdza. Skarży się więc przed Tantalem i oświadcza ojcu, że zamierza wywołać cienie Oinomaosa i Myrtila, aby dowiedziéć się nietylko prawdy co do podejrzenia swego, ale i tego, jaka go czeka kara za winy. Nadaremnie odradza mu Tantal.

Następuje zmiana dekoracyi. W wąwozie leśnym stoi chatka wieszczbiarza, do wrót której Pelops kołacze. Wieszczbiarz poznaje w nim syna Tantalowego, ale niechętnie poddaje się jego życzeniu, bo „nie dobrze jest mieszać się do drużyny cieniów.“ Pelops nie lęka się niczego. Wieszczbiarz urządza ofiarę cieniom. Zarzyna dwie owce czarne jako noc i krwią ich napełnia puhary. Cienie cisną się do krwi, ale Pelops odpędza je mieczom, a tylko dopuszcza do pucharów te, z któremi mówić pragnie.

Ukazuje się cień Oinomaosa w królewskich szatach z wielką krwawą blizną na czole. Bohater wzywa go, aby mu przebaczył, gdyż musi już wiedzieć, że nie on, ale własna córka była przyczyną jego zguby. Cień nie chce wyrzec przebaczenia. Pelops nalega, mówiąc:

Ty musisz odkryć tajemnicę swoją.
Cień Oinomaosa. Nie powiem!
Pelops. Musisz! (*klęka wyciągając ręce ku niemu*).
Cień Oinomaosa (*blednąc*). Zostaw mię w spokoju!
Pelops. Ty nie chcesz, czucie miłości przemaga,
Bo rzec musiałbyś, czego nie chcesz mówić,
Lecz ja wiem wszystko...
Cień Oinomaosa (*ciągle blednąc*). Czegóż więc mię pytasz?
Pelops. Że śmierć się śmiercią tylko płaci, cieniu?
Ten, co zawinił, niech sam pokutuje;
Z miłości ku mnie wszak ona grzeszyła,
O pozwól, abym za nią pokutował!
Cień. Już pokutujesz, będziesz więcéj jeszcze (*niknie*).

Potem ukazuje się cień niedawno zmarłéj Axiochy i poleca mu dziecię swoje. Myrtil nie zjawia się, ukryty w parowie wieszczbiarz zaleca przyzwać go głośnem wołaniem. Pelops wytęża głos, ale nadaremnie, najlepszy to dowód, iż Myrtila nie ma pomiędzy cieniami umarłych. Zrozpaczony pada na skałę, wołając:

Okropność! Myrtil żyje, żyje, żyje!
O jednę winę mniéj, lecz o jednego
Mściciela więcéj.

W akcie czwartym znowu wracamy do pałacu. W dobie nocnéj wchodzi Thoas, uderza w tarczę, wzywając opieki, niesie bowiem dziecię Axiochy. Oddaje je Tantalowi, który dziecię przyjmuje z rozrzewnieniem. Hippodamia wzywa do siebie Thoasa, pyta go, czemu razem z dziecięciem nie przywiódł matki, a gdy dowiaduje się, że umarła, żąda, by dziecię odebrał od Tantala i oddał w jéj ręce. Dzika niewiasta przejęta jest uczuciem nienawiści dla potomka Pelopsa z poprzedniego związku i dzięki składa bogini Nemezys, że daje jéj możność zgubienia go. Nadchodzi Tantal i domaga się od Hippo-

damii przyrzeczenia, iż będzie opiekowała się dziecięciem. Thoas wnosi niemowlę, które każe zanieść do sypialni swéj pani, ale Tantal nie pozwala na to; następuje wskutek tego spór między starcem i złą niewiastą, która oświadcza, iż dziecię umrzéć musi. Przybyły Pelops, bierze dziecię w obronę.

Tantal czuje, że wzięcie dziecka w opiekę przejednało gniew bogów, z radością widzi zbliżający się kres żywota.

W Hadesu teraz wchodzę dom cienisty,
Te złe niewiasty, które mię ścigały,
W postacie białe kształt swój przemieniły,
Na twarzy miły teraz uśmiech mają,
A włosy, niegdyś w żmije poplątane,
W hiacyntu kwiaty przeszły. Coś jak gędźba
Z niebieskich wyżyn spływa teraz ku mnie,
Mrok ustępuje nagle słabym blaskom,
Te blaski rosną, rosną jak słońce,
W sam blask spoglądam. Chwała bogom wszystkim!

I Tantal, pojednany z bogami, umiera w objęciach Pelopsa.

Trzecia część trylogii Śmierć Hippodamii jest zaiste godném uwieńczeniem całości. Po latach dwudziestu Pelops panuje w Elidzie, w Pisach, które teraz noszą nazwę Olimpii. Z grodu barbarzyńców powstało piękne miasto helleńskie, z prześlicznym nowym pałacem z marmurowemi schodami. Przy królu żyje stary jego sługa Jolos i żona, dumna, twarda, nieugięta Hippodamia. Z niéj urodziło się dwóch synów, Atreos i Thyestes; Chryzyp, syn Pelopsa ze zmarłéj Axiochy, wyrósł na dzielnego i miłego ojcu i ludowi młodziana. Na dworze w Olimpii bawi urodziwa Airopa, córa króla Eurystheja z Micen. Zmieniło się wiele, bardzo wiele, tylko stare winy ciążą brzemieniem na winowajcach; nieubłagany cień Oinomaosa domaga się ofiary i sprawczynię wszego złego w otchłań ciągnie. Ona sama swym dzikim, namiętnym, okrutnym charakterem toruje sobie drogę do zguby.

Akt pierwszy rozpoczyna się w chwili, gdy Pelops urządza w Olimpii igrzyska na uczczenie dwudziestéj rocznicy zwycięstwa swego nad Oinomaosem. Są to pierwociny późniejszych igrzysk Olimpijskich.

W scenie pierwszéj Hippodamia wzywa do siebie obu synów i pyta ich ostro, jaka przyczyna ich wzajemnéj nienawiści. Zgaduje ona, że źródłem jéj jest Airopa, wzięta przez Pelopsa jako zakładniczka od ojca, króla Eurystheja, pokonanego w boju. Obydwaj bracia kochają się w niéj, matka jednak sądzi, iż młodszy powinien ustąpić starszemu. Thyestes ustępuje, ale Atreus mówi mu:

Na co się przyda ta szlachetność twoja,
Kiedy Airopa miłować mię nie chce?
Ja poczytuję to za dolę moją;
Jam nie kochany — nie pierwszym mężczyzną,
Którego takie nieszczęście spotkało.

Thyestes. A myślisz może, żem ja miłowany?
Airopy nie znasz — ona dziecko jeszcze,
Jéj miłość dotąd to zagadka ciemna;
Jako przed różą Psyche, przed nią stoi
I nie wié, czyli to kwiat woń wydaje,
Czy téż Erosa dusza, w nim ukryta.
Dziś ku mnie skłania się, ku tobie jutro,
Kwiatami wieńczy czarę twą, skroń moję,
A dla Chryzypa przychylna jednako
W twarz mu się śmieje jak synogarlica.

A więc Chryzyp ma w tém udział. Hippodamia podnieca synów przeciwko synowi Axiochy, którego na dobitkę wszyscy sławią, dając mu we wszystkiém pierwszeństwo. Tym sposobem chytra niewiasta uzbraja dwóch braci przeciwko trzeciemu... przyrodniemu.

Po ich odejściu na scenę wchodzi Myrtil, starzec ślepy, pragnący chociaż słyszéć wrzawę igrzyska. Lud zbiega się tłumnie, przy dźwiękach trąb wychodzi z pałacu Pelops z Hippodamią i Airopą, oraz z trzema synami. Pelops ludowi wykłada, że przed pięciu Olimpiadami kraj ten był dziką pustynią, a dziś zakwitnął pod jego rządami. Na pamiątkę tego król zagaja igrzyska, w których ma brać udział lud z wyłączeniem rodu królewskiego. Chytry Thyestes bierze na stronę Chryzypa i prawi mu, że Atreus wszędzie ośmiesza go przed ludźmi, a najwięcéj przed Airopą, zwłaszcza twierdzi, że Chryzyp jest mistrzem w grze na lirze, ale w zapasach lichym graczem. Dotknięty do żywego młodzian puszcza się w wyścigi, za nim bieży Atreus. Powstaje zamęt, igrzyska zakończyły się gorszącym wypadkiem. Pelops straszliwie jest oburzony. Hippodamia podnieca go przeciwko Chryzypowi, ale król kochając go więcéj od jéj synów, powściąga gniew swój i całą sprawę oddaje na sąd sędziów, poczém uprowadza Hippodamię do pałacu. Na scenie pozostaje tylko słuchający wszystkiego w milczeniu Myrtil. Po chwili wchodzi Chryzyp, żałujący swego szalonego kroku i przemyśliwający, jak ułagodzić gniéw ojca. Do jego monologu wtrąca się siedzący na skale Myrtil. Powiada on młodzianowi, że stał się ofiarą podstępu braci, że Hippodamia podniecała ojca przeciwko niemu, a daléj, że wié tajemnicę o małżeństwie ojca jego z Hippodamią, tajemnicę, która mu się przydać może. Nie chce mu jednak powiedzieć jéj na tém miejscu, obawiając się niepożądanych świadków rozmowy, więc prosi, by go

Chryzyp odprowadził do jego chaty po nad brzegami rzeki Alfeja, a tam mu wszystko wyjawi.

Akt drugi przedstawia nam salę godową w pałacu Pelopsa. Wszystko przygotowane do uroczystych godów. Thyestes nakłania Atreusza, ażeby śmiało zabrał się do oświadczenia swych chęci Airopie. Lekkomyślna dziewczyna oddaje bez wahania swą rękę Atreuszowi. Pelops błogosławi temu związkowi, lubo dziwi się, gdyż wie, że dotąd Chryzyp był jéj ulubieńcem. Schodzą się goście biesiadni, król rozochocony przebacza nieposłuszeństwo Chryzypowi i oznajmia wszystkim o związku Atreusza z Airopą. Wrzącemu z oburzenia na zdradę dziewczyny bratu przyrodniemu Thyestes kładzie w ucho, że to wszystko stało się za sprawą Hippodamii, Chryzyp więc goreje żądzą odpłacenia jéj za to.

W czasie uczty śpiewak opiewa hexametrem epickim, jako Pelops zwyciężył Oinomaosa z pomocą Pozejdona, który mu z toni słonego morza pożyczył dwa dzikie rumaki. Wśród okrzyków i toastów Chryzyp powstaje i ogłasza, że wieść o zwycięstwie nie całkiem prawdę powiada, gdyż Pelopsowi do zwycięstwa dopomógł fortel podstępny i wznosi zdrowie Myrtila.

Niczego nie wiem, ale wznoszę czaszę
Za zdrowie tego nieznanego męża,
Co pod Steropy miastem pomógł tobie
Radą czy czynem — głosi wieść, że czynem.

Pelops. Wieść owa kłamie!
Thyestes. Bierzcie go!
Chryzyp. Daj pokój!
Wiem to na pewne, wziął podstępem górę,
Wieść jest podobna do psa, on mu zęby
Wyłamał, by nie kąsał, pies więc liże —
Więc język wyrwał mu i dał wnet inny,
By jego sławę głosił po wszém świecie.
Tymczasem (*wskazuje na Hippodamię*)
Córa Oinomaosowa
Krwią swego ojca własnego kupiła
To złe zwycięstwo od woźnicy, który
Myrtilem zwał się.
Hippodamia (*do Pelopsa*). Więc pozwalasz, by mnie
W mym domu własnym urażano? Czyliż
Nie mam ja męża, synów, by bronili
Méj czci
Pelops. Wywiedźcie go, bo on szaleje!
Chryzyp. A nawet mógłbym wymienić ja cenę,
Za jaką wtedy chytry ów woźnica...
Hippodamia. Czyż nie umilknie?
Pelops. Precz z nim!

Chryzyp. Przekupiony
Przez nią (*wskazuje na Hippodamię*) obrzydłéj miłości dowodem...

Wśród zamętu Atreusz przebija Chryzypa, który umierając ostrzega ojca przed Hippodamią, Atreusza zaś przed Airopą, że zdradzi go, jak zdradziła tego, którego przedtém miłowała.

W akcie trzecim widzimy Pelopsa, przygnębionego całém brzemieniem klęsk; które jedna za drugą spadły na jego barki. Ukochany syn zabity, a po nim pozostała niedomówiona tajemnica, która umocniła nieszczęśliwego króla w dawniejszych podejrzeniach. Wyprawił Jolosa, aby zasięgnął języka o Myrtilu; wierny sługa powraca i donosi mu, że w chacie nad Alfejem znalazł ślepego starca, z którym rozmawiał był Chryzyp. Król postanawia po pogrzebie zabitego syna i wydaniu wyroku na zabójców jego, nawiedzić ślepca w jego chacie. Atreusza znowu dręczy myśl o poprzednim stosunku Airopy z Chryzypem i robi jéj cierpkie wymówki. Z pierwszych niesnasek małżeńskich korzysta chytry Thyestes i skłania lekkomyślną Airopę ku sobie, a ponieważ przeczuwa, że gniéw ojcowski spadnie i na niego, przoto namawia ją, aby uciekła razem z nim do Micen, gdzie zamierza u Sthenela, syna Eurystheja, przeczekać póki gniéw Pelopsa nie ochłonie. Na to Airopa:

Atreusz wzgardził mną, uraził ciężko
Do głębin duszy swém niedowierzaniem.
Tu masz dłoń moją; gdy chcesz podjąć z pyłu
Kwiat podeptany, niechaj będzie twoim!

Wchodzi na scenę Pelops, wracający od stosu, na którym spłonęły zwłoki Chryzypowe; król poddaje się srogiéj rozpaczy i źródło wszech klęsk swoich widzi w przekleństwie Oinomaosa. Przysięga, że ukarze obu pozostałych synów i żonie robi wyrzuty, że wina jéj była początkiem wszech nieszczęść, które ich ścigają.

Posiew winy
Już w kwiat przeklęty zakwitać poczyna.
A ten się oczom nie ukryje więcéj.
Posępny kwiat to, w łonie swém krew chowa,
Bo ze krwi wyrósł i to krwi ojcowskiéj.

Nadaremnie Hippodamia błaga go, aby przebaczył jéj synom, gdyż oni bronili tylko czci matczynéj, wobec potwarzy, rzuconéj przez Chryzypa. Spór ten z mężem doprowadza dziką niewiastę do wściekłości i rozpaczy. W uniesieniu żąda od syna Atreusza, aby pomścił jéj zelżenie. Głos trąb wzywa lud do sali i Pelops ogłasza wyrok

swój, skazujący na wygnanie obu synów, Atreusza i Thyestesa, który już sam dobrowolnie poszedł na wygnanie.

W akcie czwartym znajdujemy się w chacie starego Myrtila, na dworze słychać odgłosy oddalającéj się burzy. Do chaty wchodzą Atreusz i Hippodamia. Przychodzi i Myrtil, wyczekujący Chryzypa; Atreusz udaje przed nim zmarłego i opowiada mu, jak obelgę rzucił w twarz Hippodamii.

Niesnaski padły na rodzinę całą.
Mrok osiadł ciemny na Pelopsa skroni.
A Hippodamia aż szaleje z gniewu,
Gdyż się w Pelopsie wszczęło podejrzenie.
Że Myrtil — pomnisz — Myrtil, ów woźnica,
Był słodkim darem miłości przekupion.
Ażeby spełnił to...

Myrtil. Dobrze się stało!
Atreusz. Dziś czego pragniesz?
Myrtil. Sprawcę tego złego
Obaczyć tutaj leżącego w pyle.
Bo on mi wydarł życie moje słodkie
I rękę córy Oinomaosowéj,
Którą kochałem i mogłem zwać swoją.
Bo on za pomoc, którą mu podałem,
Za tron i państwo i za skarby wszystkie,
Które mu, głupi, zgarnąłem pod nogi,
Mię wtrącił w morze...

„Tyś Myrtyl!“ wołają Atreusz i Hippodamia. Atreusz oznajmia mu, że przyjdzie do niego Pelops dowiedzieć się, za jaką cenę usłużył naówczas jego małżonce: Myrtil, śmiejąc się złośliwie, mówi mu:

To ja mu powiem — dobrze — niech przychodzi!
Poczekam — teraz prowadź mię na łoże.
Znużony jestem — on więc przyjdzie tutaj —
Skoro nadejdzie, zawołaj mnie!

Myrtil zasypia za oponą, Atreusz żegna się z matką i odchodzi na wygnanie. Zjawia się Pelops z Jolosem. Hippodamia błaga go raz jeszcze o odwołanie z wygnania Atreusza, ale król jest nieugięty— prawo bowiem musi szanować ten, co je wydał. Pelops chce budzić śpiącego, Hippodamia wstrzymuje go, przysięga, że była czystą, ale boi się, by złośliwy starzec nie kłamał przez zawziętość. Gdy to niepomaga, rzuca się ze sztyletem na Pelopsa, ale Jolos w sam czas wstrzymuje jéj rękę. Król budzi starca.

Wstań Myrtilu!
Myrtil. To głos znajomy —

Pelops. Pelops stoi tutaj.
Myrtil. Więc bądź przeklęty!
Pelops. Jam przeklęty dawno!
Ty mówić musisz, prawdę musisz mówić,
Za jaką cenę córa twego króla
Twą pomoc przeciw ojcu pozyskała.
Mów! poprzysięgam cię na Ereb ciemny!
Zaiste bogi nieśmiertelne dotąd
Twój żywot nędzny w prochu zachowali,
Ażebyś prawdzie straszne dał świadectwo.
Myrtil. Nie powiem — daléj żyj z robakiem w duszy!
Pelops. Tu stoi ona — ona Hippodamia,
Mów, powiedz w oczy jéj, za jaką cunę.
Myrtil (*śmieje się szyderczo*).
Pelops. Ty chcesz mię drażnić.
Myrtil. To zwyczajem moim.
Po têm przynajmniéj znowu mię poznajesz.
Hippodamia. Co mógłbyś wyrzec?
Myrtil. Wiele, gdybym pragnął!
Pelops. Więc mi nie powiêsz tego?
Myrtil. Nigdy!
Pelops (*w gniewie przebija go mieczem*). Giń więc!
Myrtil (*padając*).
Czy wprzód czy późniéj ginę z twojéj ręki,
Lecz jako wprzódy dziś przeklinam ciebie!

Po śmierci Myrtila Pelops odtrąca od siebie rozwścieklonę Hippodamię. Szalona i nieszczęśliwa niewiasta uznaje, że została pokaraną ciężko, przeklina cały ród Pelopowy, przepowiada najokropniejsze zbrodnie w tym domu, bratobójstwa mordy, zdrady małżeńskie, kazirodztwo nawet, a za niemi szaleństwo i śmierć. Wołając:

Hadesu cienie są mi stokroć milsze
Niż taki żywot.

Przebija się sztyletem. „Teraz, Oinomaosie, jesteś przejednany!“ woła Pelops i potaczając się, odchodzi ku drzwiom. — „Dokąd śpieszysz, panie mój?“ — pyta Jolos. — „Idę otworzyć na oścież mój dom Erinnyom“ — odpowiada Pelops.

Taką ponurą sceną w duchu czysto antycznéj, tragicznéj grozy kończy się trylogia. Baczny czytelnik zauważył już sam zapewne, jak owa groza potęguje się i rośnie z postępem akcyi. Pod tym względem Vrchlicky dziwnie przejął się duchem tragedyi starogreckiéj, któréj wzory odbiły się nietylko w przebiegu całości, ale i w drobiazgowém odrobieniu szczegółów, nawet bardzo często w saméj dykcyi. Chwilami, wczytując się w dyalogowanie trylogii, chwytamy coś, co przypomina nam Odprawę posłów naszego Jana z Czarnolesia

i ogarnia czytelnika polskiego miłe uczucie, że dwaj tak oddaleni od siebie poeci spokrewnili się w uczuciu *pietatis* dla swego wzoru.

Hippodamia doznała niepospolitego powodzenia na scenie. W przeciągu roku pojawienie się każdéj nowéj części witano ze czcią i uszanowaniem, a po wystawieniu trzeciéj części okazano je w sposób owacyjny obu twórcom, zarówno Vrchlickiemu jak i Fibichowi. Była to nader uroczysta chwila, gdy grono najwybrańszéj inteligencyi czeskiéj, literaci i artyści zebrali się dla zamanifestowania swéj czci dla obu mistrzów sztuki, którzy od lat tylu przynoszą sławę i zaszczyt małéj ojczyźnie czeskiéj.

Na tém jednak nie zatrzymał się tryumf tragika czeskiego. Akademia czeska, któréj jednym z pierwszych członków został obrany Jarosław Vrchlicky, przyznała mu jednogłośnie za Hippodamię premium doroczne, wyznaczane za dzieła beletrystyczne czeskie pierwszorzędnéj wartości. Sława trylogii przeszła i do obczyzny. W felietonach gazet zagranicznych zjawiały się jedne po drugich artykuły pochwalne o młodym jeszcze, a już tyle głośnym poecie czeskim.

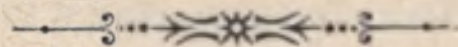
Bronisław Grabowski.





STAN SPÓŁCZESNY

polskiego piśmiennictwa lekarskiego.



„Poszło już u nas rutyną oddawna, że dziejopisarze literatury krajowéj rozpisawszy się na kilkuset stronnicach o poezyi, belletrystyce, filozofii, historyi, słowem o rzeczach pięknych, na samym końcu poświęcają skromniutki kąteczek takim mizerakom i przybłędom niemieckim, jak „nauki przyrodnicze i medycyna.“ — W takich słowach skarży się jeden z wybitniejszych przedstawicieli nauki lekarskiéj u nas Dr. Matlakowski w swoich uwagach nad zarysem literatury polskiéj i ostatnich lat szesnastu, Chmielowskiego. Skarga to słuszna i niesłuszna zarazem. Słuszna, jeżeli się pomyśli, jakie mizerne znaczenie przypisują dziejopisarze literatury tak ważnemu czynnikowi cywilizacyjnemu, jakim są nauki przyrodnicze; niesłuszna, jeżeli się ma na uwadze prawdziwą niemożliwość równomiernego opracowania tak olbrzymiego przedmiotu, jak ogólne dzieje piśmiennictwa. Trudno wymagać od najzdolniejszego nawet erudyty, żeby mógł przestudyować a témbardziéj wydać uzasadniony sąd o tych niezliczonych gałęziach wiedzy przyrodniczéj, czystéj i stosowanéj. Jedno tylko w téj skardze bezprzecznie jest słusznem, że ruch naukowy na polu nauk przyrodniczych jest prawie zupełnie nieznany w szerokich kołach naszego społeczeństwa. — Nie jedna marna nowelka, jakiś lotny efemeryczny artykulik dziennikarski więcéj czyni wrażenia i pobudza ogólne zainteresowanie, aniżeli najpoważniejsza praca uczonego przyrodnika. Wiele przyczynia się do tego sama specyalność zagadnień, niedostępna dla ogółu, lecz wiele także zależy od

tego, że prace przyrodnicze pomieszczane bywają w pismach specyalnych z ograniczonem kołem czytelników. Ogół ten słusznie ma prawo wymagać, żeby mu specyaliści od czasu do czasu dawali przystępne sprawozdania o rozwoju wiedzy. Zainteresuje to z pewnością szersze koła, zbije niejedno błędne mniemanie, ogólnie kursujące. Z takich sprawozdań mógłby kiedyś dziejopisarz literatury stworzyć całość, którąby z pewnością lepiéj odtworzyła rzeczywistość, aniżeli dotychczasowe luźne wzmianki. Czytelnik nieraz z prawdziwą przyjemnością dowiedziałby się o nieznaném mu życiu, wartko jednak a równo płynącém, o cichych pracownikach, niepostrzeżenie całe życie dążących do zdobycia prawdy.

* *
*

Mówić zamierzam jedynie o obecnym stanie piśmiennictwa lekarskiego. Można śmiało powiedziéć, że w ostatnich czasach pomimo wielu niesprzyjających okoliczności, żadna gałąź nauki nie robi u nas tak szybkich postępów, jak właśnie medycyna. Ośm wydawnictw peryodycznych i kilka tomów obszerniejszych dzieł corocznie wydawanych, dość poważnie reprezentują ruch naukowy na tém polu. Przyjrzyjmy się po kolei tym wydawnictwom, zapoznajmy się z ich kierownikami i głównymi współpracownikami. Zaczniemy od wydawnictw warszawskich.

Największém dziś rozpowszechnieniem z pism lekarskich warszawskich cieszy się „Gazeta lekarska,“ licząca już 26 rok istnienia. Historya tego wydawnictwa jest dość krótką. Założona przez b. profesora chirurgii uniwersytetu warszawskiego, Girsztowta, była przez niego z powodzeniem wydawana aż do roku 1877, t. j. do jego śmierci. Po Girsztowcie objął wydawnictwo i redakcyą Łuczkiewicz i kierował nią przez lat dwa. W roku 1880 utworzyła się spółka (około 20) młodych, naówczas jeszcze prawie nieznanych lekarzy, przeważnie asystentów lub b. asystentów uniwersyteckich klinik; spółka ta nabyła „Gazetę“ i raźnie wzięła się do wydawnictwa. Utworzono pod nominalném przewodnictwém prof. Hoyera komitet redakcyjny, w skład którego wchodzili wszyscy współwłaściciele. W komitecie redakcyjnym odczytywano przysyłane prace, dyskutowano nad ich wartością, nad układem pisma. Żadna więc praca, żaden artykuł nie mógł się dostać do druku bez uprzedniego ścisłego ocenienia przez komitet redakcyjny. Tym sposobem wartość pisma znakomicie wzrosła. Sami współwłaściciele, ludzie młodzi i przeważnie zdolni, okazali się najlepszymi współpracownikami własnego pisma. Najpoważniejsze prace właśnie z ich grona pochodziły. Z pomiędzy tych, ogólną uwagę na

siebie zwróciły prace Teodora Dunina i Władysława Matlakowskiego.

Dunin terapeuta, b. asystent prof. Lewickiego a następnie ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, przez swoje wybitne zdolności nie tylko zajął główne stanowisko w komitecie redakcyjnym Gazety, ale wkrótce zasłynął jako jeden z lepszych lekarzy praktyków w Warszawie. Do ożywienia ruchu naukowego Dunin przyczynił się wiele. On pierwszy z lekarzy warszawskich szpitalnych założył własnym kosztem pracownię kliniczną przy swoim oddziele i traktował zawsze swój przedmiot ze stanowiska wysoce naukowego. Gruntowna znajomość i zamiłowanie przedmiotu a nadewszystko stanowczość zdania, wyrobiła mu uznanie i wielką powagę wśród kolegów. Prace jego naukowe, ogłaszane w „Gazecie lekarskiéj" odznaczają się gruntowną wiedzą i sumiennością spostrzeżeń (studya nad nérką wędrującą, o t. zw. nerwicach urazowych). W bardziéj jednak oryginalnych poglądach tego autora, przebija krańcowość właściwa naturom bezwzględnym, stanowczym (prace o zakażeniu mieszaném, o habitualném zaparciu stolca).

Władysław Matlakowski, jeden z głośniejszych obecnie chirurgów w Warszawie, b. asystent prof. Kosińskiego, teraz ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, wyrobił sobie wybitne stanowisko podobnie jak i Dunin, tylko pracą i niezaprzeczonemi zdolnościami. Zręczny operator i najlepszy może u nas znawca literatury chirurgicznéj, postawił swój oddział szpitalny bardzo wysoko, nie szczędząc nawet ze swéj strony znacznych nakładów. Z zamiłowaniem oddaje się chirurgii jamy brzusznéj, w czém doszedł do zadziwiających rezultatów. Jako pisarz bardzo płodny, pomieszcza całe szeregi prac i spostrzeżeń w „Gazecie lekarskiéj." Prace te oprócz dużéj naukowéj wartości odznaczają się pięknym, obrazowym stylem.

Oprócz tych dwóch najwybitniejszych przedstawicieli koła redakcyjnego „Gazety," w gronie współwłaścicieli znajdujemy jeszcze cały szereg innych, mniéj może głośnych, lecz w każdym razie pierwszorzędnych sił lekarskich. Tutaj tylko wspomnę o Alfredzie Sokołowskim, płodnym pisarzu i znanym specyaliście chorób płucnych, Józefie Pawińskim autorze wielu cennych prac o chorobach serca, Mikołaju Reichmanie (choroby żołądka). Daléj tacy lekarze specyaliści, jak Heryng (laryngologia), Gajkiewicz (choroby nerwowe), Jasiński, Jawdyński (chirurgia), Elzenberg (choroby skórne), Mayzel, Przewoski (medycyna teoretyczna), należą również do grona współwłaścicieli i współredaktorów „Gazety lekarskiéj". Zwarte koło tych współpracowników powiększa się ciągle przez przybytek nowych sił.

Na pochwałę redakcyi „Gazety“ należy wspomnieć, że przyjmuje ciągle do swego grona kolegów młodszych, wyróżniających się naukowemi pracami i tym sposobem nie zasklepia się w zamkniętém kole tych samych pracowników.

Nie tylko prace swych współwłaścicieli pomieszcza „Gazeta lekarska.“ Z liczby 90 prac oryginalnych, jakie drukowała „Gazeta“ w ciągu roku 1890, tylko 33 prace wyszły z pod ich pióra, reszta przypada na młodych lekarzy warszawskich, na lekarzy prowincyonalnych (15) najmniéj zaś na lekarzy, pracujących po za obrębem kraju. Z pomiędzy tych ostatnich stałym współpracownikiem „Gazety“ jest słynny chemik, prof. Nencki niegdyś prof. w Bernie. Z lekarzy praktykujących w zachodnich guberniach tylko kilku pomieszcza swe prace w „Gazecie lekarskiéj“ (Noiszewski z Dynaburga, Strzemiński z Wilna, Szadek i Rumszewicz z Kijowa). Zresztą zasługują jeszcze na uwagę prace z pracowni Dogiela w Kazaniu, stale ogłaszane od lat kilku w „Gazecie.“ Pocieszającym objawem jest powiększenie się liczby współpracowników prowincyonalnych, świadczy to bowiem o coraz wyższym poziomie nauki na prowincyi, tudzież o coraz większém zajęciu się literaturą pośród szerokiego koła lekarzy praktyków.

„Gazeta lekarska“ wychodzi tygodniowo w formacie dużéj ósemki w objętości 1 ½ arkusza druku. Każdy zeszyt zawiéra 3—4 prac oryginalnych, jeden lub dwa obszerniejsze referaty z pism zagranicznych, od czasu do czasu sprawozdanie z posiedzeń towarzystwa lekarskiego warszawskiego, a w końcu wiadomości bieżące. W ostatnich czasach wprowadzano do „Gazety“ dział tak zwanych „notatek lekarskich,“ w których pomieszczane bywają luźne spostrzeżenia, bez obszerniejszego opracowania. Mniéj szczęśliwą była myśl zaprowadzenia działu wiadomości terapeutycznych. Referent tego działu Grosstern pomieszcza tutaj zebrane z różnych pism zagranicznych wiadomości o nowych środkach lekarskich. Zbyt rychłe i nie dość krytyczne rozprzestrzenianie tych nowości daje powód lekarzom praktykom stosowania tych nie dość wypróbowanych i nie zawsze bezpiecznych środków.

Taką jest techniczna strona wydawnictwa „Gazety lekarskiéj.“ Co do niéj właśnie dałyby się wynaleść niejakie braki. Przedewszystkiém zarzucić by można „Gazecie,“ że jak na pismo małéj względnie objętości (z 1 ½ arkusza odchodzi ¼ na ogłoszenia) niewłaściwie pomieszcza prace obszerne najczęściéj z zakresu medycyny teoretycznéj. Takiemi są roboty z pracowni Dogiela, pomieszczona niedawno praca Knopfa, olbrzymia jak na pismo tygodniowe praca Herynga o leczeniu

gruźlicy krtani i wiele innych. Jestto rzeczywiście dla pisma tygodniowego niewłaściwy balast, zajmujący znaczną część i tak już szczupłéj treści pisma. Nie myślę bynajmniéj kwestyonować wartości podobnych prac, lecz sądzę, że one powinny znaleść miejsce w innych pismach, specyalnie na takie prace przeznaczonych. Drugi zarzut możnaby zrobić redakcyi „Gazety,“ że za mało uwzględnia bieżące potrzeby lekarzy praktyków. Jestto wydawnictwo ściśle naukowe i jako takie znakomite, nie może jednak rościć pretensyi do nazwy organu lekarzy praktyków. Dział wiadomości bieżących jest zdawkowo i lekko traktowany, a jednak w dziale tym możnaby nieraz poruszyć umiejętnie niejedną kwestyę, obchodzącą ogół lekarzy, niejedną myśl praktyczną, płodną w następstwa. Ztąd możnaby zręcznie kierować całą korporacyą i daleko prędzéj wpłynąć na wzajemny stosunek lekarzy, aniżeli całemi szeregami odcinkowych artykułów o etyce lekarskiéj.

Z „Gazetą lekarską“ jest ściśle związane drugie wydawnictwo peryodyczne, mianowicie „Odczyty kliniczne.“ Myśl tego wydawnictwa ze wszech miar piękna i na czasie będąca, powstała w łonie redakcyi „Gazety“ przed trzema laty. Przystąpiono więc na wzór licznych podobnych wydawnictw niemieckich do wydawania miesięcznych odczytów, objętości dwóch arkuszy druku, głównie z zakresu medycyny praktycznéj. Redakcyę odczytów objął Dunin i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że prowadzi ją bardzo umiejętnie. Wybór odczytów dobry, widać w nim przewodnią myśl wypełniania braków istniejących, i uwzględnienia potrzeb szerokiego koła lekarzy praktyków. To też odczyty kliniczne cieszą się coraz większém powodzeniem. W dotychczas wydanych odczytach znajdujemy, oprócz prac tłómaczonych, wiele cennych oryginalnych odczytów (Krówczyńskiego, Matlakowskiego, Sokołowskiego, Rydygiera, Dunina, Gajkiewicza, Elzenberga i innych). Najwięcéj zainteresowania wzbudziły odczyty Dunina i Elzenberga, a to ze względu na wiele oryginalnych i krańcowych poglądów w nich wypowiedzianych. Wzbudziły też one nader ożywioną i namiętną, może nawet za namiętną, przekraczającą granice bezstronności, polemikę.

Drugiém wydawnictwem tygodniowém lekarskiém w Warszawie jest „Medycyna,“ założona przed laty 19 przez Rogowicza. Następnie wydawnictwo i redakcyę objął Fritsche, który też do śmierci je prowadził. Jako wydawnictwo, poświęcone głównie lekarzom praktykom, różni się w stronie swéj technicznéj od „Gazety,“ formatu i objętości prawie tych samych, w układzie wyróżnia się głównie przewagą referatów nad pracami oryginalnemi. Referaty stanowią $^3/_4$ zawartości

pisma, a zaledwie ¼ przypada na prace oryginalne. Pomiędzy autorami oryginalnych prac, spotykamy lekarzy należących do rozmaitych grup. To też i wartość tych prac bywa bardzo różna. Najcenniejsze prace pomieszczają lekarze warszawscy starszéj generacyi jako to: Kosiński, Stankiewicz, Rose, Thieme i inni. Lecz obok nich spotykamy nieraz małéj wartości prace początkujących lekarzy warszawskich i prowincyonalnych. Znajdujemy w „Medycynie“ nieraz całemi tygodniami ciągnące się sprawozdania z zakładów kąpielowych, które stanowczo nie mogą interesować ogółu lekarzy i rzeczywiście nie kwalifikują się do wydawnictw tygodniowych. Wogóle w układzie i doborze prac oryginalnych nie widać jednolitości lub przewodniéj myśli. Redakcya widocznie pomieszcza po kolei prace, jak jéj bywają przysyłane, bez żadnego ze swéj strony starania o wybór. I to stanowi najsłabszą stronę tego wydawnictwa. Gdyby redakcya „Medycyny“ zebrała pod swym sztandarem wszystkie wybitniejsze siły starszéj generacyi lekarzy warszawskich i z ich współudziałem przystąpiła do opracowania oryginalnego tematów praktycznych, wtedy pismo zyskałoby wiele na wartości i powadze. Jako organ pewnego, wydatnego koła lekarzy praktyków, musiałoby mieć poważne znaczenie, z drugiéj strony jako pismo z wyraźnemi tendencyami praktycznemi, zyskiwałoby rozpowszechnienie śród tych lekarzy, dla których praktyczne cele medycyny grają najgłówniejszą rolę. Dlatego jednak należałoby połączyć wszystkie obecnie rozstrzelone siły, zainteresować ich bytem i celami wydawnictwa, co jednak, jak się okazuje nie jest rzeczą łatwą, jeżeli tak energiczny i zręczny organizator, jak Fritsche, któremu Warszawa ma do zawdzięczenia prosperujące kolonie letnie dla dzieci, nie był w stanie tego dokonać.

Mówiliśmy, że referaty z pism zagranicznych stanowią najgłówniejszą część treści „Medycyny.“ Referaty te nie wszystkie są jednakowéj wartości. Sprawozdania z obszerniejszych prac i odczytów klinicznych są zwykle staranne, dobrze dobrane i cenne, za to drobne referaty w tém piśmie przeważnie małą przedstawiają wartość. Napisanie referatu, streszczenia, nie jest rzeczą błahą i łatwą. Wymaga ono od autora dokładnéj znajomości przedmiotu, umiejętności wyróżnienia faktów ważnych od mniéj ważnych, tego, co należy pomieścić a co można wypuścić bez szkody dla całości. Nie napisze więc dobrego referatu lekarz i pisarz początkujący. Potrzeba i tu pewnéj wprawy, wytrwałości i znajomości przedmiotu. Pomiędzy autorami referatów w „Medycynie“ zaszczytnie wyróżnia się Feliks Arnstein, prawdziwy specyalista na tém polu. Pomieszcza on liczne referaty nietylko w „Medycynie“ ale i w innych pismach lekarskich. Wszystkie je-

go streszczenia odznaczają się umiejętnością referowania, czystością stylu i znajomością przedmiotu.

Kwestye społeczno-lekarskie i w „Medycynie“ również są przeważnie pomijane. Dział wiadomości bieżących jest zbiorem rozmaitych notatek ulotnych z pism zagranicznych lekarskich, przeplatanym gdzie nie gdzie jakąś nową receptą także ztamtąd zaczerpniętą. Jest rzeczą godną uwagi, że nasze pisma lekarskie tygodniowe nie liczą się wcale z całym szeregiem kwestyi praktycznych, z bytem lekarzy praktyków ściśle związanych. Weźmy naprzykład takiéj wagi kwestyę, jak felczeryzm (tak została przezwaną kwestya praktyki lekarskiéj felczerów i ich stosunku do lekarzy). Jest to sprawa olbrzymiéj wagi, a pomimo to oprócz jedynego artykułu w tym przedmiocie, napisanego przez Tchórznickiego w „Gazecie lekarskiéj“ nie znajdujemy nigdzie o tém nawet obszerniejszéj wzmianki. A jednak jest to kwestya bytu dla lekarzy w małych miastach prowincyonalnych. Daléj weźmy takie kwestye, jak urządzanie pomocy lekarskiéj dla robotników przy fabrykach, kwestyę spopularyzowania medycyny śród ludu, kwestyę zakładania towarzystw lekarskich i wspólnych czytelni dla lekarzy na prowincyi i wiele wiele innych spraw. Wszystko to leży odłogiem, wcale nie poruszane, z wielką szkodą dla ogółu. Należałoby naszym pismom lekarskim, o dobréj woli których wątpić nie można, pomyśléć o tém, zaprowadzić dział korespondencyi prowincyonalnych, powierzyć opracowanie ważniejszych kwestyi znającym rzecz lekarzom, otworzyć dyskusyę w tym przedmiocie i t. p. Przedewszystkiém jednak należy się pozbyć przesądów, że redakcya pisma polega tylko na grupowaniu przysyłanych artykułów naukowych, tym bowiem sposobem możemy miéć dobre archiwa prac lekarskich, nie będziemy jednak mieli dobrych pism tygodniowych. Pismo takie powinno być oddźwiękiem życia całéj korporacyi, w całéj pełni, bez pomijania ważnych, praktycznych czynników.

Pozwoliwszy sobie na tę małą uwagę krytyczną, wracamy do dalszego opisu wydawnictw. Nim skończymy z „Medycyną“, wspomniéć jeszcze musimy o kalendarzyku, t. zw. roczniku, od kilku lat wydawanym nakładem redakcyi „Medycyny“. Kalendarzyki podobne są zwykle małéj wartości literackiéj i naukowéj. Rocznik więc nie zasługiwałby na wzmiankę, gdyby nie dodawany do tegoż od roku 1879-go przegląd piśmiennictwa lekarskiego polskiego w osobnéj książce p. t. „Rocznik medycyny krajowéj“. Rocznik ten wprowadził w życie b. redaktor „Medycyny“, Rogowicz, na wzór niemieckich wydawnictw tego rodzaju, i sam go wydawał aż do roku 1887-go. Wydawnictwo to, pomimo wielu zalet i niezaprzeczonéj wartości,

upadło dla braku poparcia. Istniało też ono cały czas głównie, jako dodatek do kalendarzyka; kto kupował kalendarzyk, kupował i dodatek, rocznik. Kalendarzyk jednak sam przez się małéj był wartości, ustępował pod wieloma względami podobnym wydawnictwom niemieckim, ruskim, a nawet polskiemu, wydawanemu przez Stellę-Sawickiego we Lwowie. Tracił więc z roku na rok na liczbie kupujących i nareszcie najkosztowniejszą część, mianowicie dodatek, zaprzestano zupełnie wydawać. Piękną jednak myśl Rogowicza podjęło Towarzystwo lekarskie warszawskie i poleciło wydawanie dalszego ciągu przeglądu naszego piśmiennictwa lekarskiego w łamach swego organu, w „Pamiętniku".

Teraz koléj na trzecie pismo lekarskie, wydawane w Warszawie, mianowicie „Kronikę lekarską". Pismo to założone zostało przed 12-tu laty, głównie w celu pomieszczania samych sprawozdań, na wzór istniejących licznych niemieckich *Centralblatt*'ów. Jako jednak takie, nie miało wielkiego powodzenia i miéć go nie mogło. Niemieckie pisma, pomieszczające same referaty, liczą głównie na rozpowszechnienie śród lekarzy autorów, lekarzy piszących. Taki lekarz, chcąc się oryentować w ogromie ogłoszonych w całym świecie prac, musiał miéć podręczne pismo, gdzieby znalazł krótką wiadomość o literaturze w interesujących go kwestyach. W naszych jednak warunkach, gdzie ilość lekarzy literatów nie jest wielka (nie przechodzi chyba liczby 200), podobne pismo powodzenia miéć nie mogło. To też następne redakcye powoli zmieniały układ pisma. Zaczęto więc pomieszczać w artykułach wstępnych obszerniejsze prace, obejmujące całość jakiéjkolwiek kwestyi. Tym sposobem powstały wcale dobre prace: Pacanowskiego „O badaniu chorób żołądka" i „O nerwicach żołądka", Goldflama „O rozsianém stwardnieniu rdzenia", Strzeszewskiego „O zrostach osierdzia", Srebrnego „O krupie", Krajewskiego i t. p. Obecna redakcya (Sierpiński—jako wydawca, Hewelke—jako redaktor) pomieszcza już większą liczbę prac oryginalnych, nie wyłączając nawet artykułów kazuistycznych.

Autorowie tych prac w przeważnéj większości należą do najmłodszéj generacyi lekarzy warszawskich, którzy z rozmaitych względów, najczęściéj osobistych, stoją po za obrębem „Gazety lekarskiéj". Nie chcąc, lub nie mogąc pomieszczać swych prac w „Gazecie", drukują je w „Kronice"; nie ma jednak między nimi téj spójności, jaka istnieje pomiędzy współpracownikami „Gazety". Są to przeważnie siły młode, mało jeszcze wyrobione, chociaż nie brak między nimi obiecujących zdolności (Kryński, Ciągliński, Biernacki). Z pomiędzy starszych współpracowników „Kroniki", na wyróżnienie zasługują Goldflam i Kra-

jewski. Goldflam, znany w kołach lekarskich specyalista chorób nerwowych, b. asystent prof. Lambla, ogółowi publiki dał się poznać głównie w czasie burzliwego demaskowania praktyki Ochorowicza. Jest-to pisarz wielkiéj erudycyi, brakuje mu może trochę szerszego polotu myśli, czasem gubi się w drobnostkach, za to wyróżnia się wybitnie doskonałą znajomością swego przedmiotu. Prace jego należą do bardzo cennych, autor każdą z nich gruntownie i sumiennie traktuje, z wyborną znajomością literatury.

Krajewski, znany chirurg, ordynator szpitala Dzieciątka Jezus, stanowi oryginalną zupełnie postać w literaturze lekarskiéj. Pisze niewiele, pod względem naukowym prace jego nie są wcale wybitne, posiada jednak w pisaniu młodzieńczą werwę i namiętne zacięcie polemiczne. Karyerę swoją pisarską zaczął przed kilku laty ostrą krytyką istniejących stosunków w oddziałach chirurgicznych szpitali warszawskich. Krytyka ta dużo narobiła wrzawy, dużo napsuła krwi, lecz w rezultacie nie pozostała bez pewnego korzystnego wpływu. Przed rokiem zaś niespełna z prawdziwą odwagą cywilną wystąpił w „Kronice lekarskiéj" przeciwko nieuctwu pewnéj części lekarzy-praktyków, którzy, pozostawiając naukę na uboczu, za pomocą rozmaitych sztuczek dochodzą do pokaźnéj praktyki. Namiętny, polemiczny styl tego artykułu, przytoczony w nim jako przykład oburzający fakt, zainteresował cały świat lekarski. Podawano sobie z rąk do rąk „Kronikę" i jakiś czas o niczém innén nie mówiono w kołach lekarskich, jeno o artykule Krajewskiego. Byli tacy, co zarzucali autorowi, że poruszał niepotrzebnie w pracy naukowéj kwestye osobiste (*sic*), że za ostro, za namiętnie wystąpił, nikt jednak nie powiedział, że napadał niesłusznie, a to chyba największy tryumf autora. Wogóle, o ile dużo możnaby powiedziéć przeciwko krytykom i polemikom niby naukowym, a w gruncie rzeczy polegającym na osobistych zaczepkach, o tyle w sprawach ogólnych, praktycznych, werwa, namiętność, a nawet pewna krańcowość jest rzeczą konieczną. Tym tylko sposobem wpłynąć można na ogólne zainteresowanie i wzbudzić ożywioną wymianę myśli. Żałować więc należy, że Krajewski, posiadający wszystkie zalety świetnego publicysty, tak rzadko zabiéra głos w piśmiennictwie lekarskiém.

„Kronika lekarska" wychodzi zeszytami co miesiąc, objętości 4 arkuszy druku. W każdym zeszycie znajdujemy kilka prac oryginalnych (2—3), następnie cały szereg referatów, co do których przedewszystkiém zauważyć można praktyczny celowy układ. Referaty łączone bywają razem w pewne oddziały, ze względu na traktowany temat. Tym sposobem uwaga czytelnika nie gubi się niepotrzebnie

w masie różnorodnych myśli. Wartość referatów w „Kronice“ jest względnie dobrą. Zdarzają się i tu słabsze, gorzéj opracowane, lecz wogóle widać niezaprzeczone staranie o ciągły postęp w tym kierunku.

Lecz co najwięcéj zasługuje na pochwałę w „Kronice lekarskiéj“, to widoczna chęć redakcyi poruszania kwestyi społeczno-lekarskich. Dział wiadomości bieżących, t. zw. kronika miesięczna, ze wszystkich pism lekarskich polskich najlepiéj i najstaranniéj jest traktowana w „Kronice“. Spotkać się tu można nieraz i z jakimś ostro osądzonym faktem wykroczenia w zasadach etyki lekarskiéj i z pewnym ogólnym zarzutem, skierowanym w stronę braków korporacyi. Są to co prawda początki, bez widocznego jeszcze, ściśle określonego planu, ale w każdym razie jest to już wiele wobec absolutnego pomijania tych spraw w innych pismach.

Z kolei przystępujemy do rozpatrzenia czwartego wydawnictwa, mianowicie „Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego warszawskiego“. Wydawnictwo to należy do najstarszych, liczy bowiem z górą 50 lat istnienia. Wychodzi kwartalnie zeszytami, obejmującemi 10 arkuszy druku. W każdym zeszycie znajdujemy 3 — 4 obszerne prace oryginalne, następnie protokóły z posiedzeń Towarzystwa lekarskiego. Redakcyę „Pamiętnika“ prowadzi jeden z członków, wybrany przez Towarzystwo (obecnie dr. Jawdyński). Już oddawna „Pamiętnik“ służy głównie do ogłaszania prac obszernych, bądź doświadczalnych, bądź klinicznych. Odgrywa więc tu rolę t. zw. archiwów zagranicznych. W „Pamiętniku“ także pomieszczane bywają prace z zakresu historyi medycyny (praca Bilińskiego „O wileńskiéj Akademii“, Wróblewskiego „O Marcinie z Urzędowa“ i wiele innych. Pomimo jednak wielu bardzo cennych prac, wydawnictwo to nie ma powodzenia (wszystkiego podobno 200-tu prenumeratorów płatnych). Winy tego po części szukać należy w braku zamiłowania w szerszém kole lekarzy do prac obszernych, doświadczalnych, teoretycznych, po części zaś w samym charakterze pisma, które bądź co bądź nosi na sobie cechę urzędowego organu pewnego stowarzyszenia. Kto wié, gdyby wszystkie obszerne protokóły rozmaitych komisyi Towarzystwa wydawano osobno w dodatkach, a dla samego pisma zachowano tylko prace naukowe, gdyby postarano się o większą jednolitość tych prac, możeby i powodzenie „Pamiętnika“ było większe. W każdym razie, potrzeba takiego archiwu lekarskiego dla pomieszczania obszernych prac teoretycznych kwestyonowaną być nie może. Na ostatnim zjeździe lekarzy w Krakowie, kwestya ta miała być podnie-

siona, wybrano nawet *ad hoc* komisyę, o rezultatach jednak tych obrad dotychczas nic nie wiemy.

Mówiliśmy już, że od niedawnego czasu w „Pamiętniku“ pomieszczane bywają roczne sprawozdania z piśmiennictwa lekarskiego polskiego, które stanowią dalszy ciąg dawnego „Rocznika medycyny krajowéj“. Otóż w roczniku ostatnim „Pamiętnika“ pomieszczono przegląd piśmiennictwa za rok 1888-my. Kilka ciekawych cyfrowych dat musimy stamtąd przytoczyć, da nam to bowiem pewne pojęcie o ogólnym ruchu piśmienniczym śród lekarzy. W r. 1888-ym było autorów piszących 168, którzy ogłosili w pismach peryodycznych 286 prac. Z prac tych najwięcéj przypada na medycynę wewnętrzną (70), następnie 49 na chirurgię, 35 na hygienę, 29 na akuszeryę i ginekologię, 14 na okulistykę i t. d. Dział medycyny teoretycznéj (anatomia, fizyologia, patologia doświadczalna, bakteryologia) obejmuje prac 48. Z ogólnéj liczby 168 autorów najwięcéj przypada na Warwę, bo 77, 17 autorów mieszka na prowincyi, 15 w Cesarstwie; na Galicyę i Austryę przypada 47, na Prusy tylko 6. Jeżeli przyjmiemy, że ogólna liczba lekarzy Polaków wynosi około 3,000, to przypada jeden piszący mniéj więcéj na 18 praktykujących lekarzy. Stosunek ten nie jest wszędzie jednakowy. W Królestwie wypada jeden piszący na 9 (94—900), w Galicyi 1 : 12 (47 : 550). Najgorzéj zaś stosunek ten przedstawia się w Niemczech i Cesarstwie, gdzie jeden piszący wypada na 30, a nawet 90 lekarzy (Cesarstwo). Pod panowaniem pruskiém obecnie, od czasu założenia pisma lekarskiego w Poznaniu (1889 r.), znakomicie się poprawił stosunek piszących do ogółu lekarzy polskich.

Wspominając o organie Towarzystwa warszawskiego, należy słów kilka wspomnieć o samém Towarzystwie, o wpływie, jaki ono na ruch piśmienniczy wywiera i o udziale, jaki w tym ruchu bierze. Towarzystwo lekarskie istnieje od r. 1827-go i obecnie dzięki licznym legatom materyalnie stoi, rzec można, znakomicie. Członków czynnych liczy przeszło 130, do liczby téj należą wszyscy bez wyjątku wybitniejsi lekarze warszawscy i wszyscy bez wyjątku warszawscy lekarze literaci. Posiedzenia odbywają się co 2 tygodnie i są zwykle bardzo ożywione. W ostatniém dziesięcioleciu szczególniéj, dzięki umiejętnemu kierownictwu takich prezesów, jak Gepner i Brodowski, wartość naukowa posiedzeń klinicznych znacznie wzrosła; odczyty na posiedzeniach czytane, są zwykle dobrze opracowane i interesujące, a dyskusya trzymana bywa w tonie poważnym, naukowym. Przy towarzystwie istnieje od lat kilku utworzona ze składek pracownia mikroskopowo-chemiczna. W pracowni téj zapoczątkowano szereg

odczytów dla lekarzy praktyków z dziedziny anatomii patologicznéj, mikroskopii klinicznéj i chemii lekarskiéj. Myśl piękna i doniosła w następstwa, jakoś w wykonaniu nie idzie tak, jakby się spodziéwać należało, po części z braku przewodniéj myśli i organizacyi. Należałoby koniecznie zorganizować te odczyty kolejno w krótkich możliwie kursach, zastosowanych do niezbędnych potrzeb lekarzy praktyków, na wzór istniejących i prosperujących zagranicą t. zw. wakacyjnych kursów dla lekarzy praktyków. Inaczéj myśl będzie chybiona i korzyści nie przyniesie.

W ruchu piśmienniczym towarzystwo bierze udział nietylko przez wydawanie „Pamiętnika“, lecz ogłasza tematy do prac, które następnie drukuje. Dotychczas jednak, pomimo rzeczywiście wybornie dobranych tematów, konkursy te nie przyniosły naszéj literaturze żadnéj wybitnéj pracy. Istnieje przy towarzystwie jeden konkursowy legat imienia Chałubińskiego na nagrodę za najlepsze dzieło w zakresie nauk lekarskich, wydane w ciągu lat trzech. Nagrody w różnym czasie otrzymali Jurasz z Heidelberga, Krówczyński ze Lwowa, Rydygier z Krakowa. O dziełach tych autorów wypadnie nam jeszcze później pomówić.

Towarzystwo lekarskie wydało nadto w ciągu ostatniego dziesięciolecia przedruk dzieł znanego lekarza z XVI-go wieku, Wojciecha Oczki p. t. „Przymiot i Cieplice". Dzieła te mają właściwie znaczenie tylko historyczne; znakomity jednak staropolski język ze złotéj epoki naszéj literatury i gruntowna, jak na owe czasy, wiedza autora, zasługiwały rzeczywiście na szersze rozpowszechnienie dzieł tego najlepszego może prozaika-specyalisty z epoki Zygmuntowskiéj.

Nie skończyliśmy jednak z wydawnictwami peryodycznemi warszawskiemi. Pozostaje nam jeszcze do omówienia jedno specyalne pismo, poświęcone wyłącznie hygienie i medycynie publicznéj, wychodzące od lat sześciu miesięcznie p. t. „Zdrowie“. Pismo to wychodzi, jak już mówiliśmy, zeszytami miesięcznemi, objętości 2 arkuszy ścisłego, podzielonego na dwie szpalty druku. Układ pisma jest następujący: artykuł wstępny, omawiający ogólnie rozmaite bieżące kwestye, tyczące się hygieny, następnie znajdujemy kilka artykułów oryginalnych z tegoż zakresu, a w końcu mamy dział sprawozdawczy i dość obszerną kronikę z drobnemi wiadomościami. Pismo trzymane jest w tonie poważnym, naukowym, ma jednak widoczny cel popularyzowania wiadomości hygienicznych. I w têm właśnie umiejętnêm popularyzowaniu, bez obniżenia naukowéj wartości pisma polega cała zasługa redakcyi. Nie znam pisma specyalnego, któreby było lepiéj redagowane, jak „Zdrowie“, a ta umiejętna redakcya nie polega na

doborze artykułów (pomiędzy któremi trafiają się nawet i bardzo słabe), lecz na umiejętném zestawieniu treści. Każdy zeszyt tego pisma przedstawia prawdziwy obraz całego ruchu naukowego w zakresie hygieny w danéj chwili.

Redaktorem i założycielem „Zdrowia“ jest Józef Polak, oryginalna i popularna osobistość w Warszawie. Posiada on wielką zręczność wydawniczą i organizatorską. Umiał on w dość krótkim czasie zainteresować swém pismem cały ogół. Nieznany, wytrwałością tylko i umiejętném wzięciem się do rzeczy powołał do życia w r. 1888-ym wystawę hygieniczną. Wkrótce téż wyrobił sobie uznanie w szerokich kołach i nie ma sprawy dotyczącéj się hygieny, w któréjby jego zdania nie zasięgano. Położył on również wielkie zasługi co do spopularyzowania hygieny i dziś można śmiało powiedziéć, że żadna gałąź nauki lekarskiéj nie cieszy się u nas śród ogółu takiém powodzeniem, jak hygiena.

Do rzędu współpracowników „Zdrowia“ należy dr. Bujwid, również popularna i ogólnie znana w Warszawie osobistość. Powodzenie swoje pod tym względem zawdzięcza on bakteryologii, téj nowéj, a tak szybko rozwijającéj się nauce lekarskiéj. Nie zrobił on właściwie żadnego ważnego odkrycia naukowego; zasługa jego polega na popularyzowaniu wiadomości naukowych, które budziły ze względu na swą nowość ogólne zainteresowanie. Liczne jego odczyty i artykuły dziennikarskie z zakresu bakteryologii i leczenie wścieklizny metodą Pasteura, zjednały mu ten rozgłos, jakim dzisiaj się cieszy w szerokich kołach naszego społeczeństwa.

Skończyliśmy przegląd wydawnictw warszawskich, przechodzimy obecnie do drugiego ogniska nauki lekarskiéj polskiéj, mianowicie Krakowa. Tutaj na pierwszym planie postawić musimy jedno z najlepszych dzisiaj pism lekarskich polskich, tygodniowy organ towarzystw lekarskich, krakowskiego i galicyjskiego, „Przegląd lekarski“. Pismo to jest jedném z najstarszych wydawnictw peryodycznych specyalnych, liczy bowiem 30 rok istnienia. Wychodzi *in 4º*, objętości 1 ½ arkusza druku i w układzie swoim rozpada się na trzy główne działy: dział prac oryginalnych (3—4 w każdym zeszycie, ogółem około 80 na rok), daléj dział bardzo szczegółowy i dobrze dobrany referatów i sprawozdań z pism zagranicznych i nakoniec dział wiadomości bieżących.

Artykuły oryginalne w „Przeglądzie“ są zwykle wysokiéj wartości. Znaczna część ich wychodzi z pod pióra profesorów uniwersytetu krakowskiego. Redaktorem pisma jest prof. Blumenstok, wy-

soko ceniony w całym świecie naukowym znawca medycyny sądowéj. Pod tym względem ma ustaloną opinię nawet po za granicami kraju i bierze udział w niemieckich wydawnictwach zbiorowych w zakresie swojéj specyalności. W literaturze polskiéj znany jest głównie jako autor licznych prac kazuistycznych sądowo-lekarskich. Wyborna znajomość przedmiotu, idealna logiczność wnioskowania, stanowią główne cechy tych w każdym razie znakomitych artykułów. Artykuły te wyróżniają się również pięknym językiem i wyborowym stylem; Blumenstok, jako stylista, chyba tylko z jednym Matlakowskim wśród autorów lekarzy porównany być może. Obudził on téż zainteresowanie do medycyny sądowéj pomiędzy swymi uczniami. Lekarze galicyjscy często zabierają głos w „Przeglądzie“ w kwestyach sądowo-lekarskich i tém wybitnie różnią się od swych kolegów z Królestwa, którzy tę specyalność najmniéj uprawiają. Z pomiędzy uczniów Blumenstoka na szczególne wyróżnienie zasługują Schaitter i Obtułowicz. Ten ostatni stanowi dość rzadki u nas jeszcze typ lekarza prowincyonalnego, traktującego swój przedmiot z punktu prawdziwéj nauki. Mieszkając w zapadłéj prowincyi (w Buczaczu — wschodnia Galicya), ogłasza w „Przeglądzie“ stamtąd cały szereg cennych prac kazuistycznych z zakresu medycyny sądowéj i chirurgii, które wskazują na doskonały zmysł spostrzegawczy i dużą znajomość przedmiotu w autorze.

Obok Blumenstoka w szeregu współpracowników „Przeglądu“ należy postawić prof. Adamkiewicza. Jest-to jeden z najpłodniejszych i najwięcéj pomysłowych autorów lekarzy. Adamkiewiczowi mamy do zawdzięczenia mnóstwo nowych poglądów i teoryi, które bądź co bądź wyrobiły mu wielki rozgłos w nauce. Jego teorya ucisku mózgu, jego odkrycia ciałek nerwowych i właściwego krążenia krwi w rdzeniu, jego prace doświadczalne nad wydzielaniem potu, nakoniec jego poglądy oryginalne na układowe choroby rdzenia, świadczą o niesłychanéj pomysłowości i oryginalnym umyśle tego patologa. Niestety te wielce cenne właściwości nie idą w parze z wytrwałością i systematycznością, tak koniecznemi w pracach naukowych. Apryorystyczność sądu i zbytnia pośpieszność wnioskowania, oraz wynikający stąd brak dostatecznego materyału dowodowego, zmniejszają bardzo wartość wielu mistrzowsko pomyślanych jego poglądów i teoryi. Jest-to już widocznie ogólna wada dzisiejszego gorączkowego życia naukowego. Minęły czasy Darwinów, kiedy uczeni dziesiątki lat w ciszy przesiadywali nad jedném zagadnieniem i dopiéro dokładnie je opracowawszy, ogłaszali wyniki swych badań. Dzisiaj każdy pomysł pośpiesznie się opracowuje i również pośpiesznie się ogłasza,

jakby w obawie, żeby autora inny nie uprzedził. Tym sposobem wartość nowych odkryć i pomysłów znakomicie się zmniejszyła. Od téj, że tak powiem, spółczesnéj wady nie są wolni nawet koryfeusze nauki, czego dowodem niedawna głośna sprawa z leczeniem gruźlicy.

W każdym razie prace Adamkiewicza stanowią oryginalny i wielce żywotny zwrot w naszéj literaturze lekarskiéj. Do niedawna autorowie polscy przyzwyczajeni byli chodzić na pasku niemieckiéj nauki i czcić święcie autorytety, przetrawiali więc przeważnie zagraniczne pomysły i poglądy, na własnéj inicyatywie zwykle im zbywało. Obecnie jest wyraźny zwrot w przeciwną stronę. Coraz częściéj spotykamy się w naszych pracach z nowemi, śmiałemi poglądami i to poczucie własnéj siły stanowi już wybitny, a wielce pocieszający objaw. O ile na ten zwrot wpłynęły prace Adamkiewicza, dopiéro przyszły badacz piśmiennictwa będzie mógł ocenić.

Pod względem stylowym, Adamkiewicz nie jest wcale świetnym pisarzem. Styl jego jest ciężki, zwroty pisarskie, często niemieckie, a i terminologia wcale nie czysto polska.

Niektóre prace Adamkiewicza, mianowicie: „O ucisku mózgu“ i „O ciałkach nerwowych“, podległy surowéj krytyce Cybulskiego, profesora fizyologii uniwersytetu krakowskiego. Stąd wynikła nawet na szpaltach „Przeglądu“ ożywiona i dość namiętna polemika pomiędzy powyżéj wzmiankowanymi autorami. Cybulski, wychowaniec petersburskiéj akademii medyko-chirurgicznéj, uczeń prof. Tarchanowa, jest młodym jeszcze, a wielce obiecującym, uczonym fizyologiem. Pochodzący z dobréj szkoły, jako eksperymentator, znakomicie technicznie wyrobiony, przytém pracowity i zdolny, dał się już poznać ze swych naukowych odkryć i prac, a jeszcze więcéj rokuje na przyszłość. Z prac jego, oprócz powyżéj wspomnianéj pracy krytycznéj „O ucisku mózgu“, zasługuje na uwagę rzecz o hypnotyzmie, drukowana w „Przeglądzie“, oraz podręcznik fizyologii, wydany niedawno w Warszawie. O tym ostatnim wypadnie nam jeszcze późniéj parę słów pomówić.

Profesorowie klinik krakowskich, jako więcéj zajęci rozległą praktyką lekarską, mniéj biorą udziału w ruchu literackim. Taki naprzykład Korczyński, profesor kliniki terapeutycznéj, jako autor, jest mało znany. Kilka zaledwie prac i to zresztą nie pierwszorzędnych wyszło z pod jego pióra. Za to, jako kierownik kliniki zasługuje na zupełne uznanie. Pod jego kierunkiem i w jego klinice dokonany był cały szereg prac nad chorobami żołądka. Prace te ogłoszone były w różnym czasie przez Gluzińskiego i Jaworskiego, i zyskały uznanie w całym świecie naukowym. Asystenci kliniki

terapeutycznéj krakowskiéj wciąż ogłaszają liczne prace bądź kliniczne, bądź kazuistyczne i tym sposobem cały materyał kliniczny doskonale bywa zużytkowany. Dość przypatrzyć się kilkunastu grubym zeszytom prac z kliniki krakowskiéj, ogłoszonym od r. 1876-go, żeby ocenić żywy ruch naukowy, jaki na klinice téj rzeczywiście panuje. Wśród autorów tych prac spotykamy nazwiska następujących lekarzy: Smoleńskiego, Bossowskiego, Schramma, Halskiego, Gluzińskiego, Jaworskiego, Wolframa, Prusa, Buzdygana, Ponikły i innych.

Klinika chirurgiczna krakowska miała swe świetne czasy przed kilku laty, kiedy jéj kierownikiem był Mikulicz, obecnie profesor chirurgii w Wrocławiu. Mikulicz, uczeń Billrotha z Wiednia, należy dzisiaj do najzdolniejszych i najwięcéj pomysłowych chirurgów w całych Niemczech. Podczas pięcioletniego pobytu w Krakowie niesłychanie ożywił ruch naukowy na polu chirurgii; pisał sam wiele, prace swe pomieszczał w „Przeglądzie“ i „Gazecie lekarskiéj“. Przy nim kształciły się również całe zastępy uczniów, z których na uwagę zasługiwali Trzebicki i Schramm. Marna, malutka i źle urządzona klinika chirurgiczna krakowska była wtedy głośną, daleko nawet po za granicami kraju. Kierownik jéj jednak porzucił wkrótce Kraków i przeniósł się do Królewca. Od tego czasu Mikulicz przestał przyjmować udział w ruchu literackim polskim. Lecz równocześnie, sława jego, jako chirurga, zaczęła maléć. Nie słyszymy jakoś teraz o nowych pomysłach Mikulicza, o nowych jego naukowych pracach. Mała i źle urządzona klinika krakowska więcéj widocznie zachęcała do pracy, niżeli świetne, kosztowne kliniki niemieckie.

Po Mikuliczu objął kierownictwo kliniki chirurgicznéj Rydygier z Chełmna, z Prus zachodnich, gdzie przez długi czas miał własną prywatną klinikę chirurgiczną. Mniéj może pomysłowy od poprzedniego, położył jednak dla kliniki i nauki wielkie zasługi. Za jego staraniem wybudowano nową, wspaniałą klinikę w Krakowie, on to powołał przed kilku laty do życia coroczne zjazdy chirurgów polskich. Jako autor, znany jest z licznych prac, które zresztą częściéj ogłaszał w czasie swojego pobytu w Chełmnie. Tam też napisał i wydał pierwszy tom wcale dobrego podręcznika chirurgii specyalnéj.

Wielce ruchliwym na polu naukowém jest Obaliński, profesor nadzwyczajny chirurgii w Krakowie, ordynator szpitala świętego Łazarza. Zręczny operator, dość pomysłowy chirurg i płodny pisarz, odgrywa poważną rolę w kołach lekarskich Krakowa. Pole

jednak jego działalności jest bardziéj ograniczoném, wpływu więc téż wielkiego okazać nie może.

Wyliczyliśmy wszystkich główniejszych krakowskich współpracowników „Przeglądu“. „Przegląd“ jednak pomieszcza w swych łamach prace nietylko krakowskich lekarzy. Spotykamy tam prace lekarzy warszawskich, a nawet lekarzy z Cesarstwa. Przed kilku laty dość często w „Przeglądzie“ pomieszczali swe prace petersburscy lekarze, jakoto: Mierzejewski, Daniłło, Ziemacki. Dziś tego nie czynią; dlaczego? Z Cesarstwa również piszą korespondencye z omawianiem różnych spraw lekarskich i sanitarnych, lekarze Talko i Iłgowski. Korespondencye te są bardzo cenne i mogą służyć za przykład dla innych pism lekarskich, które tego działu nie zaprowadziły u siebie.

Mówiąc o korespondencyach, niepodobna pominąć milczeniem świetnych listów Jabłonowskiego ze Wschodu. Pisane pięknym stylem, żywo i obrazowo malują stan sanitarny i urządzenia lekarskie dalekiego wschodu: Persyi i Turcyi. Listy te niedawno wyszły w osobnéj książce i mogą być przez każdego, nawet nie lekarza, z całém zajęciem czytane.

Lekarze prowincyonalni galicyjscy mały biorą udział w ruchu naukowym. Z wyjątkiem Obtułowicza, rzadko spotykamy w „Przeglądzie“ pracę jakiegokolwiek lekarza galicyjskiego. Wogóle lekarze ci mało czytają i mało interesują się ruchem piśmienniczym i pod tym względem stoją o wiele niżéj od lekarzy w Królestwie. Kiedy w Królestwie większość lekarzy prowincyonalnych prenumeruje po kilka pism peryodycznych, sprowadza sobie książki lekarskie, lekarz galicyjski poprzestaje na jednym „Przeglądzie“, który w pewnym stopniu z obowiązku jako członek Towarzystwa lekarskiego galicyjskiego prenumerować musi. Pisma warszawskie, jak „Gazeta“, „Kronika“ zaledwie kilku płatnych prenumeratorów liczą w Galicyi. Literatura książkowa absolutnie nie ma tam powodzenia. Jest-to dziwny objaw apatyi, której nie da się wytłómaczyć ani nadmierném zajęciem praktyczném, ani niemożliwością ścisłéj naukowéj pracy na prowincyi. Przy dobréj chęci i prawdziwéj inteligencyi, wszystkie te przeszkody usunąć się dają. Dlaczego trafiają się wyjątkowi lekarze dla których przeszkody te nie istnieją? Dlaczego taki naprzykład Karliński, rzucony losami do małego miasteczka bośniackiego, założył tam własną pracownię bakteryologiczną i ogłasza stamtąd roboty, któreby każdemu uniwersyteckiemu laboratoryum zaszczyt przynieść mogły? Dlaczego taka wielka liczba lekarzy gnuśnieje? Oto pyta-

nia, które pisma peryodyczne lekarskie powinny wziąć na uwagę i walczyć otwarcie ze złem tak zakorzenioném.

W końcu mówiąc o „Przeglądzie“, zrobić musimy uwagę o t. zw. kwestyi terminologii lekarskiéj polskiéj. Kiedy przed 30-tu laty równocześnie prawie zaczął się ruch naukowy lekarski w Warszawie i w Krakowie, okazała się potrzeba stworzenia terminologii. Oba główne ogniska naukowe poszły w tym względzie w różnych kierunkach. W Krakowie za inicyatywą prof. Skobla uganiano się głównie za czystością języka, tłómaczono każde słowo łacińskie na język polski, wykuwano niekiedy dziwolągi językowe. W Warszawie przeciwnie, starano się unikać zbytniego puryzmu, pozostawiono wiele słów łacińskich w terminologii, unikano przedewszystkiém nazw niesłychanych i z duchem języka niezgodnych. Jakiś czas różnica ta dawała się bardzo odczuwać, mieliśmy właściwie dwie równe terminologie, jedną warszawską, drugą krakowską. Chcąc uniknąć złych następstw takiego rozdwojenia, warszawskie i krakowskie towarzystwa lekarskie zgodziły się na wydanie słownika terminologii polskiéj, któryby ustalił nazwy. Słownik jednak ten wydany przed kilku laty, nie wiele wpłynął na załatwienie sporu. Więcéj wpłynęły wzajemne ustępstwa pism peryodycznych, głównie zaś „Przeglądu“, który długi czas był głównym obrońcą puryzmu językowego. Powoli jednak dla swych współpracowników warszawskich „Przegląd“ musiał robić liczne ustępstwa, liczne podręczniki warszawskie zaczęły przenikać do Krakowa i dziś, rzec można, terminologia jest prawie ustaloną z przewagą dawnéj terminologii warszawskiéj. Cała różnica sprowadza się dzisiaj do kilku nazw: przymiot, kiła; odnoga, kończyna i t. p., oraz do używania różnych rodzajów przy nazwach alkaloidów: warszawscy lekarze piszą naprzykład china, morfina, krakowscy chinin, morfin. Za to wiele dziwolągów językowych w rodzaju „okléj“ (polip) wyszły zupełnie z użycia. Te niewielkie różnice z biegiem czasu zostaną prawdopobnie zupełnie wyrównane.

W Krakowie oprócz „Przeglądu“ od kilku lat wychodzi jeszcze małe pisemko „Przewodnik hygieniczny“. Pismo to jednak nie ma powodzenia i pod względem treści nie dorównywa nawet w części warszawskiemu „Zdrowiu“. Od dwóch lat jeszcze w porze kąpielowéj wychodzi tygodniowe pismo „Krynica“, tytułujące się szumnie organem poświęconym balneologii i zdrojowiskom krajowym. Redaktorem tego pisma jest dr. Knopf, lekarz zakładowy w Krynicy. Wartości pisemko to pod względem naukowym nie ma prawie żadnéj. Tymczasem pismo, w tym kierunku gdyby było traktowane poważnie i naukowo, miałoby bez zaprzeczenia swą racyę bytu w Galicyi,

gdzie istnieją całe dziesiątki zakładów zdrojowych i kąpielowych. Należałoby jednak przedewszystkiém wyrzucić nie będące na miejscu drobne wiadomości i nowelki, pomieszczać systematyczne sprawozdania ze wszystkich zakładów kąpielowych polskich i postarać się o prace naukowe z zakresu balneologii. Autorów-by nie brakło, posiadamy bowiem cały zastęp poważnych i wyrobionych lekarzy zdrojowych, że tu wspomnę tylko o Chłapowskim (Kissingen), Tymowskim (San-Remo), Filipkiewiczu (Trenczyn), Marsie (Krynica) i innych. Może pismo takie na razie nie opłacałoby się, jednak jeżeli weźmiemy na uwagę, że widocznie redakcya posiada jakieś środki do wydawania pisemka, rozsyłanego przeważnie gratisowo, to za niewielkim już dokładem możnaby stworzyć rzecz wartościową, którаby mogła przynieść pożytek nauce i zainteresować dość liczny zastęp lekarzy zdrojowych.

Pewna część prac naukowych z zakresu medycyny teoretycznéj pomieszczaną bywa w rocznikach Akademii umiejętności krakowskiéj. Prace te nie stanowią oddzielnego wydawnictwa, lecz wychodzą w rocznikach wydziału przyrodniczego razem z pracami z różnych działów nauk przyrodniczych. Pomiędzy autorami, pomieszczającymi tam swoje prace, spotykamy Teichmana, profesora anatomii uniwersytetu krakowskiego, Kadyja, także anatoma, profesora lwowskiego uniwersytetu, Browicza, profesora anatomii patalogicznéj w Krakowie, prof. Cybulskiego, docenta Piotrowskiego ze Lwowa i innych.

Druga stolica Galicyi, Lwów, nie posiada przy uniwersytecie wydziału lekarskiego i tym sposobem w ruchu naukowym lekarskim odgrywa podrzędną rolę. Przed kilku laty grono lekarzy lwowskich założyło pismo miesięczne p. t. „Wiadomości lekarskie“. Pismo to jednak, mówiąc nawiasem, niezbyt umiejętnie redagowane, nie mogło wytrzymać konkurencyi z wybornie redagowanym i posiadającym odpowiednie środki materyalne „Przeglądem krakowskim“. To téż po kilkuletniém wegetowaniu przestało, zdaje się, zupełnie wychodzić. I w rzeczy samėj, przy panujących obecnie stosunkach w Galicyi, małém zamiłowaniu do czytania lekarzy galicyjskich, dwa pisma ogólnolekarskie utrzymać się nie mogą. Stosunki te zmienią się na lepsze, kiedy we Lwowie otworzą wydział lekarski. Wtedy powstanie nowe ognisko nauki i konieczna potrzeba założenia nowego organu. Tymczasem większość wybitniejszych lekarzy lwowskich, jak chirurgowie: Barącz, Wehr, Ziembicki, interniści: Widman, Wiczkowski i syfilidolog Krówczyński pomieszczają swe prace w „Przeglądzie lekarskim“.

Nim skończę z ruchem literackim lekarskim w Galicyi, nie od

rzeczy będzie wspomnieć w kilku słowach o zjazdach lekarskich, które przeważnie tam się odbywają. Zapoczątkowane przed 20 laty przez dra Baranieckiego, zjazdy te cieszą się coraz większym rozwojem i powodzeniem. Dotychczas zjazdów było sześć (co trzy lata), mianowicie jeden w Poznaniu, 3 w Krakowie i 2 we Lwowie. Jak liczba uczestników tych zjazdów wzrasta, można się przekonać z tego, że na pierwszym liczono nieco więcéj nad 200 uczestników, na szóstym zaś, odbytym w roku zeszłym, liczba uczestników przechodziła 800. Na ostatnim zjeździe zapowiedziano przeszło 160 odczytów i referatów w 7-miu rozmaitych sekcyach lekarskich. Wiele z tych odczytów dla braku czasu nie mogło przyjść na porządek dzienny. Dyskusye po odczytach były zwykle wielce ożywione i interesujące.

Oprócz tych ogólnych zjazdów, chirurgowie urządzili za inicyatywą prof. Rydygiera coroczne zjazdy specyalne w Krakowie. Zjazdy te (50—60 uczestników) są bardzo ożywione i cieszą się ogólném uznaniem. Powodzenie zjazdów chirurgicznych pobudziło prof. Korczyńskiego do zaprojektowania corocznych zjazdów internistów. Myśl ta ogólnie z zapałem przyjętą została. Z powyższego widzimy, że zjazdy lekarskie odznaczają się niezwykłém ożywieniem i ciągłym postępem. Jakkolwiek zjazdy te mają głównie znaczenie towarzyskie, przyczyniają się one w pewnym stopniu i do ożywienia ruchu naukowego. Wzajemne zapoznanie się, żywa wymiana myśli podczas dyskusyi naukowych nie pozostaje bez pewnego śladu, na dalszy rozwój saméj nauki. Szczególniéj korzystném okazuje się stawianie do dyskusyi pewnych kwestyi naukowych, będących na czasie w postaci referatów. Referaty takie, jeżeli tylko umiejętnie są przedstawione dają słuchaczom możność wyrobienia sądu o ostatnich wynikach nauki. Ze zjazdami zwykle połączone bywają wystawy lekarsko-hygieniczne, na których uczestnicy mogą nowe wynalazki zobaczyć i przyswoić sobie wiele z nowoczesnego postępu techniki lekarskiéj. To téż z prawdziwém zadowoleniem i radością patrzéć możemy na coraz więcéj rozwijające się zjazdy lekarskie.

Z kolei rzeczy wypada nam teraz pomówić o ruchu naukowym literackim w Poznaniu. Niewielkie to miasto, pozbawione wyższego zakładu naukowego, odgrywa jednak poważną rolę, jako główne intelektualne ognisko dla całéj prowincyi. Fatalne warunki, wśród których tam rozwija się życie umysłowe, już z góry nie dają nadziei na większe ożywienie naukowe. Pomimo to dobra wola i umiejętne wzięcie się do rzeczy i tu zrobić wiele mogą i w rzeczy saméj zrobiły. Do ostatniego prawie czasu kilka setek lekarzy polskich w Prusach nie brało prawie udziału w ogólnym ruchu naukowym polskim. Z wy-

jątkiem czterech, czy pięciu lekarzy poznańskich, którzy od czasu do czasu zamieszczali swe prace w „Przeglądzie krakowskim“, reszta pozostawała zupełnie obcą dla piśmiennictwa krajowego. Dopiéro od czasu założenia polskiego pisma lekarskiego w Poznaniu, stosunki znakomicie zmieniły się na lepsze. Przed trzema laty grono lekarzy poznańskich, na czele których stanęli Wicherkiewicz i Chłapowski założyli pismo miesięczne p. t. „Nowiny lekarskie“ i wzięli się do rzeczy z prawdziwą energię i zamiłowaniem. Nowe czasopismo odrazu sympatycznie zostało przyjęte przez wszystkich polskich lekarzy nawet po za granicami Prus i trzeba oddać mu sprawiedliwość, że nie zawiodło wcale ogólnych oczekiwań. Nowiny wychodzą miesięcznie zeszytami, 3 arkusze ścisłego druku dużéj ósemki i jak wszystkie pisma lekarskie, zawierają dział prac oryginalnych i dział sprawozdawczy, oprócz drobnych lekarskich i bieżących wiadomości, pomieszczanych w końcu zeszytu.

Najgłówniejszymi współpracownikami „Nowin“ są powyżéj wspomniani Wicherkiewicz i Chłapowski. Wicherkiewicz, znakomity okulista, oddawna już bierze udział czynny w piśmiennictwie lekarskiém. Od lat prawie dziesięciu spotykamy cały szereg jego prac, znakomitych pod względem treści i formy głównie w „Przeglądzie lekarskim“. Jest on niezaprzeczenie po nieboszczyku Szokalskim najznakomitszym i najczynniejszym okulistą polskim. W Poznaniu, gdzie nawet wśród Niemców ma wyrobioną opinią, założył prywatną klinikę okulistyczną, która coraz bardziéj się rozwija i wielką korzyść dla miasta i okolicy przynosi. Od czasu założenia „Nowin“ z zamiłowaniem oddał się on redakcyi tego pisma. Nie ma zeszytu „Nowin“, gdziebyśmy nie znaleźli, jeśli nie oryginalnéj jego pracy, to w każdym razie referatów z dziedziny okulistyki, przez niego pisanych. Również czynnym w redakcyi „Nowin“ jest Chłapowski, lekarz internista, praktykujący przez zimę w Poznaniu a przez lato w Kissingen. Bardzo oczytany i pracowity, jest także bardzo płodnym pisarzem. W każdym zeszycie „Nowin“ spotykamy jego prace bądź oryginalne, bądź sprawozdawcze. Pod względem naukowym prace jego nie są wybitne i pod tym względem są o wiele mniéj warte od prac Wicherkiewicza; w każdym jednak razie przebija w nich duża wiedza, doskonała znajomość literatury i praktyczny sąd o rzeczach.

Do szeregu głównych współpracowników „Nowin“ zaliczyć jeszcze należy Święcickiego, ginekologa. Liczne jego prace z dziedziny specyalnéj wykazują gruntowną znajomość rzeczy i wielką pomysłowość w autorze. Na wyróżnienie szczególniéj zasługują wy-

borne referaty z działu ginekologii, pomieszczane w „Nowinach“ a którym równe bodaj czy w jakiém piśmie lekarskiém znaleść można.

Oprócz tych powyższych najwybitniejszych autorów, którzy nadają, że tak powiem, ton całemu pismu, współpracownikami „Nowin“ są następujący lekarze poznańscy: Zielewicz, Drobnik i Szuman z Torunia (chirurgowie), Jerzykowski, Pomorski (ginekolodzy), Koehler, (laryngologia), Panieński i inni. Nawet i lekarze prowincyonalni (Alkiewicz, Gabryszewski, Wróblewski, Witkowski, Zaremba i inni) praktykujący w miastach i miasteczkach W. Ks. Poznańskiego ogłaszają od czasu do czasu swe spostrzeżenia z praktyki w „Nowinach lekarskich“. Jedném słowem ruch naukowy w téj krainie jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj żywo się objawił.

Redakcya „Nowin“ nie ogranicza się tylko na pomieszczaniu prac miejscowych autorów, z chęcią poszukuje i drukuje prace autorów zagranicznych. W „Nowinach“ więc spotykamy także prace lekarzy warszawskich, Matlakowskiego i Sokołowskiego, Minkiewicza z Łodzi, Strojnowskiego z Podola, Adamkiewicza i Obalińskiego z Krakowa, Salutryńskiego z Francyi, Karlińskiego z Hercegowiny. Jestto już w każdym razie oznaką powagi i rozgłosu, jakie pismo poznańskie w krótkim czasie potrafiło sobie wyrobić.

Na „Nowinach“ lekarskich kończymy przegląd wydawnictw peryodycznych, które, jak widzimy, dość pokaźnie się przedstawiają. Gorzéj rzecz się ma z wydawnictwami książkowemi. Wydawnictwa takie w naszych warunkach nie przynoszą zysku, to téż książki lekarskie nie wychodzą nakładem prywatnych wydawców-księgarzy. Uczniowie medycyny, którzy z natury rzeczy są głównymi nabywcami podręczników w przeważnéj większości słuchają wykładów, w obcym języku wygłaszanych. Poszukują więc najczęściéj podręczników w języku wykładowym, gdyż to ułatwia im studya. Z lekarzy zaś wielu poprzestaje wyłącznie na literaturze peryodycznéj, u wielu istnieje jeszcze przesąd niczém nie uzasadniony do książek oryginalnych, zakupują więc podręczniki przeważnie niemieckie. Z takiemi to trudnościami wypada walczyć polskim wydawnictwom książkowym. To téż dziwić się nie można, że wydawnictwa te w dzisiejszych warunkach nie są zyskowne i ukazują się tylko dzięki ofiarności. Wydawnictwem książek lekarskich polskich, dziś zajmują się trzy instytucye: redakcya „Gazety lekarskiéj“ i kasa imienia Mianowskiego w Warszawie, oraz specyalne stowarzyszenie do wydawania dzieł lekarskich w Krakowie.

Wydawnictwo „Gazety lekarskiéj“ jest względnie najstarsze. Jeszcze za czasów Girsztowta w siódmym dziesiątku bieżącego wieku,

przy gazecie wychodziła t. zw. „Biblioteka nauk lekarskich“, wydawnictwo bardzo ruchliwe, które w przeciągu niespełna 10 lat wydało do 30 tomów rozmaitych dzieł lekarskich, bądź oryginalnych bądź tłómaczonych. Ze śmiercią Girsztowta (1877 r.) wydawnictwo to upadło, i dopiéro obecni właściciele gazety wznowili je w 1883 r. w postaci luźnie wydawanych dzieł. W przeciągu ośmiu lat wydano tym sposobem dzieł siedm, z których dwa tłómaczone: „Farmakologia“ Rossbacha i Nothnagla i „Terapia ogólna“ Hermanna, reszta dzieł oryginalne. Dzieła te są następujące:

Dzieło „Choroby serca“ Widmana, prymaryusza szpitala powszechnego we Lwowie, jest rzeczywiście bardzo dobrym podręcznikiem specyalnym. Autor, doskonale obeznany z literaturą przedmiotu, daje nam w swym podręczniku klasyczny obraz chorób serca, głównie zastawkowych, i wad wrodzonych. I w tym zakresie nic téj książce zarzucić nie można. Wiele poglądów jest oryginalnych, w opisie autor zupełnie panuje nad przedmiotem. Jedynie tylko trochę za suchy, szablonowy wykład, oraz pominięcie chorób serca niezastawkowych można uważać za braki tego w każdym razie cennego dzieła.

„Psychiatrya“ Rothego, naczelnego lekarza szpitala Jana Bożego w Warszawie wypełniła istniejący w naszéj literaturze brak odpowiedniego podręcznika. Dzieło Pląskowskiego o psychiatryi, drukowane w „Bibliotece“ Girsztowta, nie zostało nawet do połowy doprowadzone. Podręcznik Rothego, jest to krótki, zwięzły rys psychiatryi, w granicach czysto praktycznych trzymany, bez zaciekania się w teoretyczną stronę przedmiotu i jako taki, wybornie odpowiada potrzebom lekarzy praktyków.

„Grzybki chorobotwórcze“ (Bakteryologia) Jakowskiego, jest właściwie odbitką całego szeregu artykułów pomieszczanych w „Gazecie lekarskiéj“ dla obznajmienia szerszego koła lekarzy praktyków z postępami bakteryologii. Autor, jakkolwiek nic nowego w tém dziele nie podaje, wywiązał się jednak ze swego zadania dydaktycznego znakomicie. Dzieło to jest już obecnie wyczerpane i należałoby koniecznie pomyśléć o drugiém poprawném wydaniu, gdzieby znalazły miejsce zdobycze nauki ostatnich pięciu lat.

„Nauka o chorobach narządu trawienia“ M. Reichmana, jest pierwszą częścią obszerniéj pomyślanego dzieła. Obejmuje ono tylko suchy opis objawów (t. z. semiotykę) i jako takie nie może obudzić ogólnego zainteresowania. Szkoda, że autor zamiast obszernego, w 3-ch częściach zamierzonego dzieła, nie wydał odrazu krótszego i treściwszego podręcznika. Dzieło w takich rozmiarach prawdopo-

dobnie końca się nie doczeka z prawdziwą szkodą dla nauki, gdyż autor znany jest ogólnie, jako znakomity specyalista.

Nakoniec w r. b. wydano dzieło Biegańskiego p. t. „Dyagnostyka różniczkowa chorób wewnętrznych“.

Oprócz tych pięciu dzieł „Gazeta lekarska“ wydała jeszcze księgę pamiątkową dla uczczenia 25-letniéj działalności prof. Hoyera, zawierającą prace *ad hoc* napisane przez jego b. uczniów a dzisiejszych współwłaścicieli „Gazety“.

Wogóle o wydawnictwach „Gazety“ należy nadmienić, że są one bardzo staranne, tak pod względem zewnętrznym, jako téż i językowym. Całe jednak wydawnictwo jest mało ruchliwe, przez ośm lat wydało zaledwie ośm tomów dzieł i to najczęściéj przygodnych, bez ściśle obmyślanego planu wydawniczego. Tymczasem redakcya „Gazety“, posiadając dość duże środki i powagę w sferach lekarskich, mogłaby podejmować się wydawnictw obszerniejszych, zbiorowych. Możnaby naprzykład zbiorowemi siłami ułożyć wyborne oryginalne podręczniki patologii i terapii szczegółowéj, chirurgii specyalnéj. Siły odpowiednie znalazłyby się łatwo, potrzeba je tylko połączyć, zachęcić. A téj właśnie inicyatywy brak w całém książkowém wydawnictwie „Gazety lekarskiéj“.

Kasa imienia Mianowskiego, mająca szersze koło działalności, wydaje w zakresie medycyny stosunkowo nie wiele dzieł. Dotychczas ogłoszono ich 7, z których 5 tłómaczonych a dwa oryginalne. Do tłómaczenia należą: drugi tom „Historyi medycyny“ Haesera, tłómaczony przez Łuczkiewicza (pierwszy wydany był jeszcze w „Bibliotece“ Girsztowta); „Chemia fizyologiczna“ Bungego w tłómaczeniu Mayzla; „Zarys nauki o publicznéj ochronie zdrowia“ Sandera, w tłómaczeniu Markiewicza; „Wykład anatomii patologicznéj“ Birch-Hirschfelda, w tłómaczeniu Mayzla (część I), nakoniec przekład dzieła Celsa „O lecznictwie“ przez Łuczkiewicza. Wszystkie te tłómaczenia, dokonane przez autorów poważnych, są pod każdym względem doskonałe. Inna rzecz wybór dzieł dla tłómaczeń. Niepojętą jest dla nas rzeczą, dlaczego wyszło w tłómaczeniu należące w zupełności już do historyi dzieło Celsa. Nasza literatura nie jest tak bogatą, żeby na podobne zbytki pozwalała. Nie posiadamy jeszcze wielu niezbędnych podręczników, że tu wspomnę tylko o anatomii patologicznéj. Zdawało się na razie, że dzieło Birch-Hirschfelda będzie w całości przyswojone naszéj literaturze, tymczasem wydano część pierwszą, resztę zaś dzieła zarzucono. Narażono więc

na znaczną stratę kasę Mianowskiego i to stratę zupełnie nieprodukcyjną, gdyż podobne ułamki dzieł, żadnéj wartości nie przedstawiają.

Z oryginalnych dzieł kassa Mianowskiego wydała pierwszą część podręcznika fizyologii Cybulskiego. Dzieło to jako podręcznik, o ile sądzić można z pierwszéj części, jest znakomite. Świetny i przystępny wykład, ładny, potoczysty styl obok wcale dobrych ilustracyi, zapowiadają niepospolite w naszéj literaturze dzieło. Szkoda tylko, że wychodzi ono częściami. Ileż to bardzo pięknych dzieł zaczęło wychodzić i wydawnictwa zaprzestano, nie doprowadziwszy nawet do połowy zamierzonego dzieła. Jako przykład wspomnę tutaj „Chirurgię“ Girsztowta, „Anatomię patologiczną“ Brodowskiego, „Chemię lekarską“ Fudakowskiego, „Psychiatryą“ Pląskowskiego i wiele, wiele innych dzieł i podręczników. Dlatego téż, przyznam się otwarcie, patrzę zawsze podejrzliwie na wszelkie wydawane pierwsze części, gdyż następne części rzadko już ukazują się na świat boży. Taka już dola naszych wydawnictw, przy znanéj z naszéj strony wytrwałości.

Drugie dzieło oryginalne w r. b. wydane „Objawy oczne przy zaburzeniach układu nerwowego“ Wassercuga, jest obszerną monografią, napisaną z dużą znajomością przedmiotu i literatury, chociaż zbyt specyalną i dlatego nie mogącą liczyć na większe rozpowszechnienie.

Spółka wydawnicza krakowska istnieje już blisko od lat dwudziestu. Do stowarzyszenia należą członkowie zwyczajni i członkowie założyciele, opłacający pewną roczną składkę — ze składek tych powstaje fundusz na wydawnictwa, które każdy członek stowarzyszenia otrzymuje jako premium bezpłatnie. Liczba członków wynosi dziś około 200, a obecny fundusz towarzystwa dochodzi do 6,000 złr. Prezesem stowarzyszenia jest od lat wielu prof. Korczyński. Pomimo dość znacznych funduszów, jakie posiada stowarzyszenie, pomimo dobréj woli i niezaprzeczonéj energii samego prezesa, działalność wydawnicza stowarzyszenia jest dość ograniczona. Wydano dotychczas tylko 14 rozmaitych, najczęściéj szczupłych rozmiarów dzieł. Z tych tylko trzy tłómaczenia, mianowicie Guttmanna „Podręcznik dyagnostyki lekarskiéj“; Steinera „Choroby dzieci“ i Dujardin-Beaumetza „Hygiena żywienia“; reszta zaś przypada na dzieła oryginalne. Z tych ostatnich zasługują głównie na uwagę następujące: „Podręcznik laryngoskopii“ prof. Jura-

sza z Heidelberga; „Syfilidologia“ Krówczyńskiego; „Nauka położnictwa“ Jordana z Krakowa; „Podręcznik do badania moczu“ Wiczkowskiego; „Hydroterapia“ Smoleńskiego; „Wykłady z zakresu chorób dróg moczowych“ Obalińskiego. Nie jest naszym zamiarem tutaj podawać krytyczne uwagi nad temi dziełami, musielibyśmy bowiem zapuszczać się w specyalne szczegóły, nie będące na miejscu w tym krótkim ogólnym rysie piśmiennictwa. Wspomnimy tylko, że podręczniki znanych specyalistów Jurasza i Krówczyńskiego, otrzymały nagrodę Chałubińskiego, jako pisane ze znakomitą znajomością rzeczy i pełne oryginalnych, głębokich myśli. „Podręcznik zaś hydroterapii“ Smoleńskiego, przedwcześnie zmarłego lekarza zakładowego w Jaworzu, doczekał się drugiego wydania, co w naszych stosunkach jest chyba najlepszą rękojmią wartości dzieła.

W bieżącym roku spółka krakowska przedsięwzięła wydawnictwo rozpraw z zakresu medycyny praktycznéj na wzór odczytów klinicznych warszawskich z tą różnicą, że rozprawy wychodzą nie peryodycznie. Dotychczas ogłoszono następujące: Lachowicza „O wynikach operacyjnego leczenia gruźlicy stawów“; Żuławskiego „O omamach“ (hallucynacyach), Szymkiewicza „O wyjmowaniu zębów“; Biegańskiego „O stwardnieniu tętnic“; Widmana „O zapaleniu płuc“. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że tego rodzaju wydawnictwo będzie miało powodzenie zapewnione. W każdym razie prędzéj znaleść można w naszych warunkach autorów krótkich, praktycznych rozpraw, aniżeli obszernych podręczników, obejmujących całość przedmiotu.

Pewna część dzieł lekarskich wyszła w ostatniém dziesięcioleciu i po za obrębem powyższych wydawniczych stowarzyszeń. Tutaj przedewszystkiém wspomnieć musimy o dziełach, wydanych nakładem prof. Baranowskiego mianowicie o obszernym podręczniku patologii i terapii szczegółowéj Jaccoud'a w 3-ch tomach, oraz o podręczniku patologii ogólnéj Cohnheima także w 3-ch tomach. Wydanie to jest znakomite pod każdym względem i wybór podręczników dobry i tłómaczenie dokonane przez najlepszych prawie lekarzy literatów (Dunin, Fabian, Markiewicz, i inni) i nakoniec zewnętrzna strona wydawnictwa jest bez zarzutu. Daléj z kolei rzeczy wspomnieć musimy o tłómaczeniu dzieła Bagińskiego p. t. „Wykład chorób dzieci“, dokonaném przez Kosmowskiego i jego nakładem wydaném, o podręczniku Flüggego hygieny wydanym nakładem redakcyi „Zdrowia“, o „Farmakologii“ Penzoldta (tłómaczenie Fabiana, nakład redakcyi „Medycyny“), o krótkim podręczniku patologii i terapii szczegółowéj

Kunzego, wydanym przez pewne kółko lekarzy praktyków. Z dzieł oryginalnych wyszły w tym czasie jeszcze: „Chirurgia szczegółowa“ Rydygiera t. I, dzieło wartościowe, dobrze napisane, z licznemi drzeworytami w tekście; „Słownik lekarzy polskich“ Kośmińskiego, obejmujący prawie całą historyę medycyny polskiéj i prawie całą polską bibliografię lekarską, nakoniec „Słownik balneologii krajowéj“ Zieleniewskiego, wydany w Krakowie nakładem autora, obejmujący szczegółowy opis wszystkich zakładów kąpielowych i zdrojowych polskich.





JOHN MORLEY.

Zbytecznem byłoby wykazywać już obecnie i udowadniać, że każda z wielkich zmian społecznych, ekonomicznych i politycznych, jakich teatrem był świat nowoczesny, poczęta została w umysłach pojedyńczych myślicieli, i że odkryte przez nich zasady przeszły jak po drucie elektrycznym do szerokich warstw towarzyskich, formułując się tam w zwięzłych maksymach i ucieleśniając ostatecznie w trwałych reformach. Nie ma już teraz historyka, któryby nie poszukiwał jądra przewrotów rewolucyjnych, albo nawet reformatorskiego ruchu u szeregu pisarzy, często znaczną przestrzenią czasu i miejsca przedzielonych. Trudniejszém, oczywiście, staje tego rodzaju poszukiwanie, gdy jego przedmiotem nie jest oddalony, niejako zamknięty już peryod historycznego rozwoju, lecz współczesny o wirującym i niewyklarowanym jeszcze prądzie. Wśród mnóstwa współdziałających czynników, wśród wrzawy różnodźwięcznych głosów, nie łatwo jest zrazu orzec, który myśliciel, który pisarz stoi na czele społecznego ruchu i czyj sztandar z odległych posterunków najjawniéj do siebie walczących nawołuje. Ale i tutaj nawet wystarcza objąć syntetycznym poglądem przebieżonych lat kilkanaście, aby wyróżnić przywódzców. Najhałaśliwsze onegdajsze reputacye przebrzmiewają często bez echa, a pierwszorzędni natomiast działacze, w początkach niepostrzeżeni, widnieją na stanowisku naczelném, uznani będąc za mistrzów.

Zastosowanie tego spostrzeżenia daje nam Anglia.

Każdy ze współczesnym ruchem społecznym obznajmiony wié, że w łonie narodu angielskiego odbywa się w kilku ostatnich dziesiątkach lat fermentacya wyjątkowéj doniosłości. Społeczeństwo,

wspierające się dotychczas na przywilejach mniejszości oligarchicznéj, na ustroju arystokratycznym, na monopolu kościoła państwowego i t. d., zmienia się, przeistacza, rozkłada pod coraz silniejszym naciskiem wyemancypowanéj już w znacznéj części masy demokratycznéj. Każdy rok ubiegający, podmywa głębiéj fundamenty dawnego gmachu, a jednocześnie ruchliwa rzesza wznosi mury nowego. Bez najmniejszego rozlewu krwi i konwulsyi rewolucyjnych, Wielka Brytania w początkach XX stulecia przeprowadzi u siebie radykalne reformy, które, przedsięwzięte w sąsiedniéj Francyi o sto lat pierwéj, dotąd nie potrafiły jeszcze wcielić się całkowicie w jéj organizm. Na wielu punktach naraz podjęty ruch emancypacyjny angielski drga potężném życiem wewnętrzném i zasługuje na pilne badania. Jeżeli dobrze są znane osobistości mężów stanu, polityków, agitatorów, którzy rozdają hasła wojenne i ścierają się jedni z drugimi w codziennych energicznych zapasach, to wątpimy, ażeby oceniono już, jak przystoi, rolę myślicieli, filozofów, ekonomistów, moralistów, estetyków i t. d., którzy w łonie społeczeństwa wzniecili to ognisko reformatorskie i pchnęli naród na nowe tory. Voltaire, Rousseau i całe grono encyklopedystów francuskich stali się istotnymi sprawcami przewrotu społecznego we Francyi w XVIII wieku. Komu taka sama rola przypada w Anglii? oto pytanie, na które odpowiedziéćby można jedynie obszerném dziełem historyczno-literackiém. Nie mamy najmniejszego zamiaru porywać się na tak potężne zadanie: zakreśliliśmy sobie daleko skromniejsze, a mianowicie przedstawić czytelnikom naszym w szeregu odrębnych studyów intelektualną sylwetkę pisarzy, najlepiéj charakteryzujących w sobie Anglię, przejściową, dzisiejszą i będących podścieliskiem jutrzejszéj.

Powszechnie uznaném zostało, że trzech współczesnych myślicieli angielskich wywarło najgłębszy wpływ na umysłowy nastrój narodu. Mistrzami tymi byli Carlyle, John Stuart Mill i Ruskin. Dwaj pierwsi umarli, trzeci żyje wprawdzie jeszcze, ale ponieważ działalność jego ześrodkowała się w dziedzinie etyczno-estetycznéj, nie mógł on wywrzéć takiego wpływu na całokształt rozwoju narodowego, jak dwaj jego rówieśnicy. Pomiędzy nimi zaś uderza natychmiast różnica stanowiska. Carlyle, geniusz samorodny i oryginalny, umarł bezpotomnie: nikt nie podjął dotąd i nie podejmie tak prędko jego umysłowéj spuścizny. Jego teorye i zasady będą długo jeszcze drażniły i podbudzały wyrafinowanych czytelników i będą cytowane w koteryjkach i po kapliczkach; ale szkoły nie wytworzył i wytworzyć nie mógł. Reakcyjne jego paradoksy strzelają w górę, jak race fajerwerkowe, ale nic po nich nie pozostaje prócz dymu i swędu. Bez prądu

humanitarnego, z pogardą w sercu dla masy skazanéj na bierne posłuszeństwo względem żandarma, nie można rościć sobie pretensyi do trwałego burmistrzowania wśród społeczeństwa rozgorączkowanego żądzą postępową. Wpływ Carlyle'a był potężny, ale przedewszystkiém dlatego, że każde jego dzieło wywoływało również potężne protestacye. Inaczéj John Stuart Mill. Okrzyczano go za mistrza i za wodza nie dlatego tylko, że się stał rzecznikiem interesów całościowych przeciwko cząstkowym, równości przeciwko przywilejowi, ale dlatego przedewszystkiém, że uzbrojony w ścisły a poważny rynsztunek nauki, podniósł do wysokości i do godności niezłomnych zasad zwyczajowe, utylitarne poglądy masy społecznéj. Nikt nie zerwał radykalniéj z dotychczasową metodą angielską i nie przygotował drogi z jednéj strony filozoficznemu racyonalizmowi, a socyalizmowi państwowemu z drugiéj. Prawdziwy to słup drogowy w intelektualnym rozwoju współczesnéj Anglii. Nie ma téż w pośród całego postępowego obozu piśmienniczego ani jednego filozofa, ekonomisty i polityka, któryby daléj lub bliżéj, mniéj lub więcéj bezpośrednio nie był odeń zawisły i z nim spowinowacony. Dość będzie dla obznajmionych z poważnem piśmiennictwem angielskiém dzisiejszém wymienić imiona Samuela Laing, Stefana Leslie, Jamesa Robertson, Cottera Morison, Fryderyka Harrison i t. d., ażeby się nastrój i kierunek téj nowéj szkoły stał natychmiast widocznym.

Ale najprzedniejszy z duchowych krewniaków J. St. Milla, — a najprzedniejszy dlatego właśnie, że nietylko jest całkiem odeń niezależny, że się inną posługuje metodą, ale że na wielu punktach pierwszéj wagi, jak np. socyalizmu państwowego, zostaje z nim wprost w sprzeczności, jest John Morley. Mamy tu do czynienia z największą piśmienniczą znakomitością angielską w dziedzinie publicystyki. Jako historyk wielkich umysłowych prądów na obczyźnie, jako autor kilku gruntownych monografii mężów stanu krajowych, jako essayista w niczém nieustępujący słynnym swym na tém polu poprzednikom, jako filozof samodzielny i odważny, jako krytyk literacki, obracający się swobodnie po całéj arenie piśmienniczéj starożytnego i nowego świata, zwróciłby już musiał uwagę powszechną John Morley, nawet choćbyśmy nie wiedzieli, że jest gwiazdą uniwersyteckiéj kultury angielskiéj, że jest jednym z pierwszych mówców na trybunie politycznéj, tak samo jak najpoprawniejszym z pisarzy, i że nakoniec jest mężem stanu, który już odegrał wpływową rolę i który niebawem odegra donioślejszą jeszcze. Mamy tedy wystarczające powody do zatrzymania się przed tak interesującą osobistością.

John Morley ma zaledwie 54 lat, a zatém znajduje się w pełni

męzkiego życia. Chociaż polityczny zawód i rozliczne jego obowiązki nie pozwolą mu w przyszłości rozwijać takiéj produkcyjnéj działalności na polu piśmiennictwa, jak to uczynił był dotychczas, to nie ma powodu obawiać się, ażeby pióro jego skruszoném zostało. Ale nawet gdyby to nastąpić miało, już od lat trzydziestu ogłoszone przezeń prace i przeprowadzone piśmiennicze przedsięwzięcia pozwoliłyby ocenić i jego osobiste znaczenie jako pisarza i wpływ, jaki wywarł na umysłowy ruch swego społeczeństwa. Nie można otworzyć żadnego słownika biograficznego, albo literackiéj oceny, ażeby się nie spotkać z przyklejonym do niego epitetem „radykalnego filozofa“, albo „filozoficznego radykalisty“. Gdy czytelnik przebiegnie z nami kilkanaście tomów jego dzieł, to znajdzie prawdopodobnie, że ciasna ta formułka nie odpowiada w zupełności jego charakterystyce.

John Morley urodził się w 1838 r. w Blackbourne w hrabstwie Lincoln. Ojciec jego był zamożnym i posiadającym rozległą praktykę adwokatem. Wychowanie pobierał najprzód we wzorowéj szkole w Cheltenham, a następnie w uniwersytecie oksfordzkim, gdzie otrzymał w r. 1859 i 1873 godności bakałarza i magistra sztuk, a w roku 1879-ym w Glasgowie—doktora literatury. Rozpoczął zawód adwokacki w Londynie w r. 1873-im, ale wkrótce zaniechał go całkowicie przy nawale zajęć literackich. Pierwszą ogłoszoną przezeń książką była doskonała biografia, a raczéj studyum historyczne nad Edmundem Burke. Ta wybitna postać XVIII-go wieku, natchnęła go widocznie zamiarem wystudyowania wielkich pisarzy francuskich epoki rewolucyjnéj, i z kolei ogłasza jedne tomy po drugich, poświęcone Voltaire'owi, J. J. Rousseau, Diderot'owi i encyklopedystom. Ogromne wrażenie, jakie te dzieła wywarły, i liczne edycye, w jakich się pojawiły, ustaliły jego stanowisko w piśmiennnictwie. W r. 1867-ym zaczyna wydawać wielki przegląd miesięczny *Fortnightly Review*, stworzony przez Geor. Henr. Lewis'a. Stał się on natychmiast organem niezależnéj myśli, a obowiązkowy podpis każdego drukowanego w tym przeglądzie artykułu, wywarł rodzaj literackiéj rewolucyi, zrywając z bezimiennością, tą plagą publicystyki angielskiéj. Przez lat piętnaście był on naczelnym redaktorem tego pisma, oraz przez trzy lata dziennika *Pall Mall Gazette*, któremu nadał owo piętno literackie, jakiego nie udało się zeń zetrzeć żadnemu z trzech jego następców. W r. 1885-ym zaczął wydawać inny miesięcznik *Macmillan's Magazine* i opuścił go, obejmując tekę ministeryalną w gabinecie Gladstone'a. Ale na wydawnictwach wyżéj wymienionych nie ograniczała się kierownicza jego działalność. Przedsięwziął dwa zadania obszernego zakresu. Pierwszém jest „Dwunastu mężów stanu

angielskich.“ Są to biografie polityczne, każda nakreślona przez jakiego z pierwszorzędnych pisarzy współczesnych. Sam John Morley ogłosił dotąd jeden tom, którego bohaterem jest „Walpole“ a zapowiedziane są dwa drugie „Chatham“ i „Pitt.“ Szerszych zakresów jest druga serya wydawana przezeń i nosząca zbiorowy tytuł „Pisarze Angielscy“ (*English Men of Letters*). Wyżej wzmiankowana monografia o Edm. Burke weszła do tego wydawnictwa, uważanego za najdoskonalszy zbiór studyów literackich. Nadzór, dyrekcya, i kierunek są do zawdzięczenia Johnowi Morley, którego benedyktyńska pracowitość, rozległa erudycya i umysł syntetyczny uzdolniają do takowych. Dalecy jednak jesteśmy jeszcze od wyczerpania spisu jego dzieł. Nie wymieniliśmy ani biografii Richarda Cobdena w dwóch sążnistych tomach, ani filozoficznego dzieła *On Compromise,* które jest jednym z najgłośniejszych jego tytułów do roli umysłowego hegemona, ani czterech czy pięciu tomów, obejmujących studya literackie i krytyczne, pierwiastkowo po różnych rozproszone pismach. Są także akademickie jego przemówienia i orędzia uważane za arcydzieła, a niebawem mają się ukazać polityczne jego mowy.

Już z samego tego katalogowego wyliczenia jego dzieł, czytelnik utworzyć sobie może przybliżone wyobrażenie o kierunku i toku myśli, o zagadnieniach, które przedewszystkiém go zaprzątają. Jest on antypodą *eines Pantoffelgelehrten*, ugrzęzłego w abstrakcyjnéj wiedzy i nie troszczącego się o zastosowalność jéj w życiu. Przeciwnie, John Morley rzucił się w jego odmęt z nadzwyczajnym i nigdy nie stygnącym ferworem. Bada przeszłość, bada ją skwapliwie, ale dla tego, że widzi w niéj mistrzynię teraźniejszości; zagłębia się w precedencye historyczne u postronnych narodów dla tego, ażeby wyciągnąć z nich wskazówkę i naukę dla swojego. Nie ma żadnéj kwestyi stojącéj na porządku dziennym u jego społeczeństwa, któréjby nie postawił pod promieniem swéj sumiennéj dyagnozy, któréjby nie rozpatrywał ze stanowiska racyonalnego i w zastosowaniu do potrzeb i aspiracyi rozbudzonéj do działania demokracyi. Jest to filozof, jest to umysł badawczy, naturalnie skłonny do poszukiwania pierwiastków i zasad, ale nie jest bynajmniéj metafizykiem podobającym sobie w formułkach i biorącym widziadła, w swéj jaźni się przesuwające, za siły rzeczywiste. Widoczném było z samego początku jego działalności piśmienniczéj, że nie zamierzał być samotnym myślicielem, kąpiącym swe czoło we mgle pozaświatowéj, ale że mu szło o pozostawanie w ścisłym, nieustannym związku z masą społeczną, o podniesienie umysłowego poziomu jednych, o wyzwolenie z pętów dogmatyzmu drugich. Praca, działająca szybciéj i dosadniéj na opinię, musiała go do siebie

przyciągnąć jako najskuteczniejsza dźwignia umysłowéj emancypacyi. Ale i to mu nie wystarczało; niebawem i zapragnął nie tylko walczyć za idee postępowe w przeglądach i dziennikach, ale pracować nad ich urzeczywistnieniem jako prawodawca. Postawił swą kandydaturę do parlamentu najprzód w r. 1869, potém w 1880. Po tych dwóch niefortunnych próbach udało mu się wejść do izby gmin w r. 1883 jako przedstawicielowi Newcastle, jednego z głośnych ognisk produkcyi węgla, okręgu o jasno wyrażonych tendencyach demokratycznych i aż do chwili obecnéj jest już w trzecim z rzędu parlamencie jego przedstawicielem. Naczelne stanowisko literackie, jakie John Morley zajmował już oddawna, wywalczyło mu powagę w kołach inteligencyi krajowéj, ale w parlamencie nie tylko nie było dlań ułatwieniem, ale przeciwnie wywołało uprzedzenia. Nigdzie więcéj, jak w Anglii, tak zwani ludzie praktyczni nie obawiają się teoretyków i ideologów; opinie wolnomyślne na polu religijném wystarczały zresztą już same przez się, aby patrzano nań z niechęcią albo przynajmniéj z niedowierzaniem. Lecz po upływie krótkiego czasu nawet *squire*'owie o zagwożdżonych mózgownicach i pogardliwie z wysokości swoich worów złota spoglądający na resztę świata kupcy i przemysłowcy przeświadczyli się, że umysł Johna Morley'a, gruntownie ze sprawami publicznemi obznajmiony, jest cennym dla parlamentu nabytkiem; nie drwiono *à priori* z filozofa, ale słuchano pięknych formą a nie mniéj przeto poważnych osnową mów jego z coraz głębszą uwagą. W krótkim bardzo przeciągu czasu stał się potęgą polityczną. Po słynnym zjeździe w Leeds w r. 1883, na którym prezydował, stanął na czele agitacyi za rozszerzeniem praw politycznych; istotnie Gladstone po objęciu ponownie władzy przypuścił blisko dwa miliony obywateli do udziału w sprawach publicznych. Wpływ Johna Marley'a był tak niezaprzeczony a stanowisko jego wśród przywódzców stronnictwa postępowego tak wybitne, że nie wywołała najmniejszéj protestacyi ani nawet zdziwienia wiadomość, iż Gladstone, formując ministeryum, które postawiło sobie za pierwszorzędne zadanie usamowolnienie Irlandyi, powołał na członka gabinetu radykalnego posła z Newcastle i że jemu właśnie powierzył wydział najtrudniejszy, bo właśnie irlandzki. Jest to historya dnia wczorajszego a zatém nie potrzebująca przypominania, jak John Morley za tę sprawę doniosłą walczył, i jak w jéj obronie legł u boku swego przywódcy. W ciągu ostatnich sześciu lat stał on w parlamencie w pierwszym szeregu opozycyi, niestrudzony w obronie zasad postępowych. Pozycya jego wzmocniła się jeszcze i kraj cały spogląda nań jako na wodza stronnictwa liberalnego, gdy jego nestor, sędziwy Gladstone, z pola ustąpi. Przewidywania te nie

straszą już nikogo. Anglia, która niedawno temu powierzyła była ster spraw publicznych romansopisarzowi o awanturniczéj wyobraźni— Beniaminowi Disraeli *alias* lordowi Beaconsfield, z daleko większém bezpieczeństwem złożyć może takowy w ręce poważnego myśliciela, którego radykalne tendencye nie są oszpecone jadem jakobińskiego fanatyzmu. Spogląda on wprawdzie na rozwój społeczny z wyżyny wiedzy, wyznaje otwarcie i stanowczo swe sympatye dla demokratycznéj idei i masy, lecz nie zrywa gwałtownie z przeszłością i stara się pomiędzy nią a organizacyą państwową dalszą stworzyć stadya przechodowe. Będzie to rzeczą nową widzieć Anglię rządzoną nie przez zwykłego empiryka, ale przez męża stanu, filozofa, wdrożonego i do poszukiwania pierwszych zasad i do posługiwania się naukową metodą: nie ulękną się jednak téj nowości ci przynajmniéj, którzy wiedzą, że zadanie przyszłości znacznie w ten sposób uproszczoném zostanie.

Gdy się, jak John Morley, zajmuje jednocześnie górujące stanowisko w dwóch, zazwyczaj odrębnych dziedzinach, literatury i polityki, to się często zdarza napotkać na swéj drodze niebezpieczną koalicyę przeciwników nadbiegających z obu obozów. Szczęśliwie jednak dla siebie, on jéj dotąd uniknął. Świat literacki półgębkiem wprawdzie wyraża żal, że polityka odrywa od pracy piśmienniczéj jednego z jéj dostojników, ale w gruncie stoją za nim czując, że jego blask i ich opromienia; świat polityczny, bardziéj zażarty, oddawna zdał sobie sprawę z tego, że nie ma kwalifikacyi do napastowania go jako myśliciela i jako pisarza. Ponieważ jednak w energicznych zapasach parlamentarnych i w będącéj jéj wizerunkiem polemice dziennikarskiéj, stronnictwo zachowawcze i kościelne codzień ścierać się z nim jest zmuszone, ograniczać się musi do wyrzucania mu niemieckiego pedantyzmu i francuskiego absolutyzmu w ideach. Chcąc go boleśnie ugodzić, powiedział o nim niedawno jeden z głównych jego politycznych przeciwników, że ten pisarz kunsztowny, chluba angielskiéj literatury pisze wprawdzie po angielsku wzorowo, ale po angielsku nie myśli; że jest wśród organizmu narodowego czynnikiem egzotycznym. Tyle słuszności w tym zarzucie, że istotnie w Johnie Morley jest coś odmiennego, że dźwięczy w nim nuta wcale, albo mało dotąd znana — szeroki humanizm, — lecz nie wyrzucać mu ale winszować takiéj wyłączności wypada. Wystarczy zresztą przyjrzéć się bliżéj celniejszym jego utworom, aby całkowite stanowisko jego piśmiennicze zrozumiéć i określić.

Obejmując jedném spojrzeniem badania, jakie John Morley poświęcił wielkim francuskim myślicielom XVIII wieku, owym ducho-

wym ojcom radykalnego umysłowego i społecznego przewrotu, który schyłek tego wieku zaznaczył, czuje się rodzaj zdumienia nad dojrzałością myśli, którą już młodzieńcem okazał i jednolitością planu, któremu przez lat kilkanaście wiernym pozostał. Nie spotyka się tu nigdzie z czczemi ogólnikami i pompatyczną frazeologią, od których publicystom francuskim wstrzymać się w tych kwestyach niepodobna; są za to spostrzeżenia głęboko oryginalne, rzucone z niechcenia niejako i nie rozprowadzone należycie. Pisząc dla kwiatu inteligencyi, nie kładzie on nigdzie zbytecznego nacisku na swe wywody i ta okoliczność właśnie potęguje jeszcze ich wartość. Angielska forma, w jakie są one ulane, dodaje im czegoś niespodziewanego, niezwykłego i jest dla nas oddawna przedmiotem smutnego zdziwienia, że studya Johna Morley nad piśmienniczemi prolegomenami rewolucyi XVIII wieku, nie używają po za obrębem jego szczepu rozpowszechnienia, na jakie ze wszech miar zasługują.

Samo się przez się rozumie, że rewolucya była w jego oczach nową epoką Odrodzenia; ale podnosi on w niéj nie tylko ową krytyczną, negującą, burzącą stronę, nad którą tak szeroko się rozwodzono, lecz i stronę dodatnią, polegającą na jednoczesném wystawieniu ideału, ideału pośpiesznie nakreślonego, niedokładnego, na wielu punktach błędnego, ale ideału wszelako, któremu dopiéro następne wieki praktyczną nadadzą formę. Każdy z filozofów ówczesnych znosił cegiełkę swoją do téj wspólnéj budowli. Jak inni pisarze i John Morley zaczął od Voltaire'a. Stało się chwilowo rodzajem mody we Francyi napastować Voltaire'a i najdotkliwsze ciosy wymierzane są nań właśnie z obozu postępowego, który mu sam swe istnienie zawdzięcza. Nie ma ani śladu tego rodzaju tendencyi u angielskiego wolno-myśliciela. Zdaje sobie on sprawę dokładnie dla czego Voltaire ześrodkował swą działalność przeciwko kościołowi i dogmatycznéj wierze. Duchowe władze wśród cywilizowanego świata zostały wyzwolone naprzód przez chrystyanizm, potem przez protestantyzm, ale znalazły w nich jednocześnie szranki, których im przekroczyć raz na zawsze nie było dozwoloném. Voltaire stał się organem i wyrazem protestacyi rozumu, który uczuł się niezależną potęgą. Dopóki ludzkość gięła się kornie przed wszechstwórcą, nie potrzebowała troszczyć się o uznanie prawa bytu wyswobodzonéj myśli. Tak samo prześladowania religijne były usprawiedliwione z dawniejszego punktu widzenia, jak nie są zrozumiałe z nowoczesnego. Od chwili jak ludzkość przyszła do samowiedzy swego bytu i rozwoju, zmienił się raz na zawsze stosunek jéj do pierwiastku nadprzyrodzonego, i jedna zyskała to co utracił drugi. Szarpanie się, targanie konwulsyjne, bluźnierstwa Voltaire'a, które

w nas obecnie taki niesmak budzą, były naturalną reakcyą przeciwko religijno-kościelnemu absolutyzmowi, o którego wyparcie mu chodziło. Wyrzuca mu Morley to upojenie się siłą rozumu niezależnego, który na każdym kroku o nierozwikłane trudności się potyka, ale przyznaje że w epoce, w któréj żył i działał, o inną metodę krytyczną nie było łatwo. Jako pisarzowi oddaje mu hołd należny i podziwia jego prostotę, zwięzłość, instynktowe nieledwie użycie jedynie właściwego wyrażenia. Pobytowi Voltaire'a w Anglii przypisuje naturalnie wielkie znaczenie: przybywszy z kraju, gdzie go bili lokaje szlachetki, a znalazłszy się w ojczyźnie Newtona i Locka, gdzie wiedza była już siłą społeczną, zrozumiał natychmiast, że się tu wyższa forma społecznego bytu urzeczywistniła. Zawód pisarski przestał być dlań sztuką piękną a stał się dźwignią duchowego postępu.

Ten reformatorski nastrój, który u Voltaire'a godził się z arystokratycznemi zwyczajami i tendencyami, w innéj skrystalizował się formie u Jana Jakóba Rousseau, i nie ma wątpienia, że poszedł on już o wiele daléj. Wystarczy zdać sobie sprawę z dążenia, z celu jaki miał przed sobą świat ucywilizowany przed jego działalnością i po jéj dokonaniu, ażeby uznać od razu, że zasadnicze zapatrywania uległy radykalnéj zmianie. „Wiara w potęgę boską, pobożne posłuszeństwo względem przypuszczalnéj jéj woli, nadzieja w pozagrobową, duchową nagrodę, oto były — jak mówi J. Morley, — źródła dawniejszego ruchu. Nowy natomiast płynął z miłości do naszych bliźnich, z wiary niezłomnéj w naturę człowieczą, z nieustannego poszukiwania sprawiedliwości, ulepszeń i powszechnéj harmonii, zostawiając na odległym planie możliwość pozagrobowych nagród." Z epoki teologicznéj reformatorowie rewolucyjni wprowadzili nas w socyalną. Nawet gdy błądzili w swéj idealnéj budowie, mieli sympatyę świata współczesnego po swéj stronie i mieć ją musieli. Osobiście nie ma człowieka zasługującego na większy wstręt jak J. J. Rousseau i szczegóły biograficzne, dokładnie przez Morley'a podane, wstręt ten spotęgować mogą do pogardy. A mimo tego był on czczony, ubóstwiany za życia i do dziś dnia zachował fanatycznych zwolenników. Kluczem do tego o nim sądu był ten wysoko rozwinięty humanizm, którego nawet wśród ekscentrycznych wybryków jego pióra i nagromadzonych paradoksów, nie było podobném ani pominąć, ani lekceważyć. Morley nie poprzestaje na rozbiorze abstrakcyjnych teoryi Jana-Jakóba, wykazuje oprócz tego jakiemi drogami zdążał on do praktycznego urzeczywistnienia wymarzonego przez się społecznego ideału. Konstytucyjna ustawa Stanów Zjednoczonych, cała z apryorycznych pojęć płynąca organizacya Francyi w peryodzie rewolucyjnym, i pedagogiczne kształcenie

następnych pokoleń na zasadach „Emila," nie pozwalają traktować Jana-Jakóba po prostu jako marzyciela i teoretyka. W bardzo szczegółowym rozbiorze *Contrat social* Morley, nie tylko wykazuje konieczność błędów, do jakich doprowadzonym być musiał jego autor przez brak całkowity metody historycznéj, ale rozszerza się nad wykolejeniem i sfałszowaniem przezeń zasad abstrakcyjnych pożyczonych u Locke'a i Hobbes'a. Dla tych, co głównie na niemieckiéj literaturze się opierają w tych poglądach, jesteśmy pewni, że rozumowania myśliciela angielskiego nie jedną nową dostarczą nutę. Najlepszą jest część studyum poświęcona „Emilowi." Na każdym kroku widać tu umysł, który się nad kwestyami oświaty zastanawiał i całą ich wartość rozumie. Dla nas, w sto lat po tym zarysie doskonałego systematu pedagogicznego żyjącym, stracił on już wiele ze swéj oryginalności, gdyż wiele z zasad uważanych pierwiastkowo za paradoksy, zastosowane zostało w życiu codzienném. Jest zasługą Johna Morley udowodnienie nielogiczności ojca socyalizmu dzisiejszego, którego systemat wychowawczy jest doskonałą apoteozą indywidualizmu. Rzecz naturalna, że pisarz angielski, wychowaniec Johna Stuarta Milla, a zatém przyznający kobiécie równouprawnienie społeczne, musi bezwarunkowo potępić idee Jana Jakóba, sprowadzające się do wschodniego ideału i niepozwalające jéj nigdy rozwinąć swéj samodzielności. Pobyt Jana Jakóba w Anglii traktuje pobieżnie i przez godną uznania pobłażliwość, nie rozszerza się nad nim. Widocznem jest, że Rousseau nie był wtedy przy zdrowych zmysłach. Jest to rzeczą ciekawą, że dwaj stworzyciele nowéj Francyi, Voltaire i Rousseau, nie wynieśli ze swego pobytu w Anglii żadnych korzyści praktycznych dla swojéj filozofii państwowéj. Voltaire oddał hołd wyemancypowaniu wiedzy, ale owe *Lettres sur l'Angleterre*, które parlament paryski w 1734 r. skazał na spalenie przez kata, nie dotykają prawie swobód politycznych. Rousseau, który kreślił programaty konstytucyi dla powstających i dla upadających narodów, nie miał zmysłów dla najoryginalniejszéj, dla najbardziéj typowéj; nie istniała ona dla niego! I są tacy co się dziwią, że w zgromadzeniach, komitetach i na wiecach francuskich w epoce rewolucyjnéj abstrakcyjne zasady nie zaś przykłady u ościennych narodów czerpane, rej wodziły. Monteskiusz był we Francyi wyjątkiem, nawet gdybyśmy go chcieli uważać za przedstawiciela metody historycznéj, a wiadomo że tak nie jest.

Dwa następne tomy dopełniające studyów nad duchowym przełomem Francyi, poświęcone są Diderot'owi i „Encyklopedyi," temu pomnikowi wzniesionemu dla wiedzy. Obecnie antykwaryusze tylko szperać mogą w tém repertoryum, które dla naszego pokolenia nie po-

siada już bezpośredniéj doniosłości. Ale gdy się zastanowimy nad stanem wiedzy w połowie XVIII wieku, nad walką, jaką oświata prowadzić musiała na wszystkich naraz punktach z kościołem, to trzeba uznać śmiałość tego olbrzymiego przedsięwzięcia, w którém orędownicy nowego porządku rzeczy zaczerpnąwszy światła aż u Rogera Bacona, uczynili rodzaj inwentarza umysłowego ludzkości. Autor opowiada szczegółowo walkę, na jaką skazaną była encyklopedya, na prześladowania, przez jakie przechodziła. Chociaż Grimm, Helvetius, Holbach, d'Alembert, Raynal i inni encyklopedyści uwzględnieni zostali przez autora i odgrywają swe role w tym stuaktowym dramacie, głównie jednak ześrodkował autor swe światło na Diderocie. Tylko geniusz tak wielostronny, o tak rozstrzelonych zdolnościach i tendencyach, mógłby dzieło tego rodzaju przedsięwziąć, a tylko człowiek tak benedyktyńskiéj pracy doprowadzić je do skutku. Niektórzy uskarzają się, że Diderot, uznany powszechnie przez wszystkich, co się do niego zbliżyć tylko mogli, za najwyższą inteligencyę i za najoryginalniejszą, nie zostawił żadnego dzieła systematycznego, mogącego świadczyć przed potomnością o jego istotnéj wartości, a tylko szkice, krytyki, pamflety, rozprawy, feljetony, oraz sztuki teatralne i powieści, do których on sam większego znaczenia przywiązywać nie mógł. Widocznie skarga ta nie uwzględnia encyklopedyi; *excusez du peu!* Trzydzieści cztery tomy *in folio*, które albo całkowicie, albo pośrednio przynajmniéj napisał, będą sprawy jego broniły przed potomnością. Cała synteza filozoficznego ruchu XVIII wieku, cały pozytywny rezultat ruchu umysłowego, który się wówczas dokonał i odniósł ostatecznie zwycięstwo nad zasadami dogmatycznemi, zawarte są w tém dziele, z którém imię Diderot'a związane zostanie raz na zawsze. Ale John Morley nie utopił w niém jego indywidualności, lecz przeciwnie, scharakteryzował dokładnie Diderot'a, tryskającego błyskawicznem światłem, na wskroś przesiąkniętego szlachetnym optymizmem, wiarą w nieograniczony, niepowstrzymany postęp ludzkości. Nikt skuteczniéj od niego nie przeciwdziałał pesymizmowi Jana Jakóba. Protestował on nietylko przeciwko teoryi kościoła, utrzymującego, że człowiek jest upadłym w grzechu i że należy go przedewszystkiém zbawić i odkupić, ale i przeciwko stanowi natury i rzekoméj jego wyższości nad epokami cywilizacyi. Złe istniejące wśród społeczeństwa można będzie usunąć i zmniejszyć przez oświatę i reformy: oto zasada, któréj słuszność za Diderot'em stwierdził cały świat następny.

Ciągłe zmienne, kameleonowe przebłyski Diderot'a, delikatnie zbadane zostały przez Johna Morley. Widzi on wprawdzie w nim

daleko więcéj, aniżeli dramatycznego i artystycznego felietonistę i krytyka, ale i tym stronom jego działalności, *par excellence* francuskim, oddaje hołd prawdziwy. A jest pisarz angielski zupełnie do wyrokowania w tym dziale uprawniony, bo o czém zapominać nie należy, nie jest on sztywnym, pedantycznym, ograniczonym w swéj specyalności uczonym, ale umysłem giętkim starającym się wniknąć w naturę każdego objawu cywilizacyjnego. Jeżeli nie napisał on, jak Taine, obok dzieł filozoficznych, historycznych i estestycznych, „Graind'orge'a“ i innych tego rodzaju lżejszéj rzeczy wybryków, to jest do nich zdolny, a jego literackie studya, o których pomówimy jeszcze niżéj, wskazują pomiędzy tymi dwoma myślicielami jawne powinowactwo duchowe.

Prace Johna Morley nad umysłowymi twórcami rewolucyi francuskiéj, tak samo, jak studya nad Robespierrem w ujemnym, a nad Turgot'em w dodatnim téj epoki kierunku, stały się w czasie ich ogłoszenia kamieniem węgielnym jego sławy literackiéj. Ale z biegiem lat ci, co dzieł jego nie czytali, a znali je prawdopodobnie tylko ze spisu rozdziałów, pomieszali autora z aktorami, których grę opisywał, i przedstawiać zaczęto Morley'a niby Jakobina, jako angielskiego Saint-Just'a, a od chwili, gdy się oświadczył stanowczo za radykalnemi reformami dla Irlandyi, jego polityczni antagoniści nie przestają mówić o nim, jak o pisarzu skażonym, zarażonym doktrynami demagogów francuskich. Zarzuty te powtarzane były tak uporczywie, że zabrakło nakoniec Johnowi Morley cierpliwości i w r. 1888 w rozdziale duchowéj swéj autobiografii, noszącéj tytuł *A few words on French models*, dał tym niepowołanym krytykom zasłużoną odprawę. Udowodnił ich powierzchowną, bezzasadną paplaninę, powołał się na różnicę zasadniczą jego polityki, dążącéj do najszerszéj decentralizacyi i samorządu, a duchem jakobińskim, rozkoszującym się w centralizacyi i absolutyzmie; przypomniał, że pierwszy powód do przedsięwzięcia tych prac, dały mu rozpowszechnione wówczas poglądy Carlyle'a na epokę rewolucyjną francuską, któremi posługiwała się reakcyjna koterya w Anglii, a przeciwko którym nie wystarczało gołosłownie protestować, ale należało obalić je raz na zawsze gruntowną krytyką. Do pracy téj zabrał się téż i dokonał jéj. Nie za stronnika francuskich polityków XVIII wieku i nie za adepta ich uważa się John Morley; za swych mistrzów podaje sam natomiast Burka, Austina, Mill'a, a pomiędzy Francuzami—Turgot'a i Comte'a. Zdawało się nam właściwém nad tą genezę duchową się zatrzymać, zanim niektóre z dalszych jego prac przejrzéć nam przyjdzie: umysłowe

tak samo, jak polityczne stanowisko pisarza wyjaśnione jest ostatecznie.

Sam Morley przyznał, że jednym z jego mistrzów był Edmund Burke. Studyował jego zawód, jego życie, jego wymowę do tego stopnia, że często jego własny styl i rzeczy porównywane były do stylu i wymowy tego płomiennego, genialnego Irlandczyka, który się stał książęciem angielskiéj mównicy. Poświęcił mu historyczne studyum, które uważane jest za jedno z najcelniejszych arcydzieł współczesnéj literatury angielskiéj. Powiada on gdzieś, że wzorowa biografia jest zapewne najwyższą formą prozy. W napisanych przez niego biografiach Walpola, Cobdena, a szczególniéj Burka, stworzył on typ doskonały takowéj. Nie ma w nich—a to jeszcze z wyjątkiem Cobdena — żadnych anegdotycznych, ani nawet ściśle osobistych szczegółów, ale jest za to wybornie uchwycona fizyognomia duchowa odtworzona z wyrazistością, ze ścisłością, z uwzględnieniem faz przejściowych i łączników psychicznych, wycieniowanych kunsztownie. Postać skomplikowana Edmunda Burke, walczączącego zrazu za przywileje arystokracyi whigów przeciwko torysom indentyfikujących się z koroną, odradzającego następnie i programat i organizacyę i idee zasadnicze swéj partyi, pochwycona przezeń została na uczynku. Nie odłączał on nigdy idei wolności od idei społecznego porządku i stąd jego zgroza przeciwko rewolucyjnemu ruchowi we Francyi, protestacye przeciwko inwazyi idei demokratycznéj, które się skrystalizowały w opozycyi przeciwko Foxowi i tak zwanym „przyjaciołom ludu". Morley przekonywająco wykazuje, dla czego ten sam Burke mógł stać po stronie emancypacyi Stanów Zjednoczonych, w któréj widział sprawę swobód krajowo-angielskich a być zapalonym przeciwnikiem rewolucyi francuskiéj od ustąpienia Mirabeau; dlaczego w sprawie Indyi śmiało zdarł maskę z bohaterów chwili, z Clivów i Hastingsów i zażądał ażeby nie kupcząca kompania, ale odpowiedzialna za swą politykę Wielka Brytania rozstrzygała o losach Indyi. Zdarzyło się zapewne czytelnikom spotkać z zarzutem często formułowanym w reakcyjnéj prasie angielskiéj, że John Morley nawrócony został do obrony samorządu w Irlandyi przez Gladstona. W chwili, gdy to piszemy, właśnie ogłoszony jest list Morley'a, w którym z godną poklasku wdzięcznością dla swych poprzedników i wodzów przyznaje, że w polityce nauczył się wszystkiego od Mill'a najprzód a potém od Gladstona. Ale nie należy sądzić, ażeby uczynił temu ostatniemu jakiekolwiek ustępstwa co do zasad, gdyż wystarcza odczytać w świetle obecnych wypadków historyczne jego prace, a mianowicie ową biografię Burke'go, ażeby się przekonać, że wysławia w nim przedewszy-

stkiém gorącą miłość do ojczyzny, postawienie jéj interesów na pierwszym planie. Już przed laty trzydziestu, u progu swego piśmienniczego zawodu, Morley okazał się orędownikiem samorządu dla Irlandyi. Praktyczny umysł Gladstona, gdy go na pomocnika do władzy powołał, potrzebował tylko nadać jego zasadom formę wykonalną, nie narażającą na szwank żadnego z postronnych interesów.

Zostawiając z konieczności nietkniętemi inne dzieła tego pisarza z działu biograficzno-historycznego, nie mamy prawa postąpić tak samo z jedną z prac filozoficznych, którą autor nazwał *essay*'em i dał mu tytuł dobrze wprawdzie po angielsku zrozumiały *On Compromise*, ale który nie daje się inaczéj spolszczyć jak wyjaśniając jego znaczenie: przetłómaczymy go: „O wierności zasadom“. Duch téj książki odrazu odgadnąć się daje z godła, jakie dlań autor zaczerpnął u Whatley'a: „Cała różnica w życiu płynie stąd, czy stawiamy prawdę na pierwszém miejscu, czy téż dopiéro na drugiém“. Swoboda myśli i wiary indywidualnéj jest wprawdzie zdobyczą cywilizacyi, ale nie trudno jest autorowi udowodnić, że dotąd jest to po większéj części zaledwie teorya; w praktyczném zastosowaniu co chwila potyka się każdy z nas o szkopuły. Nie rozstrzygnięto dotąd wcale czy większość społeczna obowiązana jest, i w jakich warunkach jest obowiązana do uszanowania téj swobody myśli i wiary i prawa ich stwierdzenia w czynach. Człowiek, który jest wyznawcą opinii oddalających się mniéj lub więcéj albo sprzeciwiających się ideom powszechnie przyjętym, skazany jest na abstrakcyjne ich wyznawanie a formy i zwyczaje światowe zmuszają go nieledwie do hypokryzyi i kłamstwa. Rodzą się sprzeczności co chwila pomiędzy moralnością jednostki a moralnością społeczną. Monografia Morley'a postawiła sobie za zadanie nie rozwiązanie całości tak rozległego problematu, ale podnieść niektóre, najbardziéj naglące jego strony. Jeżeli gdzie, to w Anglii, kraju hipokryzyi i *cant'u*, fałszującego najszlachetniejsze nawet charaktery taka „*Summa*“ sumienia zdaje się być na dobie. Nie wahają się wprawdzie fanatycy utrzymywać, że jest obowiązkiem obstawać przy swéj wierze, walczyć za prawdę, choćby się niebo zapaść miało, ale czynią tak zaledwie niektóre, wyjątkowo heroiczne istoty; przeciętna większość albo jest dla wielkich wyższych zagadnień obojętną, albo je chowa w głębi swego sumienia, ażeby nie narazić się na starcie z religijnemi, politycznemi i socyalnemi przekonaniami większości. Następstwem takiego przeważającego usposobienia jest wyrzeczenie się zasad a czepianie się pozorów, czczych formułek i nie tego co słuszne, ale tego co wygodne. *Expediency agiainst principles*—oto powszechnie przyjęta reguła życiowa. Szczycimy się po-

stępami, jakie rzekomo uczyniła tolerancya; w istocie rozpowszechniła się ospałość, gnuśność pod względem bronienia swych osobistych przekonań i rozgnieździła się nikczemna służalczość dla opinii dominujących, z któremi obecnie, wbrew dawniéj panującemu zapałowi dla prawdy, mało kto tylko chce stawać do walki. Rasa Don Quichotów zdaje się wytrzebioną do szczętu. Autor poszukuje przyczyn, które na takie ciągłe przeniewierzanie się tym opiniom, do jakich masa ludzi wykształconych przez ciągłe postępy wiedzy dojść była musiała, wpływają. Przyczyn tych znajduje wiele i różnorodnych. Na ostudzenie zapału politycznego wpłynęła bezwątpienia ta ważna okoliczność, że wiele dawniejszych ideałów już się urzeczywistniło: nie potrzebujemy gwałtem dobijać się do drzwi już rozwartych na oścież. Przeniknięcie wiedzy metodą historyczną wpłynęło także na to osłabnięcie ferworu, choć to napozór dziwném się zdawać może. Jak w arsenale znajdują się tam wszelkiego rodzaju bronie i rynsztunki, odporne i zaczepne; ponieważ wszystkie reformy dojrzewają i urzeczywistniają się, azali potrzeba karku za nie nadstawiać? Prasa uważana jest także przez autora za czynnik rozkładowo działający na poziom moralności: schlebiając opiniom masy, dotykając kwestyi po łebkach, przechodząc od jednych faktów do drugich i wynosząc spełnione na piedestał. Ale głębiéj niż te drugorzędne przyczyny sięgnąć należy, ażeby zejść do samego źródła obojętności dla wyższych zasad a płaskich ustępstw, jakie czynić zwykliśmy dla fałszu: tą psychiczną przyczyną jest zniżenie się poziomu moralnego i osłabnięcie interesu dla zagadnień duchowych przez nadzwyczajny wzrost bogactwa materyalnego i wzrost ekonomicznego zasobu. Religia, owa dźwignia społeczna, która przez długie wieki prowadziła ludzkość, przeniknąwszy do głębi cały jéj organizm, przestała nią kierować, a dusza człowieka, jak pięknie powiada Morley, stała się niemą. Napróżno zasłaniamy się epoką przejściową, ewolucyą; ewolucya nie jest siłą zaczątkową, jeno przerabiającym procesem, nie jest przyczyną, lecz prawem bytu. Potrzeba nowéj syntezy, którąby się stała spójnią dla rozstrzelonéj ludzkości i zagrzała ją do nowych wysiłków, jest wykazaną dowodnie. Autor oburza się na doktrynę sceptyzmu Renan'a, pozwalającego, aby prostaczkowie wierzyli w legendy i baśnie, gdy dla wykształconych, dla wtajemniczonych, dla kasty kapłanów żąda prawie niewiary. Przeciwnie Morley jest zdania, że jest obowiązkiem każdego bez wyjątku osobnika społecznego poszukiwać prawdy, prawdy ostatecznéj, prawdy całkowitéj i raz doszedłszy do *summum* pewności możliwéj, obstawać przy niéj energicznie, walczyć za jéj propagandę. Tchórz tylko zasłania się wygodnym pozorem,

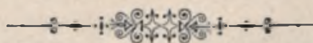
że nie chce naruszyć delikatności przekonań odmiennych. Nawet gdyby cel nie miał być dopięty całkowicie, nie należy go zaniedbywać. Jeden jedyny wyjątek uznaje, jako możliwy: dzieci nie potrzebują walczyć z religijnemi opiniami rodziców i cześć dla nich nakazuje im milczéć wobec nich w tym przedmiocie. Jeżeli opinie sformułowane przez Johna Morley w téj monografii są zarówno pociągające, jak przekonywające, jeżeli przez dotykanie różnorodnych zagadnień codziennego życia muszą obudzać w myślącym czytelniku silny interes, to można mu uczynić zarzut, że nie uwzględnia dostatecznie przewrotów, jakie w umysłach nowoczesnych musiały uczynić odkrycia wiedzy. Helmholz i Pasteur, Edison i Brown-Sequard, że już o całym szeregu imion, które zrewolucyonizowały dziedzinę psychologii, nie wspomnimy, wystarczają, ażeby postawienie niezłomnych postulatów stało się trudném. Ta *intellectual responsability*, któréj domaga się autor, sprowadza się do ogólnikowego zaciągnięcia się do obozu reakcyi, albo do obozu postępu. Współczesny wolnomyśliciel doprawdy ma coś lepszego do czynienia, aniżeli napastować Kościół, bo nawet on, niezmienny, zmienił się na wielu punktach i zniżył poziom swych dawniejszych wymagań. Z tém małém zastrzeżeniem gotowiśmy pisać się na zdanie tych krytyków, którzy pracę Morley'a *On Compromise* stawiają na tym poziomie, co słynny traktat Johna Stuarta Mill'a *On Liberty* i na równy mu dostojeństwem myśli.

Pozostawałoby nam jeszcze do skreślenia umysłowéj sylwetki Morley'a przedstawić czytelnikom jego prace krytyczne z działu czysto literackiego. Ale jest-to zadanie zbyt obszerne. W pismach i przeglądach, których był wydawcą i naczelnym redaktorem, są jego studya literackie rozproszone nieledwie w każdym numerze; sam ich wybór ogłoszony w kilku z rzędu edycyach obejmuje sześć czy siedm tomów. Nie ma wybitnego pisarza i poety, krajowego lub obconarodowego, któryby jego uwagi nie zwrócił i nie stał się przedmiotem badań, mogących często być uznanemi za przynoszące sąd ostateczny. Carlyle i Emerson, Byron i Wordsworth, Józef de Maistre i Macaulay, Comte i Stuart Mill, Martineau i George Eliot, i wiele innych olbrzymów myśli, albo wybitnych pisarzy zostało przezeń rozpatrywanych i ktokolwiek przedsięweźmie w przyszłości skreślenie obrazu umysłowego rozwoju XIX-go stulecia, oraz jego poprzednika, będzie miał obowiązek brać w rachunek te studya, wnoszące światło w najsubtelniejsze kryjówki duchowe. Nikt nie ma większéj sympatyi, większéj czci dla wyborowych umysłów. Przeciwników swych traktuje z uszanowaniem, nie wykluczającém wszelako pełnéj niezależności sądu. Obcowanie ciągłe wśród luminarzy myśli i artystów

formy wydelikatniło do wysokiego stopnia jego osobistą wrażliwość na piękno w piśmiennictwie; nigdy atoli nie doprowadziło go do nadawania mu wyłącznego znaczenia. Nie trzeba zapominać, że Morley jest humanistą biorącym ludzkość zbiorowo, nierozdzielnie, że gorąco pragnie jéj postępu i rozwoju we wszystkich kierunkach. Ponieważ literatura jest najlepszym środkiem, najdoskonalszém narzędziem do podniesienia moralnego i umysłowego poziomu, dlatego i sam się w niéj zagłębiać nie przestaje i innych do tych studyów nawoływać nie przestaje. Szczególnie charakterystyczna jest pod tym względem mowa jego wypowiedziana przed kilku laty na uroczystém posiedzeniu Towarzystwa londyńskiego *of University Extension*. Wykazał on tam, że młodzież garnąca się do praktycznych zawodów błądzi, zaniedbując studya czysto literackie, jako nie prowadzące bezpośrednio do ich życiowego celu, że w ten sposób ścieśnia swój horyzont, paraliżuje własne siły, wyrzeka się największych uciech, jakie człowiek znaleść może. Nietylko teoretycznie rozebrał tam wpływ literatury na jednostki, ale wszedł w sferę praktycznych rad i wskazówek, jak czytać, co czytać i w jaki sposób z odczytanych dzieł wyciągnąć można soczyste jądro. W odpowiedzi na to ciągle odżywające pytanie, co stanowi istotnie godne czytania piśmiennictwo, John Morley odpowiada dosłownie, że piśmiennictwo składa się ze wszystkich tych dzieł, a nie jest ich zbyt wiele, w których prawdy moralne i prąd humanitarny przedstawione są zdrowo, szeroko i w pociągającéj formie. Określenie to wydaje się nam nieposzlakowaném. Charakteryzuje ono także jednocześnie samego Morley'a. Każda jego praca podnosi zagadnienia wysokie i zostaje w bezpośrednim związku, zmierza do uszlachetnienia ludzkości; każda jest jędrną, podniosłą i artystyczną co do swéj formy.

Nie można się dziwić, że pisarz o takim talencie, o takiém wykształceniu i o takim duchowym nastroju, stanął na pierwszym planie i zajął wśród społeczeństwa swego miejsce wybitne. Powinszować można Anglii nie tego jedynie, że taką znakomitość umysłową posiada, ale i tego, że ją uznała za powołaną do kierowania sprawami publicznemi. Arystokracyi ducha i inteligencyi żadna potęga nie zmoże.

N. T.

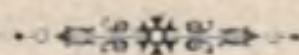




REPREZENTACYA STANOWA

w rozwoju historycznym

(od XV-go do XVIII-go wieku).



1. Fustel de Coulanges „L'alleu et le domaine rural." — 2. Luchaire „Histoire des institutions monarchiques." — 3. Kalousek „Ceske statni pravo." — 5. Virozsil „Das Staatsrecht des Königreich Ungarn."—6. Picot „Histoire des Etats generaux."— 7. Unger „Geschichte der deutschen Landstände." — 8. Maurer „Geschichte der Städte - verfassungen in Deutschland." — 9. Marina „Theorie des Cortés." — 10. Kolderup-Rosenvinge „Grundriss der dänischen Rechts geschichte." — 11. Wiarda „Von den Landtagen der Friesen in den mittleren Zeiten bei Upstalsboom." — 12. „Geschichte Schwedens." — 13. Gierke „Rechtsgeschichte der deutschen Genossenschaft." — 14. Jäger „Geschichte der Landständischen Verfassung Tirols." — 15. Lerchenfeld „Die Altbaierischen Landständischen Freibriefe mit den Landes Freiheitserklärungen." — 16. Cadier „Les Etats de Béarn." — 17. Brülcke „Die Entwickelung der Reichsstandschaft Städte." — 18. Poullet „Les constitutions nationales belges." — 19. Bluntschli „Staats-und Rechtsgeschichte der Stadt-und Landschaft Zürich." — 20. Nordenflycht „Die Schwedische Staatsverfassung in ihrer geschichtlichen Entwickelung." — 21. Gachon „Les Etats de Languedoc." — 22. Ribbé „Etude sur la fin de la constitution provençale. — 23. Tomaschek „Recht und Verfassung der Markgrafschaft Mähren in XV Jt." — 24. Juste „Histoire des Etats Generaux des Pays Bas." — 25. Thibeaudeau „Histoire des Etats Generaux."— 26. Desjardins „Etats Generaux." — 27. Carne „Les Etats de Bretagne." — 28. Sempere „Histoire des Cortés d'Espagne." — 29. Rudhart „Die Geschichte der Landstände in Bayern." — 30. Töppen „Die preussischen Landtage." — 31. Sclopis „Degli stati generali e d'altre institutioni politiche del Piemonte e della Savoia." — 32. Salamon „Ungarn im Zeitalter der Türkenherrschaft." — 33. Adler „Die Organisation der Centralverwaltung unter Kaiser Maximilian I." [1]).

---

[1]) W pracy powyższéj, będącéj częścią obszerniejszego studyum, opuszczone zostały cytaty, jako zbytecznie obciążające tekst. Natomiast autor wymienia ogólnie dzieła, któremi najbardziéj posiłkował się w niniejszéj rozprawie.

W końcu XI wieku, ustrój państwowy, wsparty na feudalizmie, był już w zupełnym rozkładzie; umowy lenne stały się fikcyjnemi dla monarchizmu, zarówno jak i dla ludności rolnéj; własność dominialna stała się państewskiem i nie znosiła swobody indywidualnéj do tego stopnia, że jak przysłowie w Turyngii głosiło: nawet skowronek opuszczający skrzydła na dominialne obszary, tracił wolność. Wszędzie poza murami miast, czuć było w powietrzu służebnictwo (*die Luft macht hörig*) i wszędzie interes prywatny możnowładztwa przyoblekał się w szatę polityczną. Podobne stosunki wywoływać musiały groźne następstwa. Nie ulęga żadnéj wątpliwości, że w początkach, feudalizm wywarł nadzwyczaj korzystny wpływ na rozwój ekonomiczny społeczeństw i że ludność rolnicza doznała od miejscowéj opieki dominialnéj dużo pożytku [1]); z tém wszystkiém jednak poczucie dobra ogólnego i poszanowanie pracy swobodnéj, zniknęły z chwilą, gdy możnowładztwo z właściciela ziemi, przeistoczyło się w zwierzchnika terytoryum. Wtedy nie tylko swobodna praca, wsparta na wieczystych umowach, zmarniała, lecz w dodatku nastąpiła epoka walk na drobną skalę, w celach grabieży i łupów. Panowie dominialni, napadali się wzajemnie, poszukując mienia, gdzie się tylko znaleźć dało i uprowadzając często robotnika razem z jego chudobą. Słabszy był nieustannie zagrożony przez silniejszego, a rozproszenie się państwa średniowiecznego na atomy doszło do szczytu.

Przez czas jakiś wydaje się, jakby państwo jednolite i wszelka polityczna władza zniknęły z powierzchni kontynentu europejskiego. Charakter monarchizmu ówczesnego, zespalając w osobie króla — politycznego zwierzchnika razem z właścicielem prywatnym całego obszaru ziemi, wywierać musiał na doniosłość publiczną instytucyi monarchizmu wpływ ujemny. Nie ma nikogo, ktoby się czuł w prawie zwoływać dostojników kraju na naradę ogólną, lub wydawać ogólne prawa. Odosobnienie cząstek terytoryalnych stało się zupełném, a rząd zwyczajów lokalnych wielmożnym. Ustrój feodalny w końcu XI wieku (zachodnia i środkowa Europa) czynił jedynie zadość potrzebom panów ziemi dominialnéj i to panów potężnych, którzy nie potrzebowali się obawiać napaści swych sąsiadów. Mniéj możnych nawiedzały często sny niespokojne, płynące z przeświadczenia, że całe ich prawo spoczywa w pięści (*Faustrecht*), czyli, że „*jus in viribus habent*," jak Tacyt mawiał o starożytnych Germanach. Orga-

[1]) Taine „Les origines de la France contemporaine." T. I. L'ancien regime, str. 13. „La seigneurie, la comté, le duché, deviennent une patrie que l'on aime d'un nstinct aveugle et pour laquelle on se devoue."

nizm feudalny zatém nie był w stanie dać niezbędnéj opieki: ani całym masom pracowników gleby, ani tym klasom, które handlem lub przemysłem rękodzielniczym zdobyły sobie znaczny majątek ruchomy lub kapitał pieniężny. Konstytucya więc państwowa, wsparta na stosunkach feudalnych, mogła istnieć tylko do téj chwili, dopóki poza panami dominialnymi nie wytworzył się nowy stan społeczny dość silny, aby wymódz dla siebie przywileje oraz immunitaty, na wzór możnowładztwa. Stanem takim, zwykle zwanym trzecim (*tiers etat*), choć późniéj w porządku sejmujących stanów, pierwsze, drugie lub czwarte zajmował miejsce, byli obywatele miast (*cives burgenses*, *oppidani*, *urbani*, *civitatenses*), czyli używając zmodernizowanego terminu: mieszczaństwo.

Udział w życiu państwowém zdobyty został prawie wszędzie przez miasta w końcu XV-go, lub z początkiem XVI-go wieku. Zanim to jednak nastąpiło, miasta królewskie, łącznie z miasteczkami możnowładzców, zawiązując konfederacye między sobą, lub z rycerstwem, albo téż z monarchizmem, przypominały nieustannie, że mieszczaństwo nie może nadal pozostać w poddaństwie możnowładztwa i być tylko członkiem martwym w organizmie państwowym. Rycerstwo znowu miało sposobność przekonać się: że sojusz z miastami, przynosi mu liczne pożytki ekonomiczne i daje wobec monarchizmu pewniejsze stanowisko. Monarchizm zaś, nie tylko że w miastach znalazł niezbędny dla skarbu kapitał, olbrzymie a świeże źródło podatkowe i obfite środki obrony militarnéj, ale prócz tego, państwo feudalne w instytucyach municypalnych miało wyborne i prawie gotowe wzory do zaprowadzenia reform sądowych, administracyjno-policyjnych i skarbowych. Nie należy bowiem zapominać o tém, że miasto przeprowadziło pierwsze w swém społeczeństwie zasadę równości wobec prawa i pierwsze wymogło poszanowanie prawne dla majątku ruchomego oraz dla swobody indywidualnéj. Wśród murów miejskich czuć było powiew swobodny (*l'aire de ville fait libre, die Luft der Stadt macht frei*), wówczas, gdy poza miastem, panowało powszechne przytwierdzenie do gleby. Nie tylko, że w mieście drobna własność nie potrzebowała w opiece i protekcyi możnowładczéj szukać ocalenia, ale swoboda indywidualna mogła istnieć bez własności gruntowéj, włościanie uczuli się téż gdzieniegdzie prawie zupełnie wyzwolonymi, a skup ciężarów rzeczowych, dozwalał pracy zarobkowéj zdobyć pełną, niezależną własność. Nic więc dziwnego, że wszystkie warstwy społeczeństwa miejskiego, zjednoczywszy się w pojęciu rzeczypospolitéj municypalnéj, siłą konfederacyi, zmusiły państwo feudalne do rozszerzenia swych podstaw i do przyjęcia zasad, które się w łonie prawa municy-

palnego wyrobiły. Gdy téż z jednéj strony wystąpiły związki miast, z któremi o sojusz ubiegało się zarówno rycerstwo jak i monarchizm; z drugiéj zaś strony ukazali się coraz częściéj i coraz tłumniéj pełnomocnicy miast na zjazdach królewskich (*Hoftage*), jako „*boni viri, bonnes villes, guten Stadt-Leute*“, zdołali mieszczanie na tych dwóch drogach wywrzéć stanowczy wpływ na reformę ustroju feudalnego. Do jakiego stopnia wpływ ten był potężnym i cywilizacyjnym dowodzi najlepiéj Zachariae, oceniając go wyżéj i donioślej, aniżeli wpływ reformacyi religijnéj w XVI-ym wieku, oraz Marina, utrzymujący, że przekształcenia polityczne, wywołane przez miasta, spowodowały najszczęśliwsze następstwa dla ludzkości.

Pojedyńcze wypadki swobodnego stanowiska kmieci trafiały się dość często i zwykle pod opieką miast królewskich znajdowały możność dalszego istnienia. Poczuwanie się jednak do swobody całéj ludności włościańskiéj, pewnéj ziemi czy krainy, było zjawiskiem w owych czasach rzadkiém i potrzebowało poparcia potężnych czynników natury, sprzymierzonych ze znojem codziennym włościanina, a nieprzyjaznych rozwojowi wielkiéj własności dominialnéj. Potężnymi sprzymierzeńcami naturalnymi kmiecia były gdzieniegdzie góry lub brzeg morski i pod ich ochroną, rozrośli się włościanie w klasę ludu wolną i posiadającą dziedzicznie pełną własność uprawianéj ziemi (*frei Mann*, *frei Gut*).

Na północy lub południu Niemiec, w Szwecyi, a po części w Danii i w prowincyi Béarn, swoboda osobista kmieci wspierała się nieodłącznie i nierozdzielnie na swobodnéj własności gruntowéj. Drobny kęs ziemi uznojonéj własną pracą i poświęceniem podnosił dopiéro godność włościańskiéj osobowości, czyniąc ją równą szlachcie, albo rządzącą się własnemi prawami (*homo sui juris—Odalbauer*), lub wreszcie ulegającą ograniczeniom tylko na równi z królem. Swobodna własność, w połączeniu z wolnością osobistą, wywołać musiały w nieuniknioném następstwie powstanie samorządu lokalnego, przez co poczucie samodzielności wśród włościan coraz bardziéj się potęgowało. Słusznie Gierke dostrzegł pewną analogię między rozwojem praw municypalnych, a rozwojem swobodnych gmin wiejskich. Proces kształcenia się był podobnym niezaprzeczenie, chociaż siła społeczna obu klas ludności nigdy się nie wyrównała.

I.

Reprezentacya stanów. — Stany. — Stan możnowładztwa gruntowego. — Stan miejski. — Stan włościański.

Na początku XV-go wieku konfederacye, mające na celu zapewnienie pokoju i porządku publicznego, stawały się coraz częstszemi. Niezależnie od nich, zjazdy królewskie gorliwiéj niż zwykle funkcyonowały i nie mogły poprzestawać na radzie i pomocy większych dygnitarzy i możnowładztwa, lecz dla nadania ważniejszym aktom politycznym większéj doniosłości, zapełniały się pełnomocnikami miast. Jedném z najważniejszych zadań, stanowiących ciągłą troskę zjazdów królewskim, były także ugody pokojowe, więcéj trwałéj natury; chodziło w nich bowiem o ustalenie nieprzerwanego, czyli wiecznego pokoju w całym kraju. Jeden zatém cel począł zbliżać konfederacye do zjazdów królewskich, a gdy konieczność polityczna domagała się coraz większego zjednoczenia, z dwóch organów funkcyonujących oddzielnie, wytworzyła się po kilkowiekowym procesie dziejowym, nowa instytucya, w postaci stałéj reprezentacyi stanowéj. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że położenie poprzednie wywoływało dużo niedogodności; choć bowiem konfederacye, łącznie ze zjazdami królewskiemi, były w możności zapobiegania wielu nadużyciom, to jednakże trwałego pokoju w całém państwie zabezpieczyć nie zdołały. Przy znaczniejszéj ilości związków federacyjnych i to przemijających, wytwarzały się w obrębie jednego kraju, jakby samodzielne państewka; często wrogo względem siebie usposobione. Przytém po za granicą terytoryalną jednostanowego związku, swoboda osobista i bezpieczeństwo publiczne narażone były na kapryśną zmienność interesów socyalnych. Wszelkie prawa zawisły od czasowéj ugody, która sięgała tak daleko, jak na to starczyły siły i obszary sojuszników. W dodatku, związki miast z możnowładztwem groziły państwu anarchią, związki możnowładztwa z panującymi absolutyzmem, pogrążającym klasy rolne w niewolę, a wreszcie związki miast z panującym, wyzyskaniem gospodarstwa rolnego na rzecz przemysłu i handlu. Pragnienie więc pokoju i bezpieczeństwa publicznego musiało na innéj drodze szukać zadośćuczynienia i urzeczywistnienia. Droga, którą społeczeństwom klęski i krwawo zdobyte doświadczenie wytknęły, była wszędzie mniéj więcéj następująca: konfederacye z drobnych terytoryalnych i czasowych związków, stawały się sojuszem trwalszym i ogarniającym kraj cały. Pozyskawszy zaś większe siły i lepszą organizacyę,

poczęły na zjazdach królewskich umawiać się z monarchizmem, w otoczeniu dygnitarzy i części możnowładztwa, o zaprowadzenie lub trwalsze ukonstytuowanie wiecznego pokoju. Zjazdy królewskie zostawały przez czas dłuższy w ciągłych negocyacyach ze związkami konfederackiemi, zanim stanęła oczekiwana przez wszystkich konstytucya wiecznego pokoju, zaprzysiężona przez wszystkie i przez monarchę na zjazdach ugodowych (*Teidigungstag*). Zbliżenie się zaś wzajemne w imię wspólnych celów, ścierając pierwotny charakter zarówno ze zjazdów królewskich, jak i ze związków konfederackich, powołało do życia instytucyę nową, zwaną następnie reprezentacyą stanową. Instytucya powyższa wsparła się na zasadzie wyrobionéj najwcześniéj w Anglii, która wymagała, aby „wszyscy naradzali się nad sprawami obchodzącemi wszystkich“.

Nareszcie więc w ciągu XV-go wieku, sejmy konfederackie jedno- lub wielostanowe (*Ritter und Städtetage*) i zjazdy królewsko-książęce z dygnitarzami i możnowładztwem (*Hoftage*), zjednoczyły się w ogólnej reprezentacyi; władza monarchiczna poczęła tym sposobem wspólnie ze wszystkiemi stanami pracować nad dobrem państwowém i to pracować nie tak jak dawniéj, z przypadkowo powstałymi i przemijającego żywota, konfederacyami, lecz z organem, obejmującym cały kraj i funkcyonującym trwale i coraz prawidłowiéj. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że moment przeistoczenia się dawnych związków i zjazdów, w reprezentacyę stałą, jest w historyi każdego kraju niepewnym. Na tego rodzaju objaw należało być z góry przygotowanym. Wytworzenie się bowiem reprezentacyi ogólno-stanowéj było owocem kilkowiekowego starcia się klas społecznych i wynikiem smutnego doświadczenia, przekonywującego, że konfederacye przemijające nie były zdolne skutecznie stanąć na straży bezpieczeństwa publicznego. Zanim więc w kilkowiekowym procesie przeświadczenie podobne się urobiło, epoka chwiejności i powrotu do dawnych federacyjnych nawyknień, musiała trwać dość długo. Powoli jednakże reprezentacya stanowa zyskała siłę faktycznèm swém istnieniem; zwyczaj prawny, wyryty w sercach wszystkich, choć nie ujęty artykułami ani paragrafami, utrwalił z czasem powyższą siłę, lecz nie wytworzył jéj bynajmniéj żadną apodyktyczną doktryną. W każdym razie, bez względu na miejscowe odrębności, w końcu XV-go wieku reprezentacya ogólno-stanowa wystąpiła na widownię dziejową, jako organ stale i prawidłowo działający. Przedewszystkiém więc należy poznać zasady jurydyczne, na jakich się wsparł powyższy organ, a w następstwie i ustrój formalny, w jaki się przyoblekł.

Reprezentacya stanowa od samego zawiązku nie była organem

jednolitym, powstałym na mocy ogólnego prawa, bądź zwyczajowego, bądź stanowionego. Składała się ona z samoistnych socyalnych stanów, które pod względem jurydycznym zachowały w łonie reprezentacyi pewną samodzielność, wspartą na specyalnych i pojedyńczych przywilejach. Nigdy może w dziejach prawa państwowego nie ujawnił się tak ścisły związek między społeczeństwem a instytucyami politycznemi, jak to miało miejsce w końcu XV-go wieku i nigdy prawdopodobnie konstytucya państwowa nie nosiła tak wyrazistego piętna społecznych właściwości. Rzec można, że siła socyalna danéj warstwy zdobywała sobie przywileje i udział w życiu państwowém; że z wzrostem téjże siły stanowisko jurydyczne każdego stanu powiększało się, z upadkiem zaś zmniejszało się, lub zupełnie nikło. Zanim jednak stany wystąpiły w dziejach, uorganizowane w całość, mającą prawo uczestniczenia w reprezentacyi, zdobyły, jak to już poprzednio nadmieniono, samorząd lokalny, a w związkach federacyjnych przyszły do poczucia solidarności swych interesów. Pozyskanie zaś prawa uczestnictwa w reprezentacyi, czyli możności należenia do „stanu“, w pełném tego słowa znaczeniu, odbywało się powoli i stopniowo tą samą drogą, którą powstawały dawniéj immunitaty. Możnowładztwo gruntowe (duchowne i świeckie), pozyskawszy zwierzchnictwo nad swemi obszarami, zdobyło sobie prawo reprezentacyi daleko prędzéj, zwłaszcza tam, gdzie współzawodnictwo miast potężnych, lub wzmocniona władza monarchiczna, nie była w możności nałożyć hamulca ich samowoli. Miasta królewskie musiały walczyć z daleko większemi trudnościami. Nie wszystkie téż i nie odrazu zjawiły się wśród reprezentacyi, lecz jedynie te municypalności, którym specyalny przywiléj królewski udzielał prawo politycznego stanu. Jeszcze gorzéj się działo ze stanem wieśniaczym, który gdzieniegdzie tylko i to w małym zakresie pozyskał prawne stanowisko w reprezentacyi. Mała własność włościańska, jak wiadomo, przy pomocy miast, zdołała się wydobyć z pod ucisku możnowładztwa, lecz dopiéro wsparty przychylnemi warunkami natury i uposażony własnością ziemi, stan włościański pojawił się obok innych stanów, chociaż bynajmniéj nierówny im wpływem i znaczeniem.

Reprezentacya stanowa rozpadła się więc na pewną ilość społeczno-prawnych jednostek, zwanych stanami (*ordines*, *status*, *brachia*, *stavy*). Liczba ich bywała rozmaitą i zmienną. Rozmaitą dlatego, że w jednych krajach nie dopuszczano włościan, w innych dzielono możnowładztwo nietylko na duchowne i świeckie, lecz jeszcze między samém duchowném i świeckiém, czyniono stopniowania, w niektórych nareszcie do liczby stanów wprowadzano reprezentantów armii.

Zmienną zaś dlatego była liczba stanów, że często z ich szeregu niknął jeden, straciwszy siłę społeczną, jak to np. miało miejsce w Bernie i Zürichu, lub też został przez inne stany lub przez władzę monarchiczną usuniętym, jak to miało miejsce w Holandyi z miastami mniejszemi, w Hiszpanii z możnowładztwem, lub po reformacyi XVI-go wieku z duchowieństwem. Wogóle jednak, zwracając przedewszystkiém uwagę na naturę społeczną, można twierdzić, że w reprezentacyi stanowéj istniały trzy typowe stany, opiérające się na samoistnych interesach socyalnych: 1) możnowładztwo gruntowe duchowne i świeckie, jako przedstawiciele obszarów dominialnych i zwierzchniczych przywilejów; 2) miasta królewskie, jako reprezentanci przeważnie majątku ruchomego, uposażeni podobnemi przywilejami, co i możnowładzcy, i 3) gdzieniegdzie wolni włościanie, jako przedstawiciele małéj własności, uposażeni szczupłym zakresem samorządu lokalnego.

Nieustanna zmienność panowała nietylko w liczbie stanów, lecz i w obrębie ich przywilejów, czyli uprawnienia. Rozwój ekonomiczno-społeczny, odegrywał w tym razie główną rolę. W Szwecyi miasta poprzestać musiały na podrzędném stanowisku wobec szlachty, gdy tymczasem w Belgii i Hiszpanii, wzięły stanowczo, przynajmniéj w niektórych prowincyach, górę nad możnowładztwem. We Francyi natomiast kilkakrotnie zauważyć można zmiany: raz stan trzeci, miejski, górował wpływem, to znowu możnowładztwo powracało do przewagi; w niektórych zaś kantonach Szwajcaryi, miasto stało się wyłącznym stanem, utożsamiającym się z panującym i absorbującym zupełnie możnowładztwo gruntowe. Wreszcie, w zakątkach Niemiec zdarzały się niekiedy jeszcze oryginalniejsze wypadki, a mianowicie: stan chłopski skupował dawnych panów feodalnych i rozszerzał tym sposobem ich kosztem swe prawa stanowe. Dodać w końcu należy, że ponieważ stany przeistoczyły się powoli w organ sejmujący, a to głównie przy pomocy paktów, ugód, które znowu wytworzyły całe szeregi przywilejów osobistych, przeto ogólna zasada prawa, musiała się wszędzie przebijać przez gęstwę zwyczajów miejscowych, nieokreślonych i chwiejnych, które historykom na każdym kroku nasuwały wątpliwości i pytania. Ustrój zasadniczy też stanowéj reprezentacyi polegał na bardzo przejrzystym zwyczaju, wypełnianym i ustalanym koniecznością, oraz palącą potrzebą życia państwowego. Ustalanie urzeczywistniało się powoli, a gdzieniegdzie jeszcze w XVI-ym wieku, jak np. w Szwecyi, lub w XVII wieku, jak np. w Węgrzech, spotkać można gmach stanowy niewykończony zarówno w podwalinach, jak i w ornamentyce formalistycznéj.

Choć główna zasługa powołania do bytu reprezentacyi stanowéj przypadła w udziale miastom, to jednakże w początkach rozwoju wystąpiło wszędzie możnowładztwo gruntowe, jako najsolidniéj spojony i przemożny siłą społeczną, stan téjże reprezentacyi. Własność dominialna, bądź to panów duchownych, bądź świeckich, pozyskała, jak to już poprzednio nadmienioném zostało, prawa zwierzchnicze w obrębie swych terytoryów; taż sama własność pozyskała dla całego możnowładztwa prawo uczęstniczenia w reprezentacyi, jako odrębnéj całości, czyli używając prawnego terminu, jako odrębnemu stanowi. Po większéj części, możnowładztwo duchowne (duchowieństwo świeckie i zakonne) oddzieliło się jako stan od świeckiego, ale jednemu i drugiemu nie godność osobista, t. j. tytuł magnata, rycerza lub wyższéj prelatury kościelnéj, nadawała prawo wyobrażania stanu w reprezentacyi ówczesnéj, lecz własność ziemi dominialnéj. Stan możnowładztwa (duchownego i świeckiego) składał się zatém wyłącznie z właścicieli obszarów dominialnych lub kościelnych, którzy jednak przedstawiali wśród sejmujących stanów nietylko swe obszary, lecz i ludność rolniczą, osiadłą na ziemiach po za folwarcznych, należących do możnowładczego dworu (*Hof*).

Prawo uczestniczenia w reprezentacyi stanowéj, nabiérało przez to charakteru rzeczowego i zdawało się być przytwierdzoném do dominialnéj lub kościelnéj własności gruntowéj. Tylko realiści, to jest właściciele realności dominialnéj, mogli zasiadać w sejmujących stanach, a personaliści, czyli powołujący się na godność tytularną szlachectwa, wykluczeni zostali z pojęcia stanu jurydycznego. Zaznaczyć jednak należy, że zwyczaj prawny, dający przewagę ziemi nad osobistością, torował sobie drogę z trudem i nie od razu pozyskał uznanie. Przypuszczać téż można, że w początkowéj dobie sejmowania stanowego przyjmowano do grona pełnomocników rycerstwo żyjące wyłącznie z szabli, i tém się tłómaczy tumultowość dawnych obrad, oraz uciążliwość pierwotnych sejmów dla ówczesnego społeczeństwa. Spotykamy liczne ślady, utwierdzające w przekonaniu, że dopiéro w późniejszéj dobie udało się realistom usunąć z sejmów personalistów, a i ten cel osiągnięty został nie bez uporczywéj walki. Najsamprzód personalistami zwano zwykle tych, którzy nie posiadali na własność ziemi szlacheckiéj, czyli dominialnéj (*terre noble*), nie przeszkadzało to jednak bynajmniéj, że personaliści władali ziemią nieszlachecką, opłacającą miastom lub komorom panujących daniny (*den Städten oder Cameralherrschaften. — Terre roturière*). W niektórych sejmikach francuskich, zarówno jak i niemieckich, personaliści w powyżéj przytoczoném rozumieniu rzeczy, t. j. jako właściciele

ziemi nieszlacheckiéj, utrzymali swe stanowisko wśród reprezentacyi stanowéj; czysto zaś osobisty przywiléj uczestniczenia w sejmach i sejmikach zdobyła sobie szlachta Tyrolu i utrzymała go aż do końca XVIII wieku.

Z tém wszystkiém wobec nielicznych i słabych wyjątków można przyjąć za stałą i powszechną zasadę: że jedynie własność ziemi dominialnéj (duchownéj lub szlacheckiéj), w pełném tego słowa znaczeniu, nadawała prawo uczestniczenia wśród sejmujących stanów. Nawet bowiem posiadanie ziemi *quasi*-szlacheckiéj, t. j. bez poddanych, nie ochroniło drobnéj szlachty od ciężarów, lżejszych wprawdzie, ale zawsze wspólnych z włościanami, a te utrudniały coraz bardziéj przystęp i udział w przywilejach stanu szlacheckiego. Tytuł więc własności dominialnéj nadawał posiadaczom bądź duchownym, bądź świeckim, prawo uczestnictwa w sejmie i przedstawiania interesów uprzywilejowanéj ziemi. Podrzędnym zaś pod względem zasad prawa był fakt: że możnowładztwo duchowne odłączyło się jako stan odrębny w wielu krajach od świeckiego. Spotykamy je bowiem także złączone w jednéj izbie (kuryi) ze szlachtą, jak np. w Bearnie, lub rozdzielone między dwie izby, jak np. w Węgrzech, gdzie wyższe prelatury zasiadały z magnatami, a kapituły w izbie niższéj. W Morawii zaś prałaci głosowali razem z miastami. Zaznaczyć tylko należy: że klasztory męskie i żeńskie, jako właściciele obszarów klasztornych, obowiązane były wysyłać na sejmy pełnomocników, wyobrażających osobę prawną fundacyi. Klasztory męskie reprezentowane były w tym wypadku najczęściéj przez swych przełożonych (opatów), chociaż zdarzały się wypadki, że duchowieństwo zakonne wybierało specyalnych delegatów. Klasztory żeńskie znowu wysyłały jako pełnomocników swych proboszczów (jednego lub dwóch), których wskazywała przełożona, a czasami dawano pełnomocnictwo téj osobie, która zarządzała dobrami klasztornemi. Duchowieństwo świeckie było najczęściéj na sejmach przedstawiane przez biskupów, choć zdarzały się często wypadki, że i kapituły miały prawo uczestniczenia wśród reprezentacyi. Gdzieniegdzie znowu do stanu duchownego zaliczano także i niższe duchowieństwo, tak naprzykład: w saskich stanach sejmujących, oprócz trzech biskupów, pojawiło się niższe duchowieństwo (*die gemeine Pfaffheit*), chociaż zwyczaj nie określił należycie owego uczęstnictwa i pozostało niepewném: czy niższe duchowieństwo ma prawo wyboru pełnomocników, czy téż zwykło się ukazywać na sejmikach i sejmach, jako orszak otaczający dygnitarzy kościelnych. Nareszcie w Szwecyi, stan duchowny na sejmach był reprezentowany przez biskupa, jednego członka kapituły i jednego duchownego z każ-

dego okręgu sądowego. Wogóle przyjąć można za zasadę, że stan duchowny na sejmach i sejmikach, uosabiał interesy świeckie, z posiadania własności ziemskiéj wypływające. Dobro kościoła, czyli interesy duchowne, miały bezpieczną ochronę w synodach duchowieństwa, które w niektórych krajach przejęły ustrój od reprezentacyi stanowéj.

Miasta powoli zdobywały sobie stanowisko politycznego stanu i doszły do pożądanego celu prawie wszędzie w końcu XV w., ale nie wszystkie razem, tylko pojedyńczo i to z mocy specyalnych przywilejów królewskich. Wzrost dobrobytu, potęga ekonomiczna, torowały drogę miastom do uczęstnictwa w sejmujących stanach, a te same powody zdziałały, że pełnomocnicy municypalni nie pozostawali na sejmie niemymi, jak na zjazdach królewskich, lecz zdobywali sobie wpływ coraz to donioślejszy. Nie ulega żadnéj wątpliwości: że zjazdy miast (*Städtetage*), czyli konfederacye, do których monarchizm pobudzał niejednokrotnie mieszczaństwo, przyczyniły się do utrwalenia zwyczaju, mocą którego uprzywilejowane municypalności utworzyły odrębny stan miejski. W Hiszpanii wystąpiły miasta jako samoistna całość wśród reprezentacyi stanowéj dosyć wcześnie, we Francyi i we Włoszech w końcu XIV-go wieku, w Niemczech zaś w końcu XV-go wieku. Na północy i wschodzie Europy, a mianowicie w Danii, Szwecyi, Czechach i Węgrzech pierwiastek municypalny wystąpił na sejmach nieco późniéj i nie osiągnął nigdy tego wpływu, ani znaczenia, co na zachodzie i w środku Europy. W niektórych krajach miasta uzyskały jako stan polityczny przewagę, w innych zaś wykluczyły wszystkie od wpływu na losy kraju; pierwszy wypadek miał miejsce w Hiszpanii i w niektórych prowincyach Niderlandów katolickich; drugi w kantonach szwajcarskich: Bernie i Zurichu.

Wśród reprezentacyi stanowéj te tylko miasta pozyskały dla siebie miejsce i te jedynie wyobrażały stan polityczny, które zdobyły stosowny przywiléj panującego. W Czechach, Morawach, Węgrzech i Szwecyi, zdaje się, że z biegiem czasu wszystkie miasta królewskie pozyskały ów zaszczyt. Miasta zaś obdarzone powyższym przywilejem zwano: „*civitates majores*“, zdarzało się jednakże czasami, że na sejm przybywali pełnomocnicy miast mniejszych (*civitates minores*), bez specyalnego przywileju i licząc na usługi, oraz pożytki świadczone dobru ogólnemu, pragnęły przywiléj zastąpić utartym zwyczajem. Monarchizm na takie samowolne rozszerzanie się stanu miejskiego patrzył przychylném okiem, widząc w tém wzmacnianie się swego dobrego i usłużnego sprzymierzeńca. Zdarzało się jednak i przeciwnie, jak to poświadczają dość liczne w historyi przykłady. Nie brak

również objawów, że miasta pomniejsze królewskie uważały prawo uczęstniczenia na sejmach za zbyt kosztowne i uciążliwe. Zwykle w takim razie poruczały zastępstwo miastom większym, wyrzekając się własnowolnie uczęstnictwa w reprezentacyi.

Miasto, jak to już poprzednio nadmieniono, stanowiło osobę jurydyczną, reprezentowaną przez magistrat; magistrat też wśród sejmów stanowych był pełnomocnikiem miasta uprzywilejowanego i tym sposobem z organu administracyjno-sądowego przeistaczał się do pewnego stopnia w instytucyę natury politycznéj. Magistrat municypalny nie mógł „*in corpore pleno*“ zasiadać wśród sejmujących stanów, boby to w naturalném następstwie zaniedbanie spraw miejskich pociągnąć za sobą musiało, wysyłał z łona swego pełnomocników, których wybór dokonywał się najrozmaiciéj. W niektórych miastach belgijskich np. byli tak zwani pełnomocnicy urodzeni (*deputés nés*), do których zaliczano burmistrza, będącego na służbie czynnéj i dawnego wysłużonego; w innych miastach wybierał pełnomocników magistrat sam, magistrat z korporacyami kupieckiemi, lub magistrat z komuną. Tę samą rozmaitość, co w prawie wyborczém, spotykamy w liczbie pełnomocników wybieranych, oraz w zakresie powierzanych pełnomocnikom mandatów. Jedna prowincya przedstawia często obraz różnowzory i tak np. w Prusach Wschodnich Królewiec miał prawo wysyłania na sejm znacznéj liczby pełnomocników, czego innym miastom téjże prowincyi nie przyznano.

Nie wszystkie miasta zwykły były wysyłać pełnomocników z pełną władzą zgadzania się i wotowania na sejmach, po większéj części pełnomocnicy miejscy przed głosowaniem i zgodą na sejmie, musieli przedstawić sprawę magistratowi miasta (*ad referendum*) i dopiéro po jego zgodzie mogli zobowiązać miasto do udziału w ciężarach ogólnych. Prawie też zawsze miasta obdarzały swych pełnomocników instrukcyami krępującemi (*con mandato imperativo*) i używały tych instrukcyi bardzo zręcznie, aby się niemi zasłonić przed udziałem w ciężarach publicznych. Jak możnowładztwo gruntowe wyobrażało na sejmach ludność osiadłą na obszarach dominialnych, tak i magistrat municypalny reprezentował całą rzeczpospolitę miejską. Prócz tego, już w XV-ym wieku uważano miasta królewskie za reprezentantów okolicznych obszarów wiejskich, które nie należały do panów duchownych lub świeckich. We Francyi stan miejski zwany był „*troisiéme état, état plebeien*“, we Włoszech „*il stato popolare*“ i nietylko wyrabiało się w nim poczucie, że przedstawia ludność wolną wiejską, ale zdarzały się wypadki, jak np. w Lyonie, że chciał wybierać samowolnie pełnomocników duchowieństwa. Majątki zaś ziemskie

rycerskie, posiadane przez miasto, jako przez osobę jurydyczną, lub przez pojedyńczych obywateli ziemskich, nie należały do obrębu municypalnego i musiały ponosić ciężary rycerskie; tém samém magistrat nie reprezentował majątków ziemskich szlacheckich w charakterze władzy municypalnéj, lecz jako zbiorowy szlachcic.

Wyjątkowo tylko spotykamy wśród sejmów lub sejmików, stan włościański, jako samoistną i odrębną całość. Gdzieniegdzie dochowała się wprawdzie swobodna własność kmieca, ale zbyt była rozproszona, aby wyrobić sobie wpływ polityczny, a zbyt słaba, aby się nią monarchizm posługiwać potrzebował przeciw panom duchownym i świeckim, jak to z miastami miało miejsce. Mimo to wszakże, w niektórych drobniejszych terytoryach niemieckich północnych i południowych, włościanie zdołali się dobić do znaczenia stanu wśród sejmików lokalnych. Miało to miejsce zwykle tam, gdzie, jak to już wspomniano, twarde warunki natury (brzeg morski, góry), położyły kres rozwojowi własności dominialnéj, uniemożliwiając zarazem istnienie „przytwierdzenia do gleby". We Fryzyi i kilku jeszcze drobnych kraikach na północy Niemiec, oraz w Tyrolu, Szwabii i Szwajcaryi na południu, widzimy stan włościański, posiadający wpływ na sprawy publiczne. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że podstawę prawa uczęstniczenia w sejmikach dla stanu włościańskiego wytworzyła mała i zarazem wolna własność ziemska, która dzięki większemu skupieniu się i szczęśliwym warunkom natury, pozostała niezależną od możnowładztwa gruntowego. Do stanu włościańskiego fryzyjskiego, w ścisłém znaczeniu tego słowa, należeli tylko chłopi właściele ziemi i jak dobitnie określił to Wiarda: *„ihre Vota waren also realia und klebten den Praediis an"*. W każdym razie, jako stan wśród sejmików wyłącznie prowincyonalnych, nie stwierdzili włościanie rozleglejszéj politycznéj siły i samo utrzymanie się na tak trudném i samoistném stanowisku dowodzi, że duch solidarności był między niemi rozwiniętym.

Jak stan municypalny reprezentowany był na sejmach i sejmikach przez swe magistraty, tak zdaje się, że na sejmikach wyobrażały stan włościański władze gminne. Zdarzały się jednak wypadki, że urzędnicy panującego byli pełnomocnikami włościan, lub téż sąsiednie miasta, które się wiele przyczyniły do utrzymania swobód kmiecych. Czy zaś nie dochowało się w jakiéjś drobnéj miejscowości prawo wolnego wyboru pełnomocników włościańskich, trudno stanowczo orzec, przy rozmaitości i zmienności zwyczajów miejscowych. Istniało jednak państwo, zajmujące nawet w XVII-ym i XVIII-ym wieku stanowisko pierwszorzędnego mocarstwa militarnego, które

w sejmach generalnych posiadało stan czwarty, włościański. Szwecya, o której mowa, pomimo możnowładztwa gruntowego, które pozyskało zwierzchnictwo nad ludnością osiadłą na jego obszarach, dochowała znaczną ilość włościan zależnych wyłącznie od samego króla. Monarchizm w Szwecyi ocenił wcześnie doniosłość samodzielnych miast i wolnych właścicieli-kmieci; ile też razy możnowładztwo okazywało się opornem zamiarom rządowym, król powoływał pełnomocników miast i włościan monarszych na sejm, aby tym sposobem, przy pomocy żywiołów powolnych koronie, przeprowadzić dogodny program polityczny.

Włościanie w Szwecyi, mieli jeszcze jednego potężnego sojusznika w téj okoliczności, że pierwiastek mieszczański był słabo rozwinięty i monarchizm nie mógł wyłącznie polegać na jego poparciu. Dlatego to, jak słusznie zauważono, stan włościański, do którego nie należeli kmiecie obszarów dominialnych, wywarł w Szwecyi taki sam przeważny wpływ, jaki w innych państwach przypadł w udziale mieszczaństwu. Zdaje się także, iż w Szwecyi stan włościański wybierał pełnomocników na sejm; przynajmniéj w XVI wieku istniała ustawa, nakazująca włościanom królewskim, wybiérać jednego pełnomocnika z okręgu terytoryalnego (*häräd*). Usunięto przytém z troskliwością wpływ możnowładztwa na wybory wolnych kmieci i dołożono usilnych starań, aby rząd królewski miał ze stanu włościańskiego powolne narzędzie i dogodną broń przeciw uroszczeniom klas wyższych. Zdaje się również, że przez czas niejaki pojawiali się wolni włościanie i na sejmach duńskich, przynajmniéj znajdują się wzmianki, upoważniające do podobnego przypuszczenia.

II.

Stany prowincyonalne i generalne.— Forma reprezentacyi stanowéj. — Natura pełnomocnictwa. — Głosowanie.— Izby. — Przywiléj mniejszości.—Polityka monarchizmu — Delegacye.

Z końcem XIV-go i początkiem XV-go stulecia, stany sejmujące poczęły rozwijać się jako instytucya polityczna stała i peryodycznie działająca. Zjednoczenie wszakże stanów w większy obszar, obejmujący terytoryum państwa całego, postępowało powoli. Z tego powodu, w początkach główna rola przypadła w udziale stanom sejmującym w prowincyonalnéj odrębności, czyli rozczłonkowaniu (*Etats fractionées*). Za stanami uosabiającemi mniejsze obszary, przemawiało wiele okoliczności i dla tego, mimo pojawienia się stanów gene-

ralnych, zachowały pomniejsze jednostki reprezentacyjne siłę oporu, pozostając i nadal samoistnemi ciałami politycznemi. Przewaga, spoczywająca przez długi czas w sejmikach prowincyonalnych, nie zadziwi nikogo, jeśli tylko uprzytomni sobie genezę konstytucyi stanowéj. Nowe pierwiastki społeczne, występujące przy pomocy monarchizmu, przeciwko panom feudalnym, przeistoczonym w możnowładztwo gruntowe, dobijały się lepszéj doli w związkach federacyjnych miejscowych i zmusiły swych zwierzchników do uznania stanów lokalnych za współczynnik stały we wszystkich sprawach publicznych. Większe lenna (*seigneuries*) pozyskały tym sposobem razem z nazwą udzielnych księstw lub hrabstw, stałą reprezentacyę stanową, która w niektórych stronach przybrała mikroskopijne kształty. Monarchizmowi udało się następnie zniweczyć udzielność wielu potężnych lenników, ale mimo to, sejmiki miejscowe istniały nadal i panujący wzywał je o pomoc i radę, jako przejmujący prawa dawnego lennika. Tym sposobem np. zwierzchnik Niderlandów nie używał nigdy tytułu króla, tylko ze wszystkiemi prowincyami był w związku politycznym specyalnym, t. j. jako książę, hrabia lub baron, w każdéj z nich osobna.

Wytworzenie się ogólne stanów prowincyonalnych, jako organu reprezentacyi miejscowéj, stanowiło poważną przeszkodę w rozwoju stanów generalnych, obejmujących kilka prowincyi lub całe państwo. Poczucie dobra publicznego, zamykało się wówczas w ciasnych ramach parafii i nawet prowincya musiała się troszczyć o pomoc dla swéj sprawy ogólnéj. Większa całość polityczna tylko wtedy liczyć mogła na rozleglejsze poparcie, gdy nieunikniona klęska groziła wszystkim zagładą (najazd Anglików na Francyę, lub Turków na Węgry). Z chwilą przeminięcia trwogi, pełnomocników i uczestników odstraszała podróż do sejmu generalnego, która w dodatku nie bywała zupełnie bezpieczną. Koszta poselstwa stawały się również nie małym ciężarem, a w dodatku prowincya na pewno spodziewać się mogła, iż żądanemi od nich będą pieniądze i posiłki wojenne. Żądaniom tym towarzyszyły zwykle próby przełamania odrębności prowincyonalnéj, podejmowane uporczywie przez monarchizm. Dlatego to prowincye, wysyłające pełnomocników na sejmy krajowe, lub generalne, okazywały się podejrzliwemi i zazdrosnemi o swe przywileje. Poczucie zaś samoistności, manifestowały za pomocą instrukcyi, ograniczających niekiedy do tego stopnia pełnomocników, że nie pozostawało im nic, prócz obowiązku przysłuchiwania się obradom na sejmach generalnych.

W tych warunkach, proces zjednoczenia się stanów prowincyonalnych w większe ciała reprezentacyjne dokonywał się powoli i przy

nieustających wysiłkach monarchizmu. We Francyi obok wszędzie istniejących stanów prowincyonalnych, wystąpiły generalne (*états generaux*), nie obejmujące z początku bynajmniéj całéj Francyi i królowie długo posługiwać się musieli rozczłonkowanymi stanami, uosabiającymi kilka prowincyi. W Niemczech, Niderlandach, samodzielność stanów prowincyonalnych trwała dłużéj i przybierała daleko większe rozmiary. W Szwecyi sejmiki prowincyonalne współzawodniczyły przez długi czas z sejmami państwowemi, a to samo miało miejsce w Czechach i Węgrzech. Zasady jurydyczne wszakże, na których się wsparły stany sejmujące prowincyonalne, przewodniczyły również stanom generalnym. Szlachta uczęstniczyła w obu wypadkach jedynie na mocy własności ziemskiéj dominialnéj a niekiedy nawet posiadając dwór i ziemię bez poddanych rolników, nie zdołała pozyskać prawa uczęstnictwa w reprezentacyi. Tak samo dygnitarzom kościoła przysługiwało prawo należenia do stanów prowincyonalnych i generalnych, jedynie z tytułu własności, a miasta pozyskiwały pojedyńczo przywileje dla swych magistratów. Włościanie zaś wolni, jako to już nadmieniono, rzadko i prawie wyjątkowo występowali jako odrębny stan czwarty.

Jeżeli ustrój prawny stanów prowincyonalnych zbliżał się bardzo podobieństwem do organizacyi stanów generalnych, to inaczéj się rzecz miała z ustosunkowaniem hierarchiczném obu stanów sejmujących, względem siebie. Na wyraźniejsze określenie owego stosunku, wpływały w każdym kraju przewroty polityczne i wzrost monarchicznéj władzy. Wszędzie téż wytworzył się zwyczaj bardzo chwiejny i nieustannie zmieniający się. Dość przytoczyć, że np. we Francyi istniały jednocześnie trzy kategorye prowincyi, pozostających w odmiennym prawnym stosunku do monarchy i stanów generalnych. Prowincye, zwane „*Pays d'états*", posiadały stany sejmujące niegdyś udzielnie, które później w dobie dźwignięcia się monarchizmu, stanowiły korporacyę polityczną i miewały nawet stałych pełnomocników w Paryżu, zwanych ambasadorami. „*Pays d'elections*" nie były wprawdzie pozbawione zgromadzeń prowincyonalnych, ale stanowisko ich było zależném od monarchizmu, a zakres atrybucyi nie wielki i ograniczający się na sprawach administracyi lokalnéj. Prowincye wreszcie zwane „*mi-pays d'états, mi-pays d'elections*", miały charakter połowiczny, czyli ani tak prawie niezależny jak pierwsze, ani tak prekaryjny i ograniczony jak drugie. Dodać należy, że różnice między prowincyami francuskiemi, nie powstały bynajmniéj skutkiem apryorystycznego systemu, ale wprost historycznie. Monarchizm bowiem systematycznie walczył z udzielnością prowincyonalną, lecz nie wszę-

dzie mógł się poszczycić jednym i tym samym rezultatem. Gdzieniegdzie oporność wymusiła dla siebie uznanie, przedłużając tym sposobem samodzielność stanów miejscowych. Wszędzie jednak stany prowincyonalne, w stosunku do generalnych, zachowały niepodległy charakter, w którym odczuwać się dały dawne pierwiastki federacyjne.

Pełnomocnicy, oraz uczestnicy stanów prowincyonalnych, reprezentowali w stanach generalnych wyłącznie interes swéj ziemi, oraz swych mocodawców; często téż w razie powszechnéj zgody, musieli brać sprawę *ad referendum*, czyli odwoływać się do upoważnienia sejmikowego. Pełnomocnicy prowincyonalni w sejmie ogólnym zawierali ze stanami krajowemi *quasi*-umowę, jako strona zupełnie równouprawniona, a prowincya poczuwała się zobowiązaną tylko do tych ciężarów ogólnych, na które się sejmik prowincyonalny uprzednio lub następnie zgodził. Gdy z biegiem czasu, stany generalne stały się nietylko organem prawodawczym, ale i współadministrującym, stany prowincyonalne zdobyły sobie prawie wcześniéj takie same atrybucye i stosunek ich do panującego, oraz do stanów generalnych był taki, jak potencyi do potencyi, czyli, że robiły pozornie wrażenie międzynarodowego związku federacyjnego, prowadzącego *quasi*-dyplomatyczne negocyacye. Najlepszym dowodem, że stosunek stanów prowincyonalnych do generalnych nie był podrzędnym, lecz współrzędnym i że nawet przez długi czas przewaga wpływu i znaczenia tkwiła w sejmikach prowincyonalnych, pozostanie fakt: że gdy okoliczności obiecywały większy pożytek lub nakazywały pośpiech w działaniu, monarchowie uciekali się do pomocy stanów prowincyonalnych, z osobna, nie zwołując bynajmniéj stanów generalnych; gdy zaś niektóre prowincye nie przybyły na sejm generalny, lub odmówiły pomocy, panujący na sejmikach prowincyonalnych, *ad hoc* zwołanych, starał się w nich ducha poświęcenia i ofiarności obudzić. Wszędzie téż sejmiki prowincyonalne, jako korporacye reprezentujące interesa lokalne, stawiały zaporę rozwojowi ogólnéj reprezentacyi politycznéj całego narodu. One były gniazdem opozycyi, wspartéj na prywacie i zmuszały nieraz rządzących do gniewliwego wyznania: że łatwiéj byłoby kierować stadem dzików, niż ludem posiadającym tak rozległą autonomię.

Forma reprezentacyi stanowéj urobiła się tak samo jak i zasady prawno-publiczne, pod wpływem dwóch czynników politycznych, a mianowicie: konfederacyi i zjazdów królewskich. Pierwsze reprezentowały głównie żywioł prawa prywatnego, drugie prawo publiczne, a przewaga jednego z wyżéj wymienionych czynników, była kwestyą ich siły i mocy (*eine Machtfrage*), w stosunku wzajemnym do

siebie, to jest zależała od tego: czy monarchizm zdołał zapanować nad uprzywilejowanemi stanami, czy téż musiał ustąpić im znaczny zakres funkcyi publicznych. Skutkiem téj okoliczności, w rozwoju form reprezentacyi stanowéj dostrzedz było można nieustanną zmienność, spowodowaną faktem, wszędzie objawiającym się, a mianowicie: że stosunek stanów do władzy monarchicznéj przechodził ciągle w nowe fazy rozwoju. Reprezentacya stanowa, nawet w dobie, gdy się stała instytucyą stałą i trwale funkcyonującą, nie mogła czynności swéj rozwijać bez przestanku i odrywać znaczniejszéj ilości ludzi na czas dłuższy od spraw domowych. Prawo powoływania stanów do sejmowania, daléj prawo wyznaczania miejsca dla zjazdu i wreszcie prawo określania czasu funkcyonowania sejmu, odesłania sejmujących do domu, wszystko to były atrybucye władzy państwowéj, które na barki uprzywilejowanych kładły znaczny ciężar publiczny i częstokroć budziły wśród nich zachcianki oswobodzenia się od obowiązków nie licujących z interesami prywatnemi.

Ponieważ reprezentacya stanowa mogła jedynie w pewnych odstępach czasu funkcyonować, przeto prawo zwoływania stanów było niezmiernie ważną prerogatywą władzy państwowéj i zupełnie odmienne wywoływało następstwa, jeżeli jéj się nadawało charakter prywatny lub publiczny. Prawo powoływania na zjazdy królewskie, aż do końca XIII wieku, było bezspornym atrybutem władzy monarchicznéj, noszącym charakter publiczny. Powołanie królewskie miało doniosłość rozkazu, a wyłamujący się bez słusznego powodu z karbów posłuszeństwa, był uważany jako „*neglector imperialis edicti*“, który się dopuścił „*regia injuria*“, za co go dość ciężka kara pieniężna dosięgała. Konfederacye XIII w., nadały prawu zwoływania stowarzyszonych, znaczenie zupełnie odmienne. Związki lokalne, zarówno jak i ogólniejsze, przywłaszczały sobie prawo zwoływania sejmów konfederackich i to w imię swych czysto stanowych interesów. Uzurpacya powyższa dopiéro wtedy została w części usuniętą, gdy ugody i zaprzysiężenia pokoju publicznego, zostały na czas wieczysty zawarte. Z tém wszystkiém jednak, pomimo, że po utrwaleniu się reprezentacyi stanowéj, monarchizm wszędzie zdobywał sobie moc zwoływania na obrady sejmowe, zapatrywanie się stanów i monarchów na powyższe prawa, długo pozostało odmienném i gdy monarchizm powołując na sejm, dobro i względy publiczne miał na pieczy, stany pamiętały głównie o tém, że uosabiały interesa lokalne, a w myśl tego przeświadczenia, pragnęły sejmom nadać charakter instytucyi, troszczącéj się nasamprzód o potrzeby reprezentowanych

Monarchizm doznawał téż oporu nietylko wtedy, gdy chodziło

o prawo zwoływania stanów, ale i wówczas, gdy szło o miejsce zebrania i o peryodyczność zjazdów. Nadmieniono już poprzednio, że wprawdzie panujący utrzymali się przy prawie zwoływania sejmów i sejmików, ale to nie przeszkadzało, że walka cicha trwała i w przejściowych chwilach niemocy, królowie zgadzać się musieli na ustępstwa, które charakter publiczny prerogatywy nadwerężały. Rzadko kiedy odzywali się monarchowie w tonie tak stanowczym, jak Maciéj Korwin, król węgierski, do mieszkańców Budzynia. „*Bonum mane cives! Ad regem omnes si non venietis, capita perdetis.*“ Zwykle zaś korzystając z kłopotów finansowych monarchizmu, możnowładzcy potężniejsi, zyskiwali przywileje, mocą których, mimo wezwania królewskiego, mogli się nie stawić na sejmy, jak np. arcyksiąże Austryi, na sejmy rzeszy niemieckiéj, albo téż przybywali wówczas, gdy sprawy sejmowe uznali za dość ważne, lub wreszcie, gdy sejm odbywał się w mieście dogodném i uprzednio akceptowaném. Czasami nawet sejmy lub sejmiki próbowały przywłaszczyć sobie prerogatywę królewską i na ostatniém sejmowém posiedzeniu same oznaczały dzień przyszłego zjazdu, zdarzały się nawet wypadki, że który z możnowładzców uzurpował sobie moc jednorazowego zwołania sejmu, albo monarcha przed zwołaniem, musiał otrzymać pozwolenie potężniejszych panów, jak to miało miejsce w Niemczech z książętami elektorami. Nie brakło nawet na takich oryginalnych przykładach, jak w r. 1397 w Niemczech, gdzie stany wezwały monarchę na sejm, zapowiadając uprzednio, że się odbędzie zwykłym trybem, choćby nawet król nań nie przybył.

Jakkolwiek więc monarchizm usiłował prawu zwoływania stanów nadać charakter publiczny i powoływał zwykle w imię naglącego dobra publicznego całéj rzeczypospolitéj, czyli państwa, to nie zdołał zapobiedz temu, że prawo powyższe zostało niejednokrotnie spaczoném na rzecz dogodności lokalnéj. To samo stało się także z wyznaczeniem miejsca zebrania i z peryodycznością zwoływania stanów. Monarchizmowi przysługiwało w zasadzie prawo zwołania sejmu do takiéj miejscowości, jaką uznał za stosowną i dogodną, szybko jednak zwyczaj wskazał miasta najodpowiedniejsze dla interesów stanowych, prowincyonalnych i ogólnych. Niektóre prowincye, jak np. Brabancya, zdobyły sobie przywiléj odbywania sejmów wewnątrz własnego kraju, a gdy Wiedeń wyznaczono niemieckim stanom na miejsce sejmowania, elektorowie na równi z możnowładztwem oparli się dekretowi monarszemu, ze względu na odległość miejsca, narażającą stany na stratę czasu, niebezpieczeństwa podróży i koszta materyalne. Nietylko stany krajowe, ale i drobniejsze prowincyonalne, dążyły

do tego, aby miejsce sejmowania było najdogodniejsze dla wszystkich uprzywilejowanych. Uwzględniwszy zaś ówczesne środki komunikacyjne i napaści, jakie pełnomocników oraz uczęstników w podróży oczekiwały, zwłaszcza w końcu XV-go i na początku XVI-go wieku, stanie się pragnienie stanów sejmujących zrozumiałém. Do jakiego wszakże stopnia uprzedzenia miejscowe bywały oryginalnemi, dowodzi fakt, że sejmiki fryzyjskie nie chciały przenieść miejsca obrad do budynku, tylko upiérały się przy dawnym zwyczaju odbywania sejmików pod otwartém niebem.

Czas trwania sejmów i sejmików bywał, o ile możności, redukowanym do dwóch tygodni. Sesye liczne stawały się ciężarem dla panującego, jeżeli musiał podejmować pełnomocników swym kosztem, co się często zdarzało; jeżeli znowu uprzywilejowani sami ponosili koszta, to w ich interesie leżało skrócenie okresu obrad. W każdym razie, zarówno zwołanie stanów, jak i zamknięcie obrad, oraz odesłanie przedwczesne posłów do domu, przypominające dzisiejsze rozwiązanie sejmu, należało w zasadzie, począwszy od końca XV-go wieku, do prerogatyw monarchy. Wprawdzie prerogatywa powyższa niejednokrotnie bywała omijaną pod pozorem, że pełnomocnicy nie mają dostatecznych wskazówek i dlatego muszą wysłuchać woli mocodawców czyli opuścić sejm. Opuszczenie zaś przedwczesne sejmu, nawet choćby pod słusznym pozorem, wpływało demoralizująco na pozostałych i rozrywało jedność zdania, oraz możność powzięcia ogólnie obowiązującéj uchwały przez reprezentacyę.

Charakterystyczną niezmiernie była istota pełnomocnictwa stanowego, zdradzająca wyraźne pierwiastki prawa prywatnego. Pełnomocnicy oraz uczęstnicy stanów, bądź to krajowych, bądź prowincyonalnych, bez względu na to, czy wybrani, czy stawający na sejmie mocą osobistego, czyli virylnego prawa, przedstawiali wyłącznie interesa swych mocodawców, lub własne i nie wolno im było w pierwszym wypadku przekraczać z góry określonego mandatu, czyli instrukcyi. Z tego powodu, jeżeli instrukcye, dane pełnomocnikom, nie obejmowały wskazówki, jak mieli sobie w danym razie postąpić, wyrażać im stanowczego zdania nie było wolno, lecz należało nieprzewidzianą sprawę referować mocodawcom i im pozostawić decyzyę. Ponieważ, jak się z tego przekonać można, nie przekonania, lub zaufanie publiczne, lecz interesa lokalne stanów wypełniały treść aktu pełnomocnictwa, przeto nie zależało stanom wiele na danéj osobie i mający prawo virylne, zarówno jak i pełnomocnicy, mogli się na sejmie zastępować i dowolnie odwoływać, lub zmieniać zastępców. Elektorowie w sejmie rzeszy niemieckiéj, używali bardzo często zastępców (*nuncii*),

miasta mniejsze wyręczały się większemi, a większe upoważniały niekiedy możnowładzców duchownych lub świeckich. Jedném słowem, panowała pod tym względem wielka rozmaitość formy, ale pierwiastek prawa prywatnego dawał się wszędzie odszukać. Sejm stanowy składał się zawsze z pełnomocników, uosabiających interesa lokalne mocodawców, którzy charakteru swego bynajmniéj wśród obrad nie zmieniali. Pod wpływem konieczności politycznéj, choćby najgroźniejszéj, nie wolno było pełnomocnikom zapominać o woli mocodawców w instrukcyi wyrażonéj i zdarzały się wypadki, że monarchizm dopominający się natarczywie o pomoc materyalną wobec niebezpieczeństwa, odbiérał kategoryczną odpowiedź: „*potius mori quam leventur*,“ czyli, że umrą raczéj, niż pozwolą na pobór podatków, a tak samo stan duchowny francuski w r. 1577, oświadcza, że prędzéj zniesie tortury i spotka się ze śmiercią (*voire la mort*), aniżeli zezwoli na podatki obciążające majątek kościoła. Nadto, instrukcye, czyli pełnomocnictwa z nakazem, (*mandat impératif*), komplikowały już i tak zawiłą organizacyę reprezentacyi stanowéj. W nieuniknioném następstwie bowiem, wywołały one wszędzie potrzebę sejmików relacyjnych, które kierowały i czuwały nad postępowaniem pełnomocników na sejmach krajowych, lub generalnych.

Treść prawno-prywatna pełnomocnictwa, zaszczepiała w sejmach stanowych pewien pierwiastek indywidualizmu, sprawiający nieprzeparte wrażenie, jak gdyby sejmy nie były ciałem politycznéni, uosabiającém dobro całego państwa, lecz federacyą interesów miejscowych, obradującą przedewszystkiém nad bezpieczeństwem i obroną swych odrębnych pożytków. Charakter federacyjny jeszcze bardziéj występował na jaw, gdy stanom bądź to prowincyonalnym, bądź krajowym, przyszło powziąć uchwałę, czyli w jakiéjkowiek sprawie, publicznego dobra dotyczącéj, zdobyć się na wyrażenie jednolitéj woli. Zasada bowiem polityczna, uznana wcześnie w Anglii, a nakazująca mniejszości ulegać uchwałom większości, nie zdołała w organizacyi sejmów stanowych wyrobić sobie uznania i jeżeli niekiedy się z nią spotykamy, to tylko przejściowo i wówczas nawet była ona zwykle wypływem nadzwyczajnego uniesienia, spowodowanego szeregiem wielu przypadkowych okoliczności. Samo obradowanie odbywało się przeważnie w oddzielnych kuryach czyli izbach, których liczba określona bywała różnie, stosownie do miejscowego zwyczaju. Każda też z kuryi redagowała oddzielnie artykuły swych skarg, zażaleń i zarazem petycyi (*doléances*, *remontrances*, *Gebrechen*); zdarzały się wprawdzie wyjątki, że stany, zwłaszcza prowincyonalne, obradowały w je-

dném zgromadzeniu, nie przeszkadzało to wszakże, iż każdy stan za siebie głosował i wyłącznie na siebie stanowił ciężary.

Do rzadkich też wyjątków należy zaliczyć te wypadki, w których stany głosowały indywidualnie (*par tête*) na wspólném zgromadzeniu, i to głosowały bez instrukcyi, ograniczającéj mocodawców. W każdym razie, zdarzały się niekiedy fakta podobne i to wówczas, gdy monarchizm dziedziczny był w stanie wywierać na usposobienie stanów wpływ silniejszy i gdy prócz tego grożące krajowi niebezpieczeństwo nadawało słowom królewskim, domagającym się pomocy, więcéj nacisku. Ogólném prawidłem jednak sejmowania stanowego było oddzielne obradowanie i oddzielne głosowanie każdego stanu w kuryi (*par ordre*) i kardynalną zasadą uporczywie bronioną była maksyma: że większość nie wiąże bynajmniéj mniejszości. W początkach rozwoju organizacyi stanowéj bywało przez pewien czas inaczéj i sejmy uchwalały postanowienia swe porządkiem sądowym, t. j. większością głosów. Nie należy bowiem nigdy zapominać o tém, że sejmy stanowe powstały ze zlania się form i zasad konfederacyi ze zjazdami królewskiemi, a w obu wzmiankowanych zgromadzeniach, panowała także większość głosów. Konfederacye musiały się wyrzec indywidualnego rozprzężenia, w celu utrwalenia wieczystego porządku publicznego i zwalczenia wielu potężnych nieprzyjaciół. Zjazdy zaś królewskie, posiadając wiele atrybucyi sądowych, przyjęły tém łatwiéj wotowanie w sądzie, opierające się na większości głosów. Gdy jednak stanowisko sejmujących stanów zostało wzmocnioném i utrwaloném w ciągu XVI w., wówczas przygłuszony na czas pewien indywidualizm wziął górę i każdy stan w sejmie czy sejmiku, posiadał jako odrębna kurya, głos oddzielny a większość stanów bynajmniéj go nie zobowiązywała do ponoszenia ciężarów przezeń nie uchwalonych. W prowincyi Liége, gdzie istniały trzy stany i przez pewien czas panowała także większość głosów, wyrażono następnie z dobitnością zasadę: „*deux Etats, point d'Etats*,“ kładącą tamę panowaniu większości w sejmikach.

W niektórych prowincyach belgijskich, wszystkie stany obradowały w jednéj izbie i to nie w stanowym rozdziale składając vota (*par ordre*), ale indywidualnie (*par tête*), przy czém panowała niekiedy prosta większość nad mniejszością. Przykłady powyższe są jednak rzadkie i nie bardzo trwałe; daleko też więcéj łudzące podobieństwo do ustroju angielskiego posiadały te konstytucye stanowe, które reprezentacyi kazały obradować w dwóch izbach czyli kuryach. W Béarnie izba wyższa (*Grand Conseil*) mieściła duchowieństwo ze szlachtą, a izba niższa — stan trzeci, obejmujący mieszczan i wolnych

włościan. Podział reprezentacyi stanowéj na dwie izby, był jednak tylko wypływem porządku wewnętrznego i nie przyswoił sobie żadnéj z cech politycznych właściwych systemowi dwuizbowemu w Angli.

W węgierskiéj izbie magnatów zasiadali świeccy magnaci wraz z wyższymi dygnitarzami kościelnymi, a w izbie niższéj, pełnomocnicy żupaństw (*Gespanschaften*), miast, kapituł i magnatów, nie posiadających prawa zasiadania w izbie wyższéj. Stosunek stanowéj reprezentacyi w r. 1790, przedstawiał się w izbie niższéj następująco: zasiadało w niéj 112 pełnomocników żupaństw, 79 pełnomocników miast, 35 z kapituł, a 31 pełnomocników magnatów. Gdyby więc była w sejmie węgierskim przyjętą zasada angielska, że większość uosabiająca całość, zmusza mniejszość do posłuszeństwa, mogłaby większość wytworzyć się z żywiołów bynajmniéj nie szlacheckich, bo z miast i kapituł, sprzyjających monarsze. Szlachta węgierska zapobiegła jednak fatalnemu losowi, podstawiając w miejsce angielskiéj, zasadę typowo stanową. Sejm węgierski mianowicie, miewał dwojakie sesye: 1) okręgowe i 2) ogólne (*Circular und Regnicolar-sitzungen*). Do pierwszych posiedzeń należała wyłącznie szlachta i podzielona na cztery okręgi, obradowała nad sprawami swych żupaństw, przygotowując projekta do praw, które już na sesyach ogólnych nie mogły uledz zmianie. Posiedzenia okręgowe, jak to łatwo dostrzedz, daleko były ważniejszemi od ogólnych, a z nich właśnie wykluczono miasta i kapituły. Ażeby jednak przypadkiem na posiedzeniach regnikolarnych nie uformowała się większość groźna szlachcie, postanowiono, że deputowani miast stanowić będą tylko jeden okręg wobec szlachty, czyli, że wota ich w stosunku do głosów rycerstwa, będą się mieć zawsze, jak 1 : 4, albowiom szlachta tworzyła cztery okręgi. Łatwo zatém przekonać się, że system dwuizbowy reprezentacyi stanowéj, przypominał tylko podobieństwem formy, ustrój angielski. Zasady prawa były odmienne i czerpały początek w federacyjnym pierwiastku, który każdemu stanowi zapewniał zakres przywilejów odpowiedni jego sile społecznéj.

Jak większość nie mogła zobowiązywać mniejszości, tak samo obecni nie mogli uchwalać ciężarów na nieobecnych pełnomocników *resp.* ich mocodawców. Nawet silnemu monarchizmowi francuskiemu nie udawały się usiłowania zmienienia zwyczaju i natarczywe domagania spotykały się często z kategoryczną odmową. Przypomnieć wszakże jeszcze raz należy, że jednomyślność stanów tylko wówczas doprowadzała do uchwały mającéj siłę obowiązującą, gdy pełnomocnicy nie przekroczyli danéj im przez mocodawców instrukcyi. Monarchizm całym wpływem starał się o usunięcie ograniczających instruk-

cyi i wyjątkowo nawet osiągał cel pożądany, zwykle jednak największe groźby nie zdołały zmusić do ustępstw pełnomocników zbrojnych ową instrukcyą i trzeba było wyczekiwać potwierdzenia udzielnych kolegiów wyborczych, które mogły swém *„veto“* unicestwić najbardziéj naglące kwestye państwowe. Tym sposobem, w zjednoczonych Niderlandach każda sprawa dotycząca unii, zależała od korporacyi wyborczych 56 miast, szlachty i chłopów fryzyjskich, czyli od 2,000 drobnych zwierzchników, którzy z punktu widzenia swego lokalnego egoizmu decydowali o losach całéj unii.

Aby tyle sprzecznych partykularnych i stanowych interesów doprowadzić do zjednoczenia, a stanowe kurye oraz kolegia wyborcze do porozumienia i zgody, trzeba było niezmiernéj wytrwałości i pracy ze strony monarchizmu, oraz doradców korony. Kurye stanowe zwykły były podczas sejmu lub sejmiku, porozumiewać się ze sobą, komunikować sobie uchwały powzięte we własném kole i prowadzić nieustannie pertraktacye ustne lub piśmienne. W każdym razie, mechanizm obrad, skrywających tyle sprzeczności stanowych, nie doprowadziłby nigdy do jednomyślności, gdyby nie wpływ monarchizmu i jego wytrwałe dążenie, aby się porozumiéć z potężniejszym stanem i tym skrytym sojuszem zmusić stany słabsze do ustępstw i uległości. Nie można powiedziéć, aby monarchizm łączył się z zasady ze stanem trzecim, czyli z mieszczaństwem, lub ze szlachtą, albo wreszcie z dygnitarzami kościelnymi. Przymierze zależało od położenia chwilowego, ukazującego monarchizmowi większy interes w sojuszu z tym lub owym stanem. Tam, gdzie mieszczaństwo wytworzyło stan potężny i bogaty, wyrobiło się w niém szybko poczucie dobra publicznego i skłonność do ofiarności na rzecz obrony krajowéj; z tém wszystkiém nie zawsze mogło iść tak daleko w podejmowaniu ciężarów podatkowych, jak możnowładzcy duchowni lub świeccy, a nie mogło iść dla tego prostego powodu: że stany możnowładcze uchwalały podatki przeważnie nie na siebie, lecz na ludność rolniczą, osiadłą na ich gruntach i dla tego mogły wspaniałomyślniéj szafować znojem i pracą cudzą.

Taktyka monarchizmu, kierując się względami utylitarnemi bieżącéj chwili, korzystała ze wszystkich zawiści i poróżnień, aby pozyskać względy silniejszego stanu i tym sposobem zmusić odosobnionych do zgody i ofiar, choćby nawet owa zgoda skończyła się wyczerpaniem sił podatkowych słabszego stanu.

Jakkolwiek w ustaloném pojęciu prawném, monarcha zwykł się był porozumiewać z prowincyą, krajem lub państwem, za pośrednictwem wszystkich stanów i tak samo zgoda formalna wszystkich sta-

nowiła konieczny warunek do wydania ogólnéj normy prawa, to jednakże w praktyce codziennéj zdarzały się odstępstwa i gdy na opornych nie można było wpłynąć środkami korrupcyjnemi, uciekano się do groźby, która w ustach dziedzicznego monarchizmu nie była czczym wyrazem. Zwyczaj powszechny upoważniał monarchę do zamknięcia sejmu lub sejmiku: czyli wyrażając się ówczesnym terminem: „do odesłania posłów do domu,“ dopiéro po uchwaleniu przez nich niezbędnéj pomocy podatkowéj. Otóż zdarzały się wypadki, że gdy pełnomocnicy korzystając z przywileju odmówienia pomocy, uchwalić podatku nie chcieli, znajdowali niespodzianie bramy zamkniętemi, a w swém mieszkaniu zawiadomienie, że nie prędzéj powrócą do domu, aż się okażą powolnymi żądaniom korony. Często więc na drodze bardzo uporczywych pertraktacyi, popiéranych groźbą lub siłą, osiągał monarchizm jednomyślność sejmu stanowego. Jednomyślność powyższa była jednak w rzeczywistości, po większéj części zterroryzowaniem, czyli pokrzywdzeniem mniejszości, która przycichła w poczuciu swéj słabości, ale przy szczęśliwszym zbiegu okoliczności, nie zapominała swych uraz i występowała w obronie swego „*veto.*“ Czasami jednak największe wysilenia nie zdołały mniejszości skłonić do ustępstwa na rzecz ogólnego bezpieczeństwa kraju. W Czechach i Węgrzech, przy elekcyi monarszéj, spotkać się można z podwójnym wyborem: większości i mniejszości: dzięki czemu dwóch królów ubiegało się o władzę, zwoływano sejmy, pogrążając kraj cały w anarchii lub w walce domowéj.

Sejm, zarówno jak i sejmik stanowy, był przytém zbyt skomplikowaną i ciężką maszyneryą, aby wszelkie obrady i negocyacye między stanami lub z koroną, mogły się odbywać w całym komplecie. Podział pracy sejmowéj i umiejętne zorganizowanie tego podziału, stawało się konieczném, jeżeli porozumienie się stanów między sobą, oraz z władzą monarchiczną, nie miało należéć do rzędu niedościgłych mrzonek i być tylko dziełem przypadku lub prostym wyrazem przemocy. Monarchizm, jak wiadomo, występować zwykł przed sejmem czy sejmikiem z propozycyami od tronu, na które stany odpowiadały zażaleniami na ucisk administracyi, oraz domaganiem się reform. Ugoda wobec często zupełnie sprzecznych żądań, była niezbędną, ale osiągnięcie jéj w zgromadzeniach licznych, należało do rzędu iluzyi, przeciwko którym przemawiało doświadczenie. Przedewszystkiém więc, twarda konieczność nakazywała sejmującym delegowanie pewnéj liczby osób z każdego stanu i obdarzanie owego wydziału, czy delegacyi, mocą prowadzenia negocyacyi z doradcami korony, w celu wynalezienia zobopólnego „*modus vivendi.*“ Do posługiwania się delegacya-

mi czy też wydziałami, zmuszone zostały wszystkie sejmiki i sejmy stanowe, a nawet, gdy reprezentacye stanowe pozyskały funkcye administracyjne, delegacye powyższe przeistoczyły się w organa stałe (*permanente*), funkcyonujące w przerwach między jednemi a drugiemi sejmami i sejmikami, a później nawet dożywotnio.

Zanim to jednak nastąpiło, wszelkie delegacye walczyć musiały z podejrzeniami reprezentacyi stanowéj, zazdrosnéj o swą władzę. Praktyka bowiem przekonywała, że kolegia mniéj liczne, okazywały się przystępniejszemi dla przekupstwa lub zterroryzowania przez panującego. Przytém wśród delegacyi wytwarzał się łatwo duch arystokratyczny, dążący do kierowania stanami i do uwolnienia się w następstwie od wszelkiéj odpowiedzialności przed niemi. Bodin ostrzegał też gorąco stany generalne Francyi przed delegacyami, które nazywał stanami „*au petit pied*“ i wykazywał niebezpieczeństwa, jakie panowanie ich w reprezentacyi stanowéj sprowadzić może. Przepowiednie Bodina sprawdziły się najzupełniéj i to nie tylko we Francyi. Monarchizm bowiem, poczuwający się na siłach, z delegacyi potrafił uczynić „małe lub młode sejmy,“ czyli inaczéj mówiąc: przeistoczył je w powolne narzędzie w swych ręku. Gdzieniegdzie skutkiem posługiwania się przez monarchizm delegacyami dożywotniemi, stosunki przeistoczyły się do tego stopnia, że nie stany ani ich delegacye zezwalały na podatki wymagane przez panującego, ale sami monarchowie pozwalali delegacyom, aby w imieniu stanów, uchwalały niezbędny podatek. Prócz tego, królowie przyrzekali niekiedy delegacyom, że je w razie potrzeby zasłonią przed odpowiedzialnością za przekroczenie instrukcyi, gdyby rzadko zwoływanemu sejmowi miało przyjść na myśl, posługiwanie się dawnemi atrybucyami. Tym sposobem, instytucya „delegacyi,“ która w czasach słabego elekcyjnego monarchizmu była potężnym środkiem rozwielmożnienia się władzy sejmów i sejmików, stała się w dobie rozwoju i wzmocnienia władzy królewskiéj silnym czynnikiem rozkładu reprezentacyi stanowéj.

Odrębność i samoistność prawna każdego uprzywilejowanego stanu była zanadto skutecznym pierwiastkiem rozstroju i dezorganizacyi sejmików oraz sejmów, aby delegacye redukowane choćby do coraz mniejszego kompletu, miały rozkładowemu wpływowi tego pierwiastku zapobiedz. Z delegacyami, czy bez nich, zawsze sejm i sejmik stanowy, pozostawał skomplikowaną maszyneryą, a doprowadzenie kilku stanów do zgody i ofiarności nie przestawało być uciążliwém i kosztownèm zadaniem. Nic dziwnego zatém, że monarchizm nawet w dobie utrwalenia się reprezentacyi stanowéj, próbował, zwłaszcza wśród sprzyjających okoliczności, posługiwać się jednorazowo powol-

niejszą reprezentacyą, choćby nawet sposób wezwania nie był uświęcony zwyczajem, lub gdyby np. zapomniano powołać jeden lub dwa z uprzywilejowanych stanów. Zdarzały się téż w XVI i XVII wieku wypadki, że panujący nie zwoływał stanów podług przysługującego mu prawa, lecz wzywał mniejszą liczbę osobistości, wybranych samowolnie (*Verordneten*) i na nich starał się wymódz przyzwolenie i ustępstwa w imieniu sejmu lub sejmiku. Wezwani przybywali zwykle oświadczając z całą uległością, ale zręcznie, że się uważają za zgromadzenie prywatnych ludzi, którym nie wolno wkraczać w atrybucye stanów. Zdarzały się również wypadki, że królowie wzywali na sejm tylko notablów, czyli reprezentantów wyższych stanów (możnowładztwo duchowne i świeckie), albo niektóre miasta główniejsze, zapominając o reszcie uczestników. Nie obyło się naturalnie i bez takich wydarzeń, że królowie licząc na większą powolność sejmików, niż sejmów, zwoływali pierwsze, z pominięciem drugich. Tym sposobem rządził przez pewien czas, Maciéj-Korwin węgierski, wyzyskując powolność szlachty drobniejszéj na sejmikach komitatowych, przeciwko magnatom i wyższym prałatom, mającym przewagę na sejmie.

(*D. n.*). *A. Rembowski.*





ZE STATYSTYKI ROLNICZEJ.

Na podstawie wiadomości, dostarczonych przez 92 wójtów gmin z gubernii suwalskiéj, opracowuje prof. Simonenko statystykę płac roboczych w téj okolicy, oraz emigracyi zamorskiéj.

Praca ta, stanowiąca piąty zeszyt wydawnictw warszawskiego komitetu statystycznego, ma być początkiem sprawozdań, odnoszących się do stosunków w całém Królestwie. Za materyał posłużą odpowiedzi na kwestyonaryusze, rozesłane w końcu 1890 r. do wszystkich gmin Królestwa w liczbie 1,200. Jak powiada przedmowa, odpowiedzi napływały w tak różnych terminach, a materyał jest tak obfity, że nie dał się odrazu opracować...

W sprawozdaniu, wobec niemożebności wyprowadzenia wniosków ogólnych, najważniejszym jest sam obraz stosunków, który téż w krótkości odtwarzamy...

Rozmiary emigracyi do Brazylii i Argentyny, która w ostatnich paru latach tak bardzo zaniepokoiła nasze społeczeństwo, dotąd jeszcze dla całego Królestwa statystycznie ująć się nie dają. Zdaje się jednak, że poddani ruscy, emigrujący do Ameryki, których liczbę statystyka niemiecka podaje na 29,226 w 1890 r., a rząd brazylijski na tenże rok na 27,478, pochodzą głównie z Królestwa.

Z gubernii suwalskiéj jeszcze przed rozpoczęciem się ruchu brazylijskiego istniała emigracya do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, ktorą w latach od 1882 do 1888 obliczają ogółem na 10,000 ludzi. W ostatnich latach roczne wychodźtwo się wzmaga, tak, że z lat dwóch i ośmiu miesięcy (do września 1891 r.) cyfra emigrantów zamorskich wynosi 9,206, a mianowicie 2,947 w r. 1889-ym,

3,765 w 1890 r. i 2,494 w ośmiu miesiącach ostatnich. Emigracya wzrosła przeto niemal trzy razy i stanowi 5.8 na tysiąc mieszkańców gubernii.

Rozpatrując oddzielne powiaty gubernii, przekonywamy się, że w stosunku do ludności największa emigracya była z powiatów środkowych, t. j. z suwalskiego (9.0‰), sejnejskiego (8.8‰) i kalwaryjskiego (8.3‰). Najniższy stosunek wykazały powiaty: maryampolski (1.8‰) i władysławowski (2.2‰). Do powiększenia odsetki emigrujących przyczyniły się i miasta, zwłaszcza w pierwszych dwóch, jakkolwiek emigracya miejska znacznie mniéj liczna jest od wiejskiéj, a z powodu niskiéj wogóle ludności miast, wpływu stanowczego na cyfry ogólne miéć nie może. Procent kobiét (22 ½ na sto wszystkich wychodźców) jest niezmiernie niski, w porównaniu z ilością kobiét wśród wychodźców innych krajów. W Niemczech np. w latach 1879—83 ilość kobiét stanowiła 38%. Simonenko wyprowadza stąd wniosek, że emigrują przeważnie ludzie nieżonaci, nam się zdaje, że w wielu razach rodziny pozostają na miejscu, gdyż włościanin opuścić nie chce gospodarstwa, znajdującego się w kraju.

Co do wyznania, to wśród emigrujących w 1890/91 r. przeważali liczebnie chrześcianie, na 1,984 chrześcian było 824 wychodźców żydowskich, w latach od 1882 do 1889 przeważali żydzi ilością 4,584 osób, wobec 4,183 chrześcian. Wśród ludności gubernii żydzi stanowią ⅙ część, jeżeli więc procent wychodźców porównać zechcemy z całą ludnością, to chrześcianie emigranci stanowili w latach 1882—1889-go 1.1‰, w 1890/91 r. 3.6‰ ludności chrześciańskiéj; żydzi zaś w pierwszym okresie 6.0‰ wszystkich żydów, w ostatnim roku 7.6‰ téjże ludności.

Emigracyi rozpatrywać nie możemy inaczéj, jak w zależności od wszelkich innych warunków ekonomiczno-społecznych. Skoro istniała ona, chociaż w mniejszych rozmiarach przed 1889 r., to odróżnić tu należy przyczyny stale wytwarzające niezadowolenie wśród ludności, od tych, jakie w latach ostatnich spowodowały tak znaczny przyrost wychodźtwa. Do ostatnich zaliczyćby można ogólny wzrost cen żyta od 1888 r. Ceny jęczmienia, kartofli, owsa wahają się w poszczególnych powiatach, a nawet w porównaniu z 1886 r. w kilku powiatach spadły, nie mogły więc tu oddziałać.

Działalność agentów emigracyjnych była téż niewątpliwie ważną pobudką wychodźtwa do Brazylii, a szukać im przyszło nowego pola działalności po raptownem zmniejszeniu się liczby wychodźców z Włoch. Z kraju tego masowa wędrówka do Ameryki wyprowadziła w 1888 r. 179,382 osób, tymczasem już w r. 1890 ilość ta spada do

19.675 głów. Agenci, jak tego dowodzą nawet cyfry urzędowe, znaleźli w gub. suwalskiéj, a jak wiemy i w całém Królestwie, grunt dobrze przygotowany przez niskie zarobki i ogólną biedę. Sam autor zaznacza, że podaną przezeń cyfrę zaledwie za minimalną uważać można, wychodźtwo potajemne, gdyby je można było obliczyć, podwyższyłoby znacznie cyfrę dziś znaną.

W rozpatrywanéj gubernii ilość proletaryatu bezrolnego wynosi 68,232, co stanowi 14,5% całéj ludności wiejskiéj. Z pomiędzy właścicieli w całéj gubernii na 100 jest 20.4 posiadających mniéj niż 3 morgi, 29.7 gospodaruje na 3—15 morgach, gospodarstwo 49.9 wynosi więcéj niż 15 morgów. Stosunki te zmieniają się zależnie od powiatu, a nawet od gminy. Nie wpływa to wprawdzie na różnicę w emigracyi z oddzielnych powiatów, ale ilość proletaryatu bezrolnego lub małorolnego, niskie zarobki i niedostateczna ilość ziemi w ręku ludności włościańskiéj, a wskutek tego wysokie ceny dzierżawy (do 15 rs. za dziesięcinę = 4 morgi w powiatach małożyznych i od 20—36 w urodzajnych) i opłaty za paszę bydła skłaniają włościan do szukania szczęścia za morzem. Porównywając wiadome *minimum* wychodźtwa za morze z gub. suwalskiéj z takiémże z sąsiednich prowincyi pruskich, znajdujemy procent wychodźtwa ten sam, co w Pomeranii, wyższy zaś niż w Prusach Wschodnich i na Szląsku. Jak zobaczymy daléj, warunki bytu ludności są tu także bardzo zbliżone.

Statystyka niemiecka za główną przyczynę emigracyi podaje niedostępność własności ziemskiéj dla włościan, obok łatwości nabycia gruntów w Ameryce, mały rozwój przemysłu fabrycznego we wschodnich prowincyach państwa, zbyt szybki przyrost ludności, a nareszcie niskie zarobki. Dla Królestwa wogóle, a dla omawianéj tu gubernii w szczególności, wszystkie te warunki odnaleść się dadzą. Dodać jeszcze trzeba, że od emigracyi zamorskiéj nie odciąga wychodźtwo w głąb kraju, bardzo znaczne w Niemczech ze wschodu na zachód, że rozmiary przemysłu fabrycznego są prawie żadne, a emigracya do Cesarstwa tylko sporadycznie z powiatów maryampolskiego i władysławowskiego dostrzedz się daje. Ludność przesiedla się stąd niekiedy na stałe lub idzie na letnie zarobki do gubernii kowieńskiéj.

Kilkakrotnie wspominaliśmy, że przyczyną emigracyi zamorskiéj są bardzo niskie zarobki, wobec których płaca w Ameryce, a zwłaszcza złote góry obiecywane przez agentów, łatwą dla ludności stanowi przynętę. Druga część badań komitetu statystycznego poświęcona jest właśnie sprawie zarobków ludności rolnéj w gubernii. Dane, zebrane przez komitet, obejmują zarobki najemników, fornali na ordynaryi, wreszcie parobków i dziéwek rocznych na stole.

Porównywając płace w 44-ch guberniach z zarobkami najemnika w rozpatrywanéj gubernii Królestwa, Simonenko znajduje, że są one w Cesarstwie wyższe o 25% dla mężczyzn, a o 22% dla kobiet. Średnia płaca dzienna, dopóki trwają roboty w polu, wynosi 42 kop. dla mężczyzny, a 28 kop. dla kobiéty, bez życia. Płace te najwyższe w czasie żniw i sprzętu siana, obniżają się w jesieni i na wiosnę, w zimie zaś spadają do *minimum*. Różnice, istniejące między oddzielnemi powiatami, odpowiadają ich urodzajności, a mianowicie z porównania średnich urodzajów z dziesięcioletniego okresu od 1879—1888 r. ze średnim zarobkiem rodziny parobka, licząc zasługi i ordynaryę, otrzymujemy dla powiatów gubernii następujące cyfry:

	Zarobek roczny w rublach	Urodzaj
Władysławowski	161	6.04
Wyłkowyski	156	5.62
Maryampolski	151	5.57
Kalwaryjski	147	4.83
Suwalski	139	4.50
Sejnejski	135	4.18
Augustowski	125	3.71
Średnio w całéj gubernii . .	145	4.92

Płace dzienne wynoszą dla całéj gubernii w czasie żniw 50 kop. dla mężczyzn i 34 kop. dla kobiét, podczas sprzętu siana 45 i 29, na wiosnę 33 i 22, jesienią 29 i 23, zimą 22½ i 18.

Największą zamożnością cieszą się przeto powiaty północne, gdzie obok dobrych urodzajów i wysokich płac i gospodarka z największym prowadzona jest nakładem. Ludność litewska, pracowita i trzeźwa, większą, niż gdzieindziéj, cieszy się zamożnością. Za dowód służyć może fakt, że gimnazyum suwalskie i seminaryum w Sejnach zapełnione są przeważnie synami włościan, którzy pragną syna pokierować na księdza. Pomimo téj zamożności, procent włościan bezrolnych we wszystkich powiatach jest bardzo znaczny, a mianowicie waha się między 9.6 (w powiecie augustowskim) i 21.8 (w pow. wyłkowyskim) na każdą setkę ludności rolniczéj gubernii. Przyczynę tak wysokiéj cyfry proletaryatu rolnego sprawozdanie upatruje: 1) w konkurencyi kapitalistów chłopskich, którzy, mogąc za ziemię dać wysoką cenę, skupiają niekiedy do 300 morgów w jednych ręku, 2) w majoratach włościańskich, usuwających młodsze rodzeństwo od własności ziemskiéj. Wobec wysokich cen na grunta (50 — 150 rs. morga) brat, nie otrzymujący ziemi, rzadko kiedy kupić sobie może posiadłość, chyba że otrzyma posag, biorąc za żonę gospodarską córkę.

Porównywając płacę robotnika, który otrzymuje życie, z wyna-

grodzeniem rocznem wyrobników dziennych, otrzymuje Simonenko koszta utrzymania pojedyńczego robotnika. Koszta te wynoszą dziennie kop. 10.1 dla mężczyzny, a 6.8 dla kobiéty, co stanowi 36.89 i 24.97 rubli rocznie. Uderzającą jest tu różnica wydatków na utrzymanie mężczyzny i kobiéty, różnica ta wzrasta w powiatach, gdzie zarobki są wysokie, obniża się zaś tam, gdzie są niskie.

Cenę mieszkania dla parobka, mającego rodzinę, sprawozdanie oblicza na 18 rs., ilość opału, który się do mieszkania dodaje, mało gdzie jest określona, razem zaś mieszkanie i opał stanowią 15% wszystkich wydatków. Byłby to więc korzystny stosunek do ogółu dochodów (statystyk niemiecki Engel twierdzi, że mieszkanie stanowić powinno ⅙ w budżecie domowym), gdyby mieszkanie więcéj odpowiadało wymaganiom zdrowia i wygody. Zwykle jednak w jednéj izbie mieszczą się dwie rodziny i dwóch pojedyńczych parobków, lub dwie dziéwki, które każdy fornal obowiązany jest utrzymywać, jako najemników dla dworu. Parobkom i dziéwkom rocznym daje dwór najczęściéj ubranie, albo zagon pod len i parę funtów wełny; ubranie to rachuje się dla mężczyzny na 13, a dla kobiéty na 11 rs. rocznie. Tak więc część zarobku tylko, zwykle ⅓ lub połowę wypłaca gospodarz pieniędzmi, resztę służba folwarczna otrzymuje w naturze.

Bardzo podobne stosunki wynagrodzenia parobków spotykamy w Prusach Wschodnich; i tu pieniędzmi wypłaca się tylko ¼ część utrzymania, obok tego parobek dostaje życie i ubranie, fornal zaś ordynaryę mniejszą, niż w gub. suwalskiéj. Obliczając bowiem całą ordynaryę na ziarno, normą utrzymania na głowę bez różnicy płci i wieku jest w Królestwie 3.13 korca, w gub. suwalskiéj 3, a w Prusach 2.60 korca.

Najem parobka i dziéwki wynosi w pieniądzach 163 rs., jest-to wynagrodzenie o 30% wyższe od tego, jakie otrzymuje fornal z rodziną.

Obok wyrobku na dnie spotykamy także płacę od morgi, za orkę, zbiór siana lub żniwo, płaca ta, jak zwykle płaca od sztuki, daje zarobek dzienny o 30—50% wyższy, dla gospodarzy zaś oszczędza siłę roboczą na tyle, że robotę, obliczoną dla trzech robotników, dwóch wykonywać może. Rozpowszechnienie pracy na wymiar, nie na dni, przyczynia się więc do zmniejszenia ilości robotnika zajętego koło roli, jakkolwiek nie pociąga tu może takiego wyczerpania sił, jak w fabryce.

Ponieważ do robót w polu używanym jest zwykle koń i człowiek, przeto płaca jest najwyższą w tych okolicach, gdzie jest najmniej koni i waha się od 1 — 1.50 rs. z morgi, dochodząc niekiedy i 4-ch rubli.

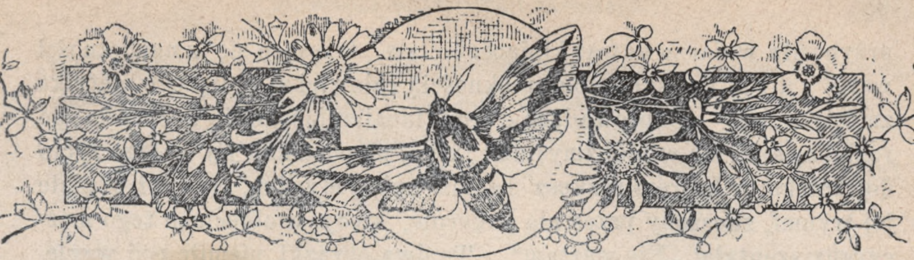
Oprócz zarobków przy roli, którémi żywi się głównie proleta-

ryat bezrolny i część najuboższych właścicieli wiejskich, sprawozdanie daje krótki przegląd zarobków ludności przy zwózkach, w przemyśle fabrycznym i domowym. Obok tego oblicza ilość włościan, udających się na zarobki do innych gubernii, oraz możność dzierżawienia ziemi i pasania bydła na najętych gruntach.

Przy zwózkach żyta, drew, belek, oraz towarów od kolei żelaznéj grajewskiéj (w pow. augustowskim), mają zarobki włościanie z 29 gmin, przynajmniéj inne wykazy wójtów nie podają ich wcale. Włościanin z furą otrzymać może około 95 kop., a przeto mniéj zarabia przy zwózce, niż podczas roboty w polu, opłacanéj z morgi. Jak wspominaliśmy już, rozwój przemysłu fabrycznego jest tak mały, że nie wchodzi prawie w rachubę. Wartość wyrobów fabrycznych oceniano w 1889 r. na 1½ mil. dla całéj gubernii, to téż najwyższą ilość robotników zatrudniają młyny i cegielnie w pow. maryampolskim, a przecież ilość ta nie dochodzi nawet 300 osób.

To samo da się mniéj więcéj powiedziéć o przemyśle domowym. Jakkolwiek z 92-ch gmin gubernii wyrób sukna i płótna spotykamy w 64-ch, a oprócz tego płótno wyrabiane jest jeszcze w sześciu, to przecież wyroby te rzadko kiedy dostają się na dalszy rynek. Służąc przeto do polepszenia dobrobytu włościan, nie występują jako czynnik ekonomicznego postępu, któryby w latach nieurodzaju zastąpić mógł produkcyą rolną, lub stanowić utrzymanie włościan bezrolnych. Dochody z przemysłu włościańskiego wykazują tylko sprawozdania z powiatu suwalskiego, obliczając je dla rodziny na 30 rs. rocznie. Zaledwie 4,000 włościan, a więc 0.75% ludności, udaje się na zarobki do innych miejscowości Królestwa, do Prus, a nawet do Ameryki, nieurodzajne powiaty południowe nie więcéj wysyłają ludzi od urodzajnych północnych, gdzie proletaryat rolny jest bardzo liczny. Ludność wędrującą do Ameryki na kilkomiesięczne zarobki, nęcą tam wysokie wynagrodzenia, za powrotem dostarczają oni pewnych wiadomości dla wychodźców, których to może właśnie zachęca do tłumnéj emigracyi.

Przy szczupłych rozmiarach własności włościańskiéj, przystępne warunki dzierżawy umożliwiają nieraz byt rodzin chłopskich. Sprawozdanie daje nam bardzo mało danych w téj kwestyi. Zdaje się jednak, że dzierżawienie ziemi zdarza się rzadko (tylko z 10 gmin jest o niém wiadomość), a ziemia oddaje się na odrobek lub za ceny od 3 aż do 16 i 18 rs., zależnie od wartości gruntu. Rozmaitemi są też ceny, płacone za pastwisko od sztuki bydła. Wahają się one od 90 kop. do 8, a nawet 10 rs. w rozmaitych gminach. *Dr. Z. D.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Simara* (Marya Napieralska). **Wy mężczyźni!...** (Warszawa, 1892, M. Lewiński, str. 131). Z książeczki téj bije młodość świéża, buńczuczna, zuchwała niekiedy, pragnąca ujawnić swą siłę i niezależność w rwaniu pęt konwenansu, przyjętych opinii, szczupłego zakresu szranek myśli, w wypowiadaniu paradoksów, w stylu wybujałym podzwrotnikowo. Gdyby się wniosek robić chciało z naczelnego artykułu, który dał tytuł książce, trzebaby uważać młodą autorkę za srogą nieprzyjaciółkę mężczyzn, tyle w nim wylała goryczy, jakby mszcząc się za to, co mężczyźni oddawna na niekorzyść kobiét popisali. W gruncie jednak rzeczy artykuł ten to tylko wylew chwilowego podrażnienia, wywołanego czy faktem jakimś, czy téż usłyszaną rozmową, przeczytaną broszurą. Podobna w nim jest Simara do bohatérek „Ślubów panieńskich“ i niemal parafrazuje ich zdanie, gdy w końcu woła: „Ach, gdyby można—ileżby trosk ubyło—gdyby można, mimo wszystkiego, nie kochać ich! gdyby można!...“ W dalszych rozmyślaniach i obrazkach wcale się Simara tak zawziętą względem brzydszéj połowy rodu ludzkiego nie okazuje; owszem, własną płeć swoją stosunkowo daleko gorzéj przedstawia. Mianowicie z pewnym uporem, bo dwukrotnie w szeregu 7 szkiców, z których się składa zbiorek, maluje jednę z cech ujemnych, zarzucanych we wstępnym artykule mężczyznom, t. j. panującą nad wszystkiém zmysłowość. Z bardzo rzadką u naszych kobiét-autorek śmiałością dotyka tego przedmiotu Simara w „Czarnéj Jagodzie“, gdzie przedstawia kuszenie nowego Józefa biblijnego przez zręczniejszą i wyrafinowańszą od egipskiéj Putyfarową, oraz w obrazku „Nie wartam“, gdzie „ona

przynosiła w darze kawał kipiącego ciała, trzęsące się z namiętności wargi“, a „on był skończoną pięknością człowieka, ceniącego nietylko zmysły same.“ Doprowadzenie tego idealizującego ją kochanka do rozlubowania się w niéj zmysłami tylko, po poznaniu jéj całego życia dojrzałego, w którém rozkosz hasłem była jedyném, stanowi właśnie jéj tryumf, znoszony przez nią pokornie, kiedy w objęciach tego mężczyzny szeptała: „Nie wartam“. Te dwa obrazki, niemiłe pod względem etycznym, są ciekawe jako dokument, świadczący, jeżeli nie o czynach, to o myślach i pragnieniach, przebiegających przez mózg „aniołów domowych“. Drugi zaś ważny jest jeszcze i refleksyami psychologicznemi, jakie autorka, sama nie pewna motywów postępowania mężczyzny, wypowiada w formie pytającéj (str. 130). Simarę zajmują głównie, prócz powyższych zmysłowych, stosunki uczuciowe raczéj w formie marzeń i rozumowań, aniżeli w kształtach konkretnych, z objawów życia powszedniego brane. Bierze tematy najzwyklejsze, zawód sercowy, śmierć, oddawanie ręki niekochanemu, próżność i na nich rozsnuwa wzorzystą tkankę swoich uwag, porównań, zestawień, przenośni. Wyobraźnia bujna, żywa, ruchliwa i styl nieraz oryginalny, chociaż często bardzo kapryśny i niepoprawny, niewolny nawet od błędów elementarnych (b i e g n ę ł a, podniebie*ni*), nadaje tym motywom ogranym świeżość i zmusza do czytania. Najsłabszą jest sylwetka p. t. „Pan Adolf“; jest-to jakiś wylew uwielbienia dla widzianego chyba zdala człowieka, którego podejrzéwa, że jest nieszczęśliwym, pomimo całéj świetności swego życia i wielkich talentów. „Jeden z wielu“ to szereg uwag o człowieku, który stracił ukochaną żonę. „Chwila przełomu“, bardzo dramatycznie pomyślana, przedstawia trochę starzejącą się już pannę, która w chwili stanowczéj waha się, czy ma oddać rękę pospolitemu salonowcowi, czy też nie. Już postanowiła odmówić i żyć dla jakiegoś nieosobistego ideału, gdy w tém posłyszała najserdeczniejsze przyjaciółki, przypuszczające, że jeżeli ona drożyć się będzie, to hrabianka ją zastąpi. Wprawiło ją to w gniew szalony, a gdy weszła do salonu i Karola przy hrabiance ujrzała, a w kącie szereg panien przekwitających, już jéj wahanie ustało. Chcąc sobie zapewnić tryumf, zawstydzić najserdeczniejsze, oddaje rękę lekceważonemu przez siebie, jak duchowo wyższą, mężczyźnie. Jeden obrazek „Z fabrycznych dymów“ dotyka stosunków ze sfery t. zw. niższéj. Myślą główną jest gnębienie uczuć, znieprawianie charakterów przez przemożny kapitał. Leon kocha Kasię, ale bierze uwiedzioną przez syna cukrownika Justę, ażeby nie doznać losu oddalonych ze złém świadectwem. Wykwint-

ność wyrażeń i przenośni łączy się nieraz u Simary z naturalistyczną jaskrawością; szczególniéj w obrazku „Z fabrycznych dymów", gdzie między innemi, przedstawiając zszarzaną Biniewiczową „o zaślinionych kątach jamy ustnéj", notuje także zaobserwowany „wstrętny odór zabrudzonéj kobiécości..."

— *J. A. Spender.* **The State and pensions in old age** (Londyn, 1892, str. 161). Książka Spendera jest poświęcona rozpatrzeniu sprawy emerytalnéj, która tak silnie dzisiaj zaprząta uwagę publiczną w Anglii. Autor przedewszystkiém zatrzymuje się dłużéj nad położeniem angielskich inwalidów pracy i usiłuje dowieść, na podstawie danych urzędowych, że niemal jedna trzecia część starców powyżéj 65 roku życia w Anglii musi uciekać się do dobroczynności państwowéj z jéj wszystkiemi poniżającemi warunkami, a znaczna część z pośród nieczyniących tego znajduje się niemal u progu nędzy. Przytém Spender nader drobiazgowo rozpatruje wszystkie źródła dochodu starców warstwy pracującéj. Następnie spotykamy poszukiwania nad zniżaniem się zarobków, w miarę tego, jak siły poczynają zwolna wypowiadać posłuszeństwo. Wyniki naturalnie brzmią bardzo rozmaicie, odpowiednio do rozpatrywanych fachów. Wszędzie niemal jednak widzimy już zniżkę pobieranego wynagrodzenia około 45 roku życia; zwiększa się ona bardzo nieznacznie do roku 55, kiedy poczyna spadać już gwałtownie. Nadto cały rozwój techniki nowoczesnéj, z jéj prędkiemi a głębokiemi zmianami nadzwyczaj nie sprzyja zarobkowi osób w wieku podeszłym. Takie są fakty, na zasadzie których autor uważa wprowadzenie emerytury państwowéj dla inwalidów pracy za rzecz naglącéj konieczności. Doszedłszy do tego wniosku, zwraca się on do rozpatrzenia odpowiedniéj praktyki życiowéj w tych krajach, które, jak Niemcy i Dania urzeczywistniły już instytucyę emerytalną lub które o tém myślą, co widzimy we Francyi i we Włoszech. Z pośród urządzeń emerytalnych stawia najwyżéj duńskie, gdzie każdy niezamożny obywatel kraju, bez względu na płeć i bez uprzednich składek ze swéj strony pobiéra stałą emeryturę, na którą fundusze są czerpane z pewnych świéżo w tym celu nałożonych podatków trunkowych. Wreszcie drobiazgowo rozpatruje projekty, wysnuwane w Anglii. Oświadcza się stanowczo przeciwko planom emerytury, z któremi związane jest imię Chamberlaina a występuje jako zwolennik innych, żądających, aby na wzór Danii pobierano emeryturę bez uprzednich składek, wprowadzając, celem pokrycia tego wydatku, nowe podatki. Zresztą rzeczywistość duńska przybrała w żądaniach Spen-

dera nieco odmienny wyraz; domaga się on bowiem, aby emeryturę ową pobierał każdy Anglik bez najmniejszego względu na wiek i zamożność po dojściu 65 lat wieku, w rozmiarze 5 szylingów tygodniowo, kiedy w Danii otrzymuje ją tylko niezamożny starzec. *L. K.*

— *Léon Devaule.* **Condillac et la psychologie anglaise contemporaine.** Paris, Alcan, 1892, str. 331. — Picavet w dziele swojém p. t. *Les Idéologues* (por. „Ateneum“, 1891, paźdz.) wykazał związek historyczny pomiędzy ideologami — spadkobiercami sensualizmu we Francyi, a angielską szkołą psychologii i pozytywizmu. Autor niniejszego dzieła, wykraczając po za granice zakreślone w tytule, odtwarza nam całe dzieło filozoficzne ojca sensualizmu francuskiego, zestawiając je z nowszemi poglądami angielskiego odłamu szkoły pozytywnéj. Większa część dzieła ($^2/_3$ części) poświęcona jest psychologii i teoryi poznania. Zestawienie poglądów Kondyllaka z angielską psychologią wykazuje, że prawie wszystkie jéj zdobycze były zawarte już w jego nauce bądź w zawiązku, bądź zupełnie rozwinięte; na wielu zaś punktach myśliciel francuski sięga nierównie głębiéj w istotę rzeczy. — Trudno znaleść systemat filozoficzny [1]) bardziéj konsekwentny, niż ten, który wyszedł z pod pióra Kondyllaka, rozwinięty w licznych jego dziełach, a którego zarys ogólny znajdujemy w *Essai sur l'origine des connaissances* [2]). Poznanie zmysłowe, z którego stopniowo rozwija się myśl i cała umysłowość, kojarzenie wyobrażeń; czynności i wola, psychologia zwierząt, rozwój społeczny — rozwój języka, muzyki; rozwój państwa i rządu, sztuk i religii, rozwój ekonomiczny—wszystko to konsekwentnie wyprowadza się z doktryny, wszystko przejęte ideą ewolucyi i na wszystkich prawie punktach zbiega się z doktrynami dziś wygłaszanemi w Anglii, a powtarzanemi u nas i we Francyi. — „Jeśli przeciw doktrynie jego, wbrew rzadkim i nielicznym protestacyom, walczono ustawicznie we Francyi, idee jego odtworzone zostały w znacznéj części w Anglii, gdzie—powtarzamy to

---

[1]) Wprawdzie systemat ten nie jest całkowity; brak mu metafizyki, i w têm znowu zbliża się Kondyllak do pozytywizmu (prawowiernego), odrzucającego metafizyczne zagadnienia przynajmniéj w teoryi.

[2]) P. Devaule, rehabilitując sensualizm z fałszywéj oceny podanéj przez eklektyków, a głównie przez Cousina, zwraca uwagę na to, że niektóre błędne mniemania o nim pochodzą ze zbyt wyłącznego przywiązywania się do głównéj rozprawy Kondyllaka: „Traktatu o wrażeniach zmysłowych“ (polski przekład Ant. Langego w Bibliot. filoz., pod redakcyą Struwego W., 1887), a zwłaszcza do jéj formy (posąg hypotetyczny), która jest tylko metodą wykładu, nie zaś badania.

za Taine'm—James Mill i jego następcy odnaleźli ścieżkę, wytkniętą przezeń w XVIII stuleciu, a skąd dziś wracają do nas, rozwinięte wprawdzie, lecz z temiż zagadnieniami, z temiż zasadami, z tą samą metodą" (str. 320). — Ci, którzy widzą w pozytywizmie angielskim ostatnie słowo wiedzy, wiele skorzystają przeczytawszy dzieło Devaule'a. Przekonają się, że na wszystkich punktach pozytywizm ten został wyprzedzony przez filozofa, który miał na sto lat mniéj doświadczenia z życia i myśli ludzkości i to na takie sto lat, które uważają za czas głównego wyrobienia nowszych doktryn. Dodamy od siebie, że stanowisko to nietylko nie jest nowe, ale i dawno prześcignione. *Wł. M. K.*

— *Pillon.* **L'Année philosophique.** Deuxième année. 1891. Paris, Alcan, 1892, str. 352. — Drugi rocznik, wydany pod redakcyą byłego redaktora „*Critique philosophique*", również jak i pierwszy składa się z trzech obszerniejszych prac tych samych, co i w zeszłym roku autorów i z działu bibliograficznego, podającego ocenę 71 książek i broszur z zakresu metafizyki i psychologii, filozofii umiejętności, moralności i religii, filozofii dziejów, oraz historyi filozofii. Oryginalne prace są następujące: Renouvier, „Filozofia cyrkla i linijki". Jestto studyum nad logicznemi podstawami sądów geometrycznych, oraz ocena, ze stanowiska tych podstaw, nowszych prób t. zw. nie-euklidesowéj geometryi, t. j. geometryi, wychodzącéj z przypuszczenia, że dwie linie równoległe mogą się spotkać (wbrew 11-mu pewnikowi Euklidesa), a wyprowadzającéj stąd rozmaite rodzaje przestrzeni, odmiennych od téj, którą znamy, jako posiadającą 3 wymiary. Autor zastanawia się nad poglądami Łobaczewskiego, Riemana, Helmholtza, de Tilly, Calinona i Lechalasa, wykazując, że wszystkie ich konstrukcye spoczywają na niezrozumieniu podstaw filozoficznych, na których spoczywa geometrya. Pillon daje obszerne (140 stron) i ciekawe studyum p. t. „Rozwój historyczny atomizmu". Autor dzieli systematy atomistyczne na takie, które miały lub mają tylko znaczenie kosmologicznéj hypotezy (objaśnienia naukowego), a zatém mogą się wiązać z jakąkolwiekbądź doktryną lub wierzeniami metafizycznemi i na systematy metafizyki atomistycznéj, która jest zawsze materyalistyczną, t. j. nie przyznaje innych bytów, ani form bytu, oprócz atomów i próżni. Podział ten jest cokolwiek sztuczny w wykładzie historycznym, tém bardziéj, iż sam autor uznaje, że atomizm naukowy powstał z metafizycznego. Trudność przeprowadzenia jego okazuje się w tém np. że Maupertuis został zaliczony do drugiéj gromady, chociaż wła-

ściwie należy do pierwszéj. Istotnie, znaczenie, jakie nadadzą doktrynie uczniowie, nie koniecznie zależy od twórcy systematu; to, co ostatni podaje jako hypotezę, pierwsi skłonni są przyjąć za fakt bezwzględny. W 1-ym dziale znajdujemy Gassendiego, Cudwortha, Cordemoy'a, Newtona, Clarke'a, Daltona, Boscovich'a i Cauchy'ego; potrąca autor o poglądy Berkeley'a, Locke'a, Leibnitza, Malebranche'a i Pascala. Drugą gromadę stanowią atomiści starożytni, Maupertuis (a jako jego poprzednicy powtórnie występują Locke i newtoniści), Lemaire, Roisel, pani Royer (vitalistyczny atomizm). Wynikiem tego studyum jest wniosek o podmiotowości przestrzeni w duchu Kanta. Trzecia praca jest pióra Dauriaca i zawiera ocenę „Teoryi świadomości Wil. James'a", wyłożonéj w jego „Zasadach psychologii".

Wł. M. K.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Іюля 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”

w Lipcu 1892 r.

1. **Maź** jako materyał opałowy. Opracował *Wiktor Sypniewski.* (Z 1(tabl. litogr.). Lwów, 1892, 8-vo, str. 61.

2. *Ezechiel Zivier.* **Studien über den Codex Suprasliensis.** Inaugural-Dissertation, welche ...zur Erlangung der Doctorwürde in der Philosophie.. verteidigen wird... Breslau, 1892, 8-vo, str. 28 i 16 kartek podobizn pisma.

3. **Rzecz** wypowiedziana przez Dyrektora na akcie uroczystym w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych, 13 czerwca 1892 r., 8-vo, str. 15.

4. **Pamiętnik** Towarzystwa Lekarskiego, Warszawa, pod redakcyą *Maryana Janowskiego.* Rok 1892, zeszyt II, str. 221—417; 1—207 z tablicą litogr.

5. **I. Dział ubezpieczeń na życie.** Towarzystwo ubezpieczeń „*Przezorność*" w Warszawie, 8-vo, str. 16.

6. *Wojciech Dzieduszycki.* **Historya malarstwa** we Włoszech. Z 20 rycinami. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1892, 8-vo, str. 320 i XLI.

7. *B. Ulanowski.* Kilka zabytków ustawodawstwa królewskiego i wojewodzińskiego w przedmiocie handlu i ustanawiania cen. 1892, 4-to. str. 108.

8. **Rys stosunków ekonomicznych** gubernii Radomskiéj na podstawie akt hypoteki gubernialnéj i akt notaryalnych w Radomiu. Zebrał i opracował *Jan Romanowski.* Warszawa, 1892, 8-vo, str. 112 (cena 60 kop.).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

